

Carol O'Connell

Wszystcy kłamia



Przełom i Ska

SKORPION



Gdy w parku mężczyzna obejmuje kobietę, Amandę Bosch, obserwująca to staruszka sądzi, że ma przed sobą parę zakochanych. Nie przypuszcza, że widzi mordercę i ofiarę. Śledztwo w sprawie morderstwa prowadzi Kathy Mallory – policjantka, która z taką samą łatwością potrafi przenikać zamysły przestępców, jak i włamywać się do ich komputerowych baz danych. Tymczasem jej partner, Charles Butler, otrzymuje zlecenie zbadania zjawisk psychokinetycznych, zachodzących w pewnej rodzinie: ostre kawałki szkła i zatemperowane ołówki latają w kierunku Sally Riccalo. Wszyscy podejrzewają, że dzieje się to za przyczyną jej kilkunastoletniego pasierba, Justina. Sprawa wygląda poważnie, bowiem matka i pierwsza macocha chłopca zginęły w tajemniczych okolicznościach. Kathy Mallory nęka podejrzanych, wysyłając do nich komputerową pocztą wieloznaczne wiadomości. Nie wie jednak, że czyha na nią dwóch morderców. Ten, który zabił Amandę, i drugi, znacznie niebezpieczniejszy, który ma na sumieniu życie obu pań Riccalo...

Cena 14,80 zł (148 000 zł)

ISBN 83-86669-14-4

Carol O'Connell

**Wszyscy
kłamia**

przełożył

Robert Sudol

Prószyński i S-ka

Warszawa 1995

Tytuł oryginału:

„The Man Who Lied to Women”

Copyright © by Carol O'Connell 1995

The right of Carol O'Connell to be identified as Author

of this work has been asserted by Carol O'Connell

in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

All rights reserved

This edition first published in 1995 by Hutchinson

Projekt okładki:

Jerzy Matuszewski

Fotografia na okładce:

Jarosław Madejski

Opracowanie graficzne:

Barbara Wójcik

Redaktor prowadzący serię i opracowanie merytoryczne:

Maria Magdalena Kwiatkowska

Opracowanie techniczne:

Elżbieta Babińska

Łamanie:

Ewa Moczarska

Korekta:

Jadwiga Przeczek

ISBN 83-86869-14-4

Seria „Skorpion”

Wydanie I

Wydawca:

Prószyński i S-ka

02-569 Warszawa,

ul. Różana 34

Druk i oprawa:

Szczecińskie Zakłady Graficzne

70-952 Szczecin.

Al. Wojska Polskiego 128.

*Książkę tę dedykuję memu
długoletniemu przyjacielowi, Ri-
chardowi Hughesowi - który za-
miast spać, spędza nocne godziny
przy telefonie zaufania, udziela-
jąc porad przerażonym dzieciom
- a także ośrodkowi Covenant
House, będącemu schronieniem
dla tych dzieci, które nie mogą
wrócić do domu.*

Autorka

Prolog

Krople deszczu bębniły w pelerynę. Czowała je, ale ich nie słyszała. Wyszła z domu bez aparatu słuchowego i dwuogniskowych okularów. Dlatego świat wokół był senny i zamazany, wolny od drobnych, rażących szczegółów w postaci papierków po cukierkach i niedopałków.

Powiało gwałtownie wonią mokrej psiej sierści. Skupiwszy powoli wzrok, zdążyła dostrzec zad mijającego ją zwierzęcia, które zbiegło ze ścieżki i ruszyło w górę trawiastego stoku, porośniętego krzakami. Naraz psem szarpnęła za szyję niewidzialna ręka, aż wykonał w powietrzu niemal pełne salto do tyłu.

Zmrużywszy oczy, by lepiej widzieć, Cora uświadomiła sobie, że psia smycz zaplątała się w kolczastych gałęziach. Zwierzę uwolniło się za pomocą panicznych szarpnięć i skoków, po czym podreptało w górę stromizny i zniknęło po drugiej stronie pagórka.

Cora wetknęła pod kaptur smagany wiatrem kosmyk siwych włosów i znów stała się niewidzialna, albowiem jej myśliwska zielona peleryna wtopiła się w roślinność, która nie nabrała jeszcze gamy szarości typowej dla następnego na dobre grudnia.

Spojrzała na zegarek. Wiedziała, że powinna już wyjść z parku, ale przed nią ciągnęła się zachęcająco procesja pustych ławek z kroplami deszczu perlącymi się na zielonej farbie. Usiadła na pierwszej ławeczce, uważając na stare kości, które beształy ją srogo za wyprowadzenie ich na dwór w dżdżystą aurę.

Usiłowała je przekonać, że tylko podczas deszczu może czuć się bezpiecznie w parku. Tłumaczyła, że bandyci nie pracują w tak paskudną pogodę, ponadto najprawdopodobniej lubią długo pospać.

Dyskusję zamknął przenikliwy ból w krzyżu, który przeszył Corę, gdy uniosła zgiętą rękę do góry, by położyć ją na oparciu ławki. Chwilę później poczuła łaskotanie na nadgarstku. Po pomarszczonej białej skórze pełzła ciemna kropka. Cora nachyliła się, aż krótkowzroczne niebieskie oczy znalazły się ledwie kilka centymetrów od drobinki podążającej po wierzchu jej dłoni.

Ze zdumienia wciągnęła gwałtownie powietrze przez długie, pożółkłe zęby.

Był to chrząszcz grabarz, długowieczna jak na owada istota, której powołaniem jest bezczeszczenie i wysuszenie trupów. Ale tym razem ów skrzydlaty posługacz umarłych przybył zbyt wcześnie. Należało przestrzegać praw natury: mimo leciwego wieku Cora wciąż oddychała. Może owad zjawił się zdezorientowany nadzwyczaj ciepłą pogodą. Nieważne, będzie musiał po nią przybyć innego dnia.

Naraz w jej wąskie pole widzenia wkroczyła druga istota, poruszająca ośmioma nóżkami w pogoni za chrząszczem.

Och, nie może być!

Pająk powinien być umrzeć jesienią, pożarty przez swe dzieci. Nie należał do grudniowego świata, ów gwałciciel praw natury przeżył samego siebie. I teraz był ledwie centymetry od swej ofiary.

Och nie, przemoc o tak wczesnej porze?

Leciwa obserwatorka świata fauny szarpnęła ręką, wysyłając chrząszcza w lot daleko od szczęk pająka. W reakcji na gwałtowny ruch pająk przystanął, następnie odwrócił się i odszedł z ośmioma pustymi rękami.

Uratowawszy pogodę poranka, Cora zapatrzyła się na najszerszą część jeziora - lustro odbijające szare niebo. Powoli jej spojrzenie przeniosło się na wodną odnogę blisko ścieżki. Była to raczej sadzawka o nieruchomej,

zastajej wodzie, ciemnej tu i ówdzie. Po drugiej stronie, tuż nad wodą, tkwiły jeszcze ciemniejsze kształty - dwa czarne parasole, najwyraźniej prowadzące rozmowę, o ile Cora знаła się na formach towarzyskich. A znała się z całą pewnością. Wyższy parasol miał długie brązowe nogi, niższy - niebieskie. Naraz parasol o niebieskich nogach zaczął się cofać. Wysoki wyrzucił do przodu białą rękę i przyciągnął go ku sobie.

Cora uśmiechnęła się. To z pewnością młodzi zakochani. Wydedukowała też, że odbywają potajemną schadzkę. Wysoki Parasol poruszył się i obrócił, ukazując na mgnienie oka biel twarzy, gdy rozglądał się dokoła, czy ktoś go nie obserwuje. Uczepił się Niebieskich Nóg, które wrywały się, chcąc odejść. Złote włosy rozblęły na tle czerni, kiedy parasol kobiety wypadł jej z dłoni i odfrunął do tyłu, lądując do góry nogami w sadzawce, z rączką sterczącą ku niebu, niczym odarty z żagla maszt. Obrócił się powoli wokół własnej osi, następnie zaczął wirować coraz szybciej i szybciej, schwytny w powiew czystego, wymytego deszczem powietrza.

Wysoki Parasol pochylił się nisko. Czy podnosi coś z ziemi? Tak, teraz przystawia to coś Niebieskim Nogom wprost do czoła. Oj, zasłonił widok, jednocześnie zmuszając Niebieskie Nogi do tanecznego półobrotu.

Pewnie daje jej podarek, pomyślała Cora, mrużąc oczy. Najwyraźniej ku zadowoleniu Niebieskich Nóg, ponieważ przestały się opierać. Wydawały się oszołomione, wsparły się na nim, nie wzbraniały więcej. Złote włosy były teraz przystrojone czymś jaskrawoczerwonym, rozkwitłym po jednej stronie twarzy, gdy oboje dokończyli półobrotu i, zakończywszy płasy, stanęli nieruchomo i blisko siebie.

Wstęp do pocałunku?

Cora spojrzała na zegarek. No cóż, będą mieli tę swoją upragnioną chwilę we dwoje, albowiem ona musi iść, gdyż już jest spóźniona kilka minut. Stanęła na obolałe nogi.

W chwili, gdy odwracała się plecami do zakochanych, czarny parasol upadł na ziemię, a dwie potężne dłonie chwyciły Niebieskie Nogi za

głowę. Cora ruszyła ścieżką, tymczasem po drugiej stronie sadzawki palce wplotły się w złote loki, a kobieca głowa została brutalnie skręcona o sto osiemdziesiąt stopni, co uwolniło Niebieskie Nogi od krępujących minut i sekund, w których żywi pojmują czas.

Rozdział 1

20 grudnia

Jej fiksjacja na punkcie urządzeń wzięła swój początek od sieci telekomunikacyjnych obejmujących swym zasięgiem całą kulę ziemską.

Żeby się nie zgubić, dziecko miało na dłoni numer telefonu napisany atramentem. Pierwsze trzy cyfry zmyła jednak plama mokrej krwi.

Z czasem mała nauczyła się żebrać o drobne u prostytutek, jedynych dorosłych osób, które nie przekazywały jej pracownikom społecznym. Wkładała monety do telefonu i wykręcała nie wypróbowaną dotąd kombinację trzech cyfr, następnie cztery cyfry, które pozostały na dłoni. Jeśli odbierała kobieta, mówiła: „To ja, Kathy. Zgubiłam się”.

Kiedy miała siedem lat, potrafiła naśladować dźwięki publicznych telefonów. Jej gwizd osiągał ów wysoki ton, na który otwierały się obwody rozmów pozamiejscowych. Nauczyła się wszystkich międzynarodowych numerów kierunkowych. Umiała również gwizdem zmusić telefon do oddania reszty. Sieci telekomunikacyjne podtrzymywały przy życiu jej drobne ciało i jej fiksjację. Stałymi elementami tysiąca rozmów telefonicznych był prosty przekaz oraz cztery cyfry zachowane na dłoni.

Przez wszystkie późniejsze lata różne kobiety w różnych strefach czasowych na całym świecie nawiedzał głos bezcielesnego dziecka, które

zagubiło się w cybernetycznej przestrzeni sieci telekomunikacyjnych.

*

Sierżant Riker z sekcji przestępstw nietypowych nie wiedział nic o pochodzeniu Kathy Mallory. I nie był wyjątkiem. Zjawiła się w życiu inspektora Markowitza jako dobrze rozwinięta dziesięcio-, może jedenastoletnia dziewczynka. Kto może być pewien wieku dziecka ulicy?

Żona inspektora, Helen Markowitz, wykapała małą i pod warstwami brudu odkryła coś nadzwyczajnego. Uczesany z przedziałkiem gąszcz umytych, błyszczących blond włosów odsłonił migotliwe zielone oczy, frapująco piękną twarz o delikatnie zarysowanych łukach i wgłębieniach oraz pełne, czerwone wargi. Do tego Kathy była inteligentna, co zdawało się już przesadną szczodrością losu.

Czternaście lat później, wedle raportu detektywa Palanskiego, Mallory leżała martwa na stole w zakładzie medycyny sądowej, tuż za drzwiami, przed którymi stał Riker.

Sierżant pchnął drzwi i wstąpił w dotkliwy chłód. Metalowy stół, wózki oraz narzędzia, wśród których znajdował się niestosowny sprzęt stolarski - wiertarka i piła - otaczała kałuża jaskrawego światła. Spojrzał na częściowo zakryte prześcieradłem ciało.

Przy stole stał młody lekarz z maską chirurgiczną poniżej oczu, ubrany w zielony fartuch i gumowe rękawiczki. Nie pierwszy raz spotykali się nad zwłokami. Drugi lekarz, starszy mężczyzna, skinął Rikerowi głową, rozpoznając w nim kogoś między przyjacielem a znajomym. Młodszy odwrócił z powrotem głowę do mikrofonu zawieszzonego nad ciałem i dalej recytował monotonie:

- ...normalnie rozwinięta kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat...

Kiedy Riker pochylił się nad zwłokami, górne światło uwydatniło każdy siwy włos na jego głowie i pogłębiło fałdy wygniecionych od spania: twarzy i garnituru.

- ...rana i siniak na przedramieniu...

W wyniku obrony? A zatem walczyła.

Jasne loki obramowywały porcelanową twarz. Uciekł spojrzeniem przed widokiem zakrzepłej krwi wokół rany na głowie i dzieła dokonanego przez larwy i chrząszcze.

To nie ta twarz.

- ...rana czaszki...

Podniósł powiekę oka denatki, które zatraciło owalność i okryło się mgiełką. Mimo to wiedział, że nigdy nie było zielone. Przypatrywał się jej włosom. Przy skórze nie miały koloru blond.

To nie Kathy.

- ... wzrost sto sześćdziesiąt siedem centymetrów...

Do Mallory brakuje jej z dziesięć centymetrów, ale kobieta była równie szczupła i miała tyle samo lat.

- ...kręgi szyjne złamane...

Riker - wypalony glina, który widział niejedno - powoli odzyskiwał władzę w mięśniach twarzy i gardle, dzięki czemu nie rozpląkał się jak ktoś, w kim pozostały jeszcze jakieś uczucia po trzydziestu pięciu latach służby.

- Palanski to skończony dureń - odezwał się za jego plecami znajomy głos.

Riker odwrócił się i stanął twarzą w twarz z kierownikiem zakładu medycyny sądowej, doktorem Edwardem Slope'em, który wkładał właśnie gumowe rękawiczki. Zielona maska chirurgiczna zwisała poniżej jego poranej, pozbawionej emocji twarzy. Cały gniew skupił się w słowach. Slope również znał Kathy od szczeniaka.

- Nie ma między nimi nawet tyle podobieństwa, by wziąć je za siostry.

- Palanski to jeszcze dzieciak - powiedział Riker, który mawiał tak o każdym poniżej czterdziestego roku życia. - I z nią nie pracuje.

- ...dłonie zostały zgniecione, nie ma ubytku krwi. Uraz odniesiony po śmierci...

Riker otworzył notes i wyjął długopis. Uciekał spojrzeniem przed kobietą leżącą na stole, pozbawioną prześcieradła, wystawioną na światło, oczy mężczyzn i zimne powietrze.

- Ciało znaleziono w parku, cztery, pięć przecznic od osiedla Mallory na Upper West Side. Ofiara ubrana była w żakiet i niebieskie dżinsy, podobnie jak ona. I jej nazwisko widniało na metce.

Doktor Slope patrzył na zwłoki.

- Mallory ma aż tak zielone źrenice, że to powinno być zakazane. Jak Palanski mógł pomylić jej szmaragdy z tymi jasnoniebieskimi oczami?

- Na pewno nie zajrzał pod powieki - odparł Riker. - Boi się Mallory. I żywej, i martwej.

- ...*rigor mortis* w karku i szczęce...

Doktor Slope zbliżył się do stołu, skinął głową młodemu patologowi i wziął do ręki podkładkę pod dokumenty, która zwisała na łańcuszku. Obrócił się do Rikera.

- Co już macie?

- Coffey dostał raport wstępny policji z West Side. Wasz człowiek, obecny na miejscu zbrodni, oszacował czas zgonu na wczoraj rano między szóstą a dziewiątą. Entomolog zajął się larwami. Może trochę to jeszcze sprecyzują. Wasz człowiek uważa, że ciało zostało poruszone w ciągu godziny od chwili zgonu.

W notesie Riker miał napisane tylko jedno słowo: „robale”.

Nie musiał patrzeć na kobietę, żeby wiedzieć, co z nią robią lekarze. Młody mężczyzna z maską i nożem dokonywał pierwszego nacięcia: od ramienia do mostka i dalej do drugiego ramienia, rysując ostrzem literę V. Kątem oka Riker zobaczył następny ruch noża, w dół ciała, który otworzył tułów od piersi po wzgórek Wenus. Zapach krwi mieszał się z wonią uryny i kału. Słyszał, jak uciekające z kobiety płyny wpływają do kanalików w bokach stołu.

- Z funkcjonariuszy pierwszy na miejscu zjawił się Palanski. Uważa, że zwłoki tylko porzucono w parku.

- A co ty myślisz, Riker?

- To możliwe. Nie wiem. Na ubraniu są wyłącznie ślady trawy. Może załatwił ją w parku, a potem pociągnął głębiej między drzewa, żeby nikt nie zobaczył, jak masakruje jej dłonie.

Och, ten dźwięk! Pierwszy z jej organów wewnętrznych spadł na szalę - pewnie płuco albo serce.

- To klapuje - rzekł Slope. - Te rany nie wywołałyby upływu krwi. Dłonie zostały zgniecione po śmierci. Trudno wam będzie wziąć jej odciski.

Wyjął z dużej koperty zdjęcie rentgenowskie i podniósł je pod światło.

- Uderzenie w głowę nie zabiło ofiary, tylko ogłuszyło, ale potem złamał jej kark. Pęknięcia kości wskazują na ciężki, tępy przedmiot.

- Kamień?

- To możliwe. Z kierunku ułożenia fragmentów kości wnosilibym, że uderzył ją z przodu przedmiotem trzymanym w prawej ręce. Żadnych siniaków na gardle. Prawdopodobnie złamał jej kark obiema rękami, przez gwałtowne przekręcenie głowy. Zaczekasz na raport?

- No nie wiem - odrzekł Riker. - Skoro okazało się, że ofiara to nie nasz człowiek, sprawa wraca do tych z West Side. Sekcja przestępstw nietypowych nie ma tu nic do roboty.

- ...ślady dokonanej niedawno aborcji...

Coraz więcej organów kobiety spadało na szalę. Riker naliczył trzy mokre plaśnięcia miękkiej tkanki na metalową powierzchnię.

Trzymał oczy wbite w kartki swego notesu.

- O ile pamiętam, doktor Oberon powiedział, że na rękę są rany powstałe w wyniku obrony.

Slope wziął w dłonie rękę denatki i nachylił się.

- Nie. To bardziej przypomina siniak od ucisku. Skurwiel musiał ją mocno trzymać za rękę. Ma duże łapy. Aha, nie zapomnij powiedzieć Palanskiemu, że poszczuję na niego Mallory. Zepsuł mi poranek. Nie widzę więc powodu, by go oszczędzać.

Bez podnoszenia wzroku znad notesu Riker wiedział, że uporali się z organami tułowia. Młody patolog ruszył ku krańcowi stołu, by wykonać kolejne cięcie, od ucha do ucha przez czerep. Następnie naciągnie kawał skóry na martwą twarz. Dokonało się to szybko, pewnymi ruchami

zawodowego rzeźnika. Teraz sierżant słuchał pojękiwania piły, wrzynającej się dziewczynie w czaszkę. Za chwilę mózg też spadnie na szalę. Stał z długopisem wzniesionym nad notesem, a minuty płynęły leniwie jedna za drugą.

Wypatroszono ją, zniszczono.

Ponieważ mogła nią być Kathy, zabójca trafił go w czuły punkt. W samo serce, w którym jako dziecko zamieszkała Mallory i w którym wyrosła.

Wiedział, że wieczorem spróbuje utopić rozpacz w szkockiej whisky, ale bez powodzenia. Będzie czekała na niego rano wraz z kaczem. Jak papuzki-nierozłączki będą oboje czatować u stóp jego łóżka i kiedy obudzi się rankiem albo po południu, dopadną go.

*

W okresie zawieszenia w obowiązkach służbowych pięknej linii jej zakietów nie psuło wybrzuszenie od rewolweru marki Smith & Wesson kalibru 0.375. Mogłaby uchodzić za cywila, gdyby nie te nieucywilizowane zielone oczy. Usadowiła się wygodnie na wymoszczonej brokatem osiemnastowiecznej kanapie, skąpanej w ciepłym blasku popołudniowego słońca. Podkurczyła szczupłą nogę w dżinsach pod siebie, ale but sportowy nie dotykał materiału. Helen Markowitz wychowała Mallory w szacunku do mebli bez względu na to, czy byłyby to antyki, które wypełniały biuro Charlesa do kompletu z perskimi dywanami oraz lampami witrażowymi, czy też pospolite sprzęty nowojorskiego wydziału policji.

- Przekonaj go, Mallory - poprosił Effrim Wilde, który dobrze wiedział, że nie może zwracać się do niej po imieniu tylko dlatego, że znają się kilka lat, a choćby nawet i dziesięć.

Obróciła ku niemu głowę. Lekko skośne oczy miała przymknięte.

- Ale ten chłopak nie jest chyba opętany przez diabła, co? - spytała. Zerknęła na Charlesa. - Bo tego nie cierpię.

Charles Butler uśmiechnął się szeroko. Zaś Effrim Wilde nie uśmiechnął się wcale.

Był zaokrągloną sylwetką w rozproszonym świetle wlewającym się przez środkowe okno. Na tle wysokiego tryptyku łukowatych szyb ten mężczyzna pod sześćdziesiątkę zdawał się małym dzieckiem. Nad starzejącą się twarzą cherubina rosły faliste włosy, mocno przyprószone siwizną.

- Charles, to fascynujący problem.

- Nie ma w tym nic fascynującego - odrzekł Butler. - To pospolite oszustwo.

Zazdrościł Effrimowi perkatego nosa, albowiem jego własny nie dawał mu o sobie zapomnieć. Gdziekolwiek Charles patrzył, natykał się najpierw właśnie na swój nos, potem najczęściej na jego cień na ścianie. Zdawał sobie sprawę, że nie jest przystojnym mężczyzną. I od dawna już pogodził się ze świadomością, że z powodu dużych, jajowatych gałek ocznych oraz nazbyt drobnych niebieskich źrenic, które krążyły po białych owalach, nadając jego twarzy wyraz nieustannego zdumienia, obcy brali go za uciekiniera z zakładu dla obłąkanych.

- Daj spokój, Effrim. Ja nie zajmuję się takimi bzdurami - rzekł, wstając z osiemnastowiecznego krzesła w stylu królowej Anny i mimo woli przytłaczając swym wzrostem niższego mężczyznę. Gdy się mierzy blisko dwa metry, górowanie nad innymi jest nieuniknione.

- To wcale nie bzdury, Charles. Mam informacje...

- Od Rosjan czy Chińczyków? Zresztą nieważne, nie imponują mi ani jedni, ani drudzy. Tego rodzaju historie zawsze budziły moje wątpliwości. Nie nabiorę się na to. Dlaczego nie zlecisz sprawę Malakhaiemu?

- Chodzi ci o tego demaskatora? Myślałem, że już nie żyje.

- Żyje, tylko wycofał się z fachu, ale nie sądzę, by sprawa jakiegoś chłopca nadmiernie go utrudziła. Nie zażąda wiele za kwadrans pracy. - Charles obrócił się ku Mallory. - Malakhai to dawny przyjaciel mojej rodziny. Objechał Europę razem z kuzynem Maxem, kiedy jeszcze praktykował magię. To było, zanim przyszedł na świat.

- Koszty nie grają roli, Charles - powiedział Effrim.

- To dobrze, choć Malakhai pewnie nie narzeka na brak pieniędzy. Mam do niego zadzwonić?

- W żadnym razie. On zawsze ze wszystkiego robi widowisko. A ja chcę, żeby sprawę potraktować dyskretnie. Chodzi przecież o małego chłopca, zadręzione dziecko.

- Czyżby? - rzekł Charles, bujając się na stopach i uśmiechając mile. - A ja myślałem, że płaszczysz się przed jego ojcem, bo facet kontroluje komisję, która przydziela stypendia. Nadeszła chyba właśnie pora roku, kiedy jajogłowi rozglądają się za sponsorami. Koniec z tym. Ja zajmuję się tylko prawdziwymi, wymierzalnymi uzdolnieniami.

- A to, że w jego obecności przedmioty lewitują, według ciebie nie świadczy o jakichś uzdolnieniach? - Oczy Effrima zaokrągliły się w wyrazie ironicznego niedowierzania, że jego rozmówca patrzy na sprawę inaczej. Za to Charles w każdej minie Wilde'a widział tylko drwinę z sentymentalnej uczuciowości.

- Effrim, wiesz dobrze, że to, co robi ten chłopak, jest oszustwem. Nie ma mowy o żadnej lewitacji. I niepotrzebnie wzywasz na pomoc Mallory. W jej sercu nie ma zbyt wiele miejsca dla dzieci, staruszek i zwierząt. Nie wierzy również, że przedmioty nieożywione mogą latać bez fizycznego sprawcy. Umysł ponad materią. Stosowne określenie na takie zjawisko brzmi: „psychokineza”.

- Nie będę się z tobą kłócił o fachowe nazwy - odparł Effrim, machnąwszy potężnie ręką na znak ustępstwa. - Przywołałeś mnie do porządku, dziękuję ci bardzo.

- Natomiast, jeśli dzięki chłopakowi lewituje porcelana, to mówimy wtedy o latających talerzach.

- Cha, cha! Dziękuję i za to.

Charles patrzył na narodziny drobnego uśmiechu na twarzy Effrima i na jego spuszczone oczy. Usłyszał bolesciwe westchnienie nad tymi, którzy nie są oświeceni. Wiedział, że jego stary przyjaciel przegrupowuje siły do kolejnego ataku.

- Ten chłopiec przeszedł emocjonalne piekło - powiedział Effrim, jakby mówił: „Módlmy się, bracia i siostry”. - Jego matka umarła, gdy miał tylko dziewięć lat. Rok później zmarła pierwsza macocha.

- Nic z tego, Effrim. Psychokineza to nie moja dziedzina.

Wilde wzniosł oczy do góry na wzór ckliwego świętego z czternastowiecznych obrazów.

- Zaraz, zaraz, twoja dziedzina to przecież odkrywanie w ludziach nieznanymi możliwościami i znajdowanie dla nich zastosowania, czy nie tak? To dziecko jest utalentowane i pod innymi względami. Jego współczynnik inteligencji wypada gdzieś między twoim a moim. Ponadto sprawa jest ważna jeszcze z jednego powodu. Jego nowa macocha bardzo się czegoś boi. Wygląda na to, że chłopak wykorzystuje swój dar w dość makabryczny sposób.

Długa i szczupła ręka, prowadzona przez pięć czerwonych paznokci, wyciągnęła się wzdłuż oparcia kanapy. Mallory ocknęła się z letargu.

- Więc to macocha jest celem? - zapytała.

Charles patrzył, jak Effrim dokonuje w myśli przewartościowań i ponownie dostrzega w Mallory potencjalnego sojusznika, jak ocenia, w które miejsca ją trafić i z jaką siłą, a których unikać. Oto zdolności Effrima, jego magia.

- Mam nadzieję, że nie - odparł wybornie nieszczerze Wilde. - Mały wprawia po prostu w ruch ostre przedmioty.

Charles napełnił wytrawnym sherry pusty kieliszek Mallory. Porozumiał się z nią wzrokiem, błagając niemo, by nie zachęcała Wilde'a.

Następnie podał karafkę swemu wieloletniemu przyjacielowi, któremu nie powierzyłby rodzinnych sreber.

- Effrim, jeśli uważasz, że chłopak cierpi na jakiś uraz, to może lepiej powierzyć go opiece psychiatry?

- Chyba nie - odparła Mallory za Wilde'a. - Ilu konowałów podpada pod kategorię geniusza? Jeśli to oszustwo, a chłopak jest bardzo bystry, poradzi sobie z byle kurzym mózdzkiem po medycynie.

Charles zerknął na Kate z kwaśnym uśmiechem, który znaczył: „A przecież cię prosiłem”.

Unikała jego spojrzenia, dalszego porozumiewania się wzrokiem. Był zdziwiony, że wzięła stronę Effrima, choć mu nie ufała. I słusznie, intuicja dobrze jej podpowiadała.

Jak umarła matka i pierwsza macocha? - zapytała.

Ach, więc Mallory interesuje tylko statystyka śmierci. Powinien był się domyślić. Ma dość spótki. Kiedy zawieszenie służbowe dobiegnie końca, straci ją na rzecz sekcji przestępstw nietypowych. Nie miał jej nic do zaferowania: ani trupów, ani zagadek równie interesujących co nie wyjaśnione morderstwo.

Zajrzawszy do swego kieliszka, jakby w nim szukał instrukcji, Effrim rzekł:

- To były dwie tragedie, prawdziwe tragedie. Matka chłopca umarła na atak serca. To dziwne, bo była jeszcze całkiem młoda, miała dopiero dwadzieścia osiem lat. - Podniósł wzrok, by zobaczyć, czy Mallory złapała się na ten haczyk, ale twarz dziewczyny nie zdradzała żadnych emocji. Zbyt długo patrzył jej w oczy i wytrąciło go to nieco z równowagi. Spuściwszy z powrotem głowę, przemówił do kieliszka: - No a potem macocha popełniła samobójstwo... I nawet nie zostawiła listu.

Mallory uniosła lekko głowę. Miała oczy szeroko otwarte. Charles patrzył w sufit. *Dobra robota, Effrim.*

- Całkiem sporo tego pecha jak na jedną rodzinę - powiedział.
- Na jej żeńską część - poprawiła go Mallory. - Bierzemy tę sprawę.

Nie spojrzała na Charlesa dla potwierdzenia swej decyzji, ale nie miał nic przeciwko temu. Może powstrzyma ją to na pewien czas od rozpołowania firmy Mallory & Butler, zdawał sobie jednak sprawę, że rozłam jest nieuchronny. Mało prawdopodobne, by wydział policji pozwolił Mallory pracować w dwóch miejscach. Nawet jej nie wszystko może ująć bezkarne.

Wilde przesunął się w stronę drzwi.

Tak, Effrim, najlepiej nabroić i dać nogę.

- Zaliczkę przyślę czekiem - powiedział. I wtedy wykonał swą najlepszą sztuczkę: drzwi zamknęły się za nim, ale jego przymilny uśmiech pozostał.

Mallory podniosła się z kanapy, jej sportowe buty mignęły na granicy dywanu.

- Zacznę od ich polis ubezpieczeniowych na życie.
- Jedną chwileczkę. Zdaje się, że poproszono nas, byśmy ocenili psychokinetyczną aktywność tego chłopca, a nie robili wywiad na temat jego rodziny.

- Żartujesz sobie, tak?
- Tak. Może zjemy razem lunch?
- Nie ma nic w lodówce.

Faktycznie. Dała mu przecież listę zakupów, ale najpierw zapisał na niej dwa numery telefoniczne, zaś potem założył nią stronę w książce i całkowicie zapomniał o sprawunkach.

- Chodźmy do mnie - powiedział.

Przeszli przez korytarz do mieszkania, które było jego domem. Tutaj orlooka sprzątaczką, pani Ortega, dbała o zawartość lodówki z litości dla bezradnego w sprawach zaopatrzenia Charlesa. Tego dnia zostawiła kartkę na drzwiach lodówki, przyczepioną magnesem. Widniał na niej plan kuchni, ukazujący wszystkie strefy wojny toczonej za pomocą pułapek z jedną szarą myszą. Charles natychmiast poczuł litość dla gryzonia, tak wielką ufność pokładał w skuteczność działań pani Ortegi.

Mallory zasiadła za stołem. Kuchnia była ulubionym miejscem Charlesa. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki z przyprawami i wynalazkami do zmiękczenia mięs, przyrządami do torturowania warzyw: krojenia, siekania i gotowania ich w tłuszczu. Charles rozpoczął rytuał zastawiania stołu wszystkim, co znalazł w lodówce. Mallory odbierała plastikowe pojemniki, paczki mięsa oraz sery - w pięciu odcieniach żółci - i tworzyła z tego własne arcydzieła na kanapkach. Po ostatnim kursie do lodówki na stół trafiły nowo odkryte marynaty.

- Lepiej ci było w policji, prawda?
- Tak, kiedy żył Markowitz - odparła. Otworzyła słoik, powąchała i zaprobowała zawartość skinieniem głowy. - Praca z Coffeyem to nie to samo. Jeśli tam wrócę, utknę na dobre w dziale analiz. Był naprawdę wkurzony, kiedy ostatni raz się z nim widziałam. W życiu nie wypuści mnie na ulicę.

- Myślałem, że zawieszenie to tylko formalność.

- Tak. Kiedy zastrzelisz jakiegoś łotra, jesteś zawieszony w obowiązkach służbowych i komisja cywilna bada sprawę.

- Ale ty nie zabiłaś tego bandyty, poza tym on pobił i obrabował starszka.

- Coffey patrzy na niektóre sprawy inaczej.

- Nie chcesz więc rozwiązać naszej spółki?

- Nie, nawet mi to do głowy nie przyszło. Co nie oznacza, że nie wrócę do sekcji, kiedy mnie odwieszą. - Spojrzała na zegarek i wyciągnęła rękę, by włączyć mały telewizor stojący na blacie. Nadeszła pora wiadomości, a Mallory lubiła znać aktualną statystykę śmierci.

- Ale przepisy policyjne chyba zabraniają pracy w dwóch miejscach?

- Tak, zabraniają.

I co z tego? - pytały jej uniesione brwi.

W telewizji donoszono o krwawym żniwie, które zebrał kolejny dzień, ukazując Zegar Śmierci na Times Square. Kiedy prezenter czytał dane, liczby widniejące na gigantycznej tablicy informacyjnej zmieniały się na oczach publiczności złożonej z pasażerów setek samochodów i przechodniów w dole ulicy oraz wielu milionów tych, którzy woleli oglądać tanie widowisko w domu.

- Nienawidzę tego - powiedziała Mallory, patrząc, jak zmieniają się elektroniczne cyfry, które przedstawiały ogólnokrajowe wyniki w uśmiercaniu z broni palnej.

- Czego, Zegara Śmierci? Myślałem, że kto jak kto, ale ty docenisz skomputeryzowaną śmierć. Morderstwo staje się schłodzone i efektywne.

Nie odpowiedziała. Zamilkł na widok jej przeobrażonej w zimną maskę twarzy. Była to jedyna oznaka, że zbłądził. Dlaczego wciąż mu się wydaje, że kiedyś nauczy się odgadywać jej myśli i uczucia? Kto może wiedzieć, co się dzieje we wnętrzu Mallory? Zawsze będzie się nad tym zastanawiał z dużą niepewnością.

Charles patrzył w ekran telewizora, ale myślami błądził po drugiej stronie korytarza, w biurze, gdzie Mallory trzymała swoje komputerowe zabawki. Oczywiście, że utrzymanie spółki miało praktyczne przyczyny. Tutaj była wolna od nadzoru kogoś, kto mógłby dostrzec w jej

elektronicznym sprzęcie nowoczesne narzędzia włamywacza.

- Oto wiadomość z ostatniej chwili - rzekł prezydent, przywołując Charlesa do rzeczywistości. Ten uzmysłowił sobie, że wciąż patrzy w telewizor, ale widzi twarz Mallory.

- Jak dowiadujemy się z dobrze poinformowanych źródeł - ciągnął dziennikarz - w Central Parku znaleziono zwłoki zamordowanej policjantki. Jest nią sierżant Kathleen Mallory, córka nieżyjącego inspektora Markowitza, który poległ na służbie. Policja nie ujawnia szczegółów z uwagi na dobro śledztwa.

Charles spojrział przed siebie na żywą, cielesną, trójwymiarową Mallory, jakby musiał zweryfikować jej istnienie, upewnić się, że oczy go nie mylą, nim ostatecznie nie da wiary telewizyjnym informacjom. A jeśli nie byłoby jej przy nim podczas oglądania dziennika?

Patrzyli w milczeniu. Zmieniwszy kilkakrotnie kanał, przekonali się, że inne dzienniki również podały tę informację.

Naraz jak na komendę rozdzwonił się telefon wraz z dzwonkiem u drzwi. Pierwsze kondolencje, pomyślał Charles. Mallory wyszła otworzyć drzwi, on podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Charles, mówi Riker. Dzwonię z zakładu medycyny sądowej. Cały dzień próbujemy złapać Mallory. Jest u ciebie? Mógłbyś dać trupa do telefonu?

Mallory weszła znów do kuchni, za nią zaś doktor Henrietta Ramsharan z mieszkania 2A. Ciemne włosy opadały Henriecie łagodnie na ramiona okryte drelichowym materiałem koszuli. Miała na sobie, noszone po domu, wytarte dżinsy, w oczach zaś popłoch, jak człowiek, któremu drzwi otworzył umarły.

*

Porucznik Jack Coffey siedział za swoim biurkiem, tyle że biurko stało w gabinecie inspektora Markowitza. Choć Louis Markowitz nie żył,

zawsze już będzie dowodził sekcją przestępstw nietypowych i zajmował ten gabinet. Jack Coffey uważał, iż może mówić o szczęściu, że wypłatę przelewają na jego konto. Ale teraz myślał nie tyle o Markowitzu, co o jego córce, Kathleen Mallory.

Raport Palanskiego leżał na biurku, uzupełniony zdjęciami z miejsca zbrodni, które przesłano z komendy na West Side. Zdjęcia były ciemne, ale na tle ziarnistych cieni bieleły się jasne włosy i Coffey dostrzegł kształt szczupłego ciała w znajomych dżinsach, butach sportowych i żakiecie. Czekał już tylko na pozytywne zidentyfikowanie zwłok przez kogoś bliskiego i wtedy raport będzie gotowy.

Bez wątpienia Riker odwali kitę. Śmierć Markowitza zwała go z nóg. Teraz Mallory. Tego już za wiele.

Coffey zgasił lampę i zacisnął dłonie na blacie, jakby mężczyzna w wieku trzydziestu sześciu lat potrzebował solidnego oparcia, by wstać. Patrzył na tablicę ogłoszeń, wiszącą na przeciwległej ścianie, i zastanawiał się, czy spryskując twarz wodą, pozbyłby się ohydneho uczucia martwoty.

Co za skurwiel potrafił zbliżyć się do Mallory na tyle, by trzasnąć ją w ten sposób? Nikt tego nie potrafił. To niemożliwe.

Ale dowody leżały na biurku, wszystko napisane i sfotografowane czarno na białym, a jej piękną twarz pokazywano na kilkunastu kanałach telewizji. Kiedy znajdzie gliniarza, który dał cynk mediom, potoczy się głowa.

Och, Mallory!

Gdyby mógł ją mieć z powrotem choć na kilka minut, z ochotą wystawiłby się na ostre niby brzytwa spojrzenia i sarkazm, od których można stracić przyrodzenie. Nie okazałaby mu wdzięczności za to, że nie jest mu wszystko jedno, czy ona żyje, czy nie. „Frajerzyna”, mówiłyby jej oczy. Niemalże widział ją przed sobą. W nozdrzach poczuł nawet perfumy Mallory. Czas iść do domu, flaszka czeka. Obrócił się do drzwi.

- O Chryste!

Chciał się chwycić framugi, ale ręka chybiła, ponieważ jednak ciało zastygło od psychicznego wstrząsu, zdążył uratować się od upadku,

albowiem przy drugiej próbie przytrzymania się czegoś statecznego natrafił na krzesło. Żołądek podszedł mu do gardła, po czym opadł na miejsce.

W drzwiach stała Mallory. Jej złote włosy oświetlał blask dochodzący z głębi korytarza, za nią zaś szedł fluorescencyjny, wyprany z kolorów Riker.

- Wiem, co czujesz - powiedziała Mallory. - Myślałeś, że leżę w kostnicy.

- Ej, Mallory - rzucił Riker - pewnie myślał i nie myślał. Słyszał, że nie żyjesz, ale był pewien, że wrócisz po zachodzie słońca.

Wszedł do pokoju za dziewczyną i rzucił swój raport na biurko. Pierwszą stroną ubarwiała jedna plama po jakiejś cieczy i dwie po różnych potrawach.

Coffey patrzył na raport, czekając, aż odzyska głos, tymczasem Mallory usiadła na krześle przy biurku i wyprostowała długie nogi, które ciągnęły się w nieskończoność. Riker przysunął sobie drugie krzesło do biurka, wyciągnął notes i pochylił się, by włączyć lampę. Na odległej ścianie pojawił się uspokajający cień żywej Mallory.

Coffey osunął się na fotel. Próbował zdusić w sobie sensacje żołądkowe. Położył dłoń na brzuchu, jakby chciał dotykiem uspokoić wirujące wnętrzości.

- Mallory, denatka miała na sobie brązowy żakiet z kaszmiru, który został uszyty dla ciebie - powiedział.

Riker zerknął na swój notes i skinął głową.

- Twój krawiec to potwierdził. Według raportu Palanskiego jesteś jego stałą klientką - rzekł do Mallory.

- Jak to wyjaśnisz? - zapytał Coffey. Spokojnie, upomniał się w myśli. Przecież nie jest podejrzana o to morderstwo. Powściągnawszy ton śledczego, dodał łagodniej: - To jedyny ślad, jaki mamy.

- Na lewym rękawie znajdziesz dziurę wypaloną papierosem przez Rikera - odparła Mallory bynajmniej nie łagodnie. - Dlatego pozbyłam się ciucha.

- Wyrzuciłaś do śmieci?

- Nie. Dałam go Annie Kaplan, żonie rabbiego. Ona zbiera ubrania dla bezdomnych.

Coffey spojrzął na raport Rikera. Rozszyfrował wyrazy spod kleksów po sosie pomarańczowym i plam, które lepiej, cholera, żeby nie były po piwie.

- Według raportu lekarza sądowego, denatka była dobrze odżywioną kobietą w wieku około dwudziestu pięciu lat. Nie wyglądała na bezdomną. Żadnych wszy ani pluskiew.

Nie wspomniał o niepohamowanym łakomstwie larw i chrząszczy. Ich tempo pożerania miało pomóc precyzyjniej określić godzinę zgonu.

- No i co z tego? - Mallory wzruszyła ramionami. - Pogadaj z Palanskim. Sprawdź, co jeszcze schrzanił oprócz ustalenia tożsamości denatki. Co w ogóle wiemy?

To pytanie mieściło się w zakresie obowiązków analityka kryminalnego. Coffey potrzebował Mallory z powrotem. Jak przez to przebrnąć bez antagonizowania jej, bez nieuchronnej konfrontacji, z której zawsze wychodziła zwycięsko? Przebiegł oczami po linijkach raportu Rikera.

- Wczoraj rano padało - rzekł Riker, bębniąc lekko o krawędź biurka raportem wstępnym z wydziału zabójstw. - Deszcz zmył wszystkie ślady. Jeśli Heller nic nie znalazł, to znaczy, że niczego nie było. Narzędziem mordu mógł być kamień, który leży teraz na dnie sadzawki, jeśli zabójca ma choć odrobinę oleju w głowie. Jeżeli założymy, że została zabita w parku. Bo to wcale nie jest pewne, ponieważ wiemy, że ciało poruszono po śmierci.

- Skoro ofiarą nie jest funkcjonariusz, jak pierwotnie sądzono, to umyamy ręce - powiedział Coffey. - Jeśli nie masz nic więcej do dodania, to jeszcze dziś z powrotem wyślę raport komendzie na West Side.

Mallory siedziała rozparta na krześle, z na wespółzrymniętymi oczami, z miną anioła.

- Nie mają odcisków palców, więc zidentyfikowanie ciała zajmie z miesiąc albo i dłużej, a może w ogóle im się to nie uda - odezwała się. - Wiesz, że każdy będzie spychał tę sprawę. Jeśli ciało zostało w parku

tylko porzucone, nigdy nie odnajdą miejsca zabójstwa. I na tym się wszystko zakończy.

- A ty pewnie zrobiłabyś to lepiej i szybciej? - zapytał Coffey. Zobaczył w jej oczach, że tak właśnie myśli.

- A chciałbyś?

- Chcę, żebyś wróciła do działu analiz.

- Wciąż jestem zawieszona i mam w zanadrzu lepszą ofertę.

Mallory podniosła się z krzesła i w następnej chwili Coffey patrzył na jej plecy; wychodziła z gabinetu.

- Dobrze wiesz, że ona ma rację - powiedział Riker, wychylając się ze swojego krzesła, by sprawdzić, czy drzwi są zamknięte, upewnić się, że dziewczyna nie słyszy. - Palanty z West Side sknocą sprawę i zabójcy ujdzie na sucho.

- Zdarza się. Nic na to nie poradzę.

- Daj tę sprawę Mallory.

- Jej rola to analiza kryminalna i komputery, nie praca w terenie.

- Ale przecież ona już pracowała w terenie.

- Nieoficjalnie i tylko dlatego, że miałem za mało ludzi. Natomiast jeśli Mallory chce to załatwić oficjalnie, musi przejść przez biurokratyczną maszynkę i przez jakiś czas chodzić w parze. A kto by z nią pracował? Poza tym zapominasz, że ta sprawa to problem innej komendy.

- Formalnie rzecz biorąc, to nadal własność naszej sekcji. Dlaczego nie dać sprawy Mallory? Zleć jej to po prostu, przyknij oko i nie zadawaj za dużo pytań.

- Jak Markowitz? - Za jego życia łamała sześć ustaw dziennie, wykraδαła informacje z komputerów innych ludzi, łąziła na skróty, obchodziła czasochłonne przepisy i dlatego okazywała się nieoceniona. - Mam jej pozwolić prowadzić własny wydział policyjny, czy tego chcesz, Riker?

- Mhm.

- Ale przecież Markowitz nie życzył sobie, żeby pracowała w terenie. Tak się o nią bał, że o mało nie wymościł pluszem ścian w dziale analiz. Szczegóły każdej sprawy dozował jej kroplomierzem.

- Zawsze uważałem, że nie miał racji - odparł Riker. Zapalił papierosa, nie zapytawszy, czy Coffey ma coś przeciwko temu.

Coffey miał, ale ugryzł się w język. Przywykł już do tej gry między nimi, do zabawy w docinki, które ocierały się o niesubordynację. Nie ochrzanił jeszcze Rikera, że nie raczył zadzwonić z zakładu medycyny sądowej i poinformować go o błędnym zidentyfikowaniu zwłok.

- Przez te lata mogła z pożytkiem pracować w terenie, uczyć się, jak przetrwać poza tymi ścianami - powiedział sierżant, wydmuchując obłok błękitnego dymu. - Ale teraz wydaje mi się, że ona ma własny sposób na przetrwanie i to być może lepszy od naszego. Trzymanie Mallory w dziale analiz to marnowanie samorodnego talentu.

- Tylko że, gdy wypuściłem ją na dwór, skończyło się to zawieszeniem.

- Ten strzał był usprawiedliwiony.

- Ej, nie rznij głupa, Riker. Nie o to chodzi. Gdyby zabiła tego faceta, nie byłoby najmniejszego problemu. Ale ona chciała się z nim pobawić.

- Kto tak twierdzi? Czy to znaczy, że ta banda kretynów z komisji cywilnej wypowiedziała się na jej niekorzyść?

- Komisja pochwaliła Mallory za to, że ograniczyła użycie siły do wystrzelenia facetowi broni z ręki. Ale w końcu to cywile, prawda? Co oni wiedzą? Tak naprawdę to ja mam problem, bo źle postąpiła. Świr wycelował w nią broń. I ona powinna była trafić go w serce. Ale gdyby go zabiła, nie miałyby zabawy. Racja?

Nie będzie riposty, Riker?

Coffey zapisał sobie w myśli jeden punkt, wiedział jednak, że zwycięstwo odniesie ten, do kogo należeć będzie ostatnie słowo.

- Sprawy się tu piętrzą, a Mallory jest nie do zastąpienia w dziale analiz. Koniec dyskusji.

Zgarnął z biurka papiery i pochylił głowę, by je przeczytać. Gdyby na miejscu Rikera siedziała wrażliwsza istota ludzka, niewątpliwie zrozumiałaby milczącą odprawę. Tymczasem kiedy Coffey podniósł wzrok, sierżant nadal tkwił naprzeciwko. Wymowne spojrzenie poszło na marne, albowiem pozostawał zagubiony we własnych myślach.

- Dogoń Mallory i powiedz, że ją odwiedzam - rzekł Coffey.

Riker skinął głową, ale zbyt mu było wygodnie na krześle, żeby miał się gdzieś ruszyć w najbliższej minucie.

- Jeśli nie dasz jej czegoś interesującego, pójdzie sobie - powiedział. W przejawie oszczędności ostatnie słowa uszły z gardła wraz z papierosowym dymem. - Zostanie z Charlesem.

- Ta ich spółka jest nielegalna jak diabli i albo Mallory ją szybko zerwie, albo odbiorę jej odznakę - powiedział Coffey, blefując i zastanawiając się, jakby Mallory to przyjęła.

- Jej nie przestraszysz.

Nienawidził, gdy Riker miał rację. Gdyby wydział egzekwował zakaz podwójnego zatrudniania się, nie zostałyby nawet trzech gliniarzy do pilnowania miasta.

- Ty, Riker, od kiedy ją niańczysz?

- Mallory nie potrzebuje nikogo do niańczenia. Nie potrzebuje nikogo do niczego. Taka już jest od dzieciaka. Samowystarczalna...

- Wydawało mi się, że Markowitz był twoim przyjacielem. A ty chyba chcesz, żeby stary dostał w grobie ataku serca, bo upierasz się, żeby wystawić jego córuchną na niebezpieczeństwo.

- Gdyby nie była jego córką, wykorzystałby ją odpowiednio. Nie miałby skrupułów.

Riker zrzucił popiół na dywan. Cały świat służył mu za popielniczkę.

- Dlaczego miałbym oddać jej tę sprawę? Facet jest brutalny. Może to psych. - Coffey wziął do ręki zdjęcie z kostnicy, Riker zaś spuścił oczy. - Najpierw rozłupuje dziewczynie czaszkę, a potem obraca jej głowę o sto osiemdziesiąt stopni, aż trzaska kręgosłup. Jak Mallory miałyby...

- Jeśli boisz się, że ona tylko postrzeli go w rękę, to powiem ci, że według mnie dostała już nauczkę. - Riker uniósł kosmatą głowę. Na jego twarzy odmalowało się coś bliskiego szczerości. - Daj jej szansę - rzekł. Następnie wzruszył ramionami, by pokazać, że ta kwestia tak naprawdę niewiele go obchodzi. Wówczas Coffey uzmysłowił sobie, że obchodzi go ogromnie.

- Wiesz przecież, że Mallory nie ma tu najmniejszego punktu zaczepienia - rzekł.

- To właśnie tak bardzo ją pociąga - odparł Riker. - Kiedy powiedziałeś to pierwszy raz, jej smocze oczka zapaliły się jak zielone świece. W takich chwilach człowiek wierzy w piekło.

- Nie wiemy nic ponad to, że zabójca jest groźny dla kobiet, a ty chcesz, żebym przydzielił sprawę Mallory.

Pewnie. Daj szaleńca dziecku, niech sobie wyostrzy ząbki.

- Bo doskonale się do tego nadaje.

- Skąd wiesz?

W oczekiwaniu na odpowiedź Coffey spojrzał na leżący przed nim raport i wziął ołówek, by się podpisać. Riker wyciągnął się na krześle i położył nogi na biurku. Ołówek w dłoni Coffeya pękł na dwoje.

- Wiesz - mruknął Riker w obłokach dymu - Markowitza zawsze roznosiła dumę z Mallory. Chwalił się nią bez przerwy. Mówił, że nie każdy ojciec może o sobie powiedzieć, że ma córkę o psychice socjopaty.

Rozdział 2

21 grudnia

Znów ujrzał magiczny pocisk. Oglądał w snach jego powolny lot z czeluści lufy w kierunku własnego brzucha. Widział, jak wdziera się w jego ciało i uwalnia krew.

W drodze do łazienki Riker nieświadomie kopnął bosą stopą pustą butelkę po piwie. Nie poczuł bolesnego kontaktu szkła z palcami, tak żywy był malujący się przed jego oczami obraz.

Pewnego dnia zginie przez wódę. Refleks zawodził, kiedy był potrzebny, by uratować żałosne życie. Tak na jawie, jak i we śnie magiczny pocisk zawsze znajdował się ledwie cal od brzucha.

Tylko że Riker i butelka byli starym dobrym małżeństwem. Nadto wołał widok lecącego pocisku od wizji pajaków, które przypęłzły podczas ostatniej próby rozvodu z szacowną małżonką.

Ile to już lat? Trzynaście? Co najmniej.

Był wtedy na odwyku, przywiązany do łóżka przeznaczonego dla cierpiących na *delirium tremens*. Pewnego dnia do szpitala weszła oknem Kathy Mallory, albowiem głównym wejściem dzieci nie wpuszczano. Ubrana w buty na gumowej podeszwie, zeskoczyła na podłogę z lekkością urodzonego włamywacza.

Na mgnienie oka niesamowite dziecko wmieszało się w żywy obraz pajaków, które pełzały po całym jego ciele, pościeli i ścianach. Największy zwisał z sufitu, obłąkańczo snując swą jedwabną nić, opuszczając się

coraz niżej i niżej w powietrznym tańcu ośmiu czarnych, ruchliwych kończyn. I nagle spadł bezbronnemu Rikerowi na oczy; ręce pozostawały przywiązane do łóżka za pomocą grubych skórzanych pasów.

- Pająk! Zabierz mi go z oczu! - wrzasnął do Mallory, którą nazywał wtedy Kathy. (Po latach, gdy już rozpoczęła pracę w wydziale, zabroniła mu zwracać się do siebie po imieniu.) Mała Kathy podeszła do łóżka, zająrzała Rikerowi w twarz i stwierdziła, że nie ma żadnych pajaków. I wówczas spojrzała na niego z niewymowną pogardą. Stała tak blisko, że w jej oczach Riker widział siebie wielkości owada.

Obrócił wówczas głowę ku dużemu lustru, które wisiało na ścianie, by zobaczyć to, co zobaczyła dziewczynka: zlaną potem, wykrzywioną, ściętą strachem twarz. Z ust ku podbródkowi ciekła strużka wymiotów. Pokiwał powoli głową, przyznając Kathy rację. Przedstawiał sobą żaloszny widok - nawet pająki wyniosły się już z jego wyobraźni.

Dziękował Bogu, że Helen Markowitz nauczyła Kathy, iż nie wolno spluwać w zamkniętych pomieszczeniach. Widział, że dziewczynka ma na to ochotę, kiedy tak patrzyła na niego z góry. Ale obróciła się tylko i wyszła tą samą drogą, którą weszła. Małe dłonie chwyciły klamkę, zamknęły okno za znikającym ciałem, które nie zdradziło się żadnym odgłosem i nie pozostawiło najmniejszego śladu po nielegalnych odwiedzinach.

Potem, kiedy wszystkie pająki uciekły na dobre w poszukiwaniu szlachetniejszych zaburzeń umysłu niż jego, Riker powrócił na zawsze do związku z butelką. Poprzysiął sobie jednak, że już nigdy nie straci twarzy w oczach Kathy. Nie znający litości bachor wybił mu z głowy pijatyki, które kończyły się upadkami na ulicy i powrotem na czworakach do domu. Jak wielu jemu podobnych, nauczył się zachowywać pozory: rzadko się potykał, nigdy nie zataczał.

Na ulicy słońce raziło Rikera dotkliwie w oczy mimo ciemnych okularów. Otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do małego samochodu Mallory. Nachylił się ku przedniej szybie i zsunąwszy z nosa odrapane

zielone szkła, skrzywił się na widok znanego mu miejskiego krajobrazu.

- I jak tu powiedzieć: dzień dobry?

Głuche milczenie miast odpowiedzi.

Maniaczka punktualności, musiała czekać, aż się ubierze i ogoli. Teraz wyczuwał u niej tłumioną złość. Wcisnął się głębiej w fotel. Przyjaźnie uśmiechnięty, zawiązywał krawat i czekał na sarkastyczną uwagę. Ale Mallory tylko włączyła zapłon i ruszyła na złamanie karku, zostawiając na jezdni ślad startej gumy.

Riker trzymał się tablicy rozdzielczej w nadziei, że powstrzyma mózg przed rozlewaniem się po czaszce, oraz że zdusi w sobie bolesnego kaca.

- Ej, Mallory, mamy przed sobą długi dzień, więc zachowuj się.

Samochód zwolnił do dozwolonej prędkości.

- Mundurowi wrócili z niczym po przesłuchaniach portierów na Upper West Side - powiedziała zwoźniczo uprzejmym tonem. - Dziewczyna tam nie mieszkała. Nikt nie rozpoznał zdjęć.

Zatem zaczęła bez niego. Gdzie jeszcze była? Jest dopiero dziesiąta rano. O tej godzinie zazwyczaj otwierał dopiero oczy i staczał się na podłogę, by nabrać rozpędu i doturlać się do łazienki.

Tonem, w którym pobrzmiwało nie wypowiedziane zdanie: „Sama się prosisz, mała”, rzekł:

- Gdybyś zaliczyła kilka lat pracy w terenie, wiedziałabyś, że większość ludzi ma kłopoty z rozpoznawaniem denata ze zdjęcia, i to nawet, gdy facjata nie jest uszkodzona. Matka rozpozna w okamgnieniu, no i może jeszcze bliski przyjaciel, ale portier? Nie ma mowy. Zatem nadal nie wiemy, czy mieszkała w tej okolicy, czy nie.

Widział z profilu twarz Mallory i nie wiedział, czy jej mina oznacza ja-dowite: „Odegram się za to”, czy zwykle sarkastyczne: „Dobra, dobra”. Był jednak przekonany, że albo jedno, albo drugie.

- Dokąd jedziemy? - zapytał, sondując jej nastrój. - Na Brooklyn?
- Nie - odparła. - Na Brooklynie już byłam. Anna zostawiła ubrania w punkcie zbiorczym. Stamtąd zawieziono je do głównego magazynu na Manhattanie. Paczka Anny trafiła do schroniska dla kobiet na East Village.

- A więc jedziemy do schroniska? Mallory, w tym akurat zgadzam się z Coffeyem. Jakoś nie wyobrażam sobie naszej ofiary jako mieszkanki schroniska dla bezdomnych.

- W schronisku też już byłam. W spisie nie ma żadnego żakietu z kaszmiru. Ktoś go zwędził z magazynu. I tam właśnie jedziemy.

- A skąd wiesz, że nie zwędzono go w schronisku? - Och, głupie pytanie. Na pewno wywróciła cały lokal do góry nogami i przycisnęła...

- Schronisko prowadzi przyjaciółka Anny. Sama otworzyła jej paczkę. Nie było żadnego żakietu. Zatem pojedziemy do magazynu i pogadamy ze wszystkimi, którzy mieli paczkę Anny w rękach.

Dziesięć minut drogi minęło w towarzyskim milczeniu. Oto jedna z korzyści spędzania czasu z Mallory. Nie miała jęzorem bez potrzeby. Jeśli otwierała usta, to albo by mu przygadać, albo by dowieść jakiejś racji. Zatem z rozważą dobrał słowa, kiedy zaparkowali pod magazynem. Zanim weszli do środka, położył jej dłoń na ramieniu i rzekł:

- Ej, Mallory, tym razem bez kowbojskiej strzelaniny. Stałem po twojej stronie u Coffeya, ale on ma rację i ty o tym wiesz. Jeśli w najbliższej przyszłości zamierzasz posłać komuś kulkę, zrób to z sensem i celnie. Jasne? Nie jesteśmy w szkole.

W napiętej ciszy przeszli korytarzem i metalowym pudłem wielkości trumny wjechali na drugie piętro. Drzwi windy otworzyły się, ukazując pomieszczenie o rozmiarach miejskiego osiedla. Nieregularne korytarze wśród ustawionych pod sufit pudeł i paczek ciągnęły się aż po optyczne złudzenie, że skupiają się w jednym punkcie. Pośrodku hali jeździł w tę i z powrotem, nabierając kartony, spowity chmurą kurzu wózek widłowy.

Mężczyzna o pałąkowatych nogach i brzuchu piwosza wykrzykiwał przez megafon numery identyfikacyjne.

Mallory mignęła mu przed oczyma odznaką, podążając za nim krok w krok, kiedy tak dreptał w kółko. Przyćmione światło, przebijające się przez nigdy nie myte okna, przydawało wnętrzu charakteru zapuszczonej piwnicy, do tego czuć było stęchły zapach starej odzieży. Riker nosił używane ubrania w dzieciństwie i dobrze pamiętał tę woń.

Szedł za Mallory, wyjąwszy notes z kieszeni.

Mężczyzna z megafonem okazał się kierownikiem magazynu. Na zmianę to wykrzykiwał numery czytane z listy, to zwracał się do Mallory, która go nie słuchała.

- Nikt nie tknąłby tu niczego - mówił. - Kto ryzykowałby utratę pracy dla jakiejś nędznej szmaty?

Riker uśmiechnął się. Gotów był się założyć, że „nędzna szmata”, o której mowa, odciążyła kieszeń Mallory o dziewięćset dolarów, jeśli nie więcej. Dla tej dziewczyny tylko najlepsze rzeczy okazywały się dostatecznie dobre. Helen Markowitz wprowadziła tę zasadę jeszcze w okresie, kiedy Rikerowi wolno było wołać na dziewczynę Kathy. Ale mimo że Helen zasypywała Mallory konfekcją projektantów mody, ta chodziła wszędzie w niebieskich dzinsach, tenisówkach i bawełnianych koszulkach.

Tego dnia ów ubiór wzbogacony był szytym na miarę szarym żakietem, wyrzuszonym z lewej strony, jakby ostrzegał, że właścicielka nosi dużą broń. Ponadto zamieniła płócienne tenisówki na o niebo droższe skórzane buty sportowe, w których nawet chromi wygrywaliby biegi.

- Kto się zajął paczkami, kiedy je przywieziono? - zapytała.

- Nie wiem, mógł to być każdy z ośmiu pracowników - odparł kierownik i zawołał wzmocnionym przez megafon głosem: - Czterysta osiemdziesiąt dziewięć!

- Proszę ich tu sprowadzić. Całą ósemkę.

- Postuchaj, słoneczko, zawsze chętnie współpracuję z policją, ale nie...

- Czy ja się domagam współpracy? Wołaj ich pan.

Riker widział, że mężczyzna należy do starej szkoły; żadna babka nie będzie mu bezkarnie podskakiwać. Obrócił się ku Mallory z wściekłością godną bulteriera, ukazując zaciśnięte zęby. Naraz w jej twarzy zobaczył coś, co kazało mu zamilknąć. Prawdopodobnie przypomniał sobie, że wyszedł tego dnia z domu bez broni.

Odchrząknął. Podniósł megafon do ust i wyszczekał nazwiska. Mężczyźni zaczęli wychodzić pomiędzy stosów pudeł, z listami i ołówkami w dłoniach, spoceni i zaintrygowani, zerkając poządlawie na Mallory, wydychując kłęby dymu papierosowego. Ustawili się w nierówny rząd.

Mallory popatrzyła na nich niby potencjalny klient na niewolników. Z ich oczu zniknęła poządlawość i Riker ujrzał, że na jej miejscu pojawia się skrępowanie. Zaczęli szurać nogami i wymieniać spojrzenia. Jeden z nich, piegowaty rudzielec, był bardziej spocony niż pozostali, a jabłko Adama w jego szyi żyło własnym życiem. Wybór Mallory padł właśnie na rudzielca; przyglądała mu się. Zgarbił plecy, wciągnął głowę w ramiona, próbując stać się niewidzialnym. Instynktownie napiął mięśnie, które napuchły pod cienką tkaniną bawełnianej koszulki.

Mallory obróciła się ku Rikerowi i niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową. Następnie znów popatrzyła na rudzielca. Riker postąpił, by obejść go z prawej strony. Kiedy Mallory zrobiła krok do przodu, mężczyzna stracił zimną krew i rzucił się do ucieczki. Riker wyciągnął rękę, by chwycić go za koszulkę, ale za późno. Nim się obejrzał, Mallory już goniła rudzielca. Ruszył więc za nią w obłokach kurzu wzbijanych przez jej dudniące stopy.

- Jimmy! - wrzasnął kierownik. - Wracaj tu zaraz, frajerze! Przecież chodzi tylko o używany ciuch!

Ale Jimmy był za daleko, by słyszeć jego słowa.

Jimmy Farrow jeszcze nigdy nie uciekał tak szybko przed gliniarzami, a przecież umknął niejednemu. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że starszy facet poczerwieniał z wysiłku, by dotrzymać mu tempa, kobieta za to biegła tuż-tuż. Za każdym razem, kiedy spoglądał przez ramię, widział ją ledwie

półtora metra za sobą i nie była nawet zdyszana, a poła jej zakietu fruwała na bok, ukazując bardzo duży pistolet.

O, Chryste, czy ona się uśmiecha? Tak.

Dziwka!

Bez przerwy czuł na plecach jej oddech, kiedy mknął wąskimi uliczkami, przebiegał szeroką jezdnię i przesadzał mur, za którym stał budynek mieszkalny na West Village.

Wykonał skok życia i chwycił się rękoma podestu schodów przeciwpożarowych. Podciągnął się i ruszył biegiem na górę. Dobięgszy do półpiętra, spojrział w dół przez metalową kratkę podłogi. Nigdzie jej nie było.

Właśnie podnosił głowę, by zerknąć ku wyższemu piętru, kiedy coś chwyciło go za włosy i pociągnęło do tyłu.

Skąd ona się wzięła?

Kopniak w zgięcie kolana. Zupełnie stracił równowagę i upadłszy na twardy metal, potoczył się na bok. Krew napłynęła mu falą do mózgu, albowiem dzwignięty ponad krawędź zwisał nagle z podestu głową do dołu, wymachując bezładnie rękoma. Patrzył na chodnik, znajdujący się dwa piętra niżej. Przekrzywiwszy szyję, spojrział do góry przez kratkę podłogi i ujrzał policjantkę, trzymającą go z tyłu za spodnie i kłęczącą na jego nogach. Przestał się miotać. Jeśli by go puściła, byłoby po nim. Przecież w każdej chwili mogła schować ręce do kieszeni.

- Ukradłeś żakiet z kaszmiru i co dalej...?

Zmniejszyła nieco nacisk kolan i mężczyzna zsunął się jeszcze niżej.

- Marynarka?! - wrzasnęła. - To o marynarkę chodzi? O tę głupią marynarkę?

- Ukradłeś go, zgadza się?

Zobaczył, że chodnik znów wychodzi mu na spotkanie. Podmuch zimowego wiatru chłodził jego spocone ciało i przejmował go dreszczem.

- Tak, tak, ukradłem! Wciągnij mnie, pani!

- Nie podobał się jej?

Co? Jakaś stuknięta dziwka. Czego ona chce?

- Nie, spodobał. Bardzo spodobał!

Przez chwilę sądził, że znajduje się w normalnej pozycji i że to świat jest do góry nogami. Na dole pojawił się ten starszy gliniarz, chwycił ruchomą drabinę schodów przeciwpożarowych i opuszczał ją na chodnik. Niespiesznie wchodził po stopniach, jakby widok jakiegoś biednego skurwiela, wiszącego w powietrzu głową w kierunku betonowego chodnika, nie robił na nim najmniejszego wrażenia.

Pieprzone gliny.

- Mallory, nie rób mi tego - powiedział. - Nie chcesz chyba, żeby Coffey dobrał mi się do tyłka?

- Nie będzie miał nic przeciwko - odparła kobieta. - Jest w moich rękach jak plastelina.

Poluźniła chwyt. Jimmy Farrow znów osunął się niżej.

- Dobra, już dobra! - wrzasnął. - Przecież się przyznałem. Podciągnij mnie, pani!

Szarpnęły go w górę cztery brutalne ręce. Kiedy znalazł się w pozycji siedzącej, policjant wyciągnął notes.

- Chcesz złożyć zeznanie, synu? O to ci chodzi?

- Tak, tak. W tym miesiącu poczta coś popieprzyła z emeryturą mojej babci. Sąsiadka pożyczyła jej trochę pieniędzy na zakupy do czasu, kiedy mama mogła je zwrócić. Chciałem coś za to dać Amandzie, ona jest tą sąsiadką. Chciałem się odwdziżyć. Zresztą to pomysł babci.

- Pozwól, że to uściślę - powiedział policjant, z ołówkiem wzniesionym nad kartkami notesu. - Najpierw dałeś Amandzie zakiet, a potem ją zabiłeś, i to wszystko kazała ci zrobić babcia?

Boże, oni oboje są stuknięci.

- Nic jej nie zrobiłem. Dałem jej tylko tę marynarkę.

- Byłeś z nią w bliskich stosunkach?

- Nie! Chodzę dwa razy w tygodniu do babci, żeby sprzątać klatkę schodową. Babcia jest dozorczynią, ale nie radzi już sobie ze zmywaniem posadzek i schodów.

- Jaki z ciebie dobry wnusio - powiedział policjant. - A teraz opowiedz nam o Amandzie.

- Widuję ją czasami na klatce, tylko tyle. Moja babcia często się z nią spotyka. Porozmawiajcie z babcią.

*

Starsza kobieta czekała na nich na stopniach przed wejściem do budynku. Jimmy Farrow stał na chodniku między dwoma umundurowanymi policjantami, ze spuszczoną głową i rękoma skutymi za plecami parą kajdanek. Riker wszedł po schodach za Mallory i patrzył, jak kobieta zerka to na nią, to na wnuka, z lekko rozchyłonymi z niedowierzania ustami.

- Policja - odezwała się Mallory, pokazując legitymację i odznakę. - Pani nazywa się Farrow? Czy to pani wnuk?

Kobieta skinęła głową, mrugając gwałtownie powiekami. Riker zerknął za siebie. Włączona w radiowozie syrena sprawiła, że prostytutki rozpięchły się jak karaluchy w rozbłysłym nagle świetle, ale teraz jedna wracała, zataczając się, zbyt odurzona *crackiem*, by się bać.

- Proszę mnie wprowadzić do mieszkania Amandy Bosch - rzekła Mallory.

- Ma pani nakaz? - zapytała machinalnie kobieta.

Riker to przewidział. W tej okolicy podobne pytanie samo cisnęło się na usta, padało nawet przed ulubionym: „Ja tego nie zrobiłem”.

- Ona nie żyje - odparła Mallory. - Myśli pani, że mimo to potrzebuję nakazu?

Ładnie powiedziane, mała.

Zaprzeczenie, które zostało wyrażone przez panią Farrow w formie powolnego kręcenia głową, również było do przewidzenia. To nie może być - mówiły jej oczy. Otuliła się szczelniej cienkim sweterkiem, jakby miało ją to ochronić przed Mallory. Cofnęła się chwiejnie dwa kroki. Nie zdołała jednak uciec przed zdjęciem, które długa ręka Mallory przystawiła jej do samych oczu.

- Czy to ona? Czy to jest Amanda Bosch?

Wyluzuj się, Mallory. Nie zamierzamy chyba zabić podatnika.

Nie odrywając oczu od fotografii martwej dziewczyny, pani Farrow wykonała znak krzyża. Ale i ta próba odżegnania się od rzeczywistości nie zdała egzaminu; tym razem Mallory przysunęła własną twarz.

- To ona?

- Tak, tak. To Amanda.

Mallory zapisała coś i Riker wiedział, że w jej skrupulatnym raporcie znajdzie się informacja, iż o godzinie dziesiątej pięćdziesiąt sześć rano ustalono tożsamość ofiary. To będzie rekord wydziału w szybkości identyfikowania zwłok bez pomocy daktyloskopii.

Ruszyli za kobietą schodami na pierwsze piętro i dalej do mieszkania na końcu korytarza. Pani Farrow opornie szło otwieranie drzwi, ale w końcu jej się udało. Kiedy ręka opadła znów do boku, kluczyki wiszące na kółeczku zaczęły nerwowo dzwonić.

Riker wszedł do mieszkania za Mallory. Pani Farrow ociągała się przez chwilę w progu, po czym zniknęła w głębi klatki schodowej.

Pierwsze, co rzucało się w oczy, to nieskazitelna czystość. Ze swego miejsca Riker widział wypucowaną przechodnią kuchnię i znajdujący się za nią pokój. Ani jednej plamki; wszystko było wyszorowane i pachniało środkami czystości. Może mieszkanie zostało wysprzątane, żeby zatrzeć ślady krwi i linii papilarnych?

Gałka u drzwi od wewnątrz lśniła. Riker kręcił głową, żeby obejrzeć ją pod różnym kątem. Może coś na niej zostało, ale wątpił. Nawet Mallory nie była na tyle opętana manią czystości, by wycierać gałkę, kiedy wychodziła z mieszkania. Przez otwarte drzwi sierżant zawołał umundurowanego policjanta stojącego na korytarzu z Jimmym Farrowem.

- Zdaje się, że tu zginęła. Zapytaj kochaną dozorczynię, czy możesz od niej zadzwonić po techników.

- Strata czasu - rzekła Mallory, pochylając się z podziwem nad wypolerowanym stolikiem. Każda powierzchnia lśniła. - Bardzo schludnie. Jeśli ten łobuz wywinie się jako niepoczytalny, zatrudnię go do sprzątania mego mieszkania.

Markowitz dobrze ją wychował. Niczego nie dotykała, ręce trzymała w kieszeniach dzinsów. Przeszli do następnego pomieszczenia, by kontynuować oględziny.

Ostatni pokój był niewielki, mieściło się w nim tylko pojedyncze łóżko i komputer osobisty. Na widok komputera dłonie same wyrwały się Mallory z kieszeni. Od tej chwili nie interesowało ją nic innego. Nie odziedziczyła bowiem po ojcu obsesji na punkcie szczegółów.

Drzwi do ściennej szafy były uchylone. Gdy oczy Rikera oswoiły się z panującym wewnątrz półmrokiem, dostrzegł zarysy staroświeckiej drewnianej kołyski. Zatem Amanda Bosch kupiła kołyskę dla dziecka, po czym usunęła ją w kąt, kiedy wyjęto z niej dziecko, kawałek po kawałku.

Odwrócił głowę.

Przebiegł spojrzeniem po książkach stojących na półce i zobaczył podręczniki traktujące o stylach literackich, informatory i poradniki: coś na temat obróbki tekstu, coś o rynku wydawniczym. Również w tym pokoju wszystkie powierzchnie były odkurzone. W świetle dochodzącym z dwóch okien dostrzegł na ścianie zamazyste ślady po gąbce. Czy tu była krew? Czy Amanda zdołała go zranić, zanim ją zabił?

- Dobra, dość tego - rzekł, obróciwszy się ku Mallory, która czytała właśnie nalepkę na dyskietce leżącej na pulpicie. - To tu skurwiel ją zamordował i potem powycierał wszystko do czysta. - Mówił w nadziei, że dziewczyna go słucha. - Wiesz, mała, w tym miejscu ślad prawdopodobnie urwie się na dobre.

Chodziła w tę i z powrotem przed komputerem. Ręce ją świerbiły, by dobrać się do jego tajemnic. Riker wiedział, że czeka tylko, by przyjechał technik i powiedział jej to, co i tak już wie: że wszystko jest wypolerowane na wysoki połysk. Nic innego ją nie obchodziło.

To nie styl staruszka.

Markowitz wymagał, by jego funkcjonariusze przynosili mu najdrobniejsze szczegóły, które można opisać na kartce notesu albo włożyć do plastikowej torebki. Mallory zaś odwracała się do wszystkich detali plecami.

W progu sypialni pojawił się umundurowany policjant.

- Ekipa techników jest akurat w okolicy - oznajmił. - Będą tu za kwadrans, najwyżej pół godziny.

- Dzięki, Martin - rzekł Riker.

Skoro Mallory pochwaliła ład i porządek, znaczyło, że nic nie znajdują. Trafnie nazwała to stratą czasu. Dwadzieścia minut później Heller, kierownik ekipy technicznej, podzielił jej opinię. Stał pośrodku sypialni i krzywił się za każdym razem, gdy spojrzenie jego brązowych oczu ześlizgiwało się z jednej wypolerowanej powierzchni na drugą.

Włożywszy gumowe rękawiczki, posłał kiwnięciem głowy podwładnego do kuchni. Drugi już krzątał się w dużym pokoju. Odbity rykoszetem błysk flesza przedarł się przez otwarte drzwi. Heller z miotełką w dłoni obrócił się do małej szafki stojącej przy wąskim łóżku.

- Nie - odezwała się Mallory. - Zrób najpierw komputer, bo mi się spieszy.

Być może ktoś inny, z tyloma latami przepracowanymi w wydziale co Heller, nasrożyłby się na takie *dictum* od dziewczyny, która była młodsza od jego córki. On jednak tylko skinął głową, nie chowając urazy, i postawił swą torbę na podłodze obok komputera.

Umundurowany funkcjonariusz wypełnił sobą otwór wejściowy do sypialni.

- Twój informatyk to przyniósł - powiedział do Mallory.

Podał jej skórzaną walizeczkę. Gdy ją otworzyła, ukazał się zestaw delikatnych narzędzi oraz pudełko z dyskietkami.

Obróciła się i pochyliła nad Hellerem, który posypywał powierzchnie czarnym proszkiem.

- Nie wysyp tego gówna na klawiaturę - ostrzegła go. - I uważaj na odpowietrznik, nie chcesz chyba, żeby się tam napakowało.

Riker nigdy nie widział, by Heller pracował w takim pośpiechu, gotów na wszystko, byle tylko ugłaskać Mallory. A kiedy skończył, czym prędzej odszedł daleko od komputera.

- Idę porozmawiać z dozorczynią i tym dzieciakiem - powiedział Riker.

- Dobra.

Komputer wreszcie należał do Mallory. Riker przestał istnieć, podobnie jak pracujący dokoła technicy.

Kiedy sierżant zamykał za sobą drzwi, Heller ślęczał już nad nocną szafką, przeklinając pod nosem mordercę za to, że okazał się takim fanatykiem czystości. Zapomniał, że ledwie metr od niego siedziała podobna istota, w dodatku uzbrojona.

- To zostaw - powiedziała Mallory do Hellera, który zamierzał włożyć do plastikowej torby leżącą przy komputerze kartotekę. - Potrzebuję tego, to lista klientów, wszystkich, dla których zbierała materiały.

- A masz własną pincetkę? - zapytał Heller, zerkając do wnętrza jej walizeczki.

Mallory podniosła na niego wzrok. Czy Heller myśli, że ona nie wie, jak się obchodzić z dowodami rzeczowymi? Nie. Wykonywał tylko swoje obowiązki. Markowitz zawsze hołubił Hellera, nawet gdy doprowadzał go do wściekłości, każąc sprawdzać najdrobniejsze szczegóły. Mallory też potrzebowała tego człowieka.

- Nie martw się, Heller. Jeśli tego dotykał, na pewno wytarł ślady. - Przesunęła się z krzesłem w bok od ekranu. - Lepiej popatrz tutaj.

Heller pochylił się, by spojrzeć na białe litery na niebieskim tle. Na ekranie wyświetlona była lista nazwisk. Zerknął na kartotekę, którą chciał przed chwilą zabezpieczyć.

- Widzisz? Wszystkie informacje na ekranie odpowiadają pierwszej fiszce. Patrzysz na elektroniczną kopię fiszki z kartoteki. Ktoś włączył ten komputer co najmniej sześć godzin po śmierci Bosch i skasował kartotekę. Ten, kto wysprzątał mieszkanie, wyczyścił też komputer. Ale ja wszystko odtworzyłam dzięki specjalnemu programowi użytkowemu. Jeśli mi się poszczęści, to w komputerze znajdę więcej niż na fiszkach.

- Myślisz, że facet usunął własną fiszkę?

- Gotowa jestem założyć się o pieniądze, że tak. Dlaczego miałby kasować listę, gdyby go na niej nie było?

Heller kiwał głową, odbierając jednocześnie od kolegi plastikową

torebkę na dowody rzeczowe. Napisał na nalepce swoje inicjały i odwrócił się z powrotem ku Mallory.

- Skończyliśmy - rzekł. - Niewiele potrafię ci powiedzieć. Facet jest wysoki. Po ścianie widać, że sięgał wysoko.

- A skąd wiesz, że nie stał na krześle?

- Zobacz, widać ślady gąbki. Nie ma żadnych nagłych początków ani końców, które musiałyby powstać, gdyby przerywał i przesuwał krzesło. Szedł po prostu wzdłuż ściany. Jego wzrost szacowałbym na metr osiemdziesiąt pięć do metra dziewięćdziesięciu paru. I strasznie skrupulatny z niego skurwiel. Dywany i materace zabieramy do laboratorium. Jeśli była na nich krew, to ją znajdziemy. Zdjęliśmy kilka odcisków palców z butów i pasków, ale prawdopodobnie należą do ofiary. - Zerknął na widoczne wysoko na ścianie ślady. - Nikt o takim wzroście nie ma tak małych opuszków.

Najwyraźniej szukał odpowiednich słów.

- Coś jeszcze? - zapytała Mallory.

Nie zataiłbyś nic przede mną, co, Heller?

- Facet jest dziwny - powiedział wreszcie.

Pochylił się i ze stojącej przy łóżku szafki wyjął szufladę. Była pusta, jej zawartość powkładano już do torebek. Obrócił ją do góry dnem i podsunął Mallory pod nos. Drewno wciąż pachniało środkiem czyszczącym o aromacie sosny.

- Wyszorował nawet dna szuflad od zewnątrz - powiedział - a to już dziwaczne. Przecież tu nie było żadnych jatek. Normalnie zebrałbym chociaż pyłki, w świetle albo pod aerozolem. Ale nie mam nic. Facet jest dziwny.

- Chcesz powiedzieć, że mam szukać psychopaty z obsesją na punkcie sprzątnięcia?

- Być może. Widziałem coś takiego dziesięć lat temu. Może twój stary ci o tym opowiadał. Miejsce zbrodni było tak czyściutkie jak to. Schwytali skurwiela, kiedy pojawił się ponownie, żeby jeszcze raz je wyczyścić. W mieszkaniu był funkcjonariusz, kiedy ten przyszedł z gumowymi rękawicami, wiadrem i ścierką. S zkoda, że nie wszyscy dają się tak łatwo złapać.

To tyle.

Mówi się: dziękuję, Heller - upomniał Mallory duch Markowitza, siedzący w wymoszczonym fotelu w jej głowie.

- Dziękuję, Heller.

Uśmiechnęła się i ostentacyjnie wyjęła pincetkę z walizeczki, po czym ją wkładać po kolei fiszki do pudełka, porównując je z hasłami wyświetlonymi na ekranie.

Kiedy dotarła do litery H, Hellera i jego ludzi już nie było. Brakowało fiszki pani Betty Hyde. Wedle odtworzonej w komputerze kartoteki, Hyde prowadziła rubrykę towarzyską dla jednego z wielkich syndykatów prasowych.

Mallory nie potrzebowała czytać dalej, by wiedzieć, że Hyde miała również własny program w telewizji. Mieszkała w Coventry Arms, eleganckiej kamienicy na Upper West Side.

Mamona.

Coventry Arms dzieliło od miejsca, w którym znaleziono ciało Amandy Bosch, zaledwie sześć minut drogi piechotą.

Szybka lektura elektronicznego kalendarza ujawniła, że Betty Hyde korzystała z informacyjnych usług Amandy Bosch nieregularnie. Wzmianki o przyjęciach towarzyskich wskazywały jednak, że obie kobiety łączyło coś więcej niż tylko stosunki zawodowe.

Mallory pamiętała twarz Betty Hyde z cyklicznie nadawanego w telewizji pięciominutowego magazynu towarzyskiego. Kobieta zjadliwie komentowała wydarzenia z prywatnego życia znanych osób. Byłaby lepszą ofiarą niż podejrzana. Mallory zakończyła sprawdzanie listy. Okazało się, że usunięto tylko fiszkę dziennikarki.

Następnie dostała się do zbioru ukrytych poddokumentów. Chroniące je hasło na pewno było dziecinnie proste, ale dlaczego Bosch w ogóle potrzebowała takiego zabezpieczenia w domowym komputerze? Czy ktoś jeszcze korzystał z jej mieszkania? Mało prawdopodobne, by była to Betty Hyde, której gusty - sądząc po posiadanym przez nią apartamencie w luksusowej kamienicy - różniły się radykalnie od gustów zamordowanej.

Komputer pytał o hasło. Mallory przejrzała kolekcję swego oprogramowania okiem włamywacza przypatrującego się pękowi wytrychów. Wybrała jedną dyskietkę i uruchomiła program, by wyłamać elektroniczne drzwi kaskadą wszelkich możliwych kombinacji słownych. Kluczem okazało się słowo „książka” i po chwili na ekranie pojawiła się pierwsza strona powieści.

To tłumaczyło obecność publikacji na temat rynku wydawniczego oraz przewodników literackich, które zapełniały półki i które nie należały do typowego wyposażenia badacza ludzkich tajemnic.

*

- Nie, ma pani absolutną rację - powiedział Riker. - Nie powinna była zwracać się do pani w ten sposób. Ale widzi pani, straciła niedawno ojca i odtąd to już nie ta sama osoba.

W istocie w Mallory nie zaszła żadna zmiana.

- Och, w takim razie biedne z niej dziecko - odparła pani Farrow.

Mallory nigdy nie była dzieckiem.

Riker rozparł się wygodnie na miękkim krześle w róże. Róże tworzyły również wzór na tapetach oraz na dywanie, zdobiły także trzymaną przez niego filiżankę z kawą. Uśmiechnął się do dozorkczyni, która mieszkała bezpośrednio nad Amandą Bosch.

- O ile wiem, miała pani problem z czekiem emerytalnym.

- Tak, Jimmy mi je wykraja i realizuje. Myślałam, że właśnie dlategoście go aresztowali. Zwykle synowa oddaje mi za niego pieniądze, ale w tym miesiącu jej nie starczyło. Nie wnoszę jednak żadnego oskarżenia. Nigdy tego nie robię. Amanda przyniosła mi zakupy, kupiła lekarstwa. Powiedziałam Jimmy'emu, że jeśli nie zwróci jej pieniędzy, to dopilnuję, żeby znalazł się w więzieniu. Oczywiście postraszyłam go tylko, pan rozumie. No i jak on się jej odwdzięczył? Dał Amandzie używany żakiet z dziurą wypaloną na rękawie.

- Czy wie pani, gdzie był przedwczoraj rano?

- Tutaj, u mnie. Syn, to znaczy jego ojciec, zaciągnął go tu za uszy o

szóstej rano, żeby mnie przeprosił. Syn pracuje na nocną zmianę, dlatego przyszli tak wcześnie. Kończy pracę o piątej. Kiedy synowa powiedziała mu o czeku, dostał szału. Potwierdzi więc, że Jimmy tu był. I pani Cramer też, to moja sąsiadka z piętra, bardzo zacna osoba. Odkąd miałam atak serca, kontroluje mnie co rano przed wyjściem do szpitala. Pracuje w szpitalu. Była tu, kiedy przyszli syn z Jimmym. Może pan ją spytać, powie na pewno to samo co ja. No i wszyscy razem poszliśmy na mszę, a potem na śniadanie do syna. A koło dwunastej odwiózł mnie do domu.

Riker spojrział na swój notes. Zgadzało się z tym, co powiedział szczeniak. Nie sądził, by staruszka kłamała. Nie umiałyby. Jej oczy zdradzały każdą myśl, każdą obawę.

- I wnuk był cały ranek razem z panią?

- Cały. Ksiądz Ryan też panu zaświadczy. Będzie pamiętał, bo był zaskoczony widokiem Jimmy'ego w kościele. - Spojrzała na swoje dłonie - zbitkę artretycznych guzów wokół kwadratowego pudełka. - Co zrobicie z moim wnukiem?

- Każę go odwieźć do magazynu.

- I nie zostanie o nic oskarżony?

- Nie.

Podważyła wieko, by nagrodzić Rikera polukrowanym ciastkiem.

- Mam do pani jeszcze kilka pytań na temat Amandy - powiedział Riker, zapuszczając rękę w głąb pudełka.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Taka młoda. Była z niej dobra i delikatna dziewczyna. Nie mogę... - Reszcie słów zabrakło siły, by wydostać się z gardła. Nagle pani Farrow wydała się Rikerowi bardzo zmęczona, świadczyły o tym jej zgarbione plecy i obwisłe ramiona.

- Chciałbym porozmawiać z kilkoma mieszkańcami budynku - rzekł Riker. - Może widzieli chłopaka Amandy. Trochę to dziwne, prawda? Taka ładna kobieta i żadnego mężczyzny w jej życiu?

Amanda przecież nie zaszła w ciążę bez faceta. Choć był to okres Bożego Narodzenia, dzieliło ich od epoki cudów dwa tysiące lat. Stara dozorczytni najwyraźniej nie mówiła wszystkiego.

- Sąsiedzi nic panu nie powiedzą - odparła. - Wszyscy tutaj to ludzie pracujący. Przez cały dzień są poza domem i chodzą spać o przyzwoitej porze. Nic nie wiedzą.

- I pani też nigdy nie widziała u niej żadnego mężczyzny? W weekendy?

- No, w weekendy jakoś nie.

Ściągnęła chude ramiona, podbródek opadł jej na piersi. Wbiła zdumione oczy w dywan pod stopami, zrozumiałwszy, że się zdradziła.

Riker uśmiechnął się i spojrzał na staruszkę, jakby była zbudowana z cennego kruszcu.

- Wie pani - zaczął - ja też nie lubię źle mówić o zmarłych, ale nie sądzę, żeby Amanda miała coś przeciwko temu. No i nie wątpię, że chce nam pani pomóc złapać zabójcę, prawda? Myśli pani, że ten facet był żonaty, o to chodzi?

- Amanda nigdy o nim nie mówiła, a on przychodził do niej tylko w ciągu dnia, kiedy wszyscy lokatorzy są w pracy.

- Ale słyszała go pani pod podłogą? Oboje, tak?

Oj, co ja słyszałam, mówiły palce bębniące nerwowo w pudełko z ciastkami. Staruszka za nic nie chciała spojrzeć Rikerowi w oczy.

*

Mallory przebiegała wzrokiem po liniijkach tekstu, szukając czegoś osobliwego, najmniejszego śladu ingerencji w powieść. Po lewej stronie znajdowało się okno wychodzące na schody przeciwpożarowe. Naraz z dworu dobiegł płacz dziecka, następnie zaś rozległo się ciche skrobanie w szybę. Obróciła się.

To nie dziecko.

Patrzyła w parę skośnych oczu, zielonych jak jej własne. Kot był biały, choć sierść miał zszarzałą od kurzu i brudu, a jedno ucho skaleczone i zakrwawione. Widocznie Amanda Bosch dokarmiła tego przybłądę.

- Masz parszywego pecha, Mruczek, zostałeś sam.

Obróciła się z powrotem do komputera i dalej przeglądała tekst, szukając przerw albo dziwnych znaków, poznając przy tej okazji nieco fabułę. Jedna z postaci mieszkała w ekskluzywnej kamienicy na Upper West Side. To odpowiadało brakującej karcie z adresem Betty Hyde. Szwarccharakterem był żonaty mężczyzna, oszust. Coraz lepiej.

Kot nie chciał zamilknąć.

Mallory spojrzała w okno i przymkniętymi groźnie oczyma spróbowała przekazać zwierzęciu, że ma się uciszyć i to zaraz, w przeciwnym razie zostanie wysłane do kociego nieba. Kot opacznie pojął przesłanie i sam zmruczył ślepią do rozmiaru wąskich szparek. „Ja też cię kocham”, dawał jej do zrozumienia. Następnie stanął na tylnych łapach i zaczął drapać w szybę, kwiląc: „Wpuść mnie, wpuść”.

Mallory otworzyła okno, ale nim zdążyła sterroryzować zwierzę, wślizgnęło się pod jej ręką do środka, pozostawiając na rękawie kłaki sierści. Pobiegło przez przechodnią kuchnię do dużego pokoju.

Mallory wzruszyła ramionami. Co tam. Amanda Bosch nie żyła, mieszkanie było wywrócone do góry nogami, niech więc przybłąda weźmie sobie, co chce. Nic ją to nie obchodziło.

Znów usłyszała miauczenie. Spojrzała na kota, wiedząc już, w jaki sposób zmusić go do milczenia. Rzadka u Mallory odmiana w sercu skłoniła ją do porzucenia powziętego zamiaru. Najwyraźniej zwierzę wycierpiało dostatecznie dużo bez jej kopniaków.

Patrzyła osłupiała, jak kot zahacza łapką o drzwi i otwiera kuchenną szafkę. Zniknął wewnątrz. Po krótkim poszukiwaniu znów się wyłonił i zaczął wachać podłogę. Wrócił do sypialni i ponownie otarł się o nogę Mallory. Płaczliwe miauczenie ustąpiło miejsca zmysłowemu pomrukiwaniu. Powstrzymała się przed kopnięciem kota, odepchnęła go jednak nogą. Wówczas podszedł do półki z książkami, wyrzucił pudełka z taśmami do drukarki i spomiędzy nich wyciągnął kocią zabawkę.

To nie przybłąda.

Mallory wstała i poszła do kuchni. Zajrzała do szafki. Wszystkie naczynia były równo ustawione, jedno tylko wydawało się poruszone, miska

stojąca krzywo na talerzach do obiadu. Na niebieskiej emalii wypisane było złotymi literami „Nos”. Kot patrzył na Mallory i dopiero teraz zauważyła u niego długą szarą bliznę na pyszczku, półcień, który wzięła za smugę brudu. Owa blizna nadawała jego nosowi komiczny wygląd długiego kartofla. Został trafnie nazwany.

Znów zamiauczał. Mallory położyła jedną rękę na biodrze i odciągnęła połę żakietu znad kabury, zapominając, że tego rodzaju gesty nie robią na zwierzętach wrażenia.

Kot stanął na tylnych łapkach i zaczął się obracać w koło, drobiaz wyćwiczonym, tanecznym krokiem. Skończywszy, usiadł spokojnie i wpatrzył się w miskę trzymaną przez Mallory. W tej chwili małe zwierzę jeszcze bardziej straciło w jej oczach. Jedynym usprawiedliwieniem istnienia kotów było to, że w przeciwieństwie do psów odmawiały wykonywania idiotycznych sztuczek. Ten okazał się mięczakiem.

Otworzyła puszkę tuńczyka, mając nadzieję, że jedzenie go uciszy. Jadł, jakby był bliski śmierci głodowej.

Mallory wróciła do sypialni i nastawiła drukarkę, by wypłuła z siebie kopie zaznaczonych dokumentów. Chwilę później zajrzała do szafy i zobaczyła stojącą wewnątrz kołyskę.

Kołyska i aborcja?

Poszła do łazienki. W szafce pod umywalką stało długie plastikowe pudełko z rodzaju tych, które służą za pojemnik na kocie odchody. Posypane było piaskiem, ale nie nosiło śladów łap. Zabójca zadbał i o to.

Po dokładnym sprawdzeniu pozostałych szafek wiedziała już, że Amandy Bosch nie zamordowano w tym mieszkaniu. Otwierając różne drzwiczki, wciągała nosem powietrze i odnajdywała znajome zapachy środków czyszczących. Mężczyzna nie posprzątał po włamaniu. On spędzał tu dużo czasu i posprzątał po swojej bytności. To przed nim Amanda Bosch zabezpieczyła hasłem swe poddokumenty, swą powieść. Być może zrobiła tak dlatego, że odgrywał w fabule dużą rolę.

Ale zostawił po sobie kartotekę. Dlaczego, czy myśli aż tak nielogicznie?

Ach, oczywiście.

Musiał zostawić adresy, żeby policja je znalazła, w przeciwnym razie zaczęłaby szukać na własną rękę, może nawet zwróciłaby się w dzienniku telewizyjnym o pomoc do obywateli. Wszystko pasowało. Ta część parku, w której znaleziono zwłoki, znajdowała się ledwie kilka minut marszu od kamienicy Betty Hyde. On chciał zataić właśnie ten adres.

Mallory ruszyła jeszcze raz na obchód pokoi, tym razem jednak rozglądała się znacznie uważniej.

Szczegóły! - wołał Markowitz z pokoju wśród jej szarych komórek, który umeblowała jego ulubionym fotelem, stojakiem z fajkami i z kapciuchem tytoniu o aromacie wiśni. *Szczegóły!*

W kuchennej spiżarni przejrzała żywność o długiej przydatności do spożycia. Dwie puszki ryb, ale ani śladu jedzenia dla kotów. Cóż, niektórzy ludzie dziwnie postępują ze zwierzętami. W szafce w dużym pokoju znalazła odkurzacz. Wyciągnęła go. Torby na śmiecie nie było. Heller pewnie ją zabrał. Wewnątrz pojemnika dostrzegła kocią sierść.

Kot znów ocierał się o jej nogę, pozostawiając na dżinsowej nogawce nowe włosy. Stał na tylnych łapach, a przednie oparł o jej kolano. Mallory poczuła gładkie poduszki. Pochyliła się i ujęła kota po pachy.

Nie ma pazurów. Zatem nie ulicznik.

To tłumaczyło naderwane ucho i krew. Taki kot nie przeżyłby sam na ulicy. Uciekł, kiedy wrócił zabójca. A może mężczyzna wyrzucił go z jakiegoś powodu?

Kot zjadł żarłocznie tuńczyka i teraz emaliowana miska była wylizana do czysta. Widać od dłuższego czasu chodził głodny. To by się zgadzało, jeśli zabójca wrócił do mieszkania w dniu morderstwa, w ostatnim dniu zarejestrowanym na komputerowym zegarze.

*

Riker w życiu nie spodziewałby się, że zobaczy Mallory z kotem na rękach. Koty to przecież naturalni wrogowie fanatyków czystości. Już miała pełno białych kłaków na szarym żakiecie. Co dziwniejsze, kot żył. Postawiła go na dywanie obok siebie. Otarł się o jej nogę, gubiąc więcej sierści, a

mimo to najwyraźniej nie zamierzała go zabić.

- Kim jest twój nowy przyjaciel?

- Nazywa się Nos. Mieszka tutaj.

- Coś ty? - Pochylił się, by pogłaskać zwierzę, ale umknęło przed nim, obiegając Mallory. - A oprócz niego coś masz?

- Nie tutaj zamordowano - powiedziała, odpychając kota nogą z niezwykłą jak dla siebie powściągliwością. - Zginęła w parku. Zabójca mieszka w tamtej okolicy. Mało prawdopodobne, żeby taszczył zwłoki gdzieś dalej. Była z nim umówiona w parku.

- Umówiona? Wykombinowałaś to z komputera?

- Nie. Tego ranka padało, a w mieszkaniu nie ma parasolki. Znalazła na niego jakiegoś haka, więc spotkała się z nim i postraszyła go.

- Skąd wiesz?

- Była niezależnym szperaczem, wyszukiwała fakty o ludziach. Wszystko pasuje. Nastraszyła go czymś, więc ją zabił. Spanikował i uciekł. Później wrócił, zaciągnął dziewczynę głębiej między drzewa i kamieniem okaleczył dłonie, żeby zatrzeć linie papilarne. W ten sposób zyskał na czasie i mógł tu przyjść nocą, żeby usunąć wszelkie ślady swego związku z Amandą. Mieszka w Coventry Arms. Idę o zakład, że jest żonaty i wysoki. Dobra, a co ty masz?

Riker uśmiechnął się, zwinął powoli notes i schował go do kieszeni płaszcza.

- Ten gówniarz z magazynu mówił prawdę.

Ruszył za Mallory do sypialni. Podłoga była zasłana wijącym się pasem papieru, który wypełzał z jakiejś maszyny stojącej na półce pod komputerem. Mallory popatrzyła po wciąż złączonych kartkach, aż znalazła tę, którą chciała, i wtedy wydarła ją z wydruku.

Przeczytał listę nazwisk.

- Najpierw skasował spis klientów. Potem frajer zabrał z kartoteki tylko jedną kartkę, z konkretnym adresem. Bosch od czasu do czasu pracowała dla tej dziennikarki, Betty Hyde. Utrzymywały też chyba stosunki poza pracą.

- I myślisz, że Hyde ma z tym coś wspólnego?
- Nie. Ona nie korzystała z usług Bosch od dwóch miesięcy.
- No, ale może Amanda była w sąsiedztwie, bo właśnie robiła dla niej coś nowego.

- Nie. Popatrz na to. - Z pasa papieru Mallory wydarła kolejną kartkę. - To jej plan pracy. Zobacz, tu nie ma nic dla Hyde. Jest nawet zapisek, że Hyde wyjechała za granicę. Sprawdziłam to w jej redakcji i w liniach lotniczych. Wraca dopiero dzisiaj wieczorem. A teraz spójrz na rachunki w rozliczeniu. Bosch zapisywała wszystko z wyprzedzeniem, była zajęta do oporu, ale nigdy nie pracowała w weekendy. Nigdy też nie brała rachunków zbiorczych, tylko zawsze osobno za najmniejszą usługę.

- I zabójca mieszka w tym samym budynku co Hyde?
- Dureń zabrał tylko jedną kartę. Tak, mieszka w tym samym budynku. Nie chciał, żeby policja tam przyjechała i zaczęła zadawać pytania. To tak, jakby zostawił mi mapę.

- Kiedy Coffey o tym usłyszy, będzie się darł jak kobieta na porodówce. To niby nie twój teren, mała, ale z drugiej strony znasz typ ludzi, którzy tam mieszkają.

- Helen wychowała się na tym osiedlu. Jej siostra Alice wciąż tam mieszka.

- Fajnie, że masz takie kontakty. Będą ci potrzebne, jeżeli nastąpisz komuś na odcisk w Coventry Arms. Nie wiedziałem, że Helen pochodziła z nadzianej rodziny.

- Jej rodzice nie narzekali, ale daleko im było do bogactwa. To osiedle zamieszkuje osobliwa mieszanina ludzi. W jednym bloku możesz znaleźć kobietę na zasiłku i matronę należącą do śmietanki towarzyskiej.

- Gdzie stoi dom tej ciotki Alice? Myślisz, że pomogłaby nam w inwigilacji?

- Wątpię. Widziałam ją tylko raz i nie polubiła mnie.

- Jak można cię nie polubić. Co tu jest do nielubienia?

Mallory w jednej chwili zapomniała o Rikerze, pochłonięta drukarką, która wciąż wypluwała rzekę papieru.

- Ej, no powiedz, jak to się stało, że nie przypadłaś do serca rodzinie Helen? - dopytywał się Riker. - Wiem, że nie przepadali za Markowitzem, ale co mieli przeciwko tobie?

- Po prostu nie spodobałam się ciotce Alice od pierwszego wejrzenia. I odtąd nie dała znaku życia.

Co Mallory zrobiła tej ciotce?

*

Riker rozglądał się po gabinecie lekarskim z otwartym notesem w dłoniach. Pomieszczenie wypełniała charakterystyczna woń i soczysta zieleń roślin, tu i ówdzie przyozdobionych delikatnym kwieciem. Lekarz również był z tych delikatnych i Riker brał go za sentymentalnego głupca, który chwytą natrętą muchę i wypuszcza ją przez okno. Współczuł temu małemu mężczyźnie w białym kitlu, który właśnie wyjaśniał Mallory, że nie może pogwałcić prywatności Amandy Bosch bez względu na to, czy ona żyje, czy nie. Za nic nie chciał powiedzieć, czy denatka cierpiała na jakąś chorobę przekazywaną drogą płciową. Powtarzał, że w jego profesji obowiązuje zasada dyskrecji, której nie może złamać.

Mallory tężała. Riker widział wyraźnie, że ginekolog nie wychwytuje sygnałów ostrzegawczych. Wykształcenie i wieloletnia praktyka, w której najważniejsza była wrażliwość i zrozumienie dla kobiet oraz ich przypadłości, nie przygotowała go na takie spotkanie.

Mallory właśnie się podniosła.

Za późno, doktorku.

Cisnęła lekarzowi przed nos zdjęcia z sekcji zwłok, kompletnie go zaskakując. Wsparta rękoma o biurko, pochyliła się do przodu i nie dotknąwszy nawet mężczyzny, wprasowała go w oparcie fotela.

Nie podnosząc głosu, tylko cedząc sylaby w równym metrum cykającej bomby zegarowej, rzekła:

- Popatrz pan, co ten skurwiel jej zrobił.

Nie były to fotografie, które mundurowi pokazywali dozorcóm - lecz dokumentacja sekcji zwłok, piekielna obscena kobiety wydrążonej niby pień drzewa z przeznaczeniem na kanoe.

Mallory nie wspomniała o drobnostce: że to dzieło lekarzy sądowych. Pozwoliła, by wyobraźnia wrażliwego ginekologa rozpędziła się i zagnała go bladego jak papier do łazienki.

Mallory usiadła, by przeczekać odgłosy wymiotów, plusk wody i strawionego obiadu rozbryzgujących się o ceramikę. Z rękami założonymi na piersi i ustami ściągniętymi w jedną stronę dawała do zrozumienia, że po człowieku z wykształceniem medycznym spodziewała się większego zahartowania.

Ginekolog wrócił do gabinetu i usiadł w taki sposób, jakby postarzał się zniecka o trzydzieści lat i naraz zaczął dbać o swe kruchości. Miękkie białe dłonie chwyciły jedna drugą w poszukiwaniu pocieszenia.

Należał teraz cały do Mallory.

- Znał pan ojca dziecka?

- Nie, nie chciała o nim mówić. Domyślałem się, że prawdopodobnie to żonaty mężczyzna.

- Chcę wiedzieć, czy powodem aborcji mogła być jakaś choroba weneryczna. Nie mam tyle czasu, żeby czekać cały dzień na wyniki z zakładu medycyny sądowej.

- Nie, nic z tych rzeczy. Na jej życzenie zbadałem ją wszechstronnie. Cięża odbiła się mocno na jej zdrowiu, ale to z powodu niedorozwoju macicy.

- Czy dlatego przerwała ciążę? Z przyczyn zdrowotnych?

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak zrobiła. Pragnęła tego dziecka bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Miała ogromne kłopoty z zajściem w ciążę z powodu fizjologicznych powikłań. To była jedna szansa na milion.

- Pan wykonał zabieg?

- Nie, zrobiła to w szpitalu miejskim. Pojechała na ostry dyżur, skarżąc się na skurcze i krwawienie. Udałem się tam zaraz potem. Niestety, nie jest to szpital, w którym mam coś do powiedzenia. Zanim mnie do niej wpuścili, było po wszystkim. Zabiegu dokonał bardzo kiepski lekarz. Rzeźnik.

Ginekolog pobiegł spojrzeniem ku zdjęciom leżącym na biurku, jakby po namyśle chciał zrewidować swoje rozumienie słowa „rzeźnik”.

- Po aborcji nie mogło być mowy o kolejnej ciąży. Nawet cudotwórca nie potrafiłby naprawić tego, co z nią zrobiono.

- Kiedy odbył się zabieg?

- Dokładnie tydzień temu. Odwołała u mnie dwie wizyty i potem już jej nie widziałem. Telefonowałem do niej i zostawiałem wiadomości, ale nie oddzwoniła.

- A więc poroniła, tak?

- Nie, nie było poronienia.

- Zatem sama próbowała spędzić płód?

- Ależ skąd. Nic z tych rzeczy, choć dziecko rzeczywiście było w niebezpieczeństwie, bo całymi dniami nie spała ani nie jadła. Żyła w ogromnym napięciu.

- Z powodu czego?

- Nie wiem. Gdy z nią rozmawiałem wtedy w szpitalu, nie chciała mi powiedzieć, co naprawdę się stało. Nie mam pojęcia, co było źródłem jej rozchwiania emocjonalnego. Lekarz dyżurny dał jej wybór, powiedział, że może uratować dziecko. „Nie! - krzyknęła podobno do niego. - Niech pan je ze mnie wytnie!” Głupiec zamiast wziąć poprawkę na jej stan emocjonalny, zrobił to, co mu kazała.

- Jakiego rodzaju stres mógłby spowodować krwawienie i skurcze?

- Coś, co zniszczyłoby jej spokój wewnętrzny, spędzało sen z powiek. Odpoczynek w łóżku był bardzo ważny. To wcale nie takie rzadkie u kobiet o podobnej fizjologii, że spędzają całą ciążę w łóżku.

- Proszę mi podać powód, dla którego mogła chcieć pozbyć się dziecka - powiedziała Mallory. - Wiem, że nie klepała biedy, widziałam jej konto bankowe.

- Może wyszło na jaw coś na temat ojca albo jego przeszłości i dlatego myśl o urodzeniu jego dziecka napawała Amandę wstrętem. Mijał już trzeci miesiąc ciąży. Nie wiem, kiedy powiedziała o niej temu mężczyźnie. Może wyjawiał jej, że istniały jakieś powikłania genetyczne w jego rodzinie.

- Przecież robił jej pan badania.

- Ale nie amniocentezę, bo to była zagrożona ciąża. Musiałbym mieć

ważny powód, żeby wbić igłę i wyciągnąć płyn owodniowy. Słowem nie wspomniała o problemach genetycznych ani żadnych innych. Była bardzo szczęśliwa... dopóki nie straciła dziecka.

- Jeszcze coś przychodzi panu do głowy?

- Kobiety przerywają ciążę w wypadku gwałtu. Oczywiście, tutaj nie było o tym mowy, ale chodzi o to, że gwałcieciel wzbudza w nich tak wielką odrazę, że za wszelką cenę chcą usunąć jego płód. Rozmaite są źródła stresu emocjonalnego, ale na pewno chodziło o coś poważnego, skoro zdecydowała się przerwać ciążę.

Twarz lekarza była w tym momencie uosobieniem szczerego smutku.

- Bardzo lubiłem Amandę - powiedział. Jego oczy znów pobiegły ku zdjęciom z sekcji zwłok. Wyciągnął rękę i odsunął je na krawędź biurka. - Te pieniądze na koncie, o których pani mówiła... to była zaliczka na poczet domu. Chciała mieć dom z ogródkiem, w którym mogłoby się bawić dziecko.

*

Pod koniec dnia w gabinecie Coffeya, który wciąż zwano gabinetem Markowitza, Riker mówił:

- Poza tym zabójca ma od Mallory rekomendację czyścioszka.

Coffey obrócił się do Mallory.

- Czy technicy coś odkryli?

- Ludzie Hellera znaleźli w pojemniku na śmiecie pod blokiem pistolet kapiszonowy. On uważa, że pochodzi z mieszkania Amandy.

- Zdjął odciski?

- Nie było żadnych odcisków, wytarto go do czysta - odparła Mallory. - Dlatego właśnie łączy zabawkę z jej mieszkaniem. To kopia starego sześciostrzałowca.

- Nie wiedziałem, że ciągle robią takie cacka.

- Tylko kilka firm - wtrącił Riker, spoglądając na swój notes. - Ale to niewiele pomoże, bo ten akurat wyprodukowano trzydzieści lat temu.

Może to zabawka zabójcy jeszcze z czasów dzieciństwa.

- Myślisz, że próbował ją nim nastraszyć?

- Możliwe. To jednak zastanawiające: dorosły facet, a trzyma zabawki?

Na biurku leżała czapka z napisem Myszka Miki. Coffey uśmiechnęła się bez śladu urazy, nie reagując na przytyk. Riker wzruszył ramionami.

- A motyw? Mamy jakieś hipotezy? - pytał dalej porucznik.

- Ona znalazła na niego jakiegoś haka i zaczęła mu grozić - odparła Mallory. - Spanikował i zabił.

- Skąd to wiemy?

- Dziewczyna pracowała jako szperacz, wynajdywała fakty o ludziach.

On zaś był ojcem jej dziecka...

- Tego nie wiesz.

A może wie?

- Jeżeli był ojcem jej dziecka, to logiczne, że go sprawdziła. I coś znalazła. Pasuje jak ulał.

- Ale sporo w tym przypuszczeń, zgodzisz się? Chyba że coś ukrywasz. Ale tego byś mi nie zrobiła, co?

Oczywiście, że tak. Coffey zerknął na Rikera i był mu wdzięczny, że nie robi min.

- Nie ukrywam - odrzekła.

Uznał jednak, że odpowiedziała o sekundę za późno.

- A więc zidentyfikowałaś ciało. Dobra robota. Ale ten adres w Coventry Arms to strzał w ciemno. Nie mogę przesłuchiwać tych ludzi w oparciu o twoje spekulacje, bo utonę w lawinie skarg. Pewnie połowa z nich to serdeczni przyjaciele gubernatora. Potrzebne są nam rozpaczliwie jakieś dowody rzeczowe. Jeżeli morderstwo popełniono w parku, to brak alibi na sześć minut, które były niezbędne, żeby zabić, nie wytrzyma ataku obrońcy w sądzie. Następnie mamy aż dwudziestoczworogodzinny okres, w którym zabójca poszedł do mieszkania Amandy Bosch. Nie musiał nawet sprzątać wszystkiego od razu. Zatem przesłuchamy każdego mężczyznę w budynku i dokąd nas to zaprowadzi? Nie mogę tego zrobić tylko dlatego, że w

kartotece brakuje jednej kartki. Nie wiemy, czy Bosch sama jej nie wyrzuciła. Może skreśliła Hyde z listy klientów.

- Nie wyrzuciła. Na twardym dysku są również informacje o dawnych klientach. Ta kobieta niczego się nie pozbywała.

Prócz dziecka z własnego łona.

- To nie wystarczy, by kogoś aresztować.

- Nie proszę cię, żebyś kogoś aresztował. Ale mógłbyś mnie wprowadzić do tego budynku - powiedziała Mallory. - Na pewno znajdzie się jakieś wolne mieszkanie. Albo ktoś wyjechał, albo się wyprowadził.

- I myślisz, że uda ci się podnając czyjeś lokum albo wziąć puste bez wzbudzenia czujności mordercy? Wciąż otrzymujemy telefony od ludzi, którzy widzieli cię w telewizji i myślą, że nie żyjesz.

- Wiem, że on jest z tego budynku: Jeżeli nie wykurzę mordercy z ukrycia, nigdy go nie złapię.

- Wszystkich nie da się złapać, Mallory.

- Zabójca należy do kręgu ludzi, którzy stykali się z Hyde i Bosch, poza tym są notatki na temat towarzyskich kontaktów jednej z drugą. Hyde być może poznała ofiarę z tym mężczyzną albo spotkali się podczas wizyty u niej. Wiem, że on jest ściśle związany z Coventry Arms.

- Jesteś pewna, że to nie Hyde?

- W dniu zabójstwa była w Australii. Nie ma mowy, żeby mogła wrócić na czas. Poza tym ma ponad sześćdziesiąt lat i nie spełnia wymogów wzrostu.

- Ale to karta z jej nazwiskiem zniknęła. Może kogoś wynajęła? Spółśob zabójstwa nie wskazuje na zawodowca, ale wiesz, wszyscy spece od mokrej roboty zaczynają jako amatorzy.

- To się nie trzyma kupy. Amandę Bosch wiele łączyło z zabójcą. Poszła tego ranka do parku, żeby się z nim spotkać. Morderstwo nie było przygotowane, nie miał broni. Użył kamienia i własnych rąk.

- To w takim razie zaproszę panią Hyde na rozmowę. Przesłuchamy ją w charakterze świadka.

- Nie. Nie chcę zwracać niczyjej uwagi na śmierć Amandy Bosch.

Reszta jej klientów mieszka w śródmieściu albo w okolicach Greenwich Village. Jedyne związki, jakie łączyły ją z Upper West Side, to ten budynek. A adres tego budynku jest jedynym adresem w całej kartotece, który morderca chciał ukryć.

- Mallory, nie masz nic pewnego. Nie wiesz nawet, czy on na pewno tam mieszka.

- Wiem, że tam mieszka, bo go znam. Spędził dużo czasu przy ciebie, zacierał jej linie papilarne, zrobił z nich papkę. Nie spieszył się. Gdy już zdusił w sobie pierwszy strach, poczuł się swobodnie. Dlaczego? Ponieważ był blisko domu.

Coffey posunął papierową teczkę przez biurko. Nosiła inicjały Hellera.

- Heller też uważa, że załatwiono ją w parku - rzekł. - Jak go namówiłaś, żeby tam wrócił? Znaleźli ślady krwi pod kilkoma kamieniami przy sadzawce. Był u mnie pół godziny temu. Mówi, że upoważniłaś go do nadgodzin.

- To również podtrzymuje moją tezę, że zabójca mieszka w Coventry Arms. Zabrał kartę, żebyśmy nie przyszli pod ten adres. Wprowadź mnie tam jakoś.

- Znajdź mi coś bardziej wiarygodnego, wtedy pomyślimy o inwigilacji.

- Jeżeli nie chcesz mi pomóc, to przynajmniej nie podawaj prasie nazwiska ofiary. Jeżeli mam go jakoś wykurzyć, musi przynajmniej być spokojnie dokoła.

- Daję ci moje słowo. Nikt nie dowie się, że to Amanda Bosch.

- Dobra, no to dzięki - powiedziała Mallory i jeszcze wiele minut po jej wyjściu nie dopowiedziane słowa: „za nic” wisiły ciężko w powietrzu.



Stuletnia kamienica była posępna i odpychająca niby forteca. Stiukową elewację znaczyły światła w oknach, jedne tryskały rześnistym blaskiem, inne ledwie się ćmiły. Szczyty i uginające się od roślin balkony urozmaicały płaszczyznę frontonu i prostą linię dachu, bluszcz zaś pełzał po ścianach

daleko powyżej wierzchołków wiekowych drzew porośniętych czarnymi od nocy liśćmi. Okna różniły się od siebie kształtem: kwadraty, prostokąty i koła, aż po wielki łuk ze szkła witrażowego pośrodku, który mógłby zdobić katedrę, tyle że scena utkana z kolorowych szybek odwoływała się do tradycji starszej niż chrześcijańska.

Mallory odczytywała przedstawiony za pomocą obrazu starożytny mit. Lata spędzone w Barnard College nie poszły całkowicie na marne. Kobięca postać to pewnie bogini wiosny. Niósł ją na rękach jej miły, bóg podziemnego świata, zdążający nad krawędź przepaści. Kochankowie byli po wsze czasy zamrożeni w akcie samounicestwienia, kiedy spieszyli, wychyleni do przodu, ku śmierci, ku bramie wiodącej do Hadesu i domu zarazem.

Wejście do budynku było kamienną paszczą potwora, która zwęzła się a następnie kończyła parą drzwi nabijanych ozdobnymi fryzami z miedzi. Oprócz nieodzownego portiera był również uzbrojony strażnik - konieczność w epoce gwiazd rockowych i szturmujących ich domowe zacisza fanów.

W kieszeni z tyłu spodni Mallory miała odznakę. Mogłaby wejść do tego budynku o każdej porze dnia i nocy, porozmawiać z kimkolwiek miała by ochotę. Była upoważniona, ale nie mogła tego wykorzystać, jeszcze nie teraz. Wślizgnąć się również nie mogła. Coffey miał rację, że odrzucił pomysł inwigilacji, tyle że ze złych powodów. Lepiej przybyć na sygnale i w powodzi świateł, niż się skradać. To właśnie chodzenie na paluszkach wzbudza ludzkie podejrzenia.

Minęła Coventry Arms i ruszyła w kierunku mniej znanego budynku na końcu osiedla. Była tam tylko raz w życiu i to dawno, mimo to pamiętała wszystko wyraźnie. Zaparkowała w niedozwolonym miejscu, jak zwykle. Łatwiej umarzać mandaty w sieci komputerowej, niż szukać miejsca do parkowania.

Pokazała portierowi wizytówkę firmy, gdy spytał, *kogóż* chciałaby wiedzieć oraz jaka jest jej *godność*.

- Pani jest Mallory czy Butler?
- Niech pan jej powie, że przyszła siostrzenica Kathy.

Siostrzenica. Nie do końca była to prawda. Formalności adopcyjne nigdy nie zostały dopełnione. Kathy nie chciała odpowiadać na pytania o przeszłość i rodziców. Jako że nie było nawet śladu jakichkolwiek krewnych, machina biurokratyczna utknęła w martwym punkcie. W świetle prawa Mallory zyskała więc wyłącznie status wychowanki, a przecież gdy nie ma się ojca ani matki, nie można być niczyją siostrzenicą. Tyle że na świecie jest wielu ludzi o nazwisku Mallory, a tylko jedna córka Helen Markowitz.

Mężczyzna odłożył słuchawkę. Przytrzymał jej drzwi, uśmiechnięty szeroko. Ciotka Alice ma widocznie hojną rękę.

Nocny strażnik, siedzący za biurkiem, kładł właśnie słuchawkę na widełki swego telefonu. Skinął Mallory głową w geście przyzwolenia, kiedy przechodziła przez hol.

Budynek był siedliskiem nie tyle niezmiernego bogactwa, co raczej cichej zamożności. Meble w holu prezentowały się dobrze, ale trudno je było wziąć za muzealne zabytki. Winda jeździła z cichym szumem dobrze konserwowanej maszyny.

Kiedy Mallory przyszła tu pierwszy raz, windę obsługiwał windziarz. Pamiętała, że patrzyła na mężczyznę z wysokości osoby dziesięcioletniej. Rzadko kiedy widywało się teraz windziarzy. Nadszedł wiek automatyzacji i wykluczył człowieka.

Drzwi windy otworzyły się na korytarz wyłożony beżowym dywanem o wysokim włosiu. Ściany pokryto pasiastą tapetą w spokojnej tonacji. Nie musiała znać numeru mieszkania. Pamięć zawiodła ją prosto na koniec korytarza. Niegdyś, mimo że prężyła się na palcach, nie mogła dosięgnąć mosiężnej kołatki w kształcie lwiej główki.

Drzwi otworzyła ta sama służąca i stanęła z boku, by zrobić przejście do przedpokoju. Mallory ruszyła za nią i tu znów doznała gwałtownej zmiany percepcji. Kiedy była dzieckiem, ów przedpokój wydawał się długi na kilometr.

Minęły pokój do muzykowania i weszły do znacznie obszerniejszego pomieszczenia. Jego wielkość zmieniła się tylko odrobinę. Nie była to już wprawdzie olbrzymia sala balowa z dziecięcej wyobraźni, ale coś niewiele

mniejszego. Każdy stolik zapełniały bibeloty, zaś na ścianach wisały grupkami rodzinne fotografie. Mallory była gotowa założyć się o dużą stawkę, że w ciągu czternastu lat nie przesunięto w tym pokoju nawet krzesła. Wszędzie ciemne drewno i karmazynowe kotary. W kątach zbierały się cienie, tu i ówdzie odbijały się strużka światła, to od srebrnej tacy ze słodyczami, to od ozdoby ze złota.

Fotografie i portrety sięgały wielu pokoleń wstecz, jak wyjaśniła niegdyś dziewczynce Helen. Mallory niewiele pamiętała z tego, co zostało wtedy powiedziane. Alice bardzo przypominała siostrę, rodzinne podobieństwo kryło się także w postarzałej twarzy ich matki. Ale już wówczas skóra staruszki nabierała szarości za sprawą tego, co pęczniało w jej organach i od czego w przyszłości umarła też Helen.

Rozmowa pań nudziła ją aż do chwili, gdy zeszała na temat Markowitza. Wtedy Kathy zaczęła słuchać, z dłońmi zaciśniętymi w pięstki. Fakt, Markowicz to gliniarz, ale także jej stary, nie da więc na niego powiedzieć złego słowa. Zeskoczyła z krzesła w wybuchu wścieklej energii. Czy Helen pchnęły ją z powrotem na siedzenie. Dziewczynka, która jeszcze do niedawna żywiła się na śmietnikach, położyła dłonie na kolanach, a nogi skrzyżowała w kostkach, jak ją nauczono.

„Zatem to najlepsze, co Louis mógł ci dać?” - zapytała ciotka Alice. Mówiła podniesionym głosem już od dłuższej chwili. Jak na gust małej Kathy, zbyt gromko wobec delikatnej Helen Markowicz.

„Nawet nie siódma woda po kisielu, tylko jakaś przybłęda z rynsztoka”.

Do tej chwili matka Helen siedziała w milczeniu, ale naraz podniosła się z trudem, wsparta na lasce, odprawiając gestem służącą, która spieszyła jej na pomoc.

„Dość - powiedziała głosem monarchini, z groźnym błyskiem w oku. - Co się stało, to się nie odstanie”.

Alice też się podniosła i otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale matka uciszyła ją, ponownie wznosząc rękę. Zbyt późno jednak, słowa już padły. Helen płakała, po jej policzkach spływały łzy.

Kathy rzuciła się na Alice z impetem wystrzelonego pocisku, przysuwając nos do twarzy kobiety. Z jej gardła wydobywały się chrapliwe tony napędzane nienawiścią:

„Jeśli Helen jeszcze raz będzie przez ciebie płakać, to ci potnę żyłką giry, ty cipo!”

„Nie mów tak brzydko, kochanie” - upomniała dziewczynkę Helen, pokazując się za nią i wkładając małe rączki Kathy w rękawy nowej zimowej kurtki. Kiedy szły przedpokojem za służącą do wyjścia, Kathy usłyszała donośny śmiech matki Helen. Chciała wrócić, żeby pobić staruchę do krwi, ale Helen ją powstrzymała. Zwykle wystarczało jej jedno spojrzenie albo lekki uścisk małego ramienia, by powstrzymać Kathy Mallory i szalejącą w duszy dziewczynki nawałnicę.

Czternaście lat później Mallory przyszła ponownie. Helen od czterech lat leżała w ziemi, a jednak Mallory patrzyła teraz w jej oczy, oprawione postarzałą twarzą Alice.

- Myślałam, że nie żyjesz - powiedziała ciotka.

- Hm, a jednak.

Rozczarowana jesteś, ciociu Alice?

- Ale słyszałam to w wiadomościach - ciągnęła uparcie, jakby złapała Mallory na kłamstwie. - Trudno, nieważne. Trochę późna pora na wizytę, nie sądzisz? I rozumiem to nie tylko dosłownie.

- Tak, nie spotykałyśmy się ostatnio - odparła Mallory. - Widziałam cię na pogrzebie Markowitza.

W dniu, kiedy położyli staruszkę do ziemi, Mallory podniosła wzrok i ujrzała Alice - ducha Helen snującego się nad otwartym grobem. Kiedy spojrzała znowu chwilę później, zjawa znikła.

- Pomyślałam sobie, że Helen chciałaby tam kogoś z rodziny - wyjaśniła Alice. - Że najprawdopodobniej by sobie tego życzyła.

- Z pewnością. Dzięki.

- Nie zmieniałaś się wiele przez te wszystkie lata, ale to chyba dlatego, że nigdy nie byłaś dzieckiem, nawet jako mała dziewczynka. Zawsze

miałś oczy dorosłego. Byłaś taka zuchwała. Gwałtowna, niewychowana, bez kultury.

Mallory milczała, nie biorąc sobie słów ciotki do serca, bo mówiła prawdę.

- Wiem, gdzie teraz mieszkasz, Kathy. Ledwie parę przecnic stąd, prawda? To chyba dość ekskluzywny budynek. Wyobrażam sobie, że czynsz sporo kosztuje. Po coś do mnie przyszła? Po pieniądze?

- Nie potrzebuję pieniędzy.

- To czego chcesz? - Alice pochylała się do przodu z nowym przytęwem energii, z nagłym wybuchem światła w rozmazanych niebieskich tęczęwkach. - Czegóż ty możesz chcieć ode mnie? - Jej głos nabierał coraz wyższych tonów, był bliski załamania. - Zabrałaś mi moją siostrę! Czy wiesz, że już nigdy ze mną nie rozmawiała? Czy wiesz, jak bardzo ją kochałam?

Uniosła się z fotela. Ów wysiłek zdawał się ją nadweręzać. Czy Alice też powoli umiera na raka, który zabił już Helen i ich matkę? Była wychudzona i umęczona.

Wyczerpała swą dawkę trucizny. Opadła na miękki fotel, zagłębiając się weń. Zaczęła płakać. Mallory spokojnie czekała, aż skończy, nie zamierzając ani jej pocieszać, ani wyjść.

- Po coś przyszła? Czego chcesz?

- Potrzebuję twojej pomocy.

*

- Obecnie w Coventry Arms mieszkają różni ludzie. Gwiazdy rocka urządzają głośne przyjęcia, podobnie ludzie związani z polityką - mówiła starsza kobieta, która dobiegała już chyba dziewięćdziesiątki.

- Mamy tam też prezenterkę telewizyjną i aktora - dorzucił jej mąż, którego przedstawiono Mallory jako Ronalda Rosena.

Pani Rosen skinęła głową.

- To prawda - potwierdziła. - Za moich czasów nigdy nie wpuszczono by do tej kamienicy ludzi teatru.

- Za twoich czasów, Hattie - wpadł jej znowu w słowo mąż - arystokracją

na West Side byli gangsterzy. - Obrócił się ku Mallory. - W dzieciństwie mieszkałem w Hell's Kitchen, tak samo jak rodzice pani matki. Co to były za czasy. Jako chłopiec latałem na posyłki u Owneya Maddena, zwanego księciem West Side'u. Widziałem, jak dwóch jego ludzi zastrzelono w wojnie bimbrowniczej.

Mallory popijała herbatę z kruchej porcelanowej filiżanki. Siedziała zwrócona twarzą do małżonków, którzy byli lokatorami kamienicy o nazwie Coventry Arms. Alice nachyliła się i dołała herbaty z zabytkowego srebrnego imbryka.

- Zatem jest pani córką Helen - powiedział pan Rosen. - Pewnie jest pani podobna do ojca, bo do niej jakoś nie. - Żona trąciła go nogą pod stołem, zrozumiał więc, że powiedział coś niewłaściwego, choć nie wiedział co. Najwyraźniej nie miało to jednak wielkiego znaczenia, albowiem pani Rosen podjęła na nowo rozmowę z życzliwym uśmiechem na twarzy.

- Helen dorastała w tym mieszkaniu na naszych oczach, prawda, Alice? - zapytała. - Ale po ślubie z Louistem Markowiczem spotkał się z nią tylko trzy albo cztery razy. Posłałam też na jej pogrzeb. Kiedy to było, Alice, trzy, cztery lata temu?

- Ponownie obróciła się do Mallory. - Widziałam tam panią, ale nie chciałam się narzucać. Z Louistem rozmawiałam w domu pogrzebowym. Wydawał się taki... - Spojrzała na Alice. - Och, rozgadałam się.

- Czy Mallory to nazwisko pani męża? - zapytał pan Rosen, któremu znów dano kopnięciem do zrozumienia, że zbłądził. Pani Rosen bez wątpienia była wtajemniczona przez Alice.

- To takie ekscytujące - powiedziała. - Jak w telewizji. Czy chce pani, żebyśmy używali przybranych nazwisk?

- Dobry pomysł - odparła Mallory. - Będę również potrzebowała listu do dozorczy, w którym wyjaśnicie państwo, dlaczego u was mieszkam.

- Oczywiście - rzekł pan Rosen. - Arthura też powinniśmy uprzedzić. To nasz portier. Nie lubię go okłamywać.

- To proszę mu powiedzieć prawdę - powiedziała Mallory. - Ale bez niepotrzebnych szczegółów. Niech pan mu powie, że wyjeżdżacie w pilnej

sprawie, a ja jestem przyjaciółką rodziny, to bliskie prawdy. Kłamstwami ja się zajmę.

- Czy mówiłam już, że Ronald chrapie? - zapytała pani Rosen. - Śpimy w osobnych sypialniach.

- Moje mieszkanie ma dwie sypialnie, widok na rzekę oraz dwudziestoczterogodzinną ochronę - odparła Mallory. - Czy w państwa budynku wielu lokatorów używa komputerów?

- Teraz mają je wszyscy, nawet my - odpowiedziała pani Rosen. - Cały budynek jest podłączony do sieci informacyjnej. Posiadamy naszą blokową pocztę elektroniczną.

- Ale u nas tylko żona tego używa - rzekł pan Rosen. - Ja nic nie wiem o komputerach.

- A co tam wiedzieć? Chyba tylko gdzie jest włącznik i tyle. Wciskasz go i *voilà*, masz na ekranie tablicę informacyjną naszej kamienicy. Zostawiasz wiadomości dla administracji, załatwiasz kogoś do wyprowadzenia psa, informujesz o wyjazdach wakacyjnych. Możesz nawet załatwiać sprawy bankowe, jeśli jesteś połączony z bankiem. Ale niech to pani nie przeraża, moja droga. Komputer to tylko maszyna. Wskazówki są napisane przy klawiaturze. Łatwo się pani nauczy. Aha, sprzątaczką przychodzi raz w tygodniu. Ma swój klucz i może jej pani zaufać w sprawach życia i śmierci. Ma chyba na imię Sarah, zgadza się, Ronaldzie?

- Czy mogę się wprowadzić już jutro?

- Tak, ale musimy być z powrotem za dziesięć dni ze względu na złote wesele mojej kuzynki. Zaprosiliśmy setki osób, więc sama pani rozumie. A pani mieszkanie, czy ma ono telewizję kablową?

Kiedy już ustalono wszystko do końca i Rosenowie wyszli, Alice i Mallory życzyły sobie chłodno dobrej nocy i ta druga ruszyła do wyjścia, mijając powoli otwarte drzwi pokoiów, w których dorastała Helen, zauważając najdrobniejsze szczegóły.

Przeszła obok wielkiego fortepianu, który zakryto gobelinem i pół setką fotografii stojących w wąskich, ozdobnych ramkach. Wszystkie upamiętnione twarze należały do dzieci. Zdjęcia z tyłu były stare, sądząc choćby po

ubiorach, natomiast wizerunki z pierwszych rzędów najwyraźniej dopiero od niedawna mieszkały na fortepianie. Mallory dostrzegła zdjęcie Helen Markowitz z wczesnych lat jej życia. Stało w głębi, wśród podobizn dzieci, które dawno dorosły i zestarzały się. Wzięła je do ręki i zapatrzyła w bardzo młodą twarz Helen.

Gdy odstawiała starą fotografię na miejsce, znieruchomiła nagle, z oczami wbitymi w inną, ze środkowego rzędu. Rozpoznała siebie, patrzącą kilkunastoletnimi oczyma o niezmierzonej głębi. Było to szkolne zdjęcie, zrobione w rok po jedynej wizycie u Alice.

Nie stało na honorowym miejscu, nie było też schowane; przyznano mu stosowne miejsce wśród pokoleń rodziny.

Rozdział 3

22 grudnia

Riker wgramolił się po schodach do przychodni weterynaryjnej. Pocekalnia z rzędami krzeseł miała wielkość sali kinowej. Zapachy charakterystyczne dla sklepu zoologicznego mieszały się z woniami środków czyszczących oraz gwarem szczęknięć i pomruków. Właściciele cmokali do podskakujących, miauczających, wyjących koszyków. Inni ściskali kurczowo smycze, uniemożliwiając ucieczkę psom, które wolałyby być gdziekolwiek indziej. Ludzka mowa ograniczała się do słowa „biedactwo” i jego pochodnych. Ci obywatele, chyba z setka, byli poważnymi miłośnikami zwierząt.

Zatem co tu robi Mallory?

Pomimo tłoku miała połowę rzędu dla siebie. Kot siedział jej na kolanach i próbował lizać twarz. Spojrzała na niego. Bezbłędnie pojął przekaz, a ponieważ chciał żyć, powstrzymał się od czułości i zwinął na odzianych w dżinsy nogach Mallory. Poszarpane ucho opadło mu, a jego koniuszek był naderwany.

Właściciele ptaków rzucali nerwowe spojrzenia na kota i mocniej obejmowali rękoma klatki. Właściciele psów trzymali kurczowo smycze niby alpiniści liny na grani. Jedni i drudzy poirytowani byli do żywego, że Mallory nie ukryła kota w koszyku. Najwyraźniej pogwałciła zasady obowiązujące w lecznicy weterynaryjnej, ale nic w tym dziwnego, albowiem przestrzegała tylko tych, które wpoila jej Helen, tymczasem w domu Markowitów nie było zwierząt.

Riker patrzył na nią dłuższą chwilę. Okazywała kotu lodowatą obojętność, on jej - gorącą miłość. Riker słyszał mruczenie, mimo dzielących go od nich czterech rzędów krzesel. Naraz Mallory powoli obróciła głowę i wbiła w niego wzrok.

Miała teleskopowe oczy. Winił za to Markowitza. W zabawach z dzieckiem, które wcale nie jest dzieckiem, też nie wolno przekraczać pewnych granic. Zabawy, które wymyślił Markowicz z myślą o małej Kathy, rozwięły w niej zdolność do widzenia naokoło głowy. Riker wierzył święcie, że wyczuwała również wzrost temperatury w pomieszczeniu, gdy wchodziła kolejna żywa istota.

Skinęła mu głowę. Minał psa i papugę, jeszcze jednego psa, jaszczura i dziesięć pustych krzesel, po czym usiadł obok Mallory.

Spojrzał na kota, wpatzonego w dziewczynę.

- I co, myślisz, że wydział zapłaci za weterynarza?
- A jakże. W końcu to świadek.
- Ej, mnie nie musisz tego tłumaczyć, nie jestem Coffeyem.
- Kot zna zabójcę, a zabójca zna kota.
- Igrasz z ogniem, mała.

Nie nazywaj mnie „mała”, mówiły jej oczy.

- Coffey nie będzie zachwycony tą zamianą mieszkań. Rozsądniej byłoby, gdybyś to najpierw z nim omówiła.

- Nie jego interes, gdzie mieszkam.

- W jednym ma rację. Amanda Bosch była twoją rówieśniczką, posiadała ten sam styl. Fakt, była trochę niższa, ale i tak jesteś w typie tego faceta.

- Wiem.

Kocia głowa poruszała się wraz z głową Mallory. Na Rikera patrzyły dwie pary skośnych oczu. Za wcześniej na kieliszek.

- Jakiego używasz nazwiska?
- Własnego.
- To ryzykowne, nie? Twoja śliczna buźka pojawiła się w telewizji jako

twarz zabitej policjantki. Bardzo prawdopodobne, że zabójca to widział. A jeśli nie, ktoś mu powie.

- No i dobrze. Zaczekaj, aż zobaczy kota.
- Nie wiesz, kto to jest. Łatwo będzie mu cię podejść.
- Wiem, że to na pewno nie żaden cybernetyczny geniusz. Na komputerach zna się tyle co zwykła sekretarka, może mniej. Kłamca, którego przyłapano na kłamstwie. Panikarz.

Pochyliła się i z płóciennej torby leżącej przy krześle wyjęła skoroszyt.

- Oto lista lokatorów i dane o nich.

Wziął teczkę do ręki i otworzył. Gwizdnął cicho, gdy przebiegał oczami po nazwach sieci kredytowych, towarzystw ubezpieczeniowych i banków. Teraz jasne, dlaczego Mallory ma zaczerwienione oczy. Spędziła pracowitą noc, włamując się do baz danych. A potem pewnie przedzierała się przez ten papierkowy gąszcz wydarty z komputera Amandy Bosch - owe pięćset czy sześćset stron tekstu, których nie włączyła do spisu rzeczy znalezionych w mieszkaniu ofiary.

Skąd ona wytrzasnęła informacje wojskowe? Jemu trzeba nieraz tygodnia, by wycisnąć coś z archiwów armii.

- A te dane o przebiegu służby wojskowej?
- Znam dzięki temu cechy fizyczne: wzrost, grupę krwi.
- Ej, nie znaleźliśmy nic, co by nam pomogło zidentyfikować jego krew.

- Tak, ale on o tym nie wie. Przecież z obłądem w oczach wysprzątał całe mieszkanie. Teraz nie sypia po nocach, zastanawiając się, czy czegoś na niego nie mamy.

Riker patrzył na listę lokatorów, z której wykreślono ponad czterdzieści pięć nazwisk.

- A te skreślenia?
- To ci, którzy nie spełniają wymogu wzrostu. Skreśliłam też samotnych, i kobiety, i mężczyzn. I jeszcze żonaty, którzy dorobili się na oprogramowaniu. Ktoś taki wiedziałby, że można skasować dokument, ale nie można go bezpowrotnie usunąć. Wiedziałby, że taki dokument można

odtworzyć. Odpadają też mieszkania, które są własnością korporacji i lokatorzy zmieniają się co trzy dni. Wiem, że mój zabójca mieszka na stałe w Nowym Jorku. No i odpadają też pustostany. Zostali ci, którzy luźno odpowiadają charakterystyce mordercy.

- A ten pisarz, Eric Franz? On jest samotny, nie? - Riker wziął do ręki raport na temat wypadku samochodowego, do którego doszło w listopadzie. - Jego żona zginęła ponad miesiąc temu.

- Tak, ale romans z Amandą Bosch zaczął się o wiele wcześniej. Chyba z rok temu, tak mówiła dozorczyni. Poza tym ona była w trzecim miesiącu, gdy przerwała ciążę.

Wyglądniały owczarek pokonał trzy rzędy krzeseł w kierunku Mallory i kota. Jego właścicielka, starsza kobieta, wryła się obcasami w linoleum i pociągnęła za smycz, aż psa powstrzymało ostre szarpnięcie za gardło.

- Masz jakichś faworytów?

- Tak, czterech. Postawiłam przy nich gwiazdki. Nie mają regularnych godzin pracy. To dawałoby im wolne dni na spotkania z Amandą.

Owczarek znów odzyskał kontrolę nad swym ciałem i ciągnął właścicielkę za sobą. Riker i Mallory wymienili spojrzenia.

- Jeżeli zamierzasz zastrzelić tego kundla, mała, to zastrzel też babę, bo w przeciwnym razie zaskarzy policję do sądu. Komendant Beale by się nie ucieszył.

Nos sprawiał wrażenie, jakby nigdy przedtem nie widział psa. Siedział posłusznie u Mallory na kolanach, lekko zdziwiony widokiem dużego, oszalałego zwierza, który nadchodził, by go zjeść.

Riker wrócił do czytania. Przy nazwisku Harry Kipling Mallory postawiła pytajnik. Obok widniał dopisek ołówkiem: „Powiązany z Kipling Electronics?”.

To nazwisko może przyprawić Coffeya o ból głowy, pomyślał. Podejrzani o głośnych nazwiskach są najgorsi. Ale może przy odrobinie szczęścia Kipling okaże się fanatykiem komputerowym i odpadnie.

- Skąd masz grupę krwi Kiplinga? Przecież nie był w wojsku?

Zerknęła na Rikera i od razu zrozumiał, że nie chciałby znać odpowiedzi na to pytanie. Nagle przyszło mu do głowy, że wślizgnięcie się do archiwów szpitalnych musi być pestką w porównaniu z pokonaniem zapór strzegących baz danych armii amerykańskiej.

- O kurde! - mruknął. Patrzył na kolejne dwa głośne nazwiska. Jeden z podejrzanych dostał niedawno nominację na sędziego Sądu Najwyższego i właśnie przesłuchiowano go w Senacie. Drugi był znanym dziennikarzem telewizyjnym, który co dzień prowadził *talk show*. Niedobrze, z czterech nazwisk co najmniej dwa były głośne na cały kraj.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że rozochocony owczarek zbiera się do skoku na kota. Mallory właśnie podkulała nogę, by kopniakiem postać bestię do lepszego świata.

*

Zza drzwi gabinetu Charlesa dobiegały odgłosy spokojnej rozmowy. Mallory położyła płócienną torbę na biurku w dużym pokoju. Kot wydostał się i otarł o jej rękę, gdy otwierała szufladę, by sprawdzić, czy automatyczna sekretarka nie zarejestrowała jakichś telefonów.

Charles sprzeciwiał się obecności nowoczesnych wynalazków wśród antyków z innych stuleci, zatem ukrywała je przemyślnie przed jego oczyma. Wciąż nie miał pojęcia, że zainstalowała w biurze system alarmowy.

Odsunęła kota i wcisnęła guzik. Usłyszała głos Coffeya: „Chcę z tobą rozmawiać jak najszybciej. Jak najszybciej! Zrozumiano?!”

Dobra, dobra.

Wtem z gabinetu Charlesa dobiegł krzyk kobiety. Przerażony kot zeskończył z biurka.

Mallory w jednej chwili otworzyła drzwi i z dobytą bronią stanęła w progu. Jakiś mężczyzna mówił do chłopca:

- Justin, nie!

Siedząca obok kobieta łapczywie chwytła ustami powietrze. Patrzyła wytrzeszczonymi oczyma, a głowę miała wtuloną w ramiona. Błada, drżała

niepohamowanie na całym ciele prócz rąk, którymi trzymała się kurczowo poręczy fotela, jak pilot gotujący się do katapultowania. Mężczyzna warknął na nią:

- Na miłość boską, Sally, weźże się w garść. To tylko cholerny ołówek!
- Najwyraźniej cię lubi, Sally - powiedział chłopiec, który siedział między nimi. - Może nazwij go jakoś i zabieraj do parku na spacer?
- Dość! - rzekł do niego mężczyzna.

Mallory spojrzała na ołówek leżący niewinnie na kolanach kobiety. Ta wpatrywała się w niego, jakby był zmiją.

Nagle z boku rozległ się cichy stukot. Mallory obróciła się i ujrzała wazę balansującą na krawędzi półki. Bezcenny przedmiot wychylił się i spadł. Mallory skoczyła do przodu z wyciągniętą ręką i chwyciła go kilka centymetrów nad podłogą, gdzie nie sięgał perski dywan.

- Justin, mówiłem ci, przestań! - ryknął mężczyzna.

Chłopiec skulił się. Spojrzał ponad jego ramieniem na wazę trzymaną przez Mallory oraz na broń wkładaną z powrotem do kabury. Bojąca się ołówków kobieta zakryła dłonią usta. Jedyne Charles trzymał nerwy na wodzy. Spokojnie przyglądał się całej trójce.

- To nie ja - odparł chłopiec.
- To rzeczywiście nie on - odezwał się Charles - tylko pociągi pod ziemią. Wywołują drgania, które przesuwają przedmioty. Waza znajdowała się blisko brzegu.

Mallory stała przy drzwiach i patrzyła na Charlesa z niekłamany niedowierzaniem. Z rękoma założonymi pod głowę, siedział rozparty w fotelu i uśmiechał się do niej, jakby nie widział, że wart siedem tysięcy dolarów wyrób gliniany z V wieku o mały włos nie rozpadł się na bezwartościowe skorupy.

- Ale ołówki nie fruują z powodu pociągów - powiedział nieznajomy mężczyzna jednostajnym głosem, jakby tłumaczył oczywistość półgłówkowi.

- To prawda. Chciałbym, by państwo poznali moją współniczkę, Mallory.

Podeszła do biurka i stanęła przed trzyosobową rodziną. Podczas gdy Charles przedstawiał jej Riccalów, przyjrzała się chłopcu.

Justin Riccalo jasne włosy miał zaczesane gładko do tyłu, zaś rozchyłone usta ukazywały na przodzie dwa wystające zęby. Ogólnie przypominał zmokniętego piegowatego królika. Z wyglądu miał jedenaście lat. Zdradzał cechy kujona - w kieszeni na piersi nosił plastikową saszetkę z rzędami flamastrów i długopisów. Stopy niespokojnie tupały, chcąc ruszyć w drogę, nawet jeśli miałyby to oznaczać rozbrat z resztą ciała. Jaskrawoniebieskie oczy brykały w dzikim tańcu do słów: „A co jest tam, a co tu, a co na suficie?”

Roztrzęsiona brunetka o nazwisku Sally Riccalo okazała się macochą Justina. Jej podminowane ciało w każdej chwili groziło wybuchem emocjonalnym. Przycupnęła na skraju krzesła i patrzyła błagalnie szeroko rozwartymi oczyma, w których każdy czytał to samo: „Nie rób mi krzywdy”.

Ojciec, Robert Riccalo, był niegdyś wojskowym. Tyle zdradzały przycięte na jeża włosy i sprężysta postawa. Siedział sztywno. Był tak szeroki w barach, że zasłaniał sobą kobietę i chłopca, lecz nie Charlesa, który w sposób naturalny, acz z przepraszającym uśmiechem na twarzy, górował zwykle nad wszystkimi.

Kiedy Justin obrócił się ku macosze, szyja mu się wydłużyła, a oczy rozbłysły na myśl o jemu tylko wiadomym figlu. W gardle zbierał się nerwowy chichot. Były wojskowy położył dłoń na szczupłym chłopięcym ramieniu i jej ciężarem zdusił śmiech w zarodku. Spoglądając na ojca, syn wtulił głowę w tułów niby żółw, tymczasem niebieskie oczy tańczyły w nieregularnym rytmie rozbawienia przemieszanego ze strachem.

Chwilę później chłopiec podniósł wzrok na Mallory i tak w milczeniu nawiązało się tajemne porozumienie. „Znam cię” - mówiła jedna twarz drugiej, choć chłopiec i młoda kobieta nigdy przedtem się nie spotkali.

Charles biegł spojrzeniem od zielonych oczu do niebieskich i z powrotem, pytając niemo: „Zaraz, zaraz, co tu się dzieje?”.

*

Ustalono, że kolejne spotkanie odbędzie się nazajutrz i rodzina wyszła gęsiego z gabinetu pod dowództwem Roberta Riccalo. Gdy trzasnęły drzwi frontowe, Mallory obróciła się do Charlesa, wążąc cenną wazę w dłoni.

- Wróćmy do kwestii pociągów - rzekła.

- To nie oryginał, tylko tania kopia. Własnoręcznie ją wykańczałem. I to naprawdę wina pociągów.

Podszedł do biblioteczki z książkami i wziął do ręki zapałkę, która leżała na półce.

- To skierowało lekko wazę w kierunku krawędzi, za którą już czekała siła przyciągania ziemskiego, tak że wywróciłaby się i spadła przy najmniejszej wibracji. Chciałem zobaczyć, jak zareaguje chłopak.

- No i jak zareagował?

- Zaskoczyło go to w normalnym czasie. Ma dobry refleks. Zaprzeczał, by to za jego sprawą latał ołówek i spadła waza. To ciekawe. Z uporem powtarza, że nic nie robi. To nie pasuje do charakterystyki przeciętnego podmiotu psychokinetycznego.

- Więc?

- Cóż, przez to cała sprawa jest bardziej interesująca. Może rzeczywiście to nie on. Jest tu mała nielogiczność. Nie przyznał się, a jednak nie przestraszyło go to, co się działo. Jakby był przyzwyczajony do latających po domu przedmiotów. Wydawał się niemalże znudzony.

- Postaraj się rozgryźć tę sprawę, zanim trzecia żona zejdzie z tego świata, dobra? - Mallory podeszła do biurka, na którym leżała płócienna torba.

Kot wystawił głowę spod biurka i z naprężonymi uszami nasłuchiwał w obawie przed krzykiem i innymi donośnymi odgłosami. Uspokojony, wymaszerował z kryjówki i spojrzał na Charlesa, przekrzywiając głowę, jakby zabandażowane ucho mu ciążyło.

- Cześć - powiedział Charles i ukucnął, by pogłaskać kota, ale ten wymknął się spod jego dłoni. Patrzył tylko na Mallory. Otarł się o jej nogę, ale go odtrąciła.

- To świadek - powiedziała gwoli wyjaśnienia. - I ani słowa na ten temat, wystarczył mi już Riker. Uśmiechnij się tylko, a zastrzelę, tak się sprawy mają.

- Co mu się stało w ucho?

- To nie moja robota. Możesz go zatrzymać na jedną noc? Zamieniam się dziś na mieszkanie z Rosenami, nie mogę go wziąć ze sobą.

- Naturalnie.

Mallory wyjęła z płóciennej torby pudło na kocie odchody i dwie puszkę rybne.

- Na imię ma Nos. Nie wpuszczaj go do mojego gabinetu, nie chcę żadnych kłaków na komputerach.

- Wezmę Nosa do domu.

- Dzięki. A oprócz latających przedmiotów to jak poszła rozmowa? Wiesz, które to robi, jeżeli nie chłopak?

- Nie.

Mallory wyjęła z torby skoroszyt.

- Pierwsza pani Riccalo zmarła na atak serca - powiedziała. - Teraz, kiedy już widziałam męża, zastanawiam się, w jak wielkim napięciu żyła i ile trzeba było, by miara się przebrała. To dokumenty ze szpitala.

Podawała Charlesowi skoroszyt, on zaś zawahał się nagle, jak człowiek, którego powstrzymała instynktowna obawa, że brany do ręki przedmiot może być brudny. Może jednak mylił się sądząc, że każdy wydruk komputerowy, który mu dawała, zdobyła dzięki swym złodziejskim talentom.

- Ukradłaś to? - zapytał.

- Tego nie, to tak - odparła i podała mu drugi skoroszyt, oznaczony godłem nowojorskiego wydziału policji. Przebiegł oczami po tekście szczegółowego raportu na temat samobójstwa drugiej żony Roberta Riccalo. Szybko przerzucił wszystkie trzy strony.

- No cóż, tutaj jest napisane, że samobójstwo nie wzbudza podejrzeń.

- Mogę to zmienić.

- Dlaczego niby?

- Kiedy przyjrzesz się statystyce samobójstw, to zauważysz, że większość z tych, którzy kończą skokiem z dużej wysokości, to mężczyźni. Kobiety zostawiają po sobie większy porządek. Ponadto nie napisała kartki. A przecież ludzie lubią wyrównać rachunki z bliskimi, gdy z własnej woli wynoszą się z tego świata.

- Czy między dwiema pierwszymi paniami Riccalo są jakieś podobieństwa?

- Obie pracowały zawodowo i były ubezpieczone na życie przez pracodawcę. Nie ma pewności, czy miały tylko jedną polisę. Próbuję się właśnie dowiedzieć. Sally Riccalo również jest ubezpieczona, w domu maklerskim, w którym pracuje jako analityk. Z informacji zawartych w jej życiorysie wynika, że dziesięć lat temu pracowała w jednej firmie z Robertem Riccalo, a wtedy żyła jeszcze jego pierwsza żona. Ciekawe, prawda?

- Zaraz, chwileczkę. Zaczęliśmy od dość prostego problemu latających przedmiotów. Nie sądzisz, że podejrzenie o morderstwo to lekka przesada? Kto był beneficjentem polisy na życie?

- Robert Riccalo. W wypadku śmierci trzeciej żony też będzie.

- Ale co w tym dziwnego? Zwykle to właśnie któreś z małżonków dostaje pieniądze z polisy drugiego.

- Najczęściej to jednak mąż zabezpiecza w ten sposób żonę, a nie odwrotnie. Sprawa wygląda tak: jeden zawał, jedno samobójstwo, a trzecia pani Riccalo wygląda, jakby zaraz miała oszaleć. Nie byłaby tak roztrzęsiona z powodu jednego ołówka. Ciekawe, co jeszcze latało ostatnio w jej stronę.

- Och, nożyczki i jakieś rozbite szkło.

- Co na to ojciec?

- Wścieka się, nie wierzy. Chyba tylko ona wierzy.

- Zaraz, przecież miał pretensję do chłopca o wagę. Wyglądało, że wierzy.

- Nie, tylko ona wierzy w zjawiska paranormalne. On myśli, że chłopak robi sztuczki.

- Co do tego nie ma wątpliwości: na pewno któreś robi sztuczki. Jesteś pewny, że to był twój ołówek?

- Co?

- Charles, hańbisz pamięć Maxa Candle'a. Przecież któreś mogło przyjść z przyszykowanym ołówkiem.

- No tak. Nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele. Zdolności kuglarskie nie są dziedziczne. Jeżeli w drzewie genealogicznym jest jeden czy dwóch magików, nie oznacza automatycznie, że potomkowie też nimi będą.

- Przecież w piwnicy masz cały arsenał. Z tym sprzętem, który dostał ci się w spadku, mógłbyś sprawić, że latałby nawet słoń.

- Wcale nie. Max rzeczywiście miał kilka cudownych numerów, ale jego specjalnością było wyzywanie śmierci. To Malakhai sprawiał, że rzeczy fruwały w powietrzu, ale nigdy coś tak banalnego jak ołówek. Był największym iluzjonistą na świecie.

- Malakhai? Ten demaskator?

- Demaskowaniem oszustw uchodzących za zjawiska paranormalne zajął się później, kiedy już zszedł ze sceny. Dawno temu, zanim się urodziłaś, wykonał pokaz ze swą zmarłą żoną. Masz minę niedowiarka... Naprawdę. Była jego asystentką.

- I nie żyła?

- Tak. Dopiero po śmierci brała udział w jego magicznych widowiskach. Za życia była kompozytorką i muzykiem.

- No i co z nią zrobił? Wypchał trocinami bez użycia rąk?

- Nie, w materialnym sensie wcale się nie pojawiła. Widzowie rozumie-li jednak, że jest wśród nich i zarazem jej nie ma, nie żyje, ale nie odeszła całkowicie, jeśli mnie rozumiesz. Kiedy już oswoili się z myślą, że żona Malakhaiego jest nie tylko niewidzialna, ale też nie żyje, w powietrzu zaczęły fruwać ku niemu przedmioty. To ona mu je podawała.

- Ten twój Malakhai pasowałby jak ulał do naszej rodzinki. Zajmuje się więc parapsychologią?

- Skąd. On jest zajadłym wrogiem parapsychologów. Ilekroć myślą, że odkryli kolejną paranormalną zdolność człowieka, on się zjawia i rozgania ich na cztery wiatry, ujawniając nowe hochsztaplerstwo.

- Zamierzasz poprosić go o pomoc w sprawie Riccalów?

- Żeby wyjaśnił powody latania przedmiotów? Coś ty. Poza tym nie należy zakłócać jego spokoju. On ma już ponad siedemdziesiąt lat. Odgrodził się z Louisą od świata.

- Z Louisą?

- To właśnie jego zmarła żona. Gdybyś mniej zajmowała się komputerami, a w zamian słuchała trochę muzyki klasycznej, skojarzyłyabyś. „Koncert Louisy” to jej jedyny utwór, ale za to doskonały. W żadnej kolekcji muzyki poważnej go nie brak. Grany był podczas każdego występu Malakhaiego. Musisz wiedzieć, że to przestawanie z Louisą po jej śmierci nie było żadną sztuczką sceniczną. Absolutnie. Malakhai żył z nią, rozmawiał, spał. Iluzje latających przedmiotów stwarzał tylko po to, by ludzie w jakiś sposób dostrzegli jej obecność.

- I ten szajbus demaskuje zjawiska paranormalne?

- Tak. Jak to często bywa z szaleńcami, to, co robi, robi fachowo. Zawsze przyznawał, że sam stworzył obłąd, w który popadł. Wiedział, że w Louisie nie było żadnego aspektu nadnaturalności.

- Dobra, dobra, powiedz mi lepiej, jak to się stało, że tak mu odbiło.

- Cóż, Louisa umarła młodo. Napisała ten wspaniały koncert i umarła. Znał ją od dziecka i nie potrafił się pogodzić z odejściem Louisy, więc ją zrekonstruował.

- Że co, proszę?

- Odtworzył ją z pamięci, z własnej intymnej wiedzy o niej. Robiono to wcześniej, ale wyłącznie w odległych azjatyckich monasterach. Są udokumentowane wypadki narodzin *succubus** z czystej wyobraźni. Tymczasem twór Malakhaiego był oparty na żywej niegdyś kobiecie - to istotna różnica. Na tyle dobrze znał Louise. Wiedział, jaka będzie jej odpowiedź w każdej konkretnej sytuacji. Zrekonstruował zatem wierny jej model. I wkrótce potrafił już nie tylko prowadzić z Louisą rozmowy, ale też widzieć ją i dotykać. To było dziełem ogromnej koncentracji umysłu. Bo, widzisz,

model musiał być obsesyjnie wierny pierwowzorowi, musiał reagować w ten sam...

* *Succubus* (łac.) - demon płci żeńskiej, który pojawia się, by odbyć stosunek płciowy z mężczyzną (przyp. tłum.).

- To jakaś sztuczka.

- Sztuka, nie sztuczka, wielka iluzja, arcydzieło podobne do „Dialogów” Platona. Wielu z nas robi tego rodzaju rzeczy na małą skalę. Nie zastanawiasz się czasem, co Markowitz powiedziałby albo zrobił w jakiejś sytuacji?

Obróciła się do okna i Charles zrugął się w myśli za przekroczenie granicy, za którą leżały jej intymne uczucia. W przeciwieństwie do innych wierzył, że Mallory je ma.

- Kolejną różnicą między Malakhaim a mnichami było to - ciągnął - że oni tworzyli swe iluzje i wysyłali je w świat. Tymczasem zrekonstruowana Louisa została towarzyszką Malakhaiego. Wciąż nią jest.

Mallory obróciła się z powrotem do Charlesa i w nieobecnych zielonych oczach dostrzegł wartką pracę jej umysłu.

- Czekaj, czekaj. Ten Malakhai... on jest po prostu szurnięty, nie?

- Och, z całą pewnością. Ale trzeba mieć naprawdę tęgi łeb, żeby aż tak zwariować. Jeżeli zastanowisz się, jak wielkiego skupienia wymaga utrzymanie trójwymiarowej iluzji...

- I gdy rozmawiał z Louisą, odpowiadała tak, jak za życia, nawet jeśli pytanie było nowe?

- Oczywiście. W sposób paradoksalny to właśnie prawda i logika były spoiwem, dzięki któremu iluzja nie rozsypała się w drobny mak. Zrekonstruowana Louisa nie mogła odpowiedzieć w sposób, który byłby niezgodny z tym, w jaki odpowiadała kiedyś żywa kobieta.

- A ty mógłbyś to zrobić? Mógłbyś porozmawiać z nieżyjącą kobietą?

- Malakhai i Louisa wyrosli razem. Potrafił zatem przewidzieć, co powie w każdej konkretnej sytuacji. Znał na wylot jej umysł, jej najskrytsze myśli. Ja nikogo nie znam tak dobrze.

Z pewnością nie ciebie, Mallory.

- Trzeba chyba być szalonym, by stworzyć coś takiego.

- Trzeba przynajmniej mieć w sobie to szaleństwo, które towarzyszy miłości. Kiedyś pewna kobieta powiedziała mi, że zakochani są chorzy umysłowo. Wierzę w to. Malakhai przekroczył wszelkie granice rozsądku tylko po to, by odzyskać Louise. Taka miłość to obłąd. Jest więc szaleńcem, ale także cudownym, czarującym człowiekiem. Ilekroć mieszkałem u Maxa, przychodził z Louisą na kolację.

- Czy naszej zmarłej dopisywał apetyt?

- Trudno mi powiedzieć. W domu Maxa zawsze działo się coś magicznego. Stawiali dla niej talerz, nalewali wina do kieliszka i w trakcie kolacji naczynia powoli się opróżniały. Jedzenie pewnie było usuwane w kuglarski sposób w momencie mojej nieuwagi, ale jakaś część mnie zawsze wierzyła, że to Louisa jadła.

- Czy ty kiedykolwiek parałeś się takimi trójwymiarowymi sztuczkami?

- Sztuką, nie sztuczkami. Nie, bo po co? Po cóż ktoś chciałby przekroczyć tę granicę? To niebezpieczne.

Chyba tylko z miłości.

Mallory pochyliła się, by podnieść z podłogi płócienną torbę, i wówczas dostrzegł u niej wahanie, jakby pochłonęła ją jakaś spóźniona myśl. Ręka powróciła pusta. Mallory obróciła się do Charlesa.

- Chciałabym choć na pięć minut przywrócić do życia Amandę Bosch.

- To owa kobieta zamordowana w parku, jak mniemam.

- Tak. Wydaje mi się, że znalazłam motyw - powiedziała Mallory i znów się pochyliła. Sięgnęła w głąb torby. Wyjęła rękopis powieści i usiadłszy za biurkiem, przerzuciła kartki, następnie odłączyła od reszty złączony spinaczem plik stron.

- Wydruk z jej komputera - wyjaśniła. - Zegar komputerowy wskazywał, że to ostatni dokument, do którego zajrzała przed śmiercią. Powieść. Pisała ją już blisko rok. Wydaje mi się jednak, że nie jest to czysta fikcja.

- Sztuka to prawdopodobne kłamstwa. Kto tak powiedział?
- To ty masz pamięć komputerową, nie ja.
- Ejdetyczną, nie komputerową. U mnie odbywa się to całkiem inaczej niż w maszynach. Nie potrafię ci błyskawicznie powiedzieć, na której stronie zapamiętanego przeze mnie tekstu znajduje się słowo „zielony”.
- O, tutaj, strona 254, rozdział VII. Spójrz na ostatni akapit. Pamiętaj, że pisała to w dniu śmierci.

Charles pochylił się i przeczytał: „Znów wychodził, z litanią spraw, które musi załatwić, jedną pilniej TY KŁAMCO, KŁAMCO, KŁAMCO, KŁAMCO, KŁAMCO, KŁAMCO”.

- Rozumiem - powiedział Charles. - To nie należy do powieści, wygląda raczej na wybuch emocji nad klawiaturą.

- Właśnie. Zwróciłam na to uwagę przy drukowaniu. Na razie przekartkowałam tylko powieść w poszukiwaniu jakichś ingerencji w tekst. Liczy prawie siedemset stron. Jestem pewna, że morderca został tu gdzieś opisany szczegółowo, a ty jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który potrafi czytać z prędkością światła. Ja po prostu nie mam czasu, żeby aż tyle pochłonąć. Mógłbyś to przejrzeć i zakreślić miejsca, które brzmią autentycznie?

- Oczywiście. - Wydawało się, że Charles spogląda pobieżnie na stronicę i natychmiast je przewraca, tymczasem naprawdę chłonał każde słowo. Jednocześnie przyłapał Mallory na kłamstwie. Zauważył, że ma zaczerwienione z niewyspania oczy, a przyczynę tego stanu rzeczy zdradziły mu ośle uszy w prawych dolnych rogach kartek. Po kilku minutach szybkiego czytania podniósł wzrok.

- Zastanawiam się, na czym polegało kłamstwo. Od początku scharakteryzowała go jako żonatego. Nie chodzi więc o to, że zataił małżeństwo z inną.

- Wyraźnej odpowiedzi chyba w tekście nie znajdziesz. Według mnie ona dopiero niedawno dowiedziała się, że była okłamywana.

- Aha. Myślisz, że zdradzał kobietę, z którą zdradzał żonę?

- Nie o to chodzi. Moim zdaniem jedynym pożytkiem, jaki Amanda

miała z tego mężczyzny, to zajście w ciążę. Tyle że potem ją usunęła. I tu jest problem. Wiem, że motywem było to, iż odkryła kłamstwo, ale nie wiem, na czym ono polegało. Nic więcej jednak nie mam. Amanda Bosch była zawodowym szperaczem. Być może sprawdziła przeszłość faceta. To brzmi logicznie, bo przecież miał zostać ojcem jej dziecka. I w ten sposób pewnie odkryła, że ją oszukiwał.

- Cóż, niezbyt nam to zawęży pole poszukiwań. Jest tyle kategorii kłamstwa, ilu ludzi na świecie.

- Szkoda, że twój przyjaciel Malakhai nie może jej zrekonstruować i zapytać. Jeśli szybko nie pchnę sprawy do przodu, morderca się wywinie. Gdy skończysz czytać, zostaw rękopis w moim gabinecie.

- Dobrze, ale na twoim miejscu nie spodziewałbym się wielkich rewelacji. Wątpię, by powieściopisarz opierał się na życiu w większym stopniu niż aktor, gdy wypełnia sobą rolę. Aktor nie odtwarza siebie i podejrzewam, że nawet autor autobiografii nie spisuje dokładnie swego życia.

- No dobrze, a ten ostatni wręt, sześciokrotne: TY KŁAMCO, które nazwałeś wybuchem emocji? Na kogo ona wrzeszczy, jeśli nie na postać z powieści?

- Zgoda, będę to miał na względzie podczas lektury.

- Idziesz jutro na pokera?

- Oczywiście. - Gra w pokera to dla Charlesa wydarzenie tygodnia. Krzesło przy stoliku odziedziczył po inspektorze Louisie Markowitzu, a wraz z krzesłem jego trzech przyjaciół. Każdy nowy przyjaciel był dla Charlesa na wagę złota, ponieważ serdecznością ze strony otoczenia chciał wynagrodzić sobie lata samotności na akademii i w instytucie naukowym.

- Gdybym się nie pojawił, oczekivaliby czeku opiewającego na przegrywaną zwykle przeze mnie sumę. I słusznie. Nie chciałbym, by ucierpieli finansowo z powodu mojej nieobecności.

- Charles, kiedyś przysiądziemy razem i nauczę cię, jak ich ograć.

Na pewno nie dziś. Mallory stawiała właśnie „ptaszki” przy pozycjach w notesie i nawet ze sporej odległości Charles widział, że wiele jeszcze

zostało jej tego dnia do załatwienia. Obrócił się do okna i spojrzał w dół na ulicę.

- Rabbi Kaplan mówi, że ciągle przegrane dobrze o mnie świadczą.

- A zdradził dlaczego?

- Co? I jeszcze, że rujną jego dobre imię, reputację Kapłana Kapłana.

Nie, nie powiedział, pewnie sam muszę się domyślić. - Podązał oczyma za idącą ulicą znajomą postacią w bezkształtnym zimowym palcie. Obrócił się do Mallory. - Ale ty chyba wiesz, co?

- Rabbi chwalił cię za uczciwość. Poker to gra oszustów, Charles. Skoro tam idziesz, chcę, byś odebrał coś od Slope'a i Duffy'ego. - W tej właśnie chwili Mallory postawiła znaczek przy kolejnej pozycji w spisie, którą zapewne był on sam. - Zadałam im obu prace domowe, chodzi o informacje, które muszę mieć bez pośrednictwa Coffeya i Rikera.

- Wiesz, Mallory, w policji są oprócz ciebie jeszcze inni funkcjonariusze. I myślą o sobie jako o zawodnikach jednej drużyny.

- Tak, wiem, Riker też choruje na te mrzonki - odparła. W jej głosie dała się słyszeć ostrzejsza nuta, oznaka raczej zniecierpliwienia niż gniewu. - Ma się za mojego trenera.

Charles chętnie powiedziałby coś w obronie sierżanta, ponieważ go lubił, ale niebezpiecznie było stwarzać choćby pozory, że staje się po przeciwnej stronie niż Mallory. Wydawało się, że ilekroć w ich rozmowach dochodziło do konfrontacji stanowisk, Charles zawsze rejterował.

- Może więc pójdziesz jutro ze mną? Rabbi Kaplan mówił o tobie z uznaniem jako o urodzonym geniuszu karcianym.

- Nie mogę. Zabroniono mi grać w karty, kiedy skończyłam trzynaście lat.

W zamku szczęknął klucz, następnie otworzyły się drzwi, przez które wsunęła się najpierw rura, za nią odkurzacz i mała głowa pani Ortegí.

Charles nie zdążył już zadać niedyskretnego pytania, które cisnęło mu się na usta: „Co, na Boga Ojca, zrobiłaś tym mężczyznom, że nie chcą grać z tobą w karty?”

Pani Ortega przystanęła w pół kroku, łypiąc okiem na kota, prawdopodobnie z myślą o obdarciu go ze skóry i zrobieniu z niej portmonetki. Jako zawodowa sprzątaczką często wyrażała opinię, że dobre futro to martwe futro. Kot otarł się o Mallory i wówczas stało się jasne, do kogo należy. Pani Ortega spojrzała na nią zdumiona i srogo rozczarowana herezją fanatycznej do niedawna współwyznawczynie Przenajświętszego Kościoła Nie-skazitelnego Porządku.

Mallory wręczyła jej w milczeniu dwudziestodolarowy banknot, zdając sobie sprawę, że obecność kota wymaga od sprzątaczkę dodatkowego wysiłku. Pani Ortega schowała pieniądze i rzuciła zwierzęciu nieco miłociw-sze spojrzenie.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi, donośnie, natarczywie. Wzniesioną dłońią Mallory powstrzymała ruszającego do drzwi Charlesa.

- Dobra, powiedz, kto to?
- Riker - odparł bez wahania, jak nigdy.

Otworzył drzwi i ujrzał sierżanta w całej jego niechlujnej okazałości. Mallory opadła dolną szczęką. Nie wierzyła, by odgadł, by domyślił się, kto stał za drzwiami. Podobnie jak Charles, potrafiła rozpoznać uprzejme, lekkie naciskanie dzwonka przez Henriettę Ramsharan z drugiego piętra oraz ostre dźwięki płynące spod palca muzyka mieszkającego na parterze. Tymczasem Riker nie miał żadnego stylu, w normalnym rozumieniu tego słowa, w żadnym aspekcie swej egzystencji.

- Cześć, Charles - powiedział. Skinął głową Mallory i uklonił się przesadnie pani Ortedze, która z grymasem na twarzy przeszła do sąsiedniego pokoju, mruczając coś pod nosem. Prawdopodobnie: „Cholerne gliny”.

- Telefonowałeś do Charlesa i powiedziałaś mu, kiedy przyjdiesz - odezwała się Mallory do Rikera. Następnie spojrzała na Charlesa, szukając u niego potwierdzenia, nie wierząc ani przez chwilę, by mogło być inaczej.

Z uśmiechem na twarzy pokręcił głową. Wprawdzie nie wszystkiego potrafił się dowiedzieć po sposobie dzwonięcia do drzwi, Riker jednak

do niego nie telefonował. I naraz Charles poczuł się, jakby właśnie przeszedł wtajemniczenie w grze oszustów. Postanowił, że nie zdradzi Mallory, skąd wiedział, kto stoi przed drzwiami. W wyobraźni pędził już na jutrzejszą partię pokera, by ograć wszystkich do szczętu, tymczasem Riker zapadał się w miękko wymoszczoną kanapę.

Z wewnętrznej kieszeni palta sierżant wydobył zwitek papierów i rozpostarł je na kolanie, próbując wygładzić załamania. Na pierwszej kartce widniała mapka parku z naniesionymi żółtymi liniami. Spojrzał na Mallory, która wciąż patrzyła na Charlesa.

- Heller namierzył dokładne miejsce, gdzie upadła i zginęła Amanda Bosch. Ten facet to geniusz. Pojechał z próbkami ziemi do Departamentu Rolnictwa. Ziemia wykryta w ranach zawierała takie mikroskopijne cząsteczki, których nie ma na cienistej dróżce, gdzie znaleziono ofiarę. - Przyłepiwszy sobie do ust papierosa, Riker szukał po kieszeniach zapalek. - Mówi, że napisze o tym książkę i odda ci połowę honorarium, Mallory. No, masz chęć pojechać tam i rozejrzeć się?

- Po co? - zapytała. Odebrała od sierżanta kartkę z żółtymi oznaczeniami. - Potrafię czytać mapy.

- Ej, spokojnie, ja tylko próbuję ci pomóc. Większość z nas lubi powęszyc dokoła miejsca zbrodni, zobaczyć, gdzie upadła ofiara.

- Strata czasu. Czytałam przecież raport. Na miejscu była ekipa techniczna i pewnie jeszcze z tuzin funkcjonariuszy, a każdy nosi buty numer dziesięć. Co ja tam mogę zobaczyć? Wszystko już zdeptane.

- Nigdy nie wiadomo, mała. - Trzymana przez Rikera zapalka buchnęła ogniem, po czym zgasła w chmurze wydmuchanego dymu.

- Nie nazywaj mnie „mała”.

Pani Ortega wróciła do dużego pokoju i podłączyła odkurzacz do gniazdka. Riker uśmiechnął się do niej.

- A wie pani - zagadał - mamy teraz na warsztacie zbója, który przypadłby pani do gustu. Wiemy o nim tylko tyle, że mieszka w luksusowym

apartamencie i potrafi po sobie posprzątać, jakby przez całe życie nic innego nie robił.

- No to nie urodził się bogaty.

- Co?

- Bogate dzieciaki nie są dobrze wychowywane. Od razu można poznać, kto zarabiał od małego ciężką pracą, a komu pieniądze przychodziły łatwo. Wokół Mallory zawsze jest czysto. - Obróciła się do Charlesa. - A panu to matka nigdy nie pozwalała się przemęczać. Mieliście stałą pomoc domową. Skąd ja to wiem? No bo pan nie ma pojęcia, co to druciak ani do czego służy. Zawsze poznam, kiedy to pan sprzątał w kuchni po kolacji, a kiedy Mallory. Mallory dobrze wychowano.

- Ale ten mężczyzna, którego podobno też dobrze wychowano, jest zabójcą - zaoponował Charles nieśmiało.

- No to co? A pan myśli, że Mallory po co nosi ciężkiego gnata? Żeby jej wicher nie porwał? - Wsparłszy się na rurze od odkurzacza, pani Ortega pogroziła Charlesowi palcem. - Zawsze można odróżnić bogate dzieciaki od biednych. Jak żona rzuci męża albo odwrotnie, to drugie nie bierze nic do gęby przez tydzień. Są tak zdruzgotani, że idzie tylko woda i proszki. Ale jak sprzątaczką ich zostawi, to dopiero cały świat się im wali. Żyją jak zwierzęta. Więc ja to bym stawiała, że wasz zbój urodził się biedny.

Mallory kiwała głową. W kwestiach proszków czyszczących i chemicznego wywabiania plam zawsze słuchała się pani Ortegi. Możliwe że sprzątaczką była jedyną osobą na świecie, której Mallory w ogóle się słuchała.

- Po tym, jak ktoś sprząta i co trzyma w domu, można dużo powiedzieć o jego charakterze - ciągnęła pani Ortega z rzadką u niej filozoficzną nutą.

- Wiesz co - odezwał się Riker do Charlesa - z rok temu poprosiłem panią Ortęgę, żeby posprzątała moje mieszkanie, ale się tylko przeżegnała i odwróciła plecami. No to teraz myślę sobie, iż miałem fart, że się nie zgodziła. - Gdy Riker wyjmował ręce z rękawów palta, wałeczek szarego popiołu odpadł od papierosa i stoczył się po klapie jego marynarki.

- Nie muszę wcale oglądać pańskiego mieszkania, żeby wiedzieć to i owo - odparła pani Ortega. Rzuciła sondujące spojrzenie na wygnieciony garnitur i znoszone buty. - Ma pan przynajmniej trzy torby śmieci w kuchni. Prześcieradła nie zmieniał pan pewnie od miesiąca, a pod łóżkiem walała się butelki. Może znalazłyby się ze dwa czyste talerze, ale nie więcej. Żyjemy też za pan brat z pajakami, co? No i dzisiaj czeka nas jeszcze randka z kobietą.

Trzy pary zdumionych oczu wpatrzyły się w sprzątaczkę.

- Skąd pani wie o randce? - zapytał Riker.

- No bo użył pan taniego wywabiacza brudu. Nawet z tej odległości widzę otoczki proszku wokół plam. Zazwyczaj nie jest pan aż tak porządnicki.

Mallory skinęła głową pani Ortedze z szacunkiem i ruszyła do drzwi swego gabinetu.

- Muszę się spakować - powiedziała. - Zaraz wracam.

- Cieszę się, że cię widzę - zwrócił się Charles do Rikera. - Może filiżankę kawy?

- Wciąż jest rano?

- Już nie.

- No to może piwo?

Połykająca brud paszcza posuwała się ku nim powoli, wysysając z powietrza ich słowa. Gdy pani Ortega wyłączyła wreszcie odkurzacz i oddała się cichszej czynności, którą było wycieranie kurzu, Charles wręczył Rikerowi zimne piwo.

- To, co wyprawia Mallory, jest chyba dość niebezpieczne, prawda? - zapytał. - Dziwię się, że pozwalasz jej na to.

- Musi to robić w ten sposób. Brak dowodów rzeczowych, broni, świadków, brak motywu. Zabić mógł każdy, kto potrafi trzymać kamień. Miejsce leży sześć minut drogi piechotą od tej kamienicy. Nawet portier miał sposobność. Rozumiesz więc, na czym polega problem. Jeśli Mallory nie wykurzy faceta z nory, ujdzie mu to na sucho.

Umysł Charlesa na gorąco analizował toczącą się rozmowę. „Brak motywu” - mówi Riker? Czy to możliwe, że nie widział rękopisu, który leży

tuż obok na biurku? Gdy oczy sierżanta spoczęły na ryzie papieru, jakiś rozbudzony przez Mallory instynkt kazał Charlesowi odwrócić jego uwagę.

- Ale Markowitz by tego nie pochwalał - rzekł. - Będziesz przy niej cały czas, prawda?

- Jak mówiłem, Charles, ja tylko próbuję pomóc. Ona tak naprawdę mnie nie potrzebuje. Nie jest już dzieckiem, zresztą nawet jak miała ledwie roczek, też nikogo nie potrzebowała. - Riker łyknął piwa.

- Ale przecież Louis zawsze przyznawał, że Helen...

- Helen widziała w Mallory tylko dobro, nawet tam, gdzie go nie było. Pamiętam, jak szalała ze szczęścia, kiedy Lou zaczął brać małą po szkole do pracy. To był jedyny sposób, by powstrzymać ją od okradania Nowego Jorku. Helen myślała wtedy tylko o pozytywnym wzorcu funkcjonariusza policji.

- Najwidoczniej miała rację.

- Akurat. Pięć dni w tygodniu mała obracała się wśród najdziwniejszych morderstw, a tymczasem inne dzieci chodziły na zjeżdżalnię.

- I nie bawiła się z rówieśnikami?

- Nie, tylko z Markowitzem. A teraz bawi się sama.

- W co lubiła się bawić?

- Zapytałem ją kiedyś o to, gdy miała może z trzynaście lat. „Morderstwo to najlepsza zabawa”, odparła. Aż mnie ciarki przeszły. Powiedziała to w taki sposób, że brrr! Zagadnałem potem Markowitza, czy nie przyszło mu do głowy, że mała jest zdolna do zabójstwa. „No pewnie”, on mi na to, jakby się chwalił, że świetnie rzuca piłką do kosza.

- To nie tłumaczy, dlaczego jesteś taki pewien, że Mallory wyjdzie z tego bez szwanku.

- Gdyby mieszkańcy tej kamienicy nie byli ważniakami, z których każdy ma znanego adwokata, wycisnęlibyśmy z nich wszystko na przesłuchaniach, a tak? Ale gdy Mallory go dopadnie, w pobliżu nie będzie żadnego pana mecenasa. Facet znajdzie się w większym stresie niż kiedykolwiek. Będzie kłapał jadaczką do kamer. Takie zbiry zawsze gadają, gdy tylko przeczytamy im ich prawa. Kłamią, ale gadają, i wtedy łapiemy ich na bajkach. Jeśli nie popędzimy mu kota albo jeśli adwokat w porę zamknie mu

jadaczkę, stracimy go. Nie ma dowodów, nie będzie więc sprawy. Trzeba to zrobić szybko. Mallory musi go wykurzyć, zmusić do błędu, inaczej nam umknie.

- Ale to niebezpieczne.

- Największe niebezpieczeństwo to to, że natknie się na czyjeś prywatne brudy. W Coventry Arms jest dokładnie taki sam odsetek łajdactwa jak w czynszówce.

Charles podniósł z podłogi zdjęcie, które wypadło z małego pliku papierów Rikera.

- Kto to?

- Amanda Bosch.

- Przecież ona wcale nie jest podobna do Mallory. Jak ktoś mógł...

- To zdjęcie zrobiono, kiedy żyła. Nawet ja musiałem patrzeć dwa razy, bo po tym, co nawyczyniały robale...

- Zawiadomiliście już rodzinę?

- Nie ma żadnej rodziny do zawiadomienia. Mallory się ucieszyła. Mniejsze prawdopodobieństwo przecieku.

- Co się z nią stanie?

- Jej majątek, wszystko, co ma w banku, pójdzie na konto miasta. Administrator sprzeda meble, żeby pokryć czynsz za ostatni miesiąc, albo wystawi je na ulicę. Ona dostanie grób, na który nikt nigdy nie przyjdzie. I z czasem nie pozostanie śladu, że żyła. Chociaż, kto wie... Mallory może ją rozślawić.

Kot usiadł między nimi i nie zwracając uwagi na mężczyzn, zaczął ciągnąć za koniuszek bandaża przy uchu. Charles przypomniał sobie, co kiedyś mówił Louis Markowitz: „Życ z Mallory - to jakby mieć ranne zwierzę w domu”.

*

Kamienicę na West Side wzniesiono, by trwała. Przetrwiała więc niemal cały XX wiek i u zarania XXI nie okazywała żadnych oznak starości. Belki z ciemnego drewna i stiuki ciągnęły się przez dziesięć pięter. Byłaby znakomitym miejscem do ekranizacji powieści gotyckiej.

Riker postawił na ziemi ciężkie pudła, by złapać oddech. Mallory właśnie wsuwała portierowi w dłoń studolarowy banknot.

Mała ma styl.

Zastanawiał się, jakim sposobem doliczy tę kwotę do wydatków wydziału zabójstw.

Podczas gdy Mallory mówiła, portier imieniem Arthur uśmiechał się do niej szeroko, aż rozciągnięte do granic wytrzymałości usta zdeformowały mu twarz.

- Spodziewam się wizyty Amandy Bosch - powiedziała. - Zna ją pan?

- O tak - odparł. - To znajoma pani Hyde, prawda? Młoda ładna kobieta o smutnych oczach? Znam, znam. - Uśmiech zrzędł nieco. - Czy z nią wszystko w porządku?

- Chyba tak, a czemu pan pyta?

- Ostatnim razem zachowywała się dość dziwnie.

- Kiedy to było?

- Z cztery, pięć dni temu. Nawet nie weszła do środka, siedziała tylko o tam, osowiła, jakby na kogoś czekała. - Wskazał ręką ławkę z giętego żelaza stojącą przed wejściem do budynku. - Zdziwiło mnie to, bo wiedziałem, że pani Hyde wyjechała. Nie widziałem, by pani Bosch przychodziła do kogoś innego. Po chwili wstała, tak znenacka, szybko, i mocno poruszona pobiegła dokądś. Bardzo dziwne.

- Co ją pognało?

- Nie mam pojęcia, proszę pani. Byłem zajęty, otwierałem drzwi, łapałem taksówkę dla lokatora, ludzie wchodzili i wychodzili.

- Jacy ludzie?

- Nie pamiętam. Lokatorzy, goście, dzieci, psy. Większość lokatorów ma psy.

Riker podnosił właśnie kartony z chodnika, gdy nagle Mallory obróciła gwałtownie głowę i wbiła spojrzenie w pustą przestrzeń po drugiej stronie ulicy.

O co jej chodzi?

Riker zastanawiał się, czy nie za wcześnie na oglądanie się za siebie.

Mężczyzna, który zamordował Amandę Bosch, mieszkał w tym budynku i tylko on mógł powiązać z nią Mallory. Tymczasem ku nim zbliżała się szybko kobieta, w dodatku nadchodziła z przeciwnej strony.

Z powrotem postawił karton na chodniku, gdy niska brunetka o gwałtownych ruchach stanęła przed Mallory i spojrzawszy na nią, rzekła:

- Przepraszam bardzo, czy mogłabym z panią zamienić słowo na osobności?

Mallory skinęła głową portierowi i ten zamknął drzwi. Obie kobiety przeszły kilka kroków dalej, poza zasięg jego słuchu. Brunetka była kłębkiem nerwów. Jej ręce fruwały dziko dokoła. Mallory powiedziała coś, nieznajoma pokręciła głową i wywróciła oczyma, ukazując zdumione białka. Naraz przycisnęła torebkę do piersi, jakby broniła się przed rabunkiem. Cofnęła się o kilka kroków, po czym odwróciła i ruszyła spiesźnie do czekającej taksówki. Mallory podeszła do Rikera.

Kartony ponownie zostały podniesione.

Promienny uśmiech spłynął z twarzy portiera, gdy tylko Mallory obróciła się do niego plecami, teraz jednak znów skierowała się do drzwi, rozbił się więc na nowo wszystkimi swoimi zębami. Gdy w wejściu mijala z Rikerem Arthura, jego oczy informowały ją natarczywie, że pozostanie jego najlepszą przyjaciółką.

Atmosfera panująca wewnątrz pochodziła z innego stulecia. Podczas gdy Mallory wręczała list polecający dozorcę siedzącemu za rzeźbionym biurkiem, Riker rozejrzał się dokoła po wiszących arrasach i obrazach olejnych. Każdy ze wzorzystych dywanów kosztował zapewne tyle, co jego roczna pensja. Ustawione w towarzyskich grupach krzesła i kanapy obite były zielonym pluszem. Holem przeszła kobieta w ciemnych okularach, które w ten pochmurny dzień oznaczały, że ich właścicielka jest sławna, a inni nie. Jedną ze ścian zajmował rząd witrażowych okien. Plamy kryształowej i zabarwionej jasności. Poniżej centralnego okna w formie łuku widniał fresk przedstawiający biegnące jelenie. Zwierzęta pędziły na oślep, skierowane w wyniku okrutnego żartu wprost na przyległą ścianę.

Dozorca prowadził ich do windy rodem z czarno-białego filmu z lat trzydziestych - klatki zbudowanej z żelaznych ślimacznic, wyłożonej w środku wypolerowaną boazerią i parkietem. Oddano ich w dobre ręce windziarza. Pojechali w górę.

Drzwi otworzyły się na trzecim piętrze. Mallory i Riker ruszyli korytarzem oświetlonym rzędami łagodnie jarzących się lamp, które sto lat temu opalane były zapewne gazem. Podłogę pokrywały wykładziny o orientalnych wzorach, ściany wyklejono tapetami w pieniądze. Riker uważał, że zna się na dobrym tapetowaniu. Postawił najwyższą notę. Również na małym stoliku pod ścianą była duża forsa; wazon z olbrzymim bukietem świeżo ściętych róż. Zapach kwiatów ścigał ich aż do drzwi, w które Mallory włożyła klucz. Weszli do mieszkania Rosenów.

Riker postawił kartony w przedpokoju na wyłożonej terakotą podłodze.

- Dobra, Mallory, gadaj, co to była za kobieta, tam na dole.
- Sally Riccalo. Jechała za nami od samego biura. To klientka Charlesa, która ma interesującą teorię. Podobno pasierb chce ją zabić latającym ołówkiem.
- To nie pasuje do Charlesa. Myślałem, że zajmuje się tylko akademickimi pierdołami. No i jak, kto jest szurnięty? Ona czy dzieciak?
- Na razie trudno stwierdzić. W każdym razie wygląda na mocno przerażoną.

- Co jej powiedziałaś?
- Żeby wyjechała z miasta.
- I?
- Odmówiła.

Riker rozejrzał się po pokoju. Ciekaw był, jak Rosenowie zareagują na spartańskie wyposażenie mieszkania Mallory. Znalazł się w muzeum rodzinnych fotografii. Wszędzie byli jacyś bliscy, oczy dziadów w oczach ojców i matek, oczy rodziców w oczach dzieci. Na kanapie leżała zabawka, którą musiało zostawić jakieś dziecko. W akwarium pływały w grupkach ryby o tropikalnych barwach. Na szklanej ścianie widać było lepki odcisk

dłoni oraz czegoś, co wyglądało na nos wnuczka albo prawnuczka. Jedy-
nym obcym elementem w tym pomieszczeniu przepelnionym wygodnymi
meblami i kwiatami z jedwabiu było niebieskie oko komputera, otwarte,
spozierające zza nie domkniętych drzwiczek dębowego sekretarzyka.

Mallory poszła się rozejrzeć, Riker tymczasem otworzył drzwiczki na
oścież i spojrzął na monitor. Tuż obok była lista prostych instrukcji dla
komputerowych analfabetów, takich jak on sam. Wcisnął odpowiedni kla-
wisz i po ekranie zaczął się przesuwac ciąg informacji z biuletynu miesz-
kańców: donoszono o terminach prac konserwacyjnych, o spotkaniu loka-
torów w świetlicy na ostatnim piętrze. Spotkanie oznaczono słowem PIL-
NE i proszono o obowiązkowe przybycie. Wyświetlały się kolejne infor-
macje, o paczkach dostarczonych do portierni, o protokole ze spotkania
zarządu budynku.

Podskoczył od klepięcia w ramię. Za nim stała Mallory z uśmiechem
mówiącym: „Mam cię”. Zabawy trwały nadal. Tego też nauczył ją stary
Markowitz. Jak na ociężałego człowieka, czynił niewiele hałasu, kiedy się
skradał za jej plecami. Jednak gdy Mallory skończyła trzynaście lat, nie
potrafił już jej zaskoczyć. I tak w podchodach uczennica rychło prześcignę-
ła mistrza. Riker zastanawiał się czasem, które M miało gorszy wpływ na
które.

- Znalazłam sobie pokój, w którym się rozłożę - powiedziała.

Riker podniósł kartony i ruszył za nią do małej biblioteki. Postawił je na
biurku, ona zaś poczęła wyładowywać sprzęt komputerowy, miniaturowe
kamery, kable oraz przedmioty, których nazw ani zastosowania nie znał.
Jedynie urządzenia do podsłuchu nie były mu obce, szybko jednak uciekł
spojrzeniem w bok, ponieważ dobrze wiedział, że dziewczyna nie ma po-
zwolenia.

Tego akurat Markowitz jej nie nauczył. W sprawach techniki elektro-
nicznej starsuszek pozostał ignorantem do dnia swej śmierci. Im mniej wie-
dział, co córka wyprawia ze skomplikowanymi urządzeniami, tym pewniej-
sze były jego widoki na polityjną emeryturę.



Mallory wysiadła z windy na ostatnim piętrze. Zrobiła ledwie kilka kroków w głąb świetlicy, gdy głowy poczęły się odwracać w jej stronę. Miała na sobie czarny kostium, który włożyła na pogrzeb ojca. Spódnica zdradzała pełen zarys nóg, odsłaniając silne łydki i kształtne kostki zwężające się nad butami na wysokim obcasie. Tuzin męskich i kobiecych spojrzeń podążał za Mallory, gdy szła przez salę, w której zebrało się około czterdziestu lokatorów.

Przystawała co chwila, by przyrzeć się wszechobecnym przedmiotom w stylu *art deco* lub skrzywić na widok miszmaszu na postumentach i szafkach. Ale nawet największy brak powściągliwości w dekorowaniu wnętrza zostałyby puszczone w niepamięć, albowiem podniosła głowę i ujrzała szklany dach, a wyżej księżyc w towarzystwie dwóch gwiazd. Po niebie mknęła szklista chmura, przesłaniając złoty rożek, gasząc jego poświatę.

- Do twarzy pani ze śmiercią - rozległ się kulturalny, melodyjny głos.

- Już to dziś słyszałam - odparła Mallory, obracając się. Spojrzała z góry na niższą od siebie kobietę o czarnych włosach i sześćdziesięcioletniej twarzy, którą zdradzały jednak nie zmarszczki, lecz napięta w wielu miejscach skóra od zbyt częstych *liftingów*.

- Pewnie powie mi pani, że moje zwłoki zachowały się w świetnym stanie.

Wydłużeniu uległa cienka kreska narysowana karmazynowa szminką, co oznaczało uśmiech.

- Jak na zamordowaną glinę ma pani ostry język - odparła kobieta! Głos zdradził nagle pochodzenie z Nowego Jorku z czasów panowania gangsterów, dzięki czemu nieznamoma awansowała oczko wyżej w skali ocen Mallory.

- Jestem Betty Hyde.

- Mallory.

- Kathleen Mallory, prawda? Niegdyś z nowojorskiej policji, obecnie z firmy konsultingowej Mallory & Butler Ltd. Będzie pani mieszkać przez

dziesięć dni u Rosenów, bo u siebie ma pani remont. To starzy przyjaciele i dostała pani od nich upoważnienie, by głosować w sprawie basenu pod ziemią. Jak pani widzi, wszędzie mam swoich szpiegów.

Mallory naliczyła jednak tylko dwóch: dozorcę, który wiedział o upoważnieniu od Rosenów, i portiera Arthura, który wiedział o reszcie.

- I sprzedaje pani plotki - zripostowała Mallory. - Pani rubryka towarzyska jest drukowana w pięćdziesięciu pismach w całym kraju. Do tego dwuminutowe wejścia w dziennikach na kanale II. Mieszka tu pani od piętnastu lat. Ma pani u siebie pełnowymiarowy stół do bilardu i zmienia pani młodych mężczyzn, jak ja zmieniam dzinsy. Powinna pani lepiej płacić swoim szpiegom, bo brak im poczucia lojalności.

Uśmiech kobiety przeobraził się w promienny grymas od ucha do ucha.

- Proszę mi mówić Betty, jak wszyscy. Podoba mi się pani styl, moja droga. Mogę się do pani zwracać po imieniu?

- Nie.

- Tym lepiej. W takim razie, droga pani Mallory...

- Po prostu Mallory. Amanda Bosch skierowała mnie do ciebie po referencje.

Mallory wręczyła Hyde wizytówkę, a ta przeczytała ją głośno.

- „Dyskretne śledztwa i diagnozy”? Ogromnie mi się to podoba.

- Nasi klienci to przeważnie instytucje rządowe i wyższe uczelnie, które zgłaszają się w sprawach różnego rodzaju przedsięwzięć badawczych i rzeczoznawstwa. Co możesz mi powiedzieć o Amandzie Bosch? Jeżeli ją zaangażujemy, będzie się zajmowała bardzo delikatną materią.

- Ufam jej, gdy idzie o plotki, ale nie, gdy chodzi o coś naprawdę ważnego. Wtedy sama szperam.

- Odniosłam wrażenie, że korzystasz dość często z usług Amandy Bosch.

- Korzystałam. Od kilku miesięcy Amanda ogranicza swoją działalność.

Dawniej zabierałam ją ze sobą na przyjęcia. Gdy wybieram się na łowy na mężczyzn, potrzebna mi dobra przynęta. Ona zaś wabi ich niemal tak dobrze jak ty, Mallory.

- I w zamian za to przedstawiasz ją odpowiednim ludziom?

- Tak.

- Czy ktoś z tych odpowiednich ludzi jest tu dzisiaj? Ktoś, kto mógłby mi ją polecić?

Cienka karmazynowa kreska opadła po jednej stronie w wyrazie: „Dobra, załóżmy, że wierzę w tę maskaradę”. Nie uszło to uwagi Mallory. Odpowiedziała więc uśmiechem, który znaczył: „Taa, załóżmy”.

- Kilkakrotnie przyprowadziłam Amandę na spotkania tu w świetlicy, poznała więc z pewnością niejednego naszego lokatora. Nie wiem jednak, kto mógł korzystać z jej usług. Mam cię przedstawić zebrany? Może później pójdziesz ze mną na jeszcze jedno spotkanie?

Mallory pobiegła spojrzeniem ponad głowę Hyde i zobaczyła wysokiego mężczyznę o szpakowatych skroniach, ubranego w dobrze skrojony czarny garnitur. Górował nad kobietą, która stała przy bufecie. Szaro-złote włosy miała zebrane w ascetyczny kok na karku.

- Wydaje mi się, że rozpoznaję sędziego Hearta z przesłuchań w Senacie - rzekła.

- Tak, to on - odparła Betty Hyde. - Z żoną Pansy. Dostrzegasz te niewidzialne sznurki? Ona nigdy nie odchodzi od niego na metr.

W istocie, Mallory też miała wrażenie, że sędzia porusza żonę jak marionetkę. Każde wypowiedziane przez niego słowo stawiało ją na baczność, wywołując na twarzy pospieszny, szeroki uśmiech.

- Gdy znajdziesz się bliżej - powiedziała Hyde ściszym głosem - to przyjrzyj się, proszę, czy to aby nie siniak pod makijażem.

- Zgrywasz się. Myślałam, że on...

- Wjeżdża do Sądu Najwyższego na obronie praw kobiet? Tak. Zabawne, nieprawdaż? Gdybym go mogła przyskrzynić za bicie żony, nie wahałabym się ani chwili. Jeśli coś usłyszysz, Mallory, wiedz, że to warte kupę

forsy. Mieszkają nad tobą. Nadstawiaj ucha. Rozumiesz, jakieś krzyki, odgłosy odbijającego się od ściany ciała, płacz kobiety... Coś takiego bardzo mnie interesuje.

W oczekiwaniu na odpowiedź, Hyde przestępowała w niecierpliwym tańcu z nogi na nogę, wpatrzona w Mallory. Karmazynowa kreska znów była rozciągnięta w udawanym uśmiechu. Dla zawodowej plotkary milczenie rozmówcy jest jak promienie słońca dla hrabiego Drakuli.

- Domyślam się, że twoje mieszkanie wcale nie jest w remoncie - powiedziała. - A Amanda nie ma żadnych nowych klientów. Raczej wycofuje się już z branży. To pewnie trudna ciąża.

Uśmiechała się.

I uśmiechała.

Mallory, absolwentka szkoły: Nie Mówić Bez Potrzeby, patrzyła na nią z kamienną twarzą.

Hyde ściągnęła usta i obie kobiety przyjęły bojową postawę, mobilizując się do starcia, stawiając między sobą niewidzialne zasieki. Wreszcie Hyde skapitulowała.

- Pal sześć przedsięwzięcia badawcze - rzekła. - Jesteś prywatnym detektywem, prawda? To logiczny krok w karierze byłej gliny. Mam rację?

Mallory wzruszyła ramionami, a Hyde ukazała w uśmiechu wszystkie zęby.

- Skoro już weszłaś do sektora prywatnego, to pozwól, że udzielę ci kilku pomocnych rad. - Wzięła Mallory pod rękę i poprowadziła ją do kąta, gdzie stały tylko plamiste paprocie i gdzie można było dyskretnie porozmawiać.

- Mallory, ludzie twojego fachu wnoszą nawyki zawodowe do tego, co powinno uchodzić za życie towarzyskie. Ty nie zadajesz pytań, ty przesłuchujesz. Gadasz jak gliniarz. Uśmiechaj się więcej. Ci ludzie uwielbiają mówić o sobie. Zatem prowadzisz jakieś dochodzenie, tyle już ustaliliśmy. I z całą pewnością idzie tu o pieniądze, zgadza się? Amanda ci coś nagrała? Powiesz mi? Akurat. Zapewne myślisz, że ja nie umiem chronić swych źródeł informacji.

- Chyba możemy dobić targu, Hyde.
- Mów mi Betty.
- Chodźmy tam, pod windę. Czy to nie Moss White, ten od *talk show*u?
- Tak i ma prawdziwą opaleniznę. Wrócił właśnie z tygodniowego nagrania w Kalifornii.

- Kiedy wrócił?

- Dziś rano.

Wykreślić go.

- A który to Harry Kipling?

- Tamten - odparła Hyde i wskazała wysokiego, przystojnego mężczyznę o czarnych włosach i niebieskich oczach. - Czarujący mężczyzna, ale oprócz urody nie ma w nim nic niezwykłego. Jego żona jest o niebo ciekawszą istotą. Oho, oto ona. Widzisz tę kobietę przy biblioteczkę? Angel Kipling to wybryk natury. Przecież wszystkie trolle są niskie, ona zaś jest chyba tak wysoka jak ty.

- Mówisz o tej kobiecie w średnim wieku, o lichych włosach?

- Wolę wyrażenie „w pewnym wieku”.

- A ten wysoki facet obok niej to kto?

- Ten niewidomy? Eric Franz.

- Jest niewidomy?

Tego też wykreślić.

- Tak. Angel zabrała mu ciemne okulary i laskę, ponieważ uważa, że w ten sposób lepiej się będzie integrował z *normalnymi* ludźmi. On panicznie się jej boi, więc oczywiście nigdy nie stawia oporu. Tak w ogóle to chyba wszyscy się jej boimy. Jest jedną z tych osób, które bardzo późno nauczyły się manier przy stole. Zadaje obcesowe pytania, na przykład o wiek, o zarobki i czy ma się własne zęby. Trudno zachować spokój. To tak, jakby w wytworknym towarzystwie siedział pierdzący goryl. Człowiek nigdy do tego nie przywyknie.

Mallory zerknęła na Harry'ego Kiplinga.

- Nie pasują do siebie - powiedziała.

- Bo Harry jest tak idiotycznie przystojny, Angel zaś wygląda, jakby uciekła z baśni braci Grimm? Masz słuszość.

- Zastanawiam się, jakiego haka ona ma na Harry'ego, że potrafi utrzymać go przy sobie.

- Ej, podoba mi się sposób, w jaki główkujesz, Mallory. Umiesz węszyć, moja droga, może więc podzielisz się czasem jakąś informacją ze swoją nową przyjaciółką?

- Czy Harry Kipling to jeden z dziedziców Kipling Electronics?

- Nie. Widzę, że interesują cię mężczyźni.

- To czym się zajmuje?

- Niczym szczególnym, żyje z pieniędzy żony i uchodzi w swym mniemaniu za wielkiego konsultanta od inwestycji. Tymczasem wątpię, by Angel pozwalała mu ulokować gdzieś choćby dolara. Pewnie wydziela mężowi kieszonkowe. Wszystkie rachunki z miasta przychodzą na jej nazwisko. Radzę ci, lepiej na nią uważaj. To bynajmniej nie aniołek. I to ona jest dziedziczką Kipling Electronics. Jej ojciec założył to przedsiębiorstwo.

- I przepisał je na nazwisko zięcia?

- Nie, Harry przyjął nazwisko żony. Taki był warunek umowy przedmałżeńskiej. Gdybyś interesowała się plotkami, wiedziałabyś o tym.

- Jak więc naprawdę się nazywa?

- Nikt dotąd nie zaprzętał tym sobie głowy. Wątpię, by miał ciekawą przeszłość. Ojciec Angel na pewno dokładnie go sprawdził, zanim wyraził zgodę na ślub, ani chybi zajrzał mu też w spodnie. Och, ratuj się, kto może, troll nadchodzi. Pewnie zauważyła, że przyglądasz się jej mężowi. Masz broń?

Mallory zostawiła pistolet w mieszkaniu.

Angel Kipling zbliżała się ze wzbudającym bojaźń zdecydowaniem. Gdy była tuż-tuż, Betty Hyde instynktownie cofnęła się o krok. Mallory stała w miejscu.

Angel Kipling nie pojmowała istnienia przestrzeni osobistej. Stanęła nos w nos z Mallory, równo na poziomie stu osiemdziesięciu kilku centymetrów wzrostu plus buty na wysokim obcasie.

- O ile mi wiadomo, jest pani przyjaciółką Rosenów - odezwała się. - Czy to prawda, że hoduszą w mieszkaniu małego rekina? - Zerknęła z góry na Hyde. - Cześć, Betty.

Hyde skinęła jej głową i przedstawiła Mallory; nie jako panią Mallory, a po prostu Mallory.

Ta nie mogła oderwać oczu od włosów wyrastających pod nosem Angel Kipling. Były długie jak u kota, tyle że nie układały się symetrycznie. Ciało przypominało kartofel na dwóch wykałaczkach z dwoma parówkami po bokach. Włosy na głowie świadczyły o nieudanym zastosowaniu trzech różnych płukanek; brązowe u nasady, przechodziły w blond, a na końcach w czerń.

Zamożna kobieta z włosami typu: „Zrób to sam”. Interesujące.

- Proszę mi powiedzieć, jakie wrażenie zrobiła na pani nasza kamienica?

- Bez „pani”, jestem po prostu Mallory.

- Musi pani wiedzieć, że to kamienica z tradycjami. Lillian Russel, ta dawna aktorka, miała tu apartament, żeby Diamond Brady mógł ją po kryjomu odwiedzać.

- A Dylan Thomas zarzygał ten dywan - dodała Betty Hyde.

Angel Kipling spojrzała w dół, jakby miała nadzieję, że dostrzeże jeszcze plamy. Ponownie wzniosła oczy na Mallory.

- Chciałabym panią przedstawić mężowi - rzekła.

Wzniosła rękę z wyprostowanym pulchnym palcem, jakby przyzywała taksówkę albo kelnera. Po drugiej stronie sali Harry Kipling wyprężył się jak struna i pospieszył ku niej.

- Ma pani dzieci? - zapytała Angel Kipling.

- Nie, a pani?

- Tak, syna, ale przez większą część roku go nie ma. - Wysoki mężczyzna dołączył do trójki kobiet. - Harry, to jest pani Mallory. Mieszka u Rosenów, bo wyjechali. Podobno Hattie wybiera się do kliniki leczyć raka. Czy to prawda, proszę pani? Można pani mówić Kathy?

- Lepiej Mallory. - Skąd Angel Kipling wie, jak ma na imię? Być może

jej szpiedzy są równie dobrze opłacani co szpiedzy Betty Hyde.

Angel obróciła się do mężczyzny o czarnych włosach i kobaltowych oczach.

- Właśnie opowiadałam Kathy o naszej kamienicy.

Harry Kipling był więcej niż przystojny. Miał szerokie ramiona, nadające mu wygląd atlety. Dobry rozplodnik. Dlaczego żyje z trollem? Nawet, jeżeli ożenił się dla pieniędzy, mógł trafić lepiej.

- Używam w komputerze kart graficznych produkowanych przez firmę pańskiej żony.

- Obawiam się, że nie odróżniam kart graficznych od kart do pokera. Moja specjalność to inwestycje. - Głos miał aksamitny, uwodzicielski w niższych tonach.

Betty Hyde chwyciła Mallory za rękę i uśmiechnąwszy się do Kiplingów, odprowadziła ją na stronę.

- Za długo wpatrujesz się w Harry'ego. Nie odwracaj się! Chyba jesteś w jego typie. Dla mnie to on jest nieco za stary. Nie dotykam mężczyzn powyżej trzydziestego roku życia, a on ma czterdziestkę na karku. Nie odwracaj się, mówię. Podpatruję Angel. Wzięła cię na muszkę. Gdyby spojrzenia zabijały, leżałaś już na podłodze z krwawą dziurą między pięknymi oczami.

- Przepraszam - rzekł Harry, dogoniwszy obie kobiety bez żony, która powróciła do terroryzowania niewidomego Franza. - Czy w telewizji nie podali aby, że pani nie żyje?

- Grałam tylko.

- Ach, więc jest pani aktorką?

- Myślałem, że policjantką - wtrącił się Moss White, gospodarz *talk show*, pojawiwszy się z nienacką u boku Kiplinga. White był materiałem, na którego widok specjalistom od telewizji ciekła ślina. Pełne, zmysłowe usta i łagodność w wodnistych brązowych oczach. Urodzony do występowania przed kamerą.

- Zatem jest pani aktorką - rzekł Moss. - Boże, oni zawsze wszystko pokręcą w wiadomościach, prawda? Może moglibyśmy porozmawiać o

pani gościnnym występie w moim programie? Pani kariera na pewno by od tego nie ucierpiała. Taka krótka pogawędka o tym, jak to jest być uznanym przez media za nieboszczyka. Myśleli, że pani nie żyje, kiedy znaleźli panią w parku, tak?

Mallory obróciła się powoli do Harry'ego Kiplinga, który właśnie układał mięśnie twarzy w uśmiech ukazujący równe rzędy zębów na podobieństwo klawiatury pianina. Jego twarz cechowała się pewną chropawością, przy której oblicze Mossa White'a wyglądało kobieco.

Betty znów odciągnęła Mallory i ruszyły ku sędziemu Emery'emu Heartowi, kandydatowi do Sądu Najwyższego.

- Moss White ma wyraźny akcent - rzekła Mallory. - Pochodzi z Anglii czy z Australii?

- Z Indiany. W Londynie spędził ledwie półtora miesiąca cztery lata temu. I od tego czasu tak mówi. Szybko się uczy. Ja za lekcje wymowy płaciłam sto dolarów za godzinę i nauka akcentu zabrała mi dziewięć lat.

Stanęły przed surowym mężczyzną, który wyglądał, jakby zszedł z plakatu reklamującego odzież dla bogaczy w średnim wieku.

- Panie sędzio, czy mogłabym przedstawić panią Mallory, znaną osobowość telewizyjną?

Sędzia roztaczał dokoła wyraźny aromat wytrawnego polityka. Uśmiech miał błyskawiczny, brązowe oczy skupione.

- Przepraszam, ale nieczęsto oglądam telewizję. Jaki program pani prowadzi?

- Żadnego, wystąpiłam tylko w wiadomościach przez pięć minut. Grałam trupa.

Uśmiech zadrgał, gdy tymczasem baczne oczy oceniały wagę Mallory w układzie sił. Uśmiech powrócił na twarz z nową siłą.

- No cóż, mówi się, że każda rola jest ważna. Oto moja żona, Pansy.

Mallory obróciła się do niskiej, niespokojnej kobiety stojącej u boku sędziego. Tak, z całą pewnością łączyły ją z mężem niewidzialne sznurki.

- Prawda, Pansy, że każda jest ważna?

Kobieta kiwała machinalnie głową, sztywno. Uśmiechnęła się pospiesznie, lecz nagle rozciągnięcie warg nie szło w parze z wyrazem oczu. I rzeczywiście, pod grubą warstwą pudru krył się niewątpliwie siniak.

- Czy ma pani tu ze sobą rodzinę? - zapytała Pansy Heart.

- Bez „pani”, po prostu Mallory. Nie, a pani?

- Rosie odeszła dawno temu... Och, nie chcę znów tego zaczynać. Płaczę, gdy tylko pomyślę o naszej małej Rosie. Była takim aniołkiem. Emery nauczył Rosie, jak się witać. Prawda, kochany? Rosie była taka słodka. Potrafiła siadać i prosić o jedzenie.

- Rosie to pies - wyjaśniła Betty Hyde, odciągawszy Mallory pod pretekstem przedstawienia jej innym lokatorom.

- Domyśliłam się.

- Pozwól, że poznam cię z naszym laureatem Nagrody Pulitzera. - Hyde przystanęła przy biblioteczkce, by wziąć ciemne okulary i laskę. - Z laską w rękę jest niesłychany. Pomyślałam właśnie, że ma szansę ją odzyskać, z nim wróci Angel.

- Zastanawiam się, dlaczego jej nie zdzieli.

- Niestety, Eric został dobrze wychowany. Moim zdaniem powinien cię zainteresować. Jest jednym z moich najlepszych źródeł informacji. Ludzie nie zwracają uwagi na to, co przy nim mówią. Zdają się łączyć wszystkie kalectwa w jedno, biorą go nie tylko za ślepcę, ale i za głuchoniemego. - Betty Hyde położyła delikatnie Franzowi dłoń na ramieniu, by zaanonsować swe nadejście. - Cześć, Eric. Poznaj Mallory, nową lokatorkę.

- Bardzo mi miło - powiedział.

Miał kulturalny głos, który niewiele o nim mówił w tym tłumie. Pozbawienie go laski i okularów miało odwrotny efekt od zamierzonego: Franz nie zintegrował się, lecz stał samotny, wpatrzonymi pustymi oczami w przestrzeń.

Betty wsunęła mu w jedną dłoń laskę, w drugą okulary.

- Co jest między mną a drzwiami? - zapytał tonem konspiratora.

- Czworo ludzi, którzy mnie nie obchodzą. Przylej im laskę, jeśli dasz radę.

Założywszy na nos okulary, uklonił się kurtuazyjnie Mallory na pożegnanie, źle oszacowawszy jej pozycję o pół metra.

- Było mi bardzo miło - rzekł.

Ruszył przez zatłoczoną salę pewnym krokiem widzącego i na nikogo nie wpadł. Mallory miała czas zastanowić się, czy aby nie nazbyt pewnie się porusza. Jak to się stało, że stracił wzrok? Była ciekawa, ile pieniędzy z ubezpieczenia wchodziło w grę oraz czy jego zmarła żona miała polisę na życie.

- Choć jest niewidomy, niezłe się orientuje - rzekła Betty Hyde. - W największej ciemności potrafi doskonale wytropić oszustów i rekiny, a więc ma umiejętność potrzebną do przetrwania w Nowym Jorku.

Mallory wiedziała, że obserwuje ją Harry Kipling. Kątem oka dostrzegła jego czarne włosy, widziała, jak odwraca za nią głowę, gdy szła u boku Betty Hyde. Spojrzała w stronę Angel, która pilnie śledziła każdy ruch męża. W oczach kobiety krył się wyraz zapiekłej goryczy. Przez twarz przemknęła burza uczuć: nienawiść, gniew, podejrziwość i ból.

Niezbyt szczęśliwa para.

- Znam prawnika, który spisał ich umowę przedmażeńską - powiedziała Hyde, skinąwszy głową Kiplingom. - Mają jedno dziecko. Majątek przejdzie z matki na syna, kiedy ten osiągnie pełnoletność. Widziałam go tylko raz.

- W ogóle niewiele tu dzieci.

- Przez większą część roku są nieobecne. Dzieci z tej kamienicy to nowa klasa bezdomnych z bogatych rodzin. Przyjeżdżają z internatów wyłącznie na wakacje. A jeśli naprawdę bardzo nie lubi się własnych pociech, można zapłacić dodatkowo i szkoła będzie je trzymać przez cały rok.

- Heartowie mają dzieci?

- Sędzia ma córkę z pierwszego małżeństwa. Nigdy jej nie widziałam na oczy, tylko na zdjęciach, które pojawiły się w wydaniach niedzielnych przed przesłuchaniami w Senacie. Wątpię jednak, by to była ich prawdziwa córka. Pewnie wynajęli jakąś dziewczynę na tę sesję zdjęciową.

- A z córką coś nie tak?

- Pytasz, czy bierze narkotyki albo kradnie w sklepach? Nie wiem, Mallory, ale to takie banalne, zwłaszcza w tych kręgach, że nie zniżyłabym się do pisania o czymś takim.

- Może jest inny powód, dla którego nigdy tu się nie pokazuje? Może z nią coś poważnie nie w porządku?

- Myślisz, że ją odizolowano od świata, usunięto sprzed oczu opinii publicznej? Interesująca hipoteza. Zostaw to mnie, sprawdzę i dam ci znać. To coś, czego można się dowiedzieć tylko od odpowiednich ludzi. W żadnych archiwach się tego nie znajdzie, bo za sędzią stoi duża forsa...

- A niewidomy Eric?

- Eric Franz? Nie, on i Annie nigdy nie mieli dzieci, chyba że do takich zaliczysz psa przewodnika. Poza tym ten pies jest tak słodki, że trudno byłoby uwierzyć, że może być potomstwem Annie.

- Taka zołza? Zatem nieudane małżeństwo?

- W każdym razie żadna wielka miłość. Dobrą zabawą w jej pojęciu było przestawianie mebli, żeby się potykał. Eric rozpowiadał znajomym, że Annie karmi go żywnością dla psów. To z kolei jego żart, ale pewnie właśnie tak było. Miała duże poczucie humoru.

*

Późną porą zaszedł do kuchni, sam. Uderzył zaciśniętą pięścią w deskę do krojenia, aż stojąca obok waza z owocami podskoczyła, przechyliła się na bok i na stół wytoczyły się jabłka.

Dziwka.

Wiedziata, co zrobił i kim jest. Wiedziata.

Jabłko wciąż turlało się po stole, czerwone niby jej wargi. Chwycił dojrzały owoc w dłoń, a drugą ręką zaczął szperać w szufladzie w poszukiwaniu noża. Dźgnął skórę i patrzył, jak wycieka sok. Dźgnął jeszcze raz i jeszcze. Jął obierać jabłko powolnymi ruchami, wyobrażając sobie krzyki uchodzące z masakrowanego owocu.

Dziwka.

Wszystkie kobiety to dziwki.



Siedziała w bibliotece u Rosenów, twarzą do ekranu komputera. Wślizgnięcie się do wnętrza sieci informacyjnej budynku zabrało jej pięć minut. Tyle pożytku z zabezpieczeń. Przeglądała archiwa lokatorów i notowała sposoby obejścia wszystkich komputerów prócz trzech.

Włamała się do biuletynu informacyjnego i w dziale zatytułowanym „Personalialia” wpisała wiadomość przeznaczoną dla trzech użytkowników. Wprowadziła ją do ich katalogów. Jeśli podejrzani nie zajrzą do biuletynu tego wieczora, na pewno zrobią to jutro rano. Kiedy wejdą do sieci, nie będzie śladu po nieuprawnionej ingerencji.

Przeglądała numery telefaksów zainstalowanych w kamienicy. Dwaj z trzech podejrzanych mieli takie urządzenia. To dogodne. Przyjrzała się schematowi budynku, by znaleźć najlepszą drogę do tego sektora piwnicy, w którym znajdowały się kable telefoniczne, po czym wzięła latarkę oraz zestaw próbny i wyszła z mieszkania.

Pół godziny później windziarz wiozł ją z podziemnych czeluści z powrotem na górę. Żelazna winda zatrzymała się na parterze. Wsiadł chłopiec, który mógł mieć czternaście lat.

Jeżeli Harry Kipling miał skoki na bok, to jego żona nie, przynajmniej dawniej. Chłopiec miał te same niebieskie oczy i czarne włosy, tę samą krępką budowę ciała co ojciec. Taksował Mallory wzrokiem. Na jego twarzy pojawił się szeroki, lubieżny uśmiech.

Mallory patrzyła na niego z rozbawieniem. „Wracaj do piaskownicy, szczeniaku”, mówiły jej oczy.

Nastoletnia twarz oblała się soczystą czerwienią. Chłopak wysiadł na pierwszym piętrze, choć wcale tu nie mieszkał.

Zastanawiała się, czy skłonność do flirtu może być dziedziczna.

Jechała dalej, patrząc na uciekające w dół pierwsze piętro. Gdy winda dojechała na drugie, za żelazną kratą drzwi Mallory dostrzegła koniec białej laski i męskie buty. Eric Franz. Wysiadła i wtedy skinął jej lekko głową.

- Pani Mallory? - zapytał. - Szukam pani. Och, przepraszam, po prostu Mallory, tak?

- Tak - odparła z wahaniem.

- Zorientowałem się po perfumach - rzekł, odpowiadając na pytanie, które właśnie chciała zadać. - Kiedy człowiek traci wzrok, natura wyposaża go w inne dary, pogłębioną świadomość. Betty Hyde mówiła mi, że interesuje się pani sędzią. Ja też.

- Również z powodów zawodowych? Bo ja pracuję dla zespołu badawczego. Betty chyba to panu mówiła.

- Tak, mówiła. Nie, ja interesuję się Heartem z pobudek osobistych. Wciąż nie daje mi spokoju pewien dawny incydent. Ślepotą ma swoje błaski, ale ma i cienie, hi, hi, wie pani. Obraz nigdy nie jest pełny. Chodzi mi konkretnie o śmierć starej pani Heart, matki sędziego. Tego dnia był tu ktoś z medycyny sądowej.

- Czy chce mi pan dać do zrozumienia, że nie był to naturalny zgon?

- Podobno zmarła na atak serca. Może i tak, ale zacząłem mieć wątpliwości, kiedy pół godziny później zjawił się funkcjonariusz policji. Byłem właśnie w holu, kiedy przedstawił się portierowi. Powiedział tylko dwa słowa: „Wydział zabójstw”.

- To bez sensu, jeżeli umarła na atak serca.

- Właśnie. Dziwne, prawda? Pewnie chciałaby pani, żebym opisał tego policjanta?

Mallory uśmiechnęła się.

No właśnie.

- Był wysoki i chudy - rzekł Franz. - Miał długi krok - dodał pośpieszenie, jakby wyczytał pytanie z jej twarzy. - Wpadł nawet na mnie. Pamiętam, że zapytałem go: „Coś pan ślepy?” Nigdy nie omieszkałem żartować w ten sposób. Kiedy mnie potrącił, nie poczułem dużej masy ciała. Przeprosił. Sądząc po akcencie, był z Brooklynu. Mocno spryskał się wodą po goleniu. Kosztowna marka. Aha, miał kurtkę ze skóry.

- Wspomniał pan też o kimś z medycyny sądowej.

- Och, ten człowiek był już w mieszkaniu Heartów. Ich domowy lekarz

też. Siedziałem w holu, bo czekałem na przyjaciela, który utknął w korku ulicznym. Wszyscy przechodzili obok mnie.

Funkcjonariuszem mógł być tylko Palanski. Znowu on. Tylko Palanski z całej nowojorskiej policji miał w zwyczaju śledzić karetki pogotowia.

*

Mysz skradała się po podłodze w kuchni, bacznie obserwując olbrzymie nogi w spodniach od pizamy. W jej małych ślepkach odbijały się okruchy złotego rogalika. Zwierzątko chwyciło resztki pieczywa i popędziło chyłkiem do kryjówki pod lodówką, gdzie usiadło w ciemności i poczęło jeść, szalenie z siebie zadowolone.

Charles patrzył, jak mleko bulgoce na błękitnych płomieniach gazu i zastanawiał się, ile dni życia zostało jego myszy. Pani Ortega wielokrotnie już usiłowała ją schwytać za pomocą pułapek, przetrącić kręgosłup kijem od szczotki albo otruć. Jak dotąd jednak przebiegły gryzoń umykał jej z nadnaturalną wręcz zręcznością, zyskując tym szacunek Charlesa. Lecz pani Ortega była zawodowcem. Choć mysz okazywała się mistrzynią ucieczek, wciąż czuła na małym grzbiecie gorący oddech sprzątaczkki wznoszącej szczotkę do ciosu.

Jej dni były policzone.

Filtrowana kawa skapywała w postaci gęstego, brązowego soku do dzbanka. Bogaty aromat niósł się aż pod wysoki sufit, poza zasięg zmysłów człowieka i zwierzęcia.

Charles zaniósł kawę do pokoju i postawił ją obok okazałego rękopisu. Odgonił od siebie wszystkie myśli prócz tych o czekającym go zadaniu.

Po przeczytaniu pierwszych dwudziestu stron przynajmniej jedna sprawa była dla niego jasna: Amanda Bosch nie miała złudzeń, jeżeli to ona była bohaterką powieści. Przestał chłonąć z szybkością światła i spowolnił lekturę do normalnego tempa, albowiem treść dotyczyła normalnych ludzkich spraw - Amanda budziła się z koszmaru jedynie po to, by odkryć, że tkwi w nim na jawie.

Mężczyzna z książki zdawał się nie dbać o reguły postępowania obowiązujące między kochankami. Bohaterka zastanawiała się bez przerwy, dlaczego za każdym razem do niej wraca. Nie okazywał troski, kiedy już dokonał podboju.

Wymówki, którymi się zaślaniał, by wyjaśnić swe nieczęste wizyty, były obraźliwe. A jednak nie potrafiła zakończyć tego romansu, wmawiała sobie, że lepiej być dotykaną przez zimnego, beznamiętnego kochanka, niż nie być dotykaną w ogóle. Tak to właśnie jest, uświadomiła sobie, gdy mężczyźni chodzi tylko o akt fizycznej miłości. Nie pytała go o żonę z obawy, że dowie się, iż do niej też nigdy nic nie czuł. Do nikogo nic nie czuł. Potrafił się kochać lepiej niż wszyscy mężczyźni, których znała, mimo to nie lubił kobiet.

Kiedy byli razem, bez względu na pogodę pościel zawsze przesiąkała seksem i potem. Pływali w wydzielinach własnych gruczołów, tonąc w płynach, które strumieniami lały się z ich ciał. Upierał się, by ona pierwsza szczytowała, manipulując z wprawą jej ciałem. I kiedy to już nastąpiło, odczuwał dumę z dobrze wykonanego zadania. W żarze samego aktu krył się perwersyjny chłód.

Kiedy wychodziła z łazienki po wymyciu z łona jego spermy i spłukaniu jej do morza, był już ubrany. Patrzyła na plecy mężczyzny, gdy szedł do drzwi, z litanią wykrętów na ustach, nie odwracając się nawet, by się pożegnać - o pocałunku nie miała nawet co marzyć. Czyżby dawał jej do zrozumienia, żeby nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do tego związku bez związku?

Ściągała poszewki i wieszała je na sznurku, by wyschły; po raz pierwszy w gorącym powietrzu lipca, ostatnio zaś zimą. Lepsze to niż nic, wmawiała sobie, choć wiedziała, że to nieprawda.

Charles podniósł oczy znad tekstu i zapatrzył się w ścianę obok krzesła. Z pokładów wzrokowej pamięci wywołał zdjęcie Amandy Bosch, które widział tylko raz, wśród papierów Rikera. Oglądany w tej chwili obraz był idealnym odtworzeniem fotografii, dokładnym aż po smugę i załamanie w

górnym lewym rogu. Oczy Amandy patrzyły frasobliwie na niego. Wyraz smutku krył się właśnie w samych oczach, ukształtowany pewnie jeszcze w łonie matki.

Czuł, że zna Amandę Bosch na tyle dobrze, że mógłby z nią porozmawiać i odgadnąć jej odpowiedź na niemal każde pytanie.

Gdyby umiał przywrócić ją do życia, choćby na chwilę.

Lecz tylko Malakhai potrafił dokonać tej niesłychanej sztuki - zaprzac w tryby dialogu iluzję powstałą z wiernego, pieczołowitego skopiowania żywej niegdyś kobiety.

Ostatnimi laty Charles często myślał o starym magiku i jego osobliwym dziele. Co za szalony pomysł.

A jednak...

Rękopis powieści okazał się wspaniałym zwierciadłem. To dałoby się zrobić. Narracja nie była zwykłym naśladownictwem rzeczywistości, lecz zachowaną w doskonałym stanie skamieliną zamrożonego w trakcie pracy umysłu Amandy Bosch. Mając wyłącznie zdjęcie i tekst, Malakhai mógłby tego dokonać. Ale magik był szalony, znajdował się daleko, ciałem i myślą.

Nie, to pomysł godny wariata. Trzeba o tym zapomnieć.

Charles powrócił do czytania, ale twarz Amandy nie chciała go opuścić. Pamięć wzrokowa wciąż ją przyzywała. Nie potrafił przegonić sprzed oczu wizerunku snującego się po stronicach. Gdy zajrzał w kobietę twarz, myślami znów pobiegł ku Malakhaiemu.

Och, Malakhai, jak ci się wiedzie u schyłku życia? Wciąż jesteś zakochany w Louisie? Wciąż szalony? Czy i dzisiaj zmarła dzieli z tobą łóżko?

Spojrzał na telefon. W ciągu pięciu sekund mógłby się połączyć z największym magikiem na świecie. Kuzyn Max mówił, że nie ma nikogo lepszego, ani wśród normalnych, ani wśród szaleńców. Ale co mu powie? „Przepraszam, że wykorzystuję rodzinne koneksje, ale sam też mam problem z nieżywą kobietą. Jak stać się takim pomyłencem jak pan? A może już jestem na dobrej drodze?”

Kręcił powoli głową. To nie są sprawy, w których bezkarnie może się babrać taki amator jak on. Nie wolno mu zapominać, jak drogo kosztowało Malakhaiego zrodzenie *succubus*, a przecież on jest mistrzem. Charles znów wbił oczy w tekst. Taka pora, pomyślał, że szalone pomysły zdają się najlepsze.

Czytał już godzinę, gdy przerwał mu jakiś hałas. Nie był przyzwyczajony do towarzystwa w środku nocy. Zupełnie zapomniał o obecności Nosa. Zobaczył go ledwie kilka centymetrów od swych obutych w kaptcie stóp.

Obcięcie kotu pazurów w niewielkim stopniu pozbawiło go drapieżności. Mała bura mysz wprawdzie wyrwała mu się z miękkich łap, ale zaraz została schwytana przez dwa rzędy ostrych białych zębów. Charles pochylił się w milczeniu. Kocie szczęki zacisnęły się silniej na kruchych kosteczkach. Mysz zakwiliła. Nie był to pisk, lecz prawdziwy płacz.

Kot spojrział na Charlesa, bardzo malloryjnie, jeśli chodzi o kolor i wyraz swych ślepi.

Charles wyciągnął rękę, zamierzając odebrać mysz i skrócić jej męki, kot jednak sapnął ostrzegawczo i zaczął bić ogonem, gdy ludzka dłoń znalazła się blisko jego zdobyczy.

„Zabieraj się - mówią zielone ślepia. - To moja zabawka”.

*

Angel Kipling naciągnęła szczelniej poły pikowanego szlafroka z jedwabiu, jakby w pokoju było zimno. Nie było.

Siedziała naprzeciw komputera, zahipnotyzowana tym, co widniało w „Personaljach” biuletynu informacyjnego. W szklistym czarnym tle wokół zielonych liter widziała odbicie męża. Mała kopia Harry'ego wyskoczyła ku niej z czeluści za jarzącymi się linijkami tekstu. Angel poczuła jego ciepło, gdy stanął tuż za jej plecami.

- Co się stało? - zapytał.

- Och, nic szczególnego. - Wciąż nie odrywała oczu od ekranu. Wreszcie odezwała się: - To jakaś wiadomość. Chyba do ciebie.

Podniosła się z krzesła i ruszyła powoli do swego pokoju, gdzie sypiała sama. Odwróciwszy się, zobaczyła, że mąż pochyla się nad monitorem i czyta przesłanie, które wypełniało ekran, ciągnąc się w nieskończoność: TY KŁAMCO, KŁAMCO, KŁAMCO, KŁAMCO...

*

Nie chciał widzieć ani słyszeć, jak kot zjada mysz. Otworzył kluczem drzwi do biura znajdującego się po drugiej stronie korytarza i za dotknięciem guzika w ścianie recepcja wypełniła się łagodnie barwioną jasnością, dochodzącą z zabytkowej witrażowej lampy. Drewniane antyki i ramy wysokiego łukowatego okna błyszcząły i połyskiwały w świetle.

Ruszył do pomieszczenia na tyłach mieszkania, które było gabinetem Mallory i zarazem zupełnie innym światem. Tu, po wciśnięciu kontaktu w ścianie, lampa trysnęła ostrym blaskiem, jaskrawym jak promień słońca, przenosząc go obcesowo w wiek elektroniki. Urządzenia mrugały i patrzyły żrenicami lampek. Zakuci w beżowy metal rycerze Nowego Zakonu tworzyli szereg o perfekcyjnej linii. Pod przeciwległą ścianą stał regał z książkami. Nawet jeden pyłek nie śmiał zawitać do tej krainy z bojaźni przed jej władczynią - królową Mallory Porządną.

Tablica korkowa wisząca naprzeciw drzwi była najbrutalniejszym odejściem od świata wysmakowanych antyków i w ogóle wszystkiego, co cywilizowane. Jeżeli religią Mallory było morderstwo, to kolaż kolorowych zdjęć pełnił funkcję kaplicy ku czci Amandy Bosch, Madonny bez dziecka.

Skąd Mallory to wszystko wzięła? Czy ona w ogóle sypia?

Spostrzegł zdjęcia Amandy, jej mieszkania oraz próbki charakteru piśma. Nieludzką precyzję wiszących równo zdjęć łagodziła bijąca z nich łagodność zamordowanej. Dla Charlesa strzałem w serce była fotografia starej drewnianej kołyski, kupionej dla nie narodzonego dziecka.

Zerknął na odbitki z sekcji zwłok i szybko odwrócił głowę. Fotografie z miejsca zbrodni łatwiej było znieść. Patrzył. Z każdą mijającą chwilą

oznaki śmierci stawały się przemożnie osobiste, albowiem znał już tę kobietę jak chyba nikt inny w jej życiu.

Najwymowniejsze fotografie zostały zgrupowane na środku tablicy. Na widoczne uszkodzenie twarzy Amandy Charles nałożył w wyobraźni nieskalany obraz ze zdjęcia od Rikera, na którym pozowała jeszcze jako osoba, a nie zwłoki. Na trupią bladość narzucił róż żywego ciała. Kiedy obraz życia nałożył się na maskę śmierci, Charles doznał niepokojącego wrażenia, że sfotografowana kobieta otwiera oczy.

Jego umysł targnął się dziko w ucieczce, po czym powrócił ostrożnie, strwożony, struchłały. Rana z boku głowy trysnęła krwią poprzez podwójnie nałożony wizerunek. Charles skrzywił się na widok rysów ożywionej twarzy, zestawionej z zakrzepłą krwią. Brązowy zakiet, w którym Amanda umarła, nosił na ramieniu czerwone plamy.

Uśmiechała się. To go zaniepokoiło. Udało mu się zetrzeć ten uśmiech i jednocześnie zachować wierność obrazu względem fotografii. Teraz rysy twarzy kobiety ułożyły się w przyjacielski i nieco dociekliwy wyraz. „Co teraz?” - pytała. Trzymał się tego wizerunku zbyt długo, tak długo, że miał mu pozostać w pamięci na wiele lat.

W spisie przedmiotów znalezionych w mieszkaniu Amandy wyszczególniono flakonik perfum. Charles zobaczył go na zdjęciu wnętrza łazienki. Amanda lubiła zapach róż. Flakonik nosił znak firmowy starego domu mody o dobrej renomie. Charles przypomniał sobie, że taki sam flakonik widział wśród obszytych cekinami kostiumów i zestawów do makijażu przechowywanych przez Maxa Candle'a w piwnicy wraz ze sprzętem do iluzji.



Kiedy weszła do pokoju, siedział zapatrzony w ekran komputera.

Zbliżyła się do niego cicho, ponieważ najmniejszy hałas wprawiał go w rozdrażnienie. Nad jego ramieniem przeczytała słowa: TY KŁAMCO, KŁAMCO, KŁAMCO. Wypełniały cały ekran. Zerknęła na rząd oznaczeń

u samej góry, które klasyfikowały ten tekst jako informację z biuletynu.

Obrócił się do niej. Twarz miał czerwoną z wściekłości.

- Nie waż się za mną skradać!

Pansy Heart odskoczyła szybko, zasłaniając się ręką, która automatycznie podrywała się na każdą groźbę ciosu. Uderzył pięścią w pulpit, aż na podłogę posypały się książki i kartki. Uklękała i pełzając na czworakach, poczęła zbierać, co spadło.

- Wynoś się stąd! - ryknął. - Wynoś się!

Znów się cofnęła, wciąż na kolanach, po czym podniosła z trudem i umknęła przez przedpokój. Gdy wchodziła do sypialni, napotkała własne odbicie spieszące jej naprzeciw. Stała przed wysokim lustrem i wcisnęła zaciśniętą dłoń w usta, by nie wybuchnąć płaczem.

Kiedy tak wychudła?

Nosząc włosy zaczesane do tyłu, jak jej kazał, z wymizerowanym ciałem i z tą miną rannego zwierzęcia, stała się żywym wspomnieniem jego zmarłej matki.

*

Drukarka w systemie Braille'a wypluwała z siebie przesłanie, wypełniając kartkę po kartce jednym jedynym słowem potępienia.

Eric Franz siedział nieruchomo, nie odrywając oczu od sceny, która rozgrywała się w jego głowie, horroru bez końca. Za szerokim oknem zaciągało tumanami białego śniegu, którego płatki jaśniały w światłach kamienicy. Odwrócił się od okna i wydarł papier z drukarki.

Teraz padało już i na dworze, i wewnątrz, albowiem Eric Franz sywał własnym śniegiem, rwąc kartki na coraz drobniejsze strzępy. Rozpaczwał w ciemności.

*

Ręce miał zajęte, gdy wrócił do mieszkania. Położył niesione przedmioty na stoliku. Wkładem Rikera w skompletowanie części potrzebnych do stworzenia kobiety była napoczęta paczka papierosów, zostawiona przez

niego tego popołudnia. Wedle raportu lekarzy sądowych, wiszącego na ścianie w gabinecie Mallory, Amanda paliła. Tymczasem w skrupulatnym spisie przedmiotów z jej mieszkania nie wymieniono papierosów. Możliwe, że rzuciła palenie, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, niemniej powieść Amandy była pełna obrazów dymu papierosowego oraz zapalek pocieranych o draskę w ciemności, gdy bohaterka budziła się samotna w środku nocy, by podciągnąć nogi pod brodę, kiwać się sieroco, obejmować samą siebie aż po rano pełen czubatych popielniczek i pyłków kurzu wirujących w smugach błękitnego dymu i w szarym świetle brzasku.

Wkładem kuzyna Maxa była butelka różanych perfum ze starej szafy w piwnicy. Louisa leciwego Malakhaiego wszędzie chodziła owiana zapachem gardenii. Amanda Bosch zaś - zapachem róż.

Na czystej powierzchni ściany Charles wywołał twarz Amandy, ów obraz życia nałożony na maskę śmierci, który zapadł mu głęboko w pamięć.

Co składa się na przepis Malakhaiego?

Powinien zacząć od ciężkiej rany głowy, podobnej do tej, którą Malakhai odniósł podczas wojny w Korei. Rana tego rodzaju z pewnością może być przyczyną najosobliwszych aberracji.

Charles wprawdzie nie zaznał nigdy dotkliwego bólu cielesnego, niewątpliwie jednak wiedział, czym jest cierpienie serca i umysłu. To wkład Mallory w ową bezbożną miksturę.

Następne na liście byłoby odosobnienie w koreańskim więzieniu, które stało się udziałem Malakhaiego, owo okrutne odcięcie od świata, które musiał znosić przez wiele lat, aż wreszcie wyszedł z niewoli w towarzystwie widma Louisy.

Charles wrócił myślami do czasów własnego osamotnienia. Rozrastający się kampus uniwersytecki wbrew pozorom nie różnił się wiele od koreańskiej celi o wymiarach dwa metry na dwa metry. Przypomniawszy sobie, jak na uczelni uchodził za cudaczne dziecko wśród studentów starszych o dziesięć lat. Następnie przyszło wieloletnie odosobnienie w zatęchłym środowisku instytutu naukowego Effrima Wilde'a, skąd pewnego dnia uciekł do normalnego świata, by założyć firmę konsultingową.

Przez większą część swego życia Charles był odludkiem, przybyszem z innej planety w świecie ludzi społecznie przystosowanych. Być może lata te zrównoważą owo okrutne uwięzienie Malakhaiego. W istocie jednak Charles nie musiał biec myślami daleko w przeszłość. Dotkliwej samotności doświadczał za każdym razem, gdy Mallory wychodziła z pokoju.

To też twój wkład. Dziękuję, Mallory.

Jej nie można byłoby zrekonstruować w taki sposób, jak Malakhai zrekonstruował Louise, jak on sam próbuje zrekonstruować Amandę Bosch. Nikt bowiem nie miał dostępu do uczuć i myśli Mallory. Musi zatem dopilnować, by nic złego nigdy się jej nie przytrafiło.

Ale ze mnie głupiec.

Zapomniał o muzyce. Przecież to koncert był głównym składnikiem w odtworzeniu Louisy przez Malakhaiego. W dzieciństwie stanowił pożywkę dla wyobraźni Charlesa. Jego własna płyta z koncertem starła się na wióry od częstego odtwarzania, lecz muzyka tak silnie w niego wrosła, że nigdy nie przyszło mu do głowy, by kupić nową. Gdzieś w piwnicy była druga, stary winylowy krążek odtwarzany na 78 obrotach na minutę, oraz adapter z zamierzchłej epoki.

Zaraz. Jeżeli Amanda Bosch ma być wytworem jego umysłu, powinien chyba najpierw popробować z muzyką. Słyszał ten utwór tysiã razy.

Skompletował już wszystkie składniki szaleństwa Malakhaiego. Muzyka, zapach i samotność.

Tak, potrafi to zrobić.

Zapalił papierosa z paczki Rikera i położył żarzącego się w popielniczce. Skupił się na twarzy Amandy, odtwarzając obraz, który wywołał w gabinecie Mallory, ową warstwę życia nałożoną na podkład śmierci. Dziewczyna wpatrywała się w niego. Fotograficzna pamięć uzupełniała najdrobniejsze szczegóły smutnych oczu. Twarz Amandy była jednak płaska jak powierzchnia zdjęcia, albowiem Charles nie był Malakhaim. Ale nawet w tym nieudolnym wizerunku wywierała nieodparte wrażenie. Oczy przekazywały wiele, mimo ubóstwa dwóch wymiarów. Kryła się w nich tajemnica i nieodżałowane poczucie straty.

Charles zaczął wsłuchiwać się w rozbrzmiewające w jego głowie dźwięki „Koncertu Louisy”.

Miał siedem lat, kiedy po raz pierwszy usłyszał ten utwór, w postaci uwertury do pokazu magii Malakhaiego. Kuzyn Max zabrał Charlesa na przedstawienie z okazji jego urodzin.

Charles dostrzegał w starszym krewnym wiele fizycznego podobieństwa do siebie, Max był jednak udatniejszym egzemplarzem: nos znacznie mniejszy, źrenice i białka o normalnych proporcjach.

Znaleźli swe miejsca w sali koncertowej dzięki blaskowi roztaczanemu przez drgające płomienie świec ustawionych u rampy. Dyrygent właśnie wznosił batutę, kiedy zasiadali w obitych czerwonym aksamitem fotelach.

„Koncert Louisy” nie miał łagodnego początku. Brzmienie instrumentów wezbrało zniechęca, Charlesem targnęła eksplozja otwierających akordów i w tej samej chwili muzyka przetoczyła się po nim, potężna i pełna grozy, zaraz jednak uspokoiła się, zapadając w echa samej siebie - metafora pustych korytarzy. Po chwili znów narosła, by runąć z wściekłą namiętnością. I nagle, w najmniej oczekiwanej chwili, nastąpiło ukojenie przechodzące w ciszę, która wywołała poruszenie wśród słuchaczy. Nadeszła pustka, którą ludzkie ucho rozpaczliwie próbowało wypełnić dobowanymi z pamięci nutami refrenu; echem dźwięczącym jedynie w myśli. Nastąpiła prawdziwa próżnia. Wyobraźnia każdego słuchacza gorączkowo usiłowała wtłoczyć w nią widmowe dźwięki, by zakończyć straszliwą, nieznośną ciszę.

Wówczas rzeczywista muzyka namacalnych instrumentów rozbrzmiała na nowo; lekka i ulotna, niesiona zbiorową otuchą słuchaczy, rozradowanych, że nie zostali wydani na zatracenie. Wróciła, zalewając wszystkich dźwiękami, naznaczając stygmatem odnowy, oczyszczając duchowo nie za pomocą wody, nie za pomocą ognia, ale zwycięstwem nad pustką.

Kurtyna skoczyła w górę, a muzyka płynęła dalej, ale już jako akompaniament do pokazu magii. Malakhai stworzył na scenie Louise jako rzeczywisty byt i posłał ją na widownię. Gdzieniedzie dało się słyszeć nagle westchnienie, gdy ten i ów sądził, że Louisa go dotknęła. Przez chwilę zapach kwiatów był wszędzie, potem umknął w mrok dziecięcej wyobraźni.

W kolejnej ciszy, magicznej próżni, w którą widzowie włączali widmowe nuty, by nie tkwić w pustce, Charles usłyszał krzyk kobiety.

Jeszcze długo po tym, gdy ostatni słuchacz opuścił salę koncertową i jedynie zatroskany impresario się ościągał, kuzyn Max siedział w pierwszym rzędzie, ściskając za rękę przerażonego chłopca.

Max powiedział mu kiedyś, że najlepsza muzyka toczy się w rytmie serca. „Koncert Louisy” był właśnie takim utworem. Charles uchwycił teraz podstawową strukturę rytmiczną i próbował ją obudować subtelnymi liniami melodycznymi. Siedział nieruchomo godzinę, dwie, trzy, aż wreszcie udało mu się odtworzyć muzykę, nuta po nucie, dokładnie tak, jak ją słyszał tamtego wieczora, pierwszy raz w życiu. Następnie, gdy nastąpiła owa pustka, którą geniusz Louisy wysklepił w nawałnicy dźwięków, przywołał kobiecy krzyk, ten sam, który usłyszał będąc dzieckiem, tyle że zareagował już inaczej. Tym razem z radością powitał głos drugiej osoby, choćby i ścięty przerażeniem, ponieważ mógł nim wypełnić pustą przestrzeń, którą zidentyfikował wreszcie jako samotność.

Zapalił drugiego papierosa, albowiem pierwszy przemienił się w kupkę popiołu. Smugi dymu unosiły się, owiewały mu twarz, ale były bezwonne, nie drażniły oczu. Czuł jedynie zapach róż.

Może sięgnięcie po perfumy było błędem. Aromat wydobyty ze złotego flakonika przywodził na myśl kruchość wszystkiego, co żywe. Wypełnił nozdrza nadpsutą wonią przejrzałych pąków, które umarły na długo przed narodzinami Amandy.

Koncert trwał w jego głowie w procesji brzęących nut. Muzyka wewnątrz, korytarze smutku i - Amanda.

Składała się jedynie z dwóch wymiarów jego fotograficznej pamięci, ale jednak stała teraz przed nim. Biła od niej wyczuwalna energia.

Tak jak przyprawia się wywar szczyptą soli i pieprzu, Charles nadał łagodnym niebieskim oczom głębię i blask, aż nabrały trójwymiarowej wyrazistości, kosmyki nasycił złotawym połyskiem włosów Mallory, które potrafiły wysączyć światło z samego słońca.

Gotowe.

Pochylił się do przodu.

- Amanda?

Portret z fotografii skinął głową. Wyglądała jak arkusz papieru uginający się pod działaniem wiatru, który próbuje nieudolnie ożywić płaski wizerunek nieżyjącej kobiety.

- Dlaczego zostałeś zabita?

Odpowiedziała głosem Mallory. Charles nasycił go jednak wyłącznie aksamitnością, pozbawiając nieodłącznej nuty sarkazmu. Amanda odparła łagodnie:

- Bo mnie okłamał.

Jej miękkie usta poruszały się rwanymi ruchami - kiepskie naśladowanie życia, niesmaczny żart z boskiej wszechmocy.

W oczach pojawiła się uraza, jakby ją czymś dotknął. I tak było. Odwrócił od niej wzrok. Kątem oka widział, jak znika.

- Tak mi przykro - powiedział do siebie, bo nikogo nie było, a już na pewno Amandy. Nie został po niej żaden ślad. Co za groteskowe przedstawienie sobie urządził? Ależ jest żałosny.

Zatkał flakonik perfum, ale woń umarłych róż uparcie nasyciła powietrze. Gdy przeszedł do innych pomieszczeń, zapach śmierci nadal wypełniał mu szczelnie pamięć. A kiedy leżał już w łóżku, zupełnie bezbronny, z rękami i nogami spętany snem, dryfując bezradnie w ciemności, wtedy Amanda wróciła.

Przez całą noc w jego majakach umierały świeże róże. Nawet małe, śpiące pąki, zamknięte kulki ze stulonych płatków - one także ginęły.

Rozdział 4

23 grudnia

Przez całą minutę Charles Butler stał pod drzwiami w swym biurze, wsłuchany w dreptanie w tę i z powrotem po korytarzu. Lekkie kroki dowodziły, że przybyły jest drobnej postury. Nagle za sprawą ni to wyostrego słuchu, ni to szóstego zmysłu wyczuł, że osoba ta przystawiła oko do dziurki od klucza. Zaczekał wspaniałomyślnie, aż zdecydowała się wreszcie nacisnąć dzwonek.

Otworzył drzwi z uśmiechem na twarzy - szczerym, albowiem lubił dzieci.

- Cześć - powiedział. - Wcześniej przyszedłeś. O całą godzinę.

- No tak - odparł Justin Riccalo, bujając się na piętach. - Mam się u pana spotkać z rodzicami. Odwołano lekcję fortepianu i nie miałem dokąd pójść.

A do domu? Niemile jest tam widziany?

- Nie mam klucza do mieszkania - rzekł chłopiec, jakby czytał w myślach Charlesa. - Właściwie mogłem pójść gdzieś indziej. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Właśnie idę do piwnicy i chętnie wezmę cię ze sobą. Lubisz magiczne sztuczki?

Justin zareagował na pytanie całkiem inaczej, niż Charles oczekiwał. Przestał się kiwać i stanął skulony, jakby przez jakąś szczelinę uszła z niego cała nerwowa energia. Skarłał i niewiele brakowało, a znikłby zupełnie.

- Sztuczki? Pan w ten sposób pyta delikatnie, czy potrafię sprawić, by latał ołówek, tak?

- Ależ skąd. Wiesz co, chodźmy lepiej do piwnicy.

Wzruszeniem jednego wiotkiego ramienia chłopiec dał do zrozumienia, że wszystko mu jedno.

Charles zamknął biuro na klucz i ruszyli długim korytarzem do wyjścia na klatkę schodową. Justin zerknął przez ramię w stronę windy, więc Charles wyjaśnił mu, że pod ziemię można się dostać jedynie schodami, i wyraził nadzieję, iż chłopiec nie ma nic przeciwko spacerowi. Justin szedł obok, powłócząc nogami, jakby ważyły pięćdziesiąt kilogramów każda.

Schody były najwyraźniej czymś nowym dla chłopca wychowanego w luksusowym drapaczu chmur. Kiedy drzwi otworzyły się, ukazując kręto biegnące stopnie z czarnego żelaza, Justin chwycił się poręczy i wyrzwał w dół. Wydawał się zahipnotyzowany węzowatą konstrukcją. Na poszczególnych piętrach tryskały ostrym blaskiem nagie żarówki, wydłużając cienie pokrzywionych elementów.

- Napawa trwogą - rzekł chłopiec, przyglądając się szkaradnej grze światła i cieni. - Piękna stara klatka.

- To jeszcze nic.

Charles prowadził, Justin podążał za nim prężnym krokiem, bez śladu niedawnej niechęci.

- Po co tam idziemy, proszę pana? - zapytał. - Ma pan tam jakiś wykrywacz kłamstw, do którego mnie pan podłączy?

- Nie, nic tak skomplikowanego nie mam. Zwykle siadam i rozmawiam z badaną osobą. Czasem robię obiektom pisemne testy.

- W jakich obiektach się pan specjalizuje? Nie zidentyfikowanych obiektach latających?

- Nie, aż tak fajnie to nie mam. Przykro mi. W mojej pracy obiektem jest zwykle osoba o unikalnej zdolności. Próbuję znaleźć sposób, by taką zdolność określić jakościowo i ilościowo, a potem znajduję dla niej zastosowanie. Wielu ludzi ma naddatki pewnych zdolności. Weź na przykład moją współpracowniczkę, Mallory. Ona ma wrodzony talent do komputerów.

- Komputery to tylko urządzenia. - Justin wypowiedział swój sąd z absolutyzmem osoby w średnim wieku. - Każdy, kto ma odpowiednią instrukcję, może je obsługiwać.

- Tak, ale Mallory nie potrzebuje instrukcji. Ona robi to, o czym programistom się nie śniło. Nie uwierzyłybyś, co potrafi wyczyniać za pomocą komputera.

Zaraz, chwileczkę, może dziecku nie powinien stawiać za wzór kogoś takiego jak ona?

- Ale uzdolnienie pana współpracownicy ma już zastosowanie.

- Tak. W większości wypadków znajdują ludzi, którzy nie znaleźli wyraźnego zastosowania dla swoich zdolności, i wówczas określam pole, na którym można je wykorzystać. Potem wyszukuję komuś takiemu miejsce w programie badawczym. Nudne, nie? Ale w ten sposób ukazuję nowe horyzonty ludziom, którzy opracowują pionierskie technologie.

- No dobrze. Czy chce pan zacząć, zanim przyjdą rodzice?

- Nie, skąd. Jesteśmy tu tylko dla zabawy. Przyszedłem, by odnaleźć starą płytę, która należała niegdyś do mojego krewnego. Był magikiem, nazywał się Maximillian Candle. Słyszałeś może o nim? Nie, to niemożliwe. Występował bardzo dawno temu. Interesujesz się magią? Nie odpowiedziałeś, gdy cię pytałem.

Dotarli na sam dół i Charles zaczął się mocować z zamkiem w drzwiach. W końcu uporał się, wszedł do środka i po omacku sięgnął ręką po latarkę leżącą na szafce z bezpiecznikami. Włączył ją i machnął głową na ociągającego się chłopca.

Ruszyli wąwozem z ciemnych pudeł i skrzyń, starych mebli i ram od obrazów, labiryntem z waliz i kartonów. Snop latarki przebiegł po miriadzie odzianych w prześcieradła mebli - duchów zapomnianych sprzętów domowych.

Pofałdowaną tylną ścianą okazało się harmonijkowe przepierzenie, ciągnące się przez całą szerokość pomieszczenia. Charles włożył kluczyk do zamka i oto nagle ściana jęła się składać jak olbrzymi, niemy akordeon.

Z przeciwległego końca przepastną głębię poza nią oświetlało lichy szerokie okno wychodzące na podwórko. Krata w oknie była dziełem Mallory, podobnie jak antywłamaniowe zamki zainstalowane w całym budynku. Zakratowałyby każde okno, gdyby do tego dopuścił. Długo musiał jej wyjaśniać, że woli zostać okradziony niż uwięziony we własnym domu.

Naraz snop światła oświetlił kłębowisko kolorowych atłasów i jedwabów prześwitujących przez celofan worków. Cekiny i kryształły górskie połyskiwały pod kurzem osiadłym na torbach, które wisiały w otwartej szafie. Część pomieszczenia zasłaniał olbrzymi, ziejący ogniem smok widniejący na ekranie z ryżowego papieru. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się solidne półki, na których ułożono satynowe maski, cylindry, srebrną skrzynkę na gołębie, olbrzymie karty do gry, ozdobne pudełka i małe kuferki, każdy skrywający własną tajemnicę.

Jeżeli ten chłopiec sprawia, że latają ołówki, to może tu się wyżyje, pomyślał Charles. Światu przydałoby się odrobinę więcej magii.

- Zaraz włączę światło - powiedział. Dotknął palcem szklanej kuli, która trysnęła światłem, jarząc się w złowrogim pulsującym rytmie, jakby oddychała.

Obrócił się do chłopca, którego uwagę pochłaniało coś innego.

- Ach, to mój kuzyn Max - wyjaśnił Charles.

- Dzień dobry - powiedział Justin do głowy, która leżała na skrzyni. Zerknął na Charlesa. - Podobny do pana.

- Chciałbym, żeby to była prawda. Umarł, kiedy miałem mniej więcej tyle lat co ty. - Charles podszedł do skrzyni i wziął głowę w dłoń. Patrzyła na niego bacznie z wyrazem zdumienia, który Max zawsze miał na twarzy za życia.

- Uratował moje dzieciństwo.

- Jak?

- Za pomocą magii. Był wspaniałym iluzjonistą. Oczywiście iluzjonistą wszechczasów jest Malakhai. Zrobił kiedyś numer z duchem zmarłej kobiety.

- Tak, tak. Ooo, niech pan patrzy, właśnie tu idzie.

- Poważnie. Miała na imię Louisa. Umarła w wieku dziewiętnastu lat. Sama była jedną z tych osób, które mają nadzwyczajne zdolności...

- Louisa Malakhai? „Koncert Louisy?”

- Czegoś jednak uczą w szkole.

- W mojej niewiele, zresztą ja uważam, żeby się tam za dużo nie nauczyć. To zbyt ryzykowne. Nie jestem pewien, czy nauczyciele wiedzą, co robią. Moja pierwsza macocha często słuchała tego utworu. Znał ją pan? To znaczy Louise?

- Cóż, i tak, i nie.

- Wie pan, dlaczego nazwała ten koncert swoim imieniem? Czy to jest coś w rodzaju muzycznego autoportretu?

- Dobrze rozumiesz, Justin. Ale w rzeczywistości ona zatytułowała koncert inaczej, dopiero potem, po jej śmierci, Malakhai go przemianował. Zatem znasz ten utwór?

- Nie za bardzo. Słyszałem go tylko raz po śmierci macochy. To była, wie pan, taka stara płyta, odtwarzana na adapterze jak...

- Talerz?

- Tak. Teraz pewnie można to kupić na płytach kompaktowych. Ale my mieliśmy czarną płytę. Moja macocha, ta szalona, która się zabiła, uwielbiała tę muzykę. Słuchała jej bez przerwy.

- A tobie się podobało?

- Nigdy nie słyszałem jej do końca. Macocha nastawiała płytę tylko wtedy, gdy była sama. Gdy ktoś wchodził, zaraz wyłączała albo wkładała słuchawki. Mówiła, że ten koncert jest nawiedzony.

- Jaki?

- Nawiedzony. Twierdziła, że słyszy, jak ktoś chodzi w środku muzyki. Wariactwo, nie? W każdym razie, gdy umarła, nastawiłem sobie tę płytę, ale wpadł tata, zdarł ją z adapteru i połamał. Uciekłem z pokoju, a on tłukł ją na drobne kawałki.

Czy to właśnie krzyk słyszeli w muzyce żona i mąż? W owej magicznej pustce każde ucho łowiło co innego. Kiedyś Charles słyszał tam krzyk Louisy. Innym razem, gdy już zakochał się szczeniacko w tej kobiecie,

a raczej w widmie, dobiegł go stamtąd jej śmiech. Wszystko to jednak rozgrywało się w mroku magicznego pokazu na scenie. Powietrze się iskrzyło, a wyobraźnia płatała najprzeróżniejsze figle.

- Louisa umarła młodo. Ten koncert to jej jedyna kompozycja, wszystko, co zostało po niej Malakhaitemu, gdy wyszedł na wolność po zakończeniu wojny w Korei. Wykorzystywał go więc jako akompaniament do swych przedstawień.

- Przedstawień z umarłą kobietą.

- Tak, niewidzialną umarłą kobietą. Pomagała mu, była jego asystentką. Kiedy podawała rekwizyt, widziano, jak ten sunie w powietrzu do Malakhaiego. Nigdy nie widziano jej samej, a jednak wierzono, że jest obecna, tak sugestywna była ta iluzja.

- To sztuczki. Żyłki i tak dalej.

- Ale Malakhai wiedział też, jak wzbudzać w widzach przerażenie.

Teraz dopiero chłopiec zaczął słuchać w skupieniu.

- Kazał Louisie zejść na widownię. Widzowie przysięgali, że czują, jak przechodzi obok, jak ociera się o nich suknią, jak faluje powietrze. Niektórzy wspominali zapach jej perfum.

- Jak on to robił? Jakich pomocy używał?

- Właśnie chodzi o to, że nie używał żadnego sprzętu. Po prostu, zanim ją posłał między widzów, sprawił, by uwierzyli, że jest obecna.

- Cała widownia wierzyła?

- W istocie znacznie łatwiej jest, gdy ma się do dyspozycji dużą liczbę osób. Masowa hipnoza prowadzi do psychozy, im więcej ludzi, tym lepiej. Z tak wielką ilością zgromadzonej energii można zrobić wszystko.

- I nikt jej nie widział?

- Widział i nie widział. Malakhai opisywał ją tak szczegółowo, że ja nawet teraz ją widzę. Miała na sobie suknię, w której umarła. Niebieską, poplamioną krwią.

- Jak to się stało, że umarła?

- Nikt tego nie wie. To część jej tajemnicy. Niektórzy mówili, że zabił ją Malakhai. Według innych plotek zastrzelono ją, bo była szpiegiem. To

wszystko brzmiało bardzo romantycznie. Kiedy miałem twoje lata, kochałem się w Louisie.

- Więc był pan tak samo szalony jak Malakhai.

- Pewnie tak. Masz rację, Malakhai stracił rozum. To naprawdę zdumiewające, do czego ludzie są zdolni dla miłości: żeby ją zatrzymać, zabić albo pomścić. Niektórzy gotowi za nią umrzeć.

W odległym zakamarku swego poszufladkowanego umysłu Charles zastanawiał się, co zrobiła Amanda. „Niech pan je ze mnie wytnie!” - powiedziała lekarzowi - ona, która kochała dzieci. Kazała usunąć z siebie to, które ledwo się zawiązało.

- Z tego wynika - rzekło odchowane dziecko stojące przed Charlesem - że miłość między dorosłymi to niewesołe uczucie.

Charles uśmiechnął się.

- Miłość do dzieci nie jest znowu taka odmienna, też prowadzi czasem do zaskakujących czynów. Pomyśl o tym, co ludzie zrobiliby dla swoich dzieci.

- Albo swoim dzieciom.

- Tak też bywa.

Amando, dlaczego kazałaś wyciąć sobie z łona dziecko?

Dość, wrócił myślami do sprawy, której się podjął. Czy Justin jest maltretowany? Czy na tym polega owo podobieństwo, które Mallory dostrzegła między sobą a nim? Zdecydowanie mieli ze sobą coś wspólnego.

Charles także odczuwał pokrewieństwo z chłopcem: Justin Riccalo nie mówił jak dziecko. Zatem on również wychowywał się wśród dorosłych i był odtrącony przez dzieci, w przeciwnym razie nabrałby nawyków i swady normalnego chłopca, którym Charles też nigdy nie był.

Odnalazł wśród rupieci stary adapter, pochylił się nad nim i zdmuchnął kurz. Gdzie płyty?

O, są.

Spod stołu wyciągnął skrzynię pełną starych winylowych krążków, usiadł w pyłe i zaczął szperać. Chłopiec stał nad nim, będąc w ruchu nawet wtedy, gdy zdawał się zastygać.

- Powiedz mi, Justin, jak ci się układa z macochą, kiedy ołówki nie la-
tają?

- Niewiele o niej wiem.

- Odniosłem wrażenie, że zna się z twym ojcem od dawna.

- Chyba kiedyś razem pracowali, ale nie jestem pewien. Zdaje się, że
moja mama jeszcze wtedy żyła. Jej też nie znałem.

- Słucham?

- Przeważnie byłem w budzie. Posłano mnie do takiej pieprzonej no-
woczesnej szkoły, gdy miałem cztery lata. Rodzice zorientowali się, że
zapisanie mnie do świetlicy po lekcjach kosztuje mniej, niż najęcie opie-
kunki i nie wymaga tyle zachodu. W niektóre dni wracam dopiero o ósmej
albo dziewiątej wieczorem. Jak Malakhai sprawił, że ludzie myśleli, iż
Louisa ich dotyka?

- Sami byli źródłem tych złudzeń. Musiał im tylko powiedzieć, że jest
wśród nich, a oni dopełniali iluzję aż po wrażenie dotyku.

- I myśli pan, że moja macocha też dopełnia iluzji? Przecież ołówek...

- Ołówek jej się nie przywidział. Ale kiedy już sztuczka zadziała, wy-
obraźnia przejmuje stery. W widowisku Malakhaiego cała magia kryła się
w muzyce Louisy.

Charles wysunął płytę ze staromodnej okładki i z wprawą melomana z
epoki dinozaurów i adapterów założył ją na oś.

Justin usiadł na podkulonych nogach. Tryskał energią, wyglądał, jakby
przyczaił się na betonowej podłodze do skoku.

- Może pan to teraz dostać na płytach kompaktowych - powiedział.

- Już mówiłeś. Cicho sza! Posłuchajmy.

Głośność była ustawiona do oporu. Kiedy muzyka wezbrała falą, ol-
brzymie pomieszczenie skarlało pod jej naporem, zbyt małe, by ją pomie-
ścić. Charles ustawił pokrętkę normalny poziom odbioru, ale dźwięki nie
przycichły. Surowy talent Louisy stanowił wyzwanie dla praw fizyki i w
niskich rejestrach koncert nabierał coraz większej siły. To była prawdziwa
magia.

Charles zagubił się w dziecięcych wspomnieniach o Louisie ubranej w

zakrwawioną błękitną suknię. Widok krwi skierował jego myśli ponownie ku Amandzie oraz wydarzeniom ostatniej nocy. Obie młode kobiety poczęły się zlewać w jego umyśle. Gdy muzyka przetaczała się po nim, z nawyku nabytego w dzieciństwie, zamknął oczy, albowiem Louisa zawsze powstawała w ciemności.

Macochoa Justina trafnie określiła ten utwór: był nawiedzony. Istotnie ktoś poruszał się wśród dźwięków, w owej enklawie pustki - i tym razem Charles usłyszał płacz.

Zanim muzyka narosła po drugiej stronie ciszy, otworzył oczy i spojrzał na chłopca, który siedział obok, zgięty wpół. Dłonie przyciskał do uszu.

Coś ty usłyszał w tej ciszy, Justin?

Wówczas i Charles poczuł trwogę.

Nad chłopcem stała Amanda Bosch.

Tym razem była przestrzennym kształtem, uchwycona w trzech wymiarach, ubrana w skrwawiony brązowy żakiet, z raną na głowie. Pochyliła się nad chłopcem skulonym u jej stóp.

Charles wyrzucił do przodu rękę i strącił ramię adapteru z płyty. Rozległ się zgrzyt, gdy igła przejechała po powierzchni, rozrywając winylową skórę i kończąc pieśń.

Amanda zniknęła.

*

Któżby inny, jeśli nie ten słynny palant z wydziału zabójstw?

Riker uśmiechnął się szeroko na widok Palanskiego, owej tyczki wystrójonej w czarną skórzaną kurtkę i okulary przeciwsłoneczne. Wydaje mu się chyba, że jest gwiazdorem filmowym, skoro nosi ciemne szkła w budynku. Palanski dźgał groźnie palcem wskazującym powietrze tuż przed nosem Martina, umundurowanego funkcjonariusza, który miał rozkaz nie wpuszczać nikogo do gabinetu Coffeya.

Nie ma głupich, żaden chojrak z West Side nie przełknie takiej gadki od zwykłego krawężnika w mundurze, mówił wycelowany palec.

Do Palanskiego nie docierało, że Martin jest młodszy od niego o dziesięć

lat, zbudowany jak atleta i że właśnie napina mięśnie i rozstawia nogi jak bokser, bardzo niezadowolony z pląsów zadzierzystego palca, oj bardzo. Młody policjant stał na skrawku ubitej ziemi ze zdrową pewnością siebie, wpojoną mu przez Jacka Coffeya, który z zasady wspierał duchowo swoich ludzi. Jego wielką zasługą było, że wspierał nawet Mallory, i to również wtedy, gdy nie miała za grosz racji.

Riker włączył się w pojedynek między: „Jestem starszy stopniem” a „Mam to w dupie”. Klepnął Martina w ramię i skinął mu głową, by odszedł. Mundurowy cofnął się pod same drzwi gabinetu Coffeya i stanął tam z rękami założonymi na piersi. Palanski obrócił się do Rikera z gniewem nienaturalnie wysokiego dziewięciolatka na twarzy.

- Mój kapitan chce wiedzieć, dlaczego twój porucznik trzyma to zabójstwo, tę sztywną z parku. Nie ma przecież przestępstwa na funkcjonariuszu.

- Skąd wiesz? - odparł Riker, wyciągając z paczki papierosa i szukając po kieszeniach zapalek.

Czyżby Palanski wyczuł pismo nosem, dowiedział się, że chodzi o Coventry Arms? Chyba tak. Teraz, kiedy sprawa okazała się priorytetowa, chciał ją z powrotem, żeby odbić sobie za schrzanione oględziny na miejscu zbrodni. Nic innego nie tłumaczy gliniarza, który prosi o więcej roboty, gdy wokoło nie brak ani trupów, ani nie zakończonych śledztw.

- To nie była Mallory - rzekł. - Wiem o tym.

- Teraz wiesz, ale gdy oglądałeś zwłoki, myślałeś, że to ona. - Riker zapalił papierosa i poczekał, aż docinek dotrze do celu. Wiedział, że to Palanski przedwcześnie powiadomił media. W Nowym Jorku informacja to twarda waluta, a ten palant był chorobliwie ambitny, do granic przyzwoitości, a może bardziej. Zbyt szykownie się nosił jak na gliniarza, który musi łożyć na żonę, była żoną i dwoje dzieci. Riker łożył tylko na butelkę, mimo to nie mógł sobie pozwolić na wizytę w eleganckim salonie fryzjerskim, gdzie Palanski się strzygł - lub raczej pielęgnował fryzurę.

- Skoro ty sądziłeś, że to Mallory, może zabójca myślał podobnie.

Palanski zsunął nieco okulary z nosa i zajrzał sierżantowi w twarz.

- Wymyśl coś lepszego, Riker, bo tego nie łyknę.

Czy to nie dziwne, że Palanski zjawił się pierwszy na miejscu morderstwa? Wgląd do wykazów służby potwierdził, że fagas miał tego ranka wolne. Pewnie uważa, że dzielnice bogaczy i sław to jego prywatny rewir.

- Mógłbym poprosić Mallory, by z tobą pogadała - powiedział Riker, uśmiechając się przyjaźnie do człowieka, którym pogardzał.

- Nie, ja...

- Bo nie ma problemu. To jej sprawa. Niech od ciebie się dowie, dlaczego chcesz ją odebrać.

- Posłuchaj, Riker, nie...

- O, proszę, o wilku mowa, a wilk tuż.

Oczy Palanskiego bryknęły niespokojnie, a głowa obróciła się błyskawicznie niemal o sto osiemdziesiąt stopni. Szła ku nim Mallory, potężniejąc w jego ciemnych okularach. Zamiast kurtki na kozuchu, włożyła długie czarne palto, którego poły tańczyły wokół jej nóg. Miała również czarne buty sportowe - element jej urzędowego stroju.

Jaki numer wycięła Palanskiemu? Dlaczego on tak się jej boi? Riker postanowił, że zapyta ją kiedyś.

Nadchodziła.

- Nieważne - mruknął Palanski, obracając się z powrotem do Rikera. - Powiem kapitanowi, że zdaniem Coffeya sprawa ma związek z jednym z waszych śledztw. Uwierzy.

Palanski wybąkał te słowa w chwili, gdy Mallory przechodziła obok i skinąwszy Rikerowi głową, pomaszerowała dalej, zostawiając za sobą powiew perfum w cenie osiemdziesięciu dolarów za uncję. Palanski podążył za nią oczyma. Bezwiednie chwycił w dłoń noszony na piersi krzyżyk, jak człowiek chcący odgonić zło, którego nie można zabić nawet srebrnymi kulami.

Naraz Mallory przystanęła, jakby dostrzegła ową namiastkę egzorcyzmu. Okręciła się na pięcie i spojrzała na Palanskiego zaciskającego kurczowo palce na krzyżyku.

Riker pokręcił z wolną głową. Znał tę dziewczynę tak długo, a mimo to nie znał jej wcale. Gdy była dzieckiem, Markowitz nazwał ją czarownicą o oczach zamachowca. Choć minęło tyle lat, zachowała owo zabójcze spojrzenie. Niewinni ludzie, w tym Jack Coffey, zaglądali jej w twarz i machinalnie wyrzucali ręce do góry w geście kapitulacji, jakby w źrenicach zobaczyli wycelowane w siebie pistolety.

Mallory patrzyła na Palanskiego przez sekundę, następnie odwróciła się i poszła dalej. Zbladł. Czyżby znalazła sposób, by wysać z niego krew bez zatapiania zębów w szyi?

Riker zerknął na swe dłonie ciekaw, czy jeden głębszy powstrzyma ich drżenie.

*

Jack Coffey odchylił się w fotelu i policzył głowy. Mallory, jak to ona, zjawiała się punktualnie, ani sekundę za późno, ani sekundę za wcześnie, tymczasem doktor John J. Hafher nie nadchodził.

- Co masz nowego, Mallory?

- Harry Kipling skłamał we wniosku kredytowym złożonym w banku. Stara się wziąć kredyt na siebie, nie na żonę. Banki odsyłają go z niczym, bo próbuje oszukiwać.

- Wszyscy okłamują banki. To małe piwo. Coś jeszcze?

- Skłamał też w wykazach podatkowych. Rozlicza się osobno, bez żony. Ci z urzędu skarbowego przyłapali go na tym, że w zeszłym roku nie zgłosił jednego źródła dochodu. Rośnie mu też ładna kupka szmalu w zagranicznym banku.

Coffey zakrył twarz dłonią.

- Mam nadzieję, że cicho sprawdzasz tych ludzi? - zapytał błagalnie.

W wersji przełożonej: „Wykradasz te informacje, prawda? Nie rozmawiasz z ludźmi, tylko z maszynami, tak?”

- Na paluszkach - odparła.

Zastanawiał się, do jakiej sieci komputerowej włamała się tym razem. Znalazła wejście do baz danych urzędu podatkowego? Ani mu się śniło

pytać. Pewnego dnia coś takiego może się przydać. Gdy formułował tę myśl, duch Markowitza zarechotał urągliwie. Starego już nie ma, ale czy innym łamanie przepisów nie przychodzi równie łatwo, gdy pracują razem z Mallory?

- A co z pozostałymi podejrzanymi? Masz coś? Jest ich czterech, tak?

- Zawęziłam do trzech. Mój zabójca jest wysoki. Harry Kipling ma metr dziewięćdziesiąt centymetrów.

- Aż się boję zapytać, ile ma sędzia.

- Metr dziewięćdziesiąt trzy.

- Jeżeli zdrzesz z sędzią Heartem, pójdziesz na dno wśród aplauzu serdecznie z nim zaprzyjaźnionych ważniaków. Wiesz o tym. Co masz na niego?

- Bije żonę.

- Pięknie, kurde, pięknie. Wybrany osobiście przez prezydenta, wielki obrońca praw kobiet. Lepiej mnie zastrzel, Mallory, zastrzel od razu.

- Ładnie się komponuje, nie?

- Można przeszkodzić? - usłyszeli od strony drzwi. Doktor Hafner, policyjny psycholog i zarazem partner burmistrza do gry w golfa, wszedł bez pukania i nawet słowa przeprosin za spóźnienie.

Coffey zerknął na Hafnera. Ten zawsze nosił na twarzy głupkowaty uśmiech mówiący: „Ja znam odpowiedzi na wszystkie pytania, a ty nie”.

- Maltretujący żonę mąż pasuje lepiej, niż wam się wydaje - powiedział, rozpinając marynarkę i podciągając nogawki spodni, by nie wygnieść drogiego garnituru. Robocie wytrawnego krawca i kosztownemu materiałowi dorównywało jedynie długie palto i żakiet Mallory.

Okulary jak zwykle zjeżdżały Hafnerowi z nosa. Podsuwał je wyżej, co i raz zdejmował dwoma palcami z ubrania wyimaginowany paproch i wciąż wybijał takt stopami. Coffey tymczasem dusił w sobie przemożną chęć, by wychylić się przez biurko i wyróżnić psychologa w pysk. Nachodziła go zawsze, ilekroć musiał jakoś ścierpieć jego obecność.

Jak powstrzymać Hafnera od irytowania Mallory? Jak zmusić ją, by zachowywała się grzecznie, dopóki bliski przyjaciel burmistrza nie wyjdzie?

- Heart to kandydat do Sądu Najwyższego - odparł Coffey, uśmiechając się mile. - Nie chcę, żeby pasował.

Ty bezużyteczny, nadęty durniu.

Hafner poprawił okulary.

- Proszę zauważyć - rzekł - że Amanda Bosch nie miała przy sobie torebki ani portmonetki. Wątpię, by je ukradziono. Przejrzałem spis rzeczy z mieszkania. Jej karty kredytowe i prawo jazdy leżały luzem w szufladzie, zatem torebki w ogóle nie miała. Kobiety zwykle mają torebkę, nawet kilka, jedną do takiej sukni, inną do...

- Proszę przejść do sedna - przerwała mu Mallory. Było to polecenie.

Hafner poprawił okulary i uśmiechnął się jeszcze protekcjonalnie, jakby miał do czynienia z nieznośnym dzieckiem.

- Brak torebki - ciągnął - jest istotnym wskaźnikiem dynamiki związku Bosch z owym mężczyzną. Ludzie, którzy nie noszą przy sobie dowodów osobistych, cierpią na brak poczucia tożsamości. Kobieta o małym poczuciu własnej wartości będzie się skłaniać ku mężczyźnie, który ma nawyk maltretowania płci pięknej.

- Wedle dozorczyni - rzekła Mallory, pochylając się, by zadać pierwszy cios - Bosch przestała nosić torebkę, kiedy ją napadnięto na ulicy trzy lata temu. Raport z napadu jest w archiwach. Wysłałam go wam z resztą papierów. Czy wy czytacie raporty, które wam przysyłamy? A w ogóle jest wiele kobiet, które wolą kieszenie od torebek.

Coffey patrzył, jak Hafner zerka kątem oka w kierunku Mallory i dostrzega, że ona też nie ma torebki, jak bacznie się jej przypatruje, dokonując typologicznej oceny siedzącego przed nim indywiduum. Oczy mu zabłyśły, jakby odkrył unikalną formę życia. W istocie tak było.

- Doktorze - odezwał się Coffey najukładniejszym tonem, na jaki było go stać - czy myśli pan, że on może znów zabić?

- Och, z całą pewnością. Możliwe, że w przeszłości zabijał wielokrotnie. Nie wiemy, czy to było jego pierwsze morderstwo. Wątpię, żeby mógł się powstrzymać.

„Pieprzysz”, odpowiedział mu w duchu Coffey, tymczasem Mallory sformułowała to za pomocą oczu jeszcze dosadniej.

- Proszę mówić, doktorze - zachęcił.

Ty skończony idioto, przyjacielu burmistrza.

- Nieskazitelny porządek w mieszkaniu jest dowodem rytualnego, przymusowego działania, *katharsis* najwyższego stopnia. Osobnicy, którym doskwiera wewnętrzny przymus czystości, zawsze cierpią na poważne zaburzenia osobowości.

Coffey patrzył na Mallory: rozchyliła usta, to się u niej równało wybuchowi emocjonalnemu. Był ciekaw, co Hafner odczytałby z jej obsesyjnie uporządkowanego świata. Dział komputerów w komendzie również lśnił czystością, utrzymywany w nienagannym porządku przez cywilnego programistę, który musiałby obawiać się o swe życie, gdyby zagnieździł się tam kurz.

- Sądzi więc pan, że nasz facet to typ wielokrotnego zabójcy?

- Wysoce prawdopodobne. Bardzo by mnie interesowały lata dorastania wszystkich podejrzanych. - Mówiąc to, Hafner patrzył na Mallory. - Czy był jakiś uraz psychiczny? Maltretowanie? Porzucenie? Może ucieczka z domu?

Odchylwszy się do tyłu, Coffey przyglądał się Hafnerowi, który najwyraźniej był zafascynowany Mallory i otwarcie się jej przypatrywał, jakby chciał widzieć, jakie wrażenie wywiera na niej każde jego słowo.

Co i raz popychał okulary w górę nosa.

- Ów oczyszczający rytuał może iść w parze z obsesyjną punktualnością.

Coffey pochylił się nad biurkiem.

Punktualnością? Skąd on to wie?

Hafner jednak chyba zajrzał do naszego działu komputerów, a może i do czegoś więcej, pomyślał. Możliwe, że dotarł do jej diagnozy psychologicznej. Podobne diagnozy wykonywano obowiązkowo każdemu funkcjonariuszowi, który użył broni. Hafner nie mówił o mordercy Amandy Bosch. Ten

napuszony dureń myślał, że uda mu się poigrać z Mallory jak ze zwierzęciem laboratoryjnym.

Coffey zerknął na nią i ujrzał, że dokądkolwiek podążał myślami, ona zjawiała się tam przed nim. Rozparł się w fotelu, umywając ręce. Niech dureń sam się broni. Jeżeli Mallory go uszkodzi - trudno, sam się o to prosił. Zakomunikował jej to lekkim skinieniem głowy.

Możesz go zgnoić, Mallory.

- Mały pokaz byłby chyba pomocny - powiedziała zwodniczo łagodnym tonem istoty cywilizowanej.

Coffey patrzył, jak dziewczyna płynnym ruchem wydobywa rewolwer z kabury, i naraz przestał widzieć broń, w zaćmieniu, które było częścią solidarnej zmywy milczenia wśród policjantów. Stracił wzrok na widok rewolweru - nie typowego policyjnego pistoletu, cholera jasna, tylko prawdziwej armaty, która zostawiała wyrwy w celu.

- Posłuchaj, głupcze - powiedziała Mallory, przysuwając się na krzesło do Hafnera, gotując do zabójstwa i to najwyraźniej nie w białych rękawiczkach. Broń, której Coffey nie widział, tkwiła w jej dłoni.

- On to morderstwo popełnił spontanicznie - wycodziła. - Narzędziem był kamień. Przecież dotarła do ciebie ta informacja.

Podniosła rewolwer, dotknęła metalu długim palcem zakończonym czerwonym paznokciem i bębenek wyskoczył z trzpienia. Jej głos szemrał mile w aksamitnych oktavach, co kontrastowało brutalnie ze śmiercionośnym przedmiotem trzymanym w ręku.

Hafner był uosobieniem martwoty. Czarna mucha zabrzączała w locie obok jego głowy, ale zdawał się jej nie widzieć. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa; nie poprawił ich.

- Nie przyniósł ze sobą broni - ciągnęła Mallory. - Nie planował zabójstwa. Gdy już to zrobił, spanikował i uciekł. Dopiero po pół godzinie się uspokoił. Wiedziałbyś o tym, gdybyś przeczytał notatkę lekarza sądowego.

Wysypała naboje z komór na dłoń, po czym włożyła jeden z powrotem i z cichym trzaskiem wepchnęła bębenek na miejsce.

Mucha usiadła psychologowi na policzku. Nie usiłował jej przegonić, nie drgnął nawet.

Mallory uśmiechnęła się.

Coffey patrzył z zafascynowaniem na nowego Hafnera, przerażoną mysz w czerwonych szponach Mallory.

Mucha odleciała z bzykiem i usiadła na ścianie za głową psychologa.

- Według mnie, ten facet to raczej twój typ, Hafner - mówiła. - Pewny siebie, gdy wszystko idzie po jego myśli, panikarz, gdy sprawy wymykają się spod kontroli. Właśnie dlatego chwycił za kamień.

Wycelowwała rewolwer w muchę pełzającą po ścianie tak, iż otwór lufy zionął wprost nad nosem Hafnera.

Pociągnęła za spust.

Hafner targnął się do tyłu. Trzask pustej komory osiągnął w ciszy napięcie eksplozji. Nagle na kroczu Hafnera pojawiła się rozrastająca mokra plama. Dopiero po kilku sekundach pojął, że nie został trafiony, lecz jedynie zmoczył się w spodnie.

Muchy nie było.

Coffey patrzył zdumiony na nagą ścianę. Zastanawiał się, czy owad po prostu uciekł, czy też leży gdzieś na podłodze, rażony atakiem serca.

Mallory bujała przez chwilę rewolwer na palcu, następnie położyła go na kolanach. Lufa skierowana była niedbale wprost na siedzącego obok mężczyznę.

Coffey słyszał chrapliwy oddech Hafnera. Okulary zaszły mu potem i zjeżdżały coraz niżej i niżej, aż wreszcie zsunęły się z nosa i spadły na podłogę.

- On nie czaił się w parku, tylko tam się spotkali, bo dobrze ją znał - ciągnęła Mallory. - Dlatego właśnie wrócił, by poharatać jej palce, zniszczyć odciski. Wykombinował, że zyska w ten sposób czas potrzebny mu do wysprzątania mieszkania, do wytarcia własnych odcisków. W miarę rozwinięty dwunastolatek doszedłby do tych wniosków.

Pochyliła się do przodu, trzymając nonszalancko broń w dłoni, z łokciami wspartymi na kolanach. Wydawało się, że to przypadek, iż lufa wycelowana jest w krocze Hafnera.

- Zupełnie nieprzydatny patałach z ciebie, wiesz, Hafner? - Kiwała powoli głową, a on nieświadomie ją naśladował, jakby się zgadzał z tą opinią. Biegał spojrzeniem od zielonych oczu do rewolweru. - I oczywiście, nie będziesz żądał zapłaty za twoją gówno wartą diagnozę, prawda? - zapytała, po czym pokręciła głową, czym znów wprawiła w zgodny ruch głowę Hafnera. - No to dobrze. Możesz już iść.

Ani drgnął, ani mrugnął.

- Dziękuję, że pan do nas wpadł, doktorze - odprawił gościa Coffey różnym tonem telefonistki z biura zleceń. Uciekł spojrzeniem od ciemnej plamy na spodniach. Wciąż nie widział rewolweru, który Mallory właśnie wsuwała do kabury. Uśmiechnął się do pleców Hafnera. Mallory ujdzie to na sucho. Mało prawdopodobne, by serdeczny przyjaciel burmistrza chciał opowiadać wszem i wobec, że złał się przez nią w spodnie.

Psycholog jeszcze nie wyszedł z gabinetu Coffeya, gdy Mallory wstała.

- Załatwię wam swojego psychologa - rzekła. - Wydział zapłaci za niego tyle, ile dzięki mnie zaoszczędził na tym kretynie.

- Siadaj - polecił Coffey. - Jeszcze z tobą nie skończyłem. - Zanim zdążyła odpysknąć, dodał: - Nie obchodzi mnie, że czas cię goni. Siadaj!

Usiadła.

Sporo nauczył się od Rikera. Wszystko, co wyglądałoby na uprzejmą prośbę, poczytałaby za oznakę słabości.

- Zaczniemy od kapiszonowca znalezionego przez Hellera w śmieciach. Jeżeli należał do tego faceta, to mógł on jednak zaplanować zabójstwo. Możliwe przecież, że użył go jako straszaka, by odciągnąć ją w ustronie i zabić...

- To był...

- Zamknij się, Mallory. Wybierasz sobie tylko to, co podtrzymuje twoją ukochaną hipotezę. Nie wiesz na pewno, że nie zamierzał jej zabić. Mówmy o suchych faktach.

- Hafner nie zna...

- Z Hafnera nie ma żadnego pożytku, to prawda. Zgadza się na zaangażowanie innego psychologa. Ale musisz brać pod uwagę możliwość, że facet zaplanował zabójstwo Amandy Bosch i że być może zabił już wcześniej. Sprawa motywu. Przyłapała go na jakimś łajdactwie, tak? I z tym mam według ciebie iść do prokuratora?

- Była szperaczem. Jeśli ma się możliwość sprawdzenia ojca własnego dziecka, to się sprawdza. Amanda miała na niego coś kompromitującego. Jeżeli ona to znalazła, ja też znajdę.

- Nie wiesz nawet, czy rzeczywiście z nim miała to dziecko. Widzisz, co robisz? Naginasz fakty.

Nie widziała i nie chciała słuchać. Mówił do ściany.

- Jeżeli go zlekceważysz, zginiesz - ostrzegł Coffey. - Nadstawiasz łba w pojedynkę.

Do tego trzeba mieć nerwy. A może nie? Może po prostu obce jest jej uczucie strachu i przez to właśnie kiedyś zginie - z braku zdrowej dawki instynktu samozachowawczego?

- Skończyliśmy? - spytała.

- Nie, jeszcze jedno. Uważaj, żebyś nie pomyliła adresu, bo wtedy nie tylko zabójca będzie chciał cię załatwić. Coś czuję, że ludzie staną w długiej kolejce, by podać nas do sądu.

*

Charles siedział w fotelu, przeczekując rodzinny rytuał, którym było strofowanie żony i syna przez Roberta Riccalo.

Nie lubił tego mężczyzny.

Riccalo pragnął mieć scenę skąpaną w światłach reflektorów, by móc chodzić po niej dumnym krokiem cały ranek i prezentować swą inteligencję, męskość i bezwzględność. A potem, już po lunchu, chciałby zapewne rządzić światem. Jego oczy były dwoma czarnymi stawami. Bóg jeden wiedział, co kryły pod powierzchnią, i pewnie wzdrygał się i natychmiast

odwracał wzrok, zerknąwszy od czasu do czasu na ułamek sekundy jedynie po to, by nie utracić reputacji wszechwiedzącego.

W tej właśnie chwili Riccalo pochylał się nad Justinem, odmawiając mu prawa do przestrzeni wokół siebie. Chłopiec obrócił się do macochy, nie znalazł jednak u niej ratunku. Sally Riccalo jak zawsze uciekła oczami przed jego spojrzeniem. Ciekawe.

- Justin, te wygłupy mają się natychmiast skończyć! - ryknął Riccalo, patrząc złowrogo.

Kot umknął do kąta. Charles zauważył, że Nos też nie lubi Roberta Riccalo. Uśmiechnął się do Justina i chłopiec najwyraźniej znalazł w tym odrobinę otuchy.

Wtem weszła Mallory i rozmowa się urwała. Kot ruszył na spotkanie tej, którą bez wątpienia darzył uwielbieniem, z zielonymi ślepiami utkwionymi w jej twarzy.

Powstrzymała go w marszu morderczym wyrazem oczu. Pojawszy nie-me przesłanie, cofnął się o kilka kroków i usiadł, by wielbić ją z bezpiecznej odległości. Miłosne pomruki słyhać było w całym gabinecie.

Ustały, gdy drewniany pojemniczek na ołówki począł się kiwać na boki. Gdy upadł, kot skrył się pod kanapą. Twarz Roberta Riccalo pokrył rumieniec wściekłości. Mężczyzna chwycił syna za ramię, aż ten skrzywił się z bólu.

- Chwileczkę - powiedziała Mallory tonem polecenia, podchodząc do biurka. Riccalo ze zdumieniem zobaczył, że jego ręka usłuchała, puściła chłopca i opadła z powrotem na kolano.

Mallory ujęła w palce pojemnik i postawiła go na miejscu.

- Jesteśmy przyzwyczajeni do latających po biurze przedmiotów, prawda, Charles?

Naraz z pojemniczka wyskoczył zatemperowany ołówek i jak strzała pomknął prosto w kierunku szyi Charlesa. W powietrzu mignęła ręka Mallory i chwyciła pocisk.

Charles przełknął ślinę.

- Cóż, widać niektórzy z nas są bardziej przyzwyczajeni od innych -

rzekł. Świetnie, Mallory wzbogaciła swój arsenał sztuczek.

- To się dzieje bez przerwy - powiedziała. Patrzyła na chłopca, który okazywał zwykłe zaciekawienie. Obeszła biurko, stanęła za fotelem Charlesa i wtedy drugi ołówek wyfrunął z pojemniczka i zgrabnie wleciał jej w dłoń. - Proszę bardzo. To nic niezwykłego.

Chłopiec nie okazywał już żadnego zainteresowania. Najwyraźniej nudziły go latające ołówki.

- A więc to jednak jest sztuczka! - rzekł Riccalo i obrócił się do syna z miną, która nie obiecywała nic dobrego po powrocie do domu.

- Niekoniecznie - odparł Charles. - Widzi pan, wiele zjawisk psychokinetycznych można naśladować za pomocą iluzji. Dlatego tak trudno przekonać się o prawdziwej zdolności. Moja współpracowniczka chciała tym popisem dać do zrozumienia wyłącznie to, że badania będą musiały trochę potrwać, nic więcej.

Spojrzał na Mallory, usiłując zmusić ją wzrokiem, by skinęła głową na potwierdzenie jego słów. „Nic z tego”, mówiły jej oczy. Z powrotem popatrzył na Roberta Riccalo.

- Szukamy czegoś, co moglibyśmy zbadać. Proszę przyjść po Bożym Narodzeniu i wtedy zajmiemy się tym bardziej szczegółowo.

Kiedy ustalono datę następnej wizyty, wymieniono słowa pożegnania i rodzina Riccalów wymaszerowała z gabinetu, Charles obrócił się do Mallory i zdumiony zobaczył, że ona stoi tuż za nim. To był jej popisowy numer, który wytrącał go z równowagi. Nigdy nie słyszał, gdy się zbliżała. Czasami sądził, że Mallory robi to dlatego, iż lubi widzieć, jak przestraszony podskakuje na metr w górę. Przydreptał kot i zaczął mruścić u jej stóp. Gdy była w domu, Charles mógł przynajmniej śledzić go dzięki pomrukowi.

Mallory puściła mimo uszu miłosną pieśń i usiadła na krześle o roztańczonych nogach w stylu królowej Anny. Wskazała Charlesowi kanapę obok.

- Nie zapytasz, jak sprawiłam, że ołówki latały? - odezwała się.

- Nie, pozwól, że sam zgadnę. - Usiadł z uśmiechem na twarzy. - Co

jakiś czas widuję na ulicy sprzedawców handlujących czarnymi pająkami z gumy, poruszonymi przez bardzo cienką, niemal niewidoczną żyłkę. Kiedy taki sprzedawca pociąga za nią, wygląda, jakby pająk był żywy i pełzał. Gdy zbierze się tłum gapiów, pająk nagle skacze na twarz wybranej przez sprzedawcę osobie, a ta zaraz kupuje ich z dziesięć. Miałas kiedy takiego pająka?

Mallory skinęła głową.

- Riker sprezentował mi jednego, gdy byłam mała - odparła. - Powiedział, że to pamiątka po jego ostatnim objeździe szpitali odwykowych. I że jeśli mi się spodoba, to wie, gdzie można kupić z tysiąc takich.

- Wysnułaś więc nylonową nić. z pończochy, przylepiłaś do czegoś lepkiego, ale nie nazbyt, na przykład kawałka taśmy klejącej posypanej paprochami albo talkiem. Potem taśmą przylepiłaś to ołówka. Kiedy szarpnęłaś, ołówek poleciał do góry, a nić się odzepiła. Tak więc ktokolwiek wzięłby go do ręki, nie znalazłby śladu, jak to zostało zrobione. Nadałaś ołówkowi kierunek, owijając nici o mój fotel.

- Brawo. No widzisz, teraz przynajmniej wiemy, co się dzieje. Dziecko potrafi to zrobić.

- Mallory, z ciebie byłby bardzo kiepski badacz zjawisk paranormalnych. Kiedy wziąłem tę sprawę, wyzbyłem się wszelkich uprzedzeń, wszelkiego widzimisię. To, iż twoje ołówki latają w ten sposób, nie dowodzi wcale, że właśnie tak się dzieje w rodzinie Riccalów. Ten rodzaj badań należy prowadzić poprzez zbieranie faktów, a nie formułowanie niepopartych niczym sądów o metodzie albo co gorsza czyjeś winie.

- Z ciebie byłby marny gliniarz, Charles. Podczas gdy ty będziesz z lupą szukał dowodów empirycznych, komuś stanie się krzywda.

- Widzisz, znów to robisz. Masz jakieś przecucie i na nim wszystko opierasz i niech szlag trafi każdego, kto wejdzie między ciebie a twoje z góry wykoncypowane rozwiązanie.

Charles patrzył, jak kot zwija się w kłębek w plamie słonecznego światła u stóp Mallory.

- Masz jednak prawdopodobnie rację w jednej kwestii - rzekł. - W tej rodzinie panuje niezdrowa atmosfera. Któraś z nich coś knuje, ale nie wiem które.

- Wczoraj ołówek poleciał w kierunku macochy. To chyba przemawia na jej korzyść?

- Bo ja wiem? Gdy masz linkę czy nić, łatwiej sprawić, by coś leciało w twoją stronę, nieprawda? - W duchu jednak Charles przyznał, że Mallory zręcznie wycelowała ołówek w jego gardło.

- Nie wykluczam, że to ona, ale biorąc pod uwagę, iż dwie kobiety leżą już w grobie, wydaje się, że jest raczej nowym celem. Albo chce zrobić chłopca.

- Ale po co? Co za bigos.

- I ty się uskarżasz? Masz jak na dłoni podejrzanych i potencjalną ofiarę, która żyje i może mówić. Co ja mam powiedzieć, skoro szukam mordercy, o którym prawie nic nie wiem?

- Jeszcze go nie znalazłaś?

- Jakoś nie. - Wstała i wsparła jedną rękę na biodrze okrytym niebieskim dżinsem, a miękki materiał żakietu przesunął się do tyłu, odsłaniając broń w kaburze. - Kiedy ma przyjść Henrietta?

Zanim zdążył odpowiedzieć, kot stanął na tylnych łapach. Patrzyli, jak tańczy z wdziękiem w kółeczko, raz, drugi. Z miny Mallory Charles wnośli, że widzi to nie pierwszy raz.

- Powinnaś chyba dać mu nagrodę za te pląsy - powiedział. - Może tak go wytresowano. Jest o tym mowa w powieści.

Podszedł do biurka, wydobył ze środkowej szuflady gruby rękopis i szybko przerzucił strony pierwszego rozdziału.

- O, tutaj - rzekł. - „Nauczył mojego kota tańczyć”. Wygląda, że ten mężczyzna zrobił to w ciągu czterech wolnych od pracy dni, na wczesnym etapie romansu. Nie można oczywiście brać wszystkiego dosłownie, ale kot bezsprzecznie tańczy.

- Czterech dni? Myślałam, że trzeba znacznie więcej czasu, by nauczyć zwierzę takich sztuczek.

- Nie, jeśli wiesz, jak się do tego zabrać, i nie wzbranasz się przed

bezwzględnością. Zgaduję, że Nos nie dostawał jeść.

Mallory odwróciła się plecami do kota, który wciąż tańczył.

- Ale teraz dostaje, więc nie musi tego robić - powiedziała.

Opadł miękko na przednie łapy, jakby zrozumiał.

- Aha, Mallory, miałaś też rację w kwestii powieści. Istotnie rzeczywistość przeplata się z fikcją. Posłuchaj: „Kiedy Nowy Jork pokrywa się śniegiem, jest pięknie przez te kilka minut, nim człowieka napadną, zastrzelą w wymianie ognia między gangami narkotykowymi, rozjedzie go na ulicy pijak za kierownicą, zaatakuje psychotyk, który zapomniał wziąć lekarstwa, poda do sądu administrator budynku, przywoła do porządku urzędnik skarbowy, zbluzga pyskаты sąsiad, pogryzie szczenię bulteriera, zaskoczą szczury - przebiegające mu drogę - z tłustymi kotami w zaciśniętych pyskach, ofajdają lecące gołębie, nawiedzi plaga myszy i karaluchów, oszuka pracodawca przy wypłacie... Kiedy dziecko przyjdzie na świat, zabiorę je stąd w bezpieczne miejsce, gdzie jest pięknie przez cały rok”. O dziecku wspomina w ostatnich kilku rozdziałach. Bohaterka najwyraźniej nie czuje nic do mężczyzny. Dziecko jest dla niej wszystkim, tylko o nim myśli.

Mallory skinęła głową.

- Dziecko przemawiałoby za Harrym Kiplingiem albo sędzią Heartem. Obaj są płodni. Może powinnam skreślić z listy niewidomego?

- Jak to? Naprawdę podejrzewasz kogoś, kto jest niewidomy?

- Tak. Stracił wzrok, gdy pracował w redakcji prasowej. Dostał ogromne odszkodowanie.

- Rozumiem w pełni twą miłość do motywów materialnych, ale uświadom sobie, że mówimy o kimś, kto nie widzi. - To również był wpływ jej ojca. Gdy chodziło o motywy zbrodni, Markowitz zawsze stawiał na chciwość.

- Charles, nie od dziś wiem, że reprezentujesz właściwą postawę polityczną, ale mam nadzieję, że nie twierdzisz, iż niewidomi są zbyt niedołążeni, by zabijać jak inni?

- Przecież ślepiec w życiu nie wróciłby na miejsce zbrodni. Skąd miałby wiedzieć, czy nikt go nie widzi?

- Przypuśćmy, że spanikował i zabił ją, a potem wysłał na miejsce współnika, żeby posprzątał.

- Mówisz poważnie?

- Nie. Wątpię, by niewidomy mógł to zrobić. Ty jesteś znawcą drzeмиących w człowieku umiejętności, więc powiedz mi o tych, które się rozwijają, gdy traci się wzrok.

- Och, to zwykły mit - odparł Charles. - Ślepi wcale nie mają lepszego węchu czy słuchu. Pozbawieni wzroku, są za to poddani mniejszej liczbie czynników rozpraszających uwagę. Ponadto muszą polegać w większym stopniu na pozostałych zmysłach, mają więc skłonność do zwracania baczniejszej uwagi na ich przekazy. Czy twój niewidomy ma psa przewodnika?

- Tak. W tej kamienicy chyba wszyscy mają psy.

- To prawda, że niewidomi rzadziej wpadają na szklane ściany niż widzący, ale tylko dlatego, że prowadzi ich laska albo pies. Dobry pies uważa na ruch uliczny i będzie omijał różne przeszkody, nawet te, pod którymi sam by przeszedł. W takim związku człowieka ze zwierzęciem, to ono jest tym prawdziwie uzdolnionym partnerem.

- Ale możemy chyba mówić o dobrym przystosowaniu się do własnej ślepoty?

- Tak, niektórzy ludzie czynią z tego formę sztuki. Patrzą wprost na ciebie, gdy z nimi rozmawiasz, i stwarzają złudzenie, że cię widzą.

- Eric Franz tego nie robi. Jawi mi się za to jako dziecko Sherlocka Holmesa i pani Ortegi, jest osobliwie bystry. Widziałam, jak szedł pewnie przez zatłoczony pokój i na nikogo nie wpadł.

- Ciekawe.

- Też tak uważam. Postanowiłam go nie skreślać. Mam więc ślepcę, męża maltretującego żonę i pięknego w parze z bestią.

Charles spuścił oczy. Miał własny problem tego typu. Spojrzał w zabytkowe lustro wiszące obok kanapy. Nie, jego historia to raczej piękna i błazen. Jej odbicie poruszyło się za nim. To niemożliwe, by ta zachwycająca

twarz mieszkała w tym samym świecie ograniczonym połączaną ramą, co jego własne prześmieszne oblicze. Pomyślał, że jeżeli nie pójdzie wkrótce do fryzjera, długie faliste włosy upodobnią się do peruki noszonej przez błaznów dla postrachu widzów.

Obrócił się ku Mallory i wskazał ręką drzwi obok niej.

- Mogłabyś otworzyć Henriecie?

W tej samej chwili zadźwięczał dzwonek. Patrzyła na niego.

- Kiedyś musisz mi powiedzieć, jak to robisz - powiedziała.

- Kiedy Henrietta umówi się w sprawach zawodowych, jest niemal tak punktualna jak ty. Zje z nami lunch.

Mallory otworzyła drzwi Henriecie Ramsharan z mieszkania 2A. Henrietta, z zawodu psychiatra, ubrana była jak do pracy: w zgrabny dwuczęściowy kostium i miękką kremową bluzkę.

Charles pozostawił obu kobietom sprawę morderstwa w parku i poszedł do kuchni. Kot podreptał za nim, wiedząc, że stamtąd bierze się wszelka żywność. Mallory na nowo zapełniła lodówkę składnikami potrzebnymi do sporządzenia najwymyślniejszych kanapek. Charles wyjął tacę zastawioną w wojskowym porządku różnymi dodatkami, serami i wędliną.

Henrietta weszła do kuchni akurat w chwili, gdy kucnął, by dać kotu plasterk pikantnej szynki. Przez ostatnią dobę dowiedział się wiele o jego gustach i upodobaniach.

- Ej, Nos, jak się masz? - zagadnęła Henrietta.

Charles podniósł wzrok, kot - nie.

Dziesięć minut później siedział z Henriettą przy stole w kuchni, pijąc kawę przy pomrukach miłosnej pieśni dochodzącej z pobliza nóg Mallory. Dziewczyna stała przy blacie, krojąc ser. W pewnej chwili spojrzała na kota, zdając się ważyć w rękę ciężar noża wobec potencjalnej wartości zwierzęcia.

Charles obrócił się do Henrietty.

- Potrafisz wyjaśnić, dlaczego on jest tak przywiązany do Mallory? - zapytał. - Dla mnie nie chce zatańczyć, a to ja go karmię.

- Czy w powieści jest napisane, jak był tresowany?

- Nie, ale według mnie głodem.
- Być może bodźcem był ból, możliwe, że jest nakierowany na bodźce wizualne. Co mu się stało w ucho?

- To nie moja robota - rzekła Mallory, stawiając na stole obok pozostałych składników talerz z czterema gatunkami sera. - Ucierpiał, kiedy został wyrzucony na ulicę. Weterynarz powiedział, że oprócz tego dobrze się z nim obchodzono.

Charles skinął głową.

- Jeżeli bohaterka powieści to *alter ego* Amandy, nie potrafię sobie wyobrazić, by pozwoliła na maltretowanie kota.

- Ale sam mówiłeś, że jej kochanek nauczył go tańczyć w cztery dni - zaoponowała Mallory.

- Jeśli wierzyć w to, co napisane - rzekł Charles i natychmiast pożałował swych słów. Mallory się to nie spodobało. Czuł już wzbierające w niej napięcie. Dolał Henriecie kawy. - Amanda zaczęła pisać powieść rok temu. Ślady maltretowania mogły już zniknąć.

- Zatem najprawdopodobniej kot tańczy, by uniknąć bólu - powiedziała Henrietta. Ładowała na kanapkę plasterki pikantnej szynki. - To jak z maltretowaniem dzieci. Dziecko z powodzeniem może się garnąć do rodzica, który je krzywdzi. Dlatego zapytałam o ucho. Mallory jest podobna do zamordowanej. Jej widok pewnie przywołuje w nim wspomnienia.

Charles zdjął ze swej kanapki żyłą wołowiny i rzucił ją prosto w otwarty pyszczek.

- Ale przecież on wyraźnie pojmuje, że Mallory to nie Amanda - powiedział. Kot powrócił do swego stałego zajęcia, którym było wcieranie futra w nogawki Mallory.

- Zwierzęta potrafią bardzo silnie reagować na bodźce wizualne - rzekła Henrietta. - Ja swojego kota mam ze schroniska. Gdy przechodziłam koło jego klatki, dostał szału na mój widok. Kwilił, darł pazurami siatkę. Powiedzieli mi, że zachowuje się tak zawsze, gdy zobaczy kobietę z długimi ciemnymi włosami. No i pojechałam tam po psa, a wróciłam z kotem. Miłość od pierwszego wejrzenia. Tak samo jak w wypadku Mallory i Nosa.

- Co jeszcze jest w powieści? - zapytała Mallory, odpychając kota nogą. Miłość, o której mówiła Henrietta, była najwyraźniej nie odwzajemniona.

- Nic, co pomogłoby ci wyłuskać tego jednego spośród trzech - odpowiedział Charles. - On nie przepada za kobietami, choć lubi się z nimi kochać. Wątpię, by nas to dokądś zaprowadziło.

Nie mam pojęcia, na czym polegało jego kłamstwo. W książce nie znalazłem żadnej wskazówki co do tego.

- Wszyscy trzej pasują do portretu kłamcy - powiedziała Mallory. - I wszyscy trzej mają coś do stracenia. Heart karierę sędziego. Inni nominowani do Sądu Najwyższego nie przeszli z powodu wypalonego w młodości skřęta albo zatrudniania pomocy domowej na czarno. To, co Amanda mogła wyszperać w jego przeszłości, nie musiało być niczym wielkim, żeby kosztowało go nominację. Harry Kipling z kolei ma bogatą żonę i ręce związane okrutną umową przedmałżeńską. Eric Franz był z żoną tej nocy, kiedy zginęła w wypadku. Może maczał w tym palce.

- Co więc mamy? - zapytał Charles. - Powieść, której nie możemy wykorzystać w sądzie, i żadnych materialnych dowodów. Czy na miejscu zbrodni nic nie znaleziono?

- Nie. Heller jest najlepszy w tym fachu. Jeżeli nic nie znalazł, to znaczy, że nie było nic do znalezienia.

- Jest jeszcze Nos - powiedział Charles. - Ale jeżeli nie wytresujemy go, by ugryzł zabójcę w łydkę na sali sądowej, nie przyda nam się na nic.

- Nieprawda - odparła Mallory. Patrzyła na kota z wyrazem twarzy, który nie upodabniał jej do miłośników zwierząt. - Z pomocą kota i książki mogę wykurzyć go z ukrycia. Najważniejsza będzie chwila, kiedy go zmuszę, by się zdemaskował.

- Najmniejsza konfrontacja z tym człowiekiem będzie dla ciebie niebezpieczna - powiedziała Henrietta. - Jeśli twoja hipoteza jest słuszna, udowodnił już, że gotów zabić, by ratować własną skórę.

Mallory wydawała się niewzruszona.

- No to co? - zapytała. - Ten facet nie ma nerwów rasowego psychopaty. Popułnił tę zbrodnię, by ukryć jakąś inną. Strach i panika, to wszystko.

- Nie wiesz tego - powiedziała Henrietta. - Nie ma znaczenia, że morderstwo nie było zaplanowane. Mógł ją zabijać tysiąc razy w swych fantazjach. On może być kimś, kto znał ją jedynie jako pracownik kamienicy. Nie rozpoznasz socjopaty po wyglądzie albo zachowaniu wobec innych. Ten człowiek może nosić w sobie bardzo groźną patologię, a mimo to uchodzić za wzorowego obywatela.

- Ale nie w oczach każdego - odparła Mallory.

- Owszem, każdego - powiedziała Henrietta z rzadkim u niej uporem.

- Nie - powtórzyła Mallory, definitywnie rozstrzygając spór. - Nie każdego.

Charles patrzył, jak twarz Henrietty ścina nagły szok, gdy uświadomiła sobie, że rozmawia z kimś, kto ma intuicyjną wiedzę.

- Zatem ustaliliśmy już, kim on nie jest - powiedziała Mallory. - Jak wielką wagę mogę przywiązywać do tego, że motywem zbrodni była chęć ukrycia kłamstwa? Jeśli zagłębiłabym się w życiorysy wszystkich mieszkańców tej kamienicy, wygrzebałabym coś na każdego z nich. Jakiego rodzaju kłamstwo może pchnąć do zabójstwa? Już raz spanikował. Chęć, żeby zrobić to ponownie.

- Kluczem jest więc jego kłamstwo - odparła Henrietta. - Wiesz jednak, że całe życie człowieka może być zbudowane na kłamstwach.

- Jakie sznurki powinnam poruszyć? Jak go wystraszyć i zmusić do mówienia?

- Strach go pohamuje, znacznie lepiej faceta rozwścieczyć. Odślonięcie się w gniewie ma dużo większą wartość. Jeżeli przyjmujemy, że nauczył kota tańczyć, może tu wchodzić w grę potrzeba dominacji. Taka potrzeba jest częstym źródłem nienawiści do kobiet i przyczyną najokropniejszych zbrodni. W takim wypadku przyłapanie na kłamstwie mogło go pozbawić wszelkich zahamowań. Który z nich jest twoim zdaniem najbardziej skłonny do kłamstw w sensie zachowania patologicznego?

- Bo ja wiem? Wszyscy kłamią - odparła Mallory.
- Ależ nie wszyscy - rzekł Charles.
- Racja, Charles, nie wszyscy. Ty nie kłamiesz, nie potrafisz, prawda? Nie masz odpowiedniej twarzy. A nie, chwileczkę. A numer z wagą w obecności Riccalów? Może to nie kłamstwo, ale oszustwo na pewno, prawda?
- To był zwykły test.
- Tylko?
- Wykonany oszukańczo, zgoda. Założę się, że Helen nigdy nie kłamała.
- Kłamała, ale tylko dla dobra innych. Sęć w tym, że ona właśnie dobro innych miała zawsze na względzie.
- Markowitz nigdy nie kłamał.
- Ależ oczywiście, że kłamał. Kłamał jak z nut. Był w tym najlepszy. Słyszałam, jak okłamywał burmistrza, komisarza. Kłamał, ilekroć miał konferencję prasową. Kłamał...
- Dobrze, już dobrze. Wszyscy kłamią.

*

Idąc z kotem na rękach od strony garaży do Coventry Arms, Mallory dostrzegła portiera czytającego gazetę. Podjechała taksówka i wtedy Arthur błyskawicznym ruchem zdjął z nosa okulary i schował je w zwiniętą gazetę leżącą na półce pod aparatem telefonicznym. Kiedy wemknęła się do kamienicy, z szerokim uśmiechem na twarzy otwierał już drzwi pojazdu. Przechodząc obok półki, odwinęła róg gazety.

Dwuogniskowe. Obrzydliwy człowieczek, który jest zbyt próżny, by nosić okulary w obecności lokatorów. Ciekawe.

Podeszła do szerokiego okna, które wychodziło na ulicę. Chodnikiem wracał do domu inny lokator, Moss White, gospodarz *talk showu*. Kiedy minął ławkę stojącą nie dalej niż pięć metrów od drzwi, na twarzy Arthura znów rozkwitł szeroki uśmiech.

Cóż, ze swego miejsca dosięga przynajmniej krecim wzrokiem ławkę, na której siedziała Amanda Bosch w przededniu śmierci.

Myśli o Amandzie jechały wraz z Mallory windą. Co zobaczyła tego dnia? Co wytrąciło ją z równowagi i spłoszyło? Czy na zeznaniach Arthura może polegać, jeżeli zmuszona będzie wykorzystać je w sądzie? Musi z nim porozmawiać i to wkrótce.

Kiedy weszła do mieszkania Rosenów, doznała wrażenia, że ktoś jest w pobliżu. Kot też to poczuł. Przestał mruczeć i wpił się pozbawionymi pazurów łapami w jej palto, rozglądając dokoła.

W sypialni coś się poruszyło. Nagle dobiegło stamtąd buczenie odkurzacza. Mallory stanęła w progu i zobaczyła kobietę, która była sprzątaczką Rosenów, imieniem Sarah.

- Och, dzień dobry pani - powiedziała Sarah. Wyłączyła odkurzacza i w tej chwili Mallory usłyszała szum spuszczonej w ubikacji wody. Drzwi się otworzyły i wyszedł Justin Riccalo. Spojrzał na Mallory. Uśmiechnął się, ale zaraz ściągnął usta, albowiem pokazała mu plecy, odwracając się do sprzątaczk.

- Wpuściłam go. Mam nadzieję, że pani się nie gniewa - powiedziała Sarah. - Czekał na panią pod drzwiami i musiał skorzystać z łazienki. Chyba dobrze zrobiłam?

- Jasne. - Mallory znów popatrzyła na chłopca. Ostatnio myśli o nim bez przerwy krążyły jej po głowie. Czuła łączącą ich więź, choć nie potrafiła jej nazwać, jakby oboje doświadczyli w życiu tego samego. Mallory nie dawało spokoju to uczucie, którego doznawała, ilekroć się spotykali - osobliwe, pogmatwane doznanie podobne do *déjà vu*. Jakby wiedziała, gdzie bywał, bo sama bywała tam przed nim.

- No, tu już skończyłam - rzekła Sarah, owijając sznur wokół odkurzacza. Mallory i chłopiec wpatrywali się w siebie w milczeniu, dopóki sprzątaczk nie wyszła do innego pomieszczenia.

- Jak ci się udało ominąć portiera, Justin?

- Wszedłem za jakąś kobietą i mężczyzną. Pewnie myślał, że jestem z nimi.

- Skąd wiesz, że tu mieszkam?

- Sprawdziłem w książce telefonicznej.

„Nieprawda”, przekazała mu Mallory kręcąc głową. W sąsiednim pokoju rozległ się jazgot szurającego po dywanie odkurzacza.

- No dobrze. Byłem z macochą, kiedy jechała za panią tutaj.

- A więc to ty. - Wyczuła wtedy jego obecność, choć go nie widziała. Sally Riccalo stała po przeciwnej stronie ulicy, niż ten, kto obserwował Mallory, a kogo już nie było, gdy się obejrzała.

- Podałem windziarzowi pani nazwisko i przywiózł mnie na to piętro. Pod drzwiami spotkałem sprzątaczkę. Właśnie wchodziła, powiedziałem więc, że pani się mnie spodziewa.

Najwyraźniej czekał na pochwałę. Niech sobie poczeka.

Wcisnął ręce w kieszenie kurtki i zaczął się kiwać na stopach, rozglądając po sypialni wyposażonej w łożo z falbaniastym baldachimem na czterech słupach, perkalem i bibelotami.

- Inaczej sobie wyobrażałem pani mieszkanie - rzekł.

Jego pewność siebie ulotniła się w przewlekłej ciszy.

Mallory słuchała szumu odkurzacza. Pani Ortega sprzątała przy każdej wizycie tylko jedno pomieszczenie, Sarah natomiast od razu wszystkie.

Chłopiec otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Mallory uciszyła go gestem. Zacisnął wargi i wsłuchał się w odgłosy dochodzące z sąsiedniego pokoju.

- Muszę z kimś porozmawiać, ale nikt nie chce mnie wysłuchać - rzekł, kiedy odkurzacz ucichł i dobiegł trzask zamykających się za sprzątaczką drzwi frontowych.

- Ja cię wysłucham pod warunkiem, że nie będziesz kręcił. Czy twoja macocha nie zapodziała gdzieś ostatnio nylonowej pończochy?

- Skąd pani wie?

- Do ciebie miała pretensję, że ją wziąłeś?

- Na razie nie. Ale rzeczywiście dziś rano znalazłem podartą pończochę w mojej szafce. Ja jej nie wziąłem i nie wiem, jak się tam znalazła.

Cóż ją z nim łączy? Coś zadawnionego. Jak bezkształtne wspomnienie. On też potrafi kłamać, może o to chodzi?

- Jeżeli będziesz gotów powiedzieć mi całą prawdę o tym, co się dzieje w twojej rodzinie, pomogę ci.

- Pani myśli, że przeze mnie latają te ołówki? Wszyscy tak myślą. Dlaczego? Co pani naprawdę o mnie wie? Nic. Tylko to, co ojciec pani powiedział.

- Och, wiem o tobie dość sporo, Justin. Wiem, że jesteś na tyle łebski, by odgadnąć, na czym polegają te sztuczki z ołówkami. Ale nie chcesz powiedzieć, prawda? Albo sam je robisz, albo zbyt boisz się ojca, albo i jedno, i drugie. Możliwe też, że twoja macocha to robi. Może milczysz dlatego, że lubisz, jak ojciec się wścieka.

Przyglądała się jego ubraniu, świeżej różowej twarzy, nie odrapanym kolanom. Sportowe buty nie były nowe, ale utrzymane w czystości.

- Jesteś samotnikiem - powiedziała. - Nie masz kolegów w nic się nie bawisz.

Stał wyprostowany, z odchylonymi do tyłu ramionami.

- Chodziłeś do szkoły dla dzieci wojskowych - ciągnęła. Celny strzał, bo kiwnął głową. - I zatajasz coś przede mną. Jeżeli te popisy z ołówkami to twoja sprawka, dowiem się. Kapujesz?

- Po co miałbym to robić? Pani nie wie wszystkiego. Nie wie pani, że cały majątek mojej matki...

- ...został zapisany tobie? I że ojciec sprawuje zarząd powierniczy do twej pełnoletności? Wiem.

- Mnie też kontroluje.

- A więc chcesz sypnąć ojca, tak? Wiesz, ja na twoim miejscu już dawno wzięłabym się za niego. Ze mną ten skurwiol nie wydzierżyłby sześciu sekund.

- Rzeczywiście to skurwiol. Martwię się o macochę.

Mallory patrzyła na niego w milczeniu, dając do zrozumienia, iż wie, że znów kłamie.

- No dobra - powiedział. - Okropna z niej mimoza.

- A jaka była twoja prawdziwa matka?

- Taka sama jak pierwsza macocha, a pierwsza macocha taka sama jak druga. Bała się wszystkich i wszystkiego. Ojciec ma swój określony typ

kobiet. Każda jest kopią poprzedniej.

- Ciebie też się bała?

Ręce chłopca wcisnęły się głębiej w kieszenie kurtki. Mallory widziała, jak w młodych oczach zbiera się żal, znać to było również po zgarbionych ramionach i króliczych zębach gryzących dolną wargę; wzbierała i wzbierała, aż sięgnęła szczytu i umknęła ustami w formie westchnienia.

Kot przydreptał do pokoju i ruszył ku Mallory. Spojrzała na niego ostrzegawczo. Zatrzymał się w roztropnej odległości i usiadł obok chłopca. Teraz w Mallory wpatrywały się dwie paru oczu, obie nagłąco.

- Uważaj, żeby nie uciekł na klatkę, jak będziesz wychodził - powiedziała i odwróciwszy się plecami do chłopca i kota, poszła do biblioteki, gdzie czekał na nią komputer.

Szkoda, że nie włączyła kamer. Może powinna trzymać je uruchomione dwadzieścia cztery godziny na dobę na wypadek kolejnej niespodziewanej wizyty pod jej nieobecność?

Frontowe drzwi zamknęły się cicho.

*

- Pozwól, Charles, że ci naleję. Nie, poważnie, napij się ze mną.

Effrim Wilde otworzył ciemno oszklone drzwiczki wykończonej chromem szafki, za którymi ukazały się błyszczące kieliszki i bogato wyposażony barek.

- Eleanor zabrania mi pić samemu. Mówi, że to prowadzi do alkoholizmu.

Odwrócił się plecami do Charlesa, jakby przepis na whisky z wodą sodową wart był zatajenia.

- Wróciła więc?

- Tak - odparł, okraszając obie szklanki skróconą skórką cytryny i czułym uśmiechem. - Miała wyrzuty sumienia, że zostawiła mnie na pastwę papierosów, whisky i smacznego jedzenia. To święta kobieta. W zeszłym tygodniu nie miałem nic w ustach, co by nie smakowało jak niskokaloryczna pasta.

Podał jedną szklanekę Charlesowi, a z drugą ruszył do fotela za ciemnym biurkiem stojącym na pluszowym dywanie.

Gabinet został niedawno urządzony na nowo. Ściany miały obrzydliwy żółtozielony kolor. Jak Effrim to znosi? Przebywał tu wprawdzie ledwie kilka godzin dziennie, resztę czasu spędzał bowiem na trzy-, czterogodzinnych lunchach w towarzystwie przewodniczących komisji i innych specjalistów od rozdzielania funduszy. Meble miały ostre kanty. Każda powierzchnia składała się z zimnego metalu i szkła. Cztery ścienne obrazy, wszystkie wykonane tą samą brutalną ręką, były abstrakcyjnym przekazem - w formie czerwonych kształtów i nerwowych czarnych kresek - o maniakalnej energii. Zdecydowanie nie miało to nic wspólnego ze stylem Effrima. Ów prywatny gabinet mówił więcej o Eleanor niż o nim.

- Czy wie, że zajmujesz się szemraną magią?

- Podejrzewasz więc chłopca o oszustwo? - zapytał Wilde. Udał zdumienie, ale mało przekonująco. - Mam nadzieję, że zbierane przez ciebie doświadczenia nie okażą się bezwartościowe.

- Sprawa nie jest jeszcze zakończona. Potrzebuję pewnych informacji z archiwów badawczych.

- Poproś mojego asystenta, dostarczy ci, co tylko będziesz chciał. Domyślałem się zatem, że szukasz czegoś z zakresu lewitujących przedmiotów? Miałeś rację co do danych od Chińczyków i Rosjan. Ich metodologia jest nazbyt swobodna, prawda?

- Chciałbym dostać chińskie dane na temat eksperymentów z *succubus*.

- Czy to znaczy, że chłopak aż tak się rozwija?

- Nie, to boczny wątek moich badań.

- Sądziłem, że nie zajmujesz się dziwactwami. Chodzi ci o coś konkretnego?

Charles wywołał w pamięci stronę z czasopisma i wyświetlił ją na ścianie za głową Effrima. Przebiegł oczami po linijkach tekstu.

- Odbył się kiedyś eksperyment, podczas którego azjatycki mnich stworzył *succubus* w warunkach laboratoryjnych - rzekł. - Chcę wszelkich informacji na ten temat. Charakterystyka tego człowieka odpowiadała

charakterystyce stygmatyka. Na oczach świadków *succubus* go posiniaczył.

- Wróć do nas do pracy, a dam ci wszelkie materiały, jakie tylko będziesz chciał.

- Wciąż jesteś finansowany w lwiej części przez takich jak Riccalo? Mallory powiedziała mi, że oprócz zasiadania w komisjach stypendialnych do jego zajęć należą szwindle w handlu nieruchomościami, przez co wielu starszków zostaje na lodzie.

- Ale żadnych aresztowań, oskarżeń i wyroków nie ma. Wedle standardów Nowego Jorku jest wzorowym obywatelem. Dajmy temu pokój, Charles, nigdy przecież nie zgadzaliśmy się co do źródeł finansowania Instytutu, prawda? Zabieram jego firmie pieniądze, więc jeśli jest aż takim łotrem, powinienem dostać medal za zasługi dla społeczeństwa. Ale nie zamierzam być uparty. Wróć do nas, a znajdę inne źródło finansowania.

- Dzięki, ale wezmę tylko materiały i zmykam.

- Tracisz rozum wśród tych kurzych mózdków. Z chęcią zamienię cztery dobre głowy Instytutu na to, co zostało w twojej. No jak? Wróć do domu, Charles, wróć tu, gdzie twoje miejsce. Potroję fundusze na twoje badania.

- Raczej nic z tego.

- Tam jest zimno, pamiętaj o tym.

Przez „tam” Efrim rozumiał wszelki świat poza szczelnym kloszem Instytutu. Charles domyślał się, że codziennie wygląda powrotu swego najwartościowszego dziwoląga, pokonanego - jak mniemał - przez trudy współżycia z ludźmi, dla których był ekscentrykiem i przybyszem z innej planety - poniekąd słusznie.

- Czy będziemy mogli przekazać raport ojcu chłopca?

- Możliwe, że to właśnie ojciec wszystko ukartował. Nie ufam mu. Co do ciebie też mam wątpliwości.

Godzinę później Charles siedział w swoim własnym biurze i zamykał skoroszyt z materiałami na temat *succubus*. Zatem to prawda, rzeczywiście istniał związek między tymi tworam i stygmatyzmem obserwowanym u fanatyków. Aberracje *succubus* oddziaływały w sposób nie budzący wątpliwości tak na ludzkie ciało, jak i umysł.

W zapadających ciemnościach powróciło do niego wspomnienie z dzieciństwa, zaskakujące w swej wyrazistości aż po szczegółowy obraz mięsistej góry pieczonego drobiu. Była to gęś, zajmowała poczesne miejsce na stole nakrytym białym koronkowym obrusem, zastawą ze szlachetnej porcelany, błyszczącymi srebrami i świecznikiem. Malakhai siedział obok pustego krzesła, które należało do Louisy. Dorośli pili wino i śmiali się w towarzystwie pogodnej muzyki Mozarta. Małe dziecko - to właśnie Charles - spojrzało na Malakhaiego akurat w chwili, gdy Louisa go pocałowała. Ujrzało odcisk ust na policzku. Potarło oczy piąstkami, ale nie potrafiło usunąć pocałunku, który pozostawił na twarzy magika odgnieciony ślad - zarys kobiecych ust.

Amanda Bosch nie dawała jak dotąd żadnych fizycznych oznak swej obecności. Była po prostu zwiewnym obrazem, niby hologram. Długa droga, nim coś poważnego będzie mu grozić. Nie osiągnęła stadium skończonego tworu, a Charles nie stracił jeszcze rozumu. Na razie wykonał jedynie zręczną, poruszającą się podobiznę, osobliwe przedłużenie jego wzrokowej pamięci.

Tak.

*

Pulsowała czerwona dioda sygnalizatora, zatem sędzia używał telefaksu. Podłączone kable przechwyciły wysyłaną wiadomość i skierowały ją do Mallory. Było to podanie o nową kartę do bankomatu. Mallory wprowadziła je do własnego komputera i naniosła na tekst kilka zmian. Pod rubryką na nazwisko i adres wpisała własne pytania do Hearta. Następnie skopiowała list do Harry'ego Kiplinga, który również miał telefaks.

Teraz, kiedy już poznawała ich powoli, wiedziała, że będzie potrafiła dawkować presję każdemu z osobna. Co jednak zrobić ze ślepcem? Wedle informacji administratora komputer Franza podłączony był do drukarki w systemie Braille'a, ale czy na pewno go używa? Napisała wiadomość dla niego: JESTEM TUŻ ZA TOBĄ. SŁYSZYSZ MNIE? WIDZISZ MNIE? WIDZISZ MNIE?

Irytowały ją pomruki u jej stóp. Spojrzała na kota oczami przymkniętymi groźnie do rozmiarów jego własnych ślepi, zmrużonych z ukontentowania. Naraz z kuchni dobiegł huk. Pomacała rewolwer, tymczasem kot wyciągnął szyję, usiłując wychwycić innymi zmysłami to, czego nie mógł zobaczyć.

Z dobytą bronią Mallory weszła do kuchni. Na podłodze obok stołu zobaczyła rozbite kawałki szkła i plamy wody. Sprawdziła każde pomieszczenie w mieszkaniu, po czym wróciła do kuchni. Obejrzała dokładnie cały stół, szukając zapałki, która mogłaby posłużyć do podważenia naczynia, tak jak Charles zrobił to z wagą w biurze. Nic nie znalazła.

Chłopak ma cwany łeb, ale na pewno nie jest istotą nadprzyrodzoną. Zatem szklanka z wodą spadła sama.

Uklękła na podłodze ze zmiotką i szufelką, i uprzątnęła rozbite szkło, po czym wytarła podłogę do sucha i ostrożnie zawinęła odłamki w folię.

Z najbliższego pokoju dobiegła ją nagle seria głuchych łoskotów. Kiedy Mallory tam wpadła, zobaczyła kota, z wygiętym grzbietem, nastroszoną sierścią i uszami położonymi po sobie. Strącił na podłogę misę ze sztucznymi owocami. W jego kierunku toczyło się jabłko, cofał się więc na szczupłych łapach, jakby dywan zajął się ogniem. Mallory pstryknęła palcami, by zwrócić na siebie jego uwagę. Przebiegł całą długość pokoju i wskoczył jej na rękę.

Kolejna sztuczka?

Mallory postawiła kota na podłogę i jeszcze raz strzeliła palcami. Znów znalazł się w jej ramionach.

Postawiła go ponownie i na czworakach zaczęła zbierać owoce z dywanu. Kot trzymał się blisko niej, zalecając się, miauczając błagalnie o odrobinę uwagi, o cokolwiek.

Mallory wsypała sztuczne owoce z powrotem do misy. Nos polizał jej rękę, ale ją cofnęła. Przyglądała się świeżemu nalotowi kocich włosów na dywanie.

Helen Markowitz, wzorowa pani domu, nigdy w życiu nie wpuściłaby do domu żadnego zwierzęcia, choć dokarmiała każdego przybłądę, który

zabłąkał się na ich podwórko. Przez dziesięć zimowych dni mieszkał kiedyś u nich w garażu pewien kundel, który łapczywie łykał resztki jedzenia, lizał Helen po rękach i patrzył na nią miłośnie brązowymi ślepiami.

Helen pokazała małej Kathy blizny na jego skórze. „O ludziach można się wiele dowiedzieć po hodowanych przez nich zwierzętach”, powiedziała. O właścicielu kundla dowiedziały się takich rzeczy, że nie próbowały go nawet odnaleźć. Helen zerwała numerkę z obroży i znalazła biednemu psu dom u rodziny mieszkającej opodal.

„To nie on się zgubił - powiedziała. - Zagubił się ten, kto go tak maltretował”.

Nigdy nie używała słownictwa wspólnego dla Kathy i Markowitza: ścierwo, gadzina, bydlak. Skurwiel, który poranił zwierzę kopniakami i połamał mu żebra, był dla Helen osobą, która się zagubiła.

„Każdy ma w sobie ciemną stronę - powiedziała. - Kiedy owa ciemność zagasi całe światło w duszy, człowiek jest zagubiony”.

Nie, ten ktoś to po prostu zwykle ścierwo, pomyślała mała Kathy, będąc zdania, że były właściciel sam zasłużył na kilka kopniaków w żebra. Jej młode poczucie sprawiedliwości cechowało się surowością i elegancką prostotą, których nie ubywało bynajmniej z upływem lat. Ale ze względu na Helen mała Kathy zachowywała się tak, jakby jej dusza też skąpana była w świetle.

Mallory wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała kota po łbie. Helen by się to spodobało.

Zamknął ślepią z zadowolenia.

Spełniwszy obowiązek, wytarła dłoń o dzinsy i wyszła, zostawiając kota na środku pokoju. Patrzył szeroko rozwartymi ślepiami za znikającą panią.

*

Akta morderstwa Amandy Bosch zajmowały honorowe miejsce w stosie papierów na biurku Rikera. On sam przeszukiwał zawartość jednej z dolnych szuflad, zaciskając palce na zdjęciach, które - jak sądził - pochodziły

z miejsca zbrodni. Ale w swej metodzie poszukiwania dokumentów poszedł zbyt nisko i teraz trzymał w ręku fotki, które zrobił w dniu ukończenia przez Kathy akademii policyjnej.

Widniała na nich Helen Markowitz, uśmiechnięta szeroko, nieświadoma, że w jej ciele gnieździ się już nowotwór, który za rok miał przerwać życie kobiety. Markowitz nigdy nie wydzwignął się po stracie żony. Gdyby nie Kathy, możliwe, że poszedłby śladem Helen.

Riker nieuchronnie wpadał w rozdrażnienie, gdy wracał myślami do śmierci Helen. Przypominał sobie, jak spokojnie się jej poddała, wyciszona, pogodzona z losem. Wwieziono ją na szpitalnym wózku do sterylnej sali operacyjnej, a potem wyjechało już tylko ciało. Życie wymykało się i wymykało spod ręki chirurga i w końcu pierchło na dobre.

Powinno być więcej hałasu, by nadać rangę tej śmierci. Tymczasem lekarz niemal szeptem powiedział Markowitzowi i Kathy, jak ogromnie mu przykro. Słowa: „Widowisko skończone” pozostały nie wypowiedziane. I tak Markowitz i Kathy usiedli na plastikowej ławce w przerażającej ciszy poczekalni, dwoje nic nie znaczących ludzi dotkniętych tragedią, która przeminęła bez echa. Był to spektakl, który pod koniec przemienił się w bełkot i zabrakło nawet kurtyny, by jej opuszczeniem dać do zrozumienia widzom, iż czas do domu.

Riker doskonale wiedział, o co chodzi, gdy Kathy obróciła się ku niemu i rzekła: „To bandytyzm”. Tak było.

W tej chwili ktoś stanął po drugiej stronie biurka i, nie chcąc przerywać Rikerowi toku myśli, czekał grzecznie, zaszurawszy cicho stopami, by delikatnie zaanonsować swą obecność.

Riker znał tylko jedną osobę, która miała na tyle kultury. Nie zdziwił się, gdy podniósł wzrok i ujrzał uśmiechniętą twarz Charlesa Butlera. Znów przypomniał mu się Markowitz. Wprawdzie uśmiech Louisa nie miał w sobie wesołości tego pomyśleńca, ale podobnie zmuszał każdego do zrewanżowania się tym samym, bez względu na ponure myśli w głowie czy strapienie w sercu.

- Przysuń sobie krzesło, Charles. Czekasz na Mallory?
- Nie, byłem u Jacka Coffeya. Zaprosił mnie na krótką pogawędkę o Amandzie Bosch.

- Pewnie myślisz, że Mallory coś przed nim ukrywa. I chyba ma rację. Ale żeby być sprawiedliwym, trzeba jasno powiedzieć, że on też niejedno ukrywa przed nią, a ja przed nimi obojgiem. Jesteśmy niezbyt zgranym gronem, my troje. Chyba jej nie zasypałeś Coffeyowi, co?

- Oczywiście, że nie.

Zatem Mallory rzeczywiście coś zataja.

- Czym mogę ci służyć, Charles?

- Coffey powiedział mi, że to twój pomysł, by dać Mallory tę sprawę. Mogę spytać dlaczego?

- Z powodu samej Amandy Bosch. Kiedy umiera taka młoda dziewczyna, powinno być więcej szumu, wiesz? Poszczucie Mallory na tego świra było najgorszą rzeczą, którą mogłem mu zrobić.

- Ale to niebezpieczne.

- Jeżeli ona ma rację co do niego, musi go tylko wykurzyć z ukrycia. Jeśli zaś nie ma, możliwe, że będzie musiała go zastrzelić.

- Nie martwisz się o nią?

- Nie - skłamał Riker, bo lubił Charlesa.

- Ale tak jak ona sobie poczyna, równie dobrze...

- Nie możemy wsadzić nikogo do więzienia bez żadnych dowodów. Czasami wiemy, kto zabił, ale nie możemy tknąć człowieka. Morderstwo uchodzi nieraz płazem - nie powiem ci, jak często, lecz to się zdarza. Ale w tej sprawie idę o zakład, że skurwiel nie umknie przed Mallory. Wyłożyłem na nią sto dolców.

- Ale ona wystawia się na cel.

- Normalka - jest przecież gliną. Zresztą nie dałaby za wygraną. Jeśli sądzisz, że byłaby szczęśliwsza z tobą, wiodąc spokojne życie cywila, to radzę ci, pozbądź się złudzeń. Ta praca ją nakręca. Znalazła punkt zaczepienia w śledztwie i teraz jest w swoim żywiole. Co ty możesz dać jej w zamian?

- Nic i dobrze wiem o tym - odparł Charles. Przez chwilę wpatrywał się w swoje buty. - Ale przecież szukacie dowodów, które można przedstawić w sądzie. Tymczasem jej metody są mocno na bakier z prawem, mam rację?

- Tak, masz. Wiem dobrze, że będzie łamała przepisy, by tylko dorwać faceta, i niestety ja sam też zniżam się już do podobnej filozofii. Podążam śladem Markowitza do krainy, gdzie cel uświęca środki. I godzę się na to. Możesz więc mnie aresztować.

- Nie żartuj. Co jednak będzie, jeśli zostanie przyłapaną na łamaniu prawa? Co z jej karierą?

- Charles, ty nie wiesz, jak Markowitz ją wykorzystywał. Stary lubił cię i obdarzał zaufaniem, ale wątpię, by mówił ci o brudach w wydziale. Uświadom sobie jedno: gdybyśmy wszystko robili, jak burmistrz przykazał, mielibyśmy lichutkie wyniki. Mallory zdobywała dla Markowitza informacje, których zdobyć nie było można. Nie pytał jej wtedy, ile paragrafów złamała. To, co pozyskiwała w nielegalny sposób, nie nadawało się wprawdzie do przedstawienia w sądzie, ale pozwalało Markowitzowi wykończyć przestępcę nerwowo. Ona niejedno już wie o mordercy Amandy Bosch. I to jest gruntowna, intymna wiedza. Kiedy z nim skończy, facet będzie myślał, że siedziała mu w kieszeni, gdy załatwiał Bosch. Dopadnie go. Postawiłbym na to cały majątek. Mallory to pewny koń.

- To krucha ludzka istota, jak my wszyscy.

- Charles, my wszyscy to wpadamy w tę samą pułapkę. Jest taka młoda, prawda, taka śliczna. Człowiek całe życie nic innego by nie robił, tylko się nią opiekował. Piękna gładziutka buzia, oczy anioła.

Zamyślony Charles kiwał przez dłuższą chwilę twierdząco głową, aż wreszcie Riker pochylił się do przodu i potrząsnął nim, by przywołać do rzeczywistości, którą zamieszkiwała zupełnie inna Mallory.

- Ma najzimniejsze spojrzenie, jakie w życiu widziałem - ciągnął podniesionym głosem. - Normalni ludzie dostają dreszczy, nie tylko ci, którzy piją tyle, co ja. Chodzi z armatą w kieszeni, jak ty z grzebieniem.

Świetnie strzela, ty zaś pewnie nie potrafiłbyś naładować broni bez instrukcji.

Riker odchylił się do tyłu i położył nogi na biurku, przyglądając się, jak Charles usiłuje pogodzić to, co podpowiada mu rozsądek ze ślepą, psychotyczną miłością do Kathy Mallory. Zastanawiał się jednocześnie, czy Mallory rozumie, co Charles do niej czuje. Skłonny był uznać, że tak i na dodatek bezwzględnie to wykorzystuje.

- Cieszę się, że do mnie wpadłeś - powiedział łagodniejszym tonem. - Mam nadzieję, że nasza pogawędka wyklarowała ci co nieco.

*

Podjeżdżając pod dom Robina Duffy'ego, Charles niemalże wjechał samochodem na chodnik, tak zdumiały go światła menory i bożonarodzeniowej choinki w oknach domu po przeciwnej stronie ulicy. Dawni jego mieszkańcy, Louis i Helen Markowitzowie, nie żyli.

Robin, gospodarz tego wieczoru, stał w drzwiach obramowany ciepłym światłem. Śnieg zachrząścił, gdy Charles przeszedł przez wąski pas ziemi, który biegł wzdłuż odśnieżonego chodnika. Ruszył szybko wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką i zaraz jego dłoń została serdecznie uściśnięta. Robin był sąsiadem Louisa przez ponad dwadzieścia lat.

Po powitaniu Charles obrócił się w progu, by jeszcze raz zerknąć na dom rozświetlony świątecznymi lampkami.

- Jak za dawnych dni, co? - spytał Robin z uśmiechem.

Weszli do środka i natychmiast owiało ich ciepło mieszkania i zapach igieł sosnowych toczący bój z wonią kwiatowego odświeżacza powietrza.

- Nie udało mi się dotąd namówić Kathy, żeby sprzedała ten dom - mówił Duffy, gdy tymczasem doktor Edward Slope podniósł się od karcianego stolika i poklepał Charlesa po plecach.

- Ta dziewczyna to jedyny mieszkaniec West Side, który ma dom letniskowy na Brooklynie - powiedział Slope. - Wydaje mi się, że ona lubi tego rodzaju perwersje.

- Ale przecież w ogóle z niego nie korzysta - zaproponował Duffy. - Nawet już tu nie zagląda. Dlatego postarałem się, by wyglądało, że ktoś tam mieszka. Od czasu, gdy Kathy weszła do rodziny, Louis co roku stawiał w domu drzewko. Jakoś wydawało mi się teraz nie w porządku bez choinki.

- Nazwijmy to lepiej chanukowym drzewkiem - poprawił go rabbi Kaplan, wchodząc do pokoju z tacą pełną składników do kanapek w rękach. - Przysięgał mi, że to nie były choinki tylko chanukowe drzewka.

- Rzeczywiście, teraz wygląda tak, jakby ktoś tam mieszkał - przyznał Charles, wyglądając przez okno na ulicę.

- Ustroifem drzewko ozdobami z ich pierwszego Bożego Narodzenia - pochwalił się Duffy.

- Tymi, które Kathy ukradła z domu towarowego? - zapytał Slope, przekładając talię kart.

- Oj, dobra, dobra - usiłował go ułagodzić Duffy, wieloletni nie tylko sąsiad, ale też przyjaciel i adwokat Markowitza. - Przecież Helen poszła tam i zapłaciła za wszystko, więc formalnie rzecz biorąc...

- Nieważne - przerwał mu Slope. - Przysuńcie sobie krzesła, panowie. Robin, powiedz Charlesowi, co jeszcze zrobiłeś w ich domu.

Zasiedli we czterech przy stoliku, biorąc do rąk rozdane karty i jednocześnie podając sobie musztardę i majonez, wędliny i marynaty, kromki białego i żytniego chleba. Kapsle spadały z butelek piwa i toczyły się po blacie, gdy tymczasem Duffy wygłaszał wykład na temat skomplikowanego działania elektronicznych urządzeń świetlnych.

- Kupiłem czasomierze do wszystkich pomieszczeń - mówił, zwracając jedną kartę w nadziei, że dostanie lepszą. - Światła włączają się i wyłączają automatycznie o różnych porach. W kuchni ustawiłem, by gasło o 7.45. Wtedy zwykle Helen kończyła zmywać.

- Robin, tyś naprawdę dostał kręcka - powiedział lekarz sądowy Slope, rzucając jedną kartę Duffyemu, dwie rabbiemu Kaplanowi. - Absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Harvardzkiego wreszcie znalazł urządzenia,

których zasady działania potrafi pojąć.

- Najbardziej się cieszę ze światła w pokoiku Louisa - ciągnął Duffy. - Zapala się zaraz po wiadomościach wieczornych.

To właśnie tamto okienko pod szczytem. - Wskazał butelką szerokie okno w ścianie, za którym po drugiej stronie ulicy majaczył ciemny szpiczasty dach. Wziął podaną mu kartę i dołączył ją do pozostałych.

Charles nie umiał w żaden sposób poznać, czy Duffy zyskał na wymianie, albowiem twarz prawnika nie zdradzała żadnych uczuć, tymczasem jego trzech przeciwnicy najwyraźniej dobrze wiedzieli, co on sam ma na ręku. Gdy blefując podwyższył stawkę, Slope parsknął śmiechem. Złożywszy karty w dłoni w poczuciu poniżenia, zapatrzył się w migające kolorowe światła, które zdobiły werandę domu Louisa Markowitza.

- Wiecie, przez chwilę myślałem, że to dzieło Mallory - rzekł.

- Co, światła? Jako sentymentalny gest? - Slope wpatrywał się w Charlesa znad kart, szukając w jego twarzy symptomów gorączki.

Charles skinął głową i doktor wywrócił oczyma.

- Charles, mówię ci to jako przyjaciel; musisz się wyzbyć tych mrzonek o rewolwerowcu z sercem Królowej Śnieżki - rzekł. - Jestem lekarzem, możesz więc zaufać mojej diagnozie. Mallory nie ma nawet wyczuwalnego bicia serca.

- Ale Helen kochała - powiedział z uporem rabbi Kaplan, wpatrując się w swe karty. Słodki uśmiech na twarzy pokryła nieprzenikniona maska wytrawnego pokerzysty.

- Tu zgoda - rzekł Slope. Odłożył karty. - Kochała nawet Louisa na swój osobliwy sposób.

- To chyba jednak świadczy o wrażliwym sercu - drążył Kaplan, układając swe karty przy kartach Duffyego i zgarniając pierwszą wygraną tego wieczora. - Robin, muszę ci powiedzieć, że ta elektryczna menora w oknie to bardzo miły akcent.

Duffy zabierał się do drugiego rozdania, gdy Charles żądał pytanie:

- Czy wychowywano ją w obu religiach?
- Ona nie zna żadnej religii - odparł Slope, biorąc do ręki karty. - Uważamy, że jeśli już, to raczej pracuje dla diabła.

- Przestań tak o niej mówić - upomniał go Kaplan. - W końcu nie jest chyba łotrzą spod ciemnej gwiazdy?

- Właśnie, cholera, że jest - wysapał Slope i cisnął karty na stół. - Teraz sobie ubzduriała, że będę dla niej kradł! Prosiła, żebym zakosił osobiste notatki jednego z moich funkcjonariuszy i przekazał je Charlesowi. Coś za dużo przecieków w naszym wydziale, powiedziała. Wiecie, że ona węszy za plecami Jacka Coffeya?

- Powinien się cieszyć, że trzyma go w nieświadomości - rzekł Duffy. - Jeżeli nauczył się czegokolwiek od Markowitza, nie powinien w ogóle chcieć wiedzieć, co ona robi. Pomagając jej, wyświadczasz mu przysługę.

Slope wyciągnął z tylnej kieszeni zwitek kartek i pchnął go po stole w stronę Charlesa.

- To notatki tego funkcjonariusza. Nie wydano by ich nawet na żądanie samego komendanta. Gdyby każdy funkcjonariusz zakładu medycyny sądowej dawał swoje notatki z oględzin oficerowi śledczemu, kończyłoby się na oskarżaniu ludzi na podstawie domysłów i czystych spekulacji. To tak, jakby wierzyć we wszystko, co ktoś napisał w pamiętniku.

Charles miał na ręku kolor, ale Kaplan i Duffy poszli śladem Slope'a i złożyli karty, pasując. Skąd oni zawsze wiedzą? Cztery dwudziestopięciocentówki leżące na stole to prawdopodobnie jedyna wygrana będącą w Charlesa zasięgu tego wieczora.

- Natrafiłeś na coś ciekawego? - zapytał Slope'a.

- Raczej nie. Chciała dostać raport o zgonie matki sędziego Hearta. Powiedziałem jej, że nie wysyłamy ludzi z medycyny sądowej do osób zmarłych naturalną śmiercią, jeżeli lekarz jest na miejscu. Ona mi na to: „Sprawdź jeszcze raz”. No i okazało się, że istotnie wysłaliśmy tam naszego człowieka, ale dlatego, że niedoświadczony dyspozytor popełnił błąd. Znalazłem też w archiwach szpitalnych karty tej kobiety. W okresie roku

zestawiono jej dwa złamania. Cóż, stare kości łatwo się łamią. Ale powiedz jej, Charles, że nie wniosę o ekshumację, dopóki nie zdobędzie solidnych dowodów, że coś było nie tak. Powiedz jej to ode mnie.

Robin Duffy położył obok ręki Charlesa kopertę.

- To brudy na temat Erica Franza - rzekł. - Zapiski z dochodzenia w sprawie wypadku, w którym zginęła jego żona. Franzowie kłócili się w chwili, gdy doszło do tragedii, szli ulicą i ona nagle wpadła pod samochód, ale wedle świadków Franz wcale jej nie pchnął, o co chyba podejrzewa go Mallory. Cały czas znajdował się od żony w odległości co najmniej metra, aż do chwili, gdy wpadła pod koła.

- Sądzę, że bardziej interesuje ją, jak Franz stracił wzrok - rzekł Charles.

- Owszem - odparł Slope. - Stało się to wskutek wypadku trzy lata temu. Dostał odszkodowanie zamykające się kwotą siedmiocyfrową. Chirurgia pourazowa nie przywróciła mu wzroku, zmienił więc lekarzy, jeszcze zanim stanął przed drugą komisją weryfikacyjną. Nie mam pojęcia, kto go leczył. Akta tej sprawy nigdy do nas nie dotarły.

- Czy możliwe, że odzyskał wzrok w późniejszym terminie?

- Chirurg dawał mu na to ledwie 25 procent szans.

- Nie byłoby sensu udawać ślepoty - rzekł Duffy. - Franz był z całą pewnością niewidomy wówczas, gdy sąd przyznał mu odszkodowanie. I nawet gdyby potem odzyskał wzrok dzięki zabiegom, nie straciłby już tych pieniędzy. W dodatku pieniądze z polisy ubezpieczeniowej żony przekazał na cele charytatywne. Powiedziałbym, że jest kryształowo czysty. Nie wiem, dlaczego Kathy go sprawdza i co chce znaleźć.

- Powiedz nam, Charles - odezwał się Slope - dlaczego nie chciała wpaść, by sama odebrać te papiery?

- Bo podobno zabroniono jej zbliżyć się do pokera.

Doktor uśmiechnął się.

- Tak powiedziała? Nie przyszła, bo nie chce być powiązana bezpośrednio z tymi, którzy wygrzebią dla niej brudy.

- Sprytna dziewczyna - rzekł Duffy z pewną dozą rodzicielskiej dumy

w głosie. - Nauczyła się tej sztuki od Markowitza. Nie marnować czasu na nakazy, nie zostawiać żadnych śladów po węszeniu, by obrona przyszłego oskarżonego nie mogła się w niczym zorientować.

- Ale jednak zakazano jej grać w pokera, prawda? - zapytał Charles.

Trzej starsi mężczyźni wbili wzrok w swoje karty. Żaden nie spieszył się z odpowiedzią.

- Powiedzcie dlaczego?

Duffy uniósł głowę.

- Mam do niej żal od wielu lat - powiedział. - Markowitz przyprowadził Kathy ze sobą, gdy Helen wychodziła wieczorem z domu. Mała wygrywała tyle forsy, że Louis musiał kupić jej mały czerwony wagonik, by mogła zabrać łupy do domu.

Rabbi Kaplan zwrócił się do Charlesa:

- Największą wygraną było trzydzieści dolarów w grze o pietruszkę. Ale wiesz, jak to jest, legenda nabiera kolorów.

Charles potasował talię i podał mu pierwszą kartę z rozdania.

- Rabbi, powiedz mi prawdę.

- No wiesz, Charles, podejrzewasz mnie o kłamstwo?

Druga karta przypadła Slope'owi.

- Wiedziałem, że Mallory będzie miała na niego zły wpływ - rzekł lekarz do kolegów.

Trzecia Duffy'emu.

- Ona za dobrze gra - rzekł prawnik. - To nie *fair*. Gówniara urodziła się z twarzą pokerzysty.

Charles siedział w milczeniu, przerwawszy rozdawanie, grzecznie czekając na pełną odpowiedź.

- No dobra - westchnął Duffy. - Kathy chodziła do prywatnej szkoły dla dziewcząt no i jej koleżankami były młode damy, które nigdy nie grały w pokera. Więc je nauczyła.

Charles rozdał wszystkim po drugiej karcie.

- Przynosiła do domu trzy banknoty na tydzień, kiedy Helen i Lou zostali wezwani na rozmowę do dyrektora - rzekł Slope.

Gra rozpoczęła się na nowo.

- Naszym zdaniem to było świetne - powiedział Duffy, porządkując karty w rękę. - Mała okazała się znakomitym materiałem na mistrza pokrowego i byliśmy z tego dumni. Ale Helen myślała inaczej.

Slope złożył swoje karty i odsunął je na bok.

- Lou za nic nie chciał, żeby wyrzucono Kathy ze szkoły - rzekł - więc wziął wszystko na siebie. Powiedział dyrektorowi, że to był kiepski żart, który wymknął się spod kontroli, i że Kathy nie rozumiała, iż robi coś złego, bo te on nabił jej głowę pokerem.

- Louis był utalentowanym kłamcą - przyznał Duffy. - Kłamał tak dobrze, że nawet Helen mu uwierzyła. Ta sprawa stała się jedyną kością niezgody między nimi, jedyną w całym ich pożyciu. Kathy wiedziała, że to jej wina, ale nie wiedziała dlaczego. No bo oskubywała koleżanki w uczciwy sposób. Nie znaczyła przecież kart ani nic takiego.

- Była lata świetlne do przodu w stosunku do każdego dzieciaka, którego ogrywała - powiedział Slope. - Nie znałeś Helen, Charles, więc nie zrozumiesz, jak to było między nią a Lou. Po latach małżeństwa wciąż trzymali się za ręce pod stołem przy obiedzie. Nierzadko siedzieli i rozmawiali ze sobą do drugiej nad ranem.

- No i nagle - wtrącił rabbi - w tym ciepłym domu zapadła cisza. Helen uważała, że Lou zdeprawował Kathy. On był tym zdruzgotany, ale mimo to wziął na siebie odpowiedzialność za przewiny małej. Ona zaś wyczuła, że między przybranymi rodzicami zapanował chłód, owo okropne milczenie. W ten sposób dotarła bardzo blisko do zrozumienia różnicy między dobrem a złem.

- Tyle że zaraz znów się jej to wymknęło - dodał Slope.

- Ale w pokera więcej nie grała - rzekł rabbi. - Sama sobie zakazała. To była jej wersja pokuty.

- Przeceniacie ją - powiedział Slope. - To potwór bez serca. Demoralizuje każdego... - urwał, albowiem rozległ się donośny dzwonek telefonu.

Duffy podniósł słuchawkę i podał ją Slope'owi. Położywszy słuchawkę po chwili na widełki, doktor zwrócił się do Charlesa:

- Moja żona mówi, że Kathy nagrała się na naszą automatyczną sekretarkę - oznajmił. - Podobno chce sama odebrać papiery.

- Ma tu przyjść?

- Tak?

- O której?

- Wpół do dziewiątej.

- Jest już za dwadzieścia pięć - rzekł Charles. - Dziwne, przecież nigdy się nie spóźnia, ani minuty.

- O Boże, moje światła! - wykrzyknął Duffy. - Ona nie wie o światłach!

To prawda, nie spóźniła się ani minuty. Jak na komendę obrócili się do okna. Na jezdni przy chodniku stał jej mały brązowy samochód.

To Edward Slope, największy gderacz, wypadł na ulicę pierwszy, bez pałta. Biegł już po ścieżce, nim pozostali zdążyli wstać od stołu.

Stanęli we trzech w otwartych drzwiach, niepomiń chłodu nocy. Charles patrzył na plecy przebiegającego jezdnię Slope'a.

Późniejszymi czasy sprawiało mu ból, że pamięta to nieistotne wydarzenie z taką ogromną wyrazistością. Może nic dziwnego: zimową noc cechowała krystaliczność powietrza. Mimo że patrzył z oddali, nie umknął mu żaden szczegół: ani zarys pięknego policzka, ani poblask lampy na jasnych włosach, ani straszliwy bezruch, budząca grozę cisza, mącona jedynie krokami pędzącego doktora.

Mallory stała na niewielkim skrawku ziemi pokrytej świeżym śniegiem. Mimo uchodzącej z ust pary, była statua w niebieskich dżinsach, ustawioną przed drzwiami domu naprzeciwko. Patrzyła w okno, na choinkę i menorę. Naraz uniosła nieco głowę, albowiem w pokoju Louisa Markowitza na pierwszym piętrze zapaliło się światło.

Slope podbiegł do dziewczyny od tyłu i chwycił ją za ramiona. Mówił coś cicho, niemal szeptem. Nie poruszyła się ani mu nie odpowiedziała,

patrzyła tylko w okno na pierwszym piętrze, tak była zahipnotyzowana bijącym z niego światłem.

*

Gdy chodzi się z kimś w parze na patrole, to jakby się miało żonę, nawet jeśli to mężczyzna, ale Peggy trudno było o to posądzać. Tęsknił za nią przemożnie od dnia, gdy przedwcześnie opuściła służbę z powodu pocisku, który utkwiał jej w płucu. Tęsknił, choć zachodził do jej baru co najmniej raz w tygodniu, niby wierzący do kościoła.

Nie odrywał od kobiety oczu, gdy odeszła na chwilę, by przeciągnąć mokrą ścierką po mahoniowym kontuarze i schować do kieszeni resztę pozostawioną przez klienta. Patrzył, zaciągając się papierosem.

Wiek odcisnął już na niej swe piętno, tym wyraźniejsze, im bardziej próbowała to zatrzeć. Włosy farbowała na kryjący siwiznę miodowy blond, przybrała na ciele: w biodrach i udach. W nikłym świetle, obserwowana z przeciwległego końca baru, wydawała się jednak taka sama jak dawniej.

Ach, te lata, kiedy Peggy była młoda, on zaś i młodszy, i trzeźwy przez większą część dnia! Gdy nosiła odznakę i broń. To były czasy.

Matrona, która wdrapała się na stołek obok Rikera, była prawdopodobnie jedynym cywilem w barze tego wieczora. Miała łagodną twarz, patrzyła jednak na niego z dezaprobatą obywatela niezadowolonego z funkcjonariusza, na którego pensję łożą wszyscy podatnicy. Dostrzegwał kątem oka irytujące ruchy jej rąk. Ostentacyjnie odpędzała chmury dymu od siebie i w pewnej chwili dokonała inwazji na przypadający Rikerowi kawałek kontuaru.

- Wie pan, że palenie pasywne zabija niepalących?
- To dobrze - odparł.

Chwyciła torebkę i przesunęła się na przeciwległy koniec baru. Tymczasem wróciła Peggy, z szerokim uśmiechem na twarzy i kolejnym piwem w rękę.

- Na czym stanęliśmy? - zapytała.
- Na sygnałach ostrzegawczych.

- Właśnie, na sygnałach ostrzegawczych. Coś takiego jest naturalne. Każ jej sprawdzić rachunki kart kredytowych za wizyty w ulubionych barach i restauracjach. Członkostwo siłowni to też znak. Mężczyźni chcą być w formie, gdy mają nową kobietę. Czy facet sam kupuje sobie bieliznę? Coś ekstra? To wszystko może mieć znaczenie.

- Jeżeli jest tyle sygnałów zdrady, to jak to się dzieje, że żony nic nie kapują?

- Kapują. Mężowiem ciężko zauważyć zdradę żony, ale odwrotnie zdarza się to bardzo szybko. Żony wiedzą od samego początku, mimo że niejedna przychodzi tu i uważa się, iż przez lata nie miała pojęcia. W rzeczywistości dobrze wiedziały, tyle że wmawiały sobie, iż jest inaczej. Tak to jest, cholera. Patrzą, widzą wszystko, ale nie potrafią wysnuć oczywistego wniosku.

- Ej, Peggy, nie chce mi się wierzyć...

- Starają się to zracjonalizować. Wysilek, który w to wkładają, jest wprost proporcjonalny do tego, co mają do stracenia. Gdy nie ma dzieci, nie ma hipoteki, kobieta może całkiem cynicznie patrzeć na niewiernego męża. Lecz gdy ma ośmioro dzieci, to usiądzie z nim i pomoże mu wymyślić kłamstwa, w które sama potem uwierzy.

Riker wyjął kołnотatnik. W jego spiralę wpleciony był łańcuszek, na którym wisiała srebrna ozdoba. Łańcuszek wyplątał się i spadł na kontuar. Peggy podniosła go.

- A po co ci gwiazda Dawida? Jesteś przecież chrześcijaninem.

- Nie, jestem alkoholikiem.

- Ej, Riker, znów te marzenia o awansie społecznym? Jeżeli chcesz być alkoholikiem, musisz chodzić na spotkania A. A. - Oddała mu sześciornamienną gwiazdę.

- No dobra, jestem pijakiem z aspiracjami. - Patrzył na trzymany w dłoni wisiołek. - Nosił to Louis Markowitz, no i Mallory pomyślała, że chciałbym pewnie po nim to mieć.

- Ty sentymentalny snobie.

- Ona też mnie tak nazywa, ale w głębi duszy nie uważa, że jestem sentymentalny. - Długopis wznosił się nad notatnikiem. - Dobra, mamy już

cechy nieuczciwego męża. Ale przypuśćmy, że on nie zdradza regularnie, że to był pierwszy skok w bok?

- W takim razie zaczął zmieniać swoje przyzwyczajenia. Może teraz wychodzi z psem i nie trzeba go o to prosić cztery razy. Albo zaczął uprawiać sport, jakąś dyscyplinę dla dwojga, na przykład tenis. Poszukaj też wyjazdów, które nie mają nic wspólnego z delegacjami z pracy, albo dni spędzanych w biurze do późnych godzin nocnych, jeżeli nie zdarzało się to wcześniej.

- Czy umie kłamać?

- Och, oni wszyscy myślą, że umieją kłamać, ale żony przyłapały ich na większej liczbie kłamstw, niż potrafią zliczyć. Szkoda, że nie możesz ich popytać. I szkoda, że pewnie żadna szczerze by ci nie odpowiedziała.

W notesie Rikera pojawiły się tylko trzy słowa: „Spacery z psem”.

- Uważasz zatem, że Mallory trafnie identyfikuje zabójcę? Spanikował i uciekł, tak? - zapytała Peggy.

- Uważam, że go nie docenia. Myśli, że ten facet to mięczak, który zmyka na widok myszy.

*

Lubił, kiedy krzyczały. Uwielbiał, gdy wyły.

Dziwki. Wszystkie kobiety to dziwki.

Czy myślała, że nie rozpozna w niej wroga? Jakże jest naiwna i jak łatwo ją przejrzeć.

Stał pod prysznicem i czekał, aż nienawiść do niej otoczy wraz z wodą całe jego ciało. Była jego wrogiem. Wyszedł z kabiny i wtedy ściekająca woda zebrała się w kałuże wokół stóp. Wytarł dłonią czysty okrąg w zaporowanym lustrze. Patrzył weń, aż jego oczy zdawały się unosić niezależnie od ciała.

Cóż za inteligencja się w nich kryła, cóż za chyżość myśli, tęsknota mknąca ku czerwonej barwie. Tylko ten owad pełzający po kafelkach na drugim planie lustrzanego odbicia mącił jego pogodę ducha. Lepiej szybko zgnieść go stopą. Raz, drugi, trzeci. Ilekroć to robił, wróg krzyczał i

umierał. Bił ją po twarzy, gdy bił poduszkę, po czym zastanawiał się, czemu nie może spać. Kiedy wreszcie sen nadszedł, w jego majakach zapanowała gniewna śmierć. Rak nienawiści toczył go teraz bez przerwy, we śnie i na jawie. Osiągnął pełnię, był niewyciężony.

Zwykli ludzie nie są równym przeciwnikiem dla nowotworu. Na to nie ma lekarstwa.

*

Mallory postukała długim czerwonym paznokciem w plik kartek, które trafiły do jej rąk za pośrednictwem Charlesa od doktora Slope'a. Patrzyła w zatroskaną twarz młodego funkcjonariusza z zakładu medycyny sądowej. Mężczyzna za nic nie chciał spojrzeć jej w oczy. Jego palce zaciskały się niespokojnie wokół filiżanki z kawą, która zdążyła wystygnąć. Obok stolika przystanąła kelnerka. Mallory gestem kazała jej odejść.

- Slope nie wie, żeś trefny, ale ja wiem - powiedziała. - Wiem, ile nakładałeś w banku. Znam każdą transakcję w twoim pakiecie akcyjnym i orientuję się dokładnie, ile zarabiasz.

- Twój stary nigdy nikogo nie zasypał.

- To prawda. Załatwiał za to takim jak ty przeniesienie do piekła. I wtedy większość rzucała pracę. Bo woleli żyć, niż harować w dzielnicach śmierci. Wiem, bo wykonywałam dla niego komputerową robotę. I tak samo, jak urządzałam ich, mogę urządzić i ciebie, a nawet gorzej. Mogę cię wysłać do takiego piekła, w porównaniu z którym przedwczesne odejście ze służby i mała emerytura za brak wysługi lat to pestka.

„Wyluzuj się, Kathy - ofuknęło ją wspomnienie Markowitza. - Jeśli wystraszysz go za bardzo przy pierwszym podejściu, pobiegnie do adwokata. A tego chyba nie chcesz?”

Oparła się na krzesło.

- Chciałam tylko dać ci temat do rozmyślań na święta - powiedziała. - Przemysł swoje notatki na temat wizyty w Coventry Arms. Wesołych świąt, wkrótce się z tobą skontaktuję.

„Ładnie zagrane, mała”, pochwaliło ją wspomnienie Markowitza, które nie chciało odejść do zakamarka umysłu zarezerwowanego dla zmarłych.

*

Pansy Heart leżała w łóżku i patrzyła, jak on wstaje i ponownie wychodzi do łazienki. Przez dłuższą chwilę niemej trwogi wyobrażała sobie, że pełza na ośmiu kończynach.

Leżała w ciszy zakłócaną odgłosami dochodzącymi z łazienki i szelestem pościeli. Westchnęła w mroku, zastanawiając się, czy to usłyszał. I wówczas poczuła, że znów może łykać swobodnie powietrze - lecz nie spać. Nawet gdy na nowo rozległ się jego regularny oddech i wiedziała, że nie obudzi się aż do rana, nawet wtedy leżała rozbudzona, aż wreszcie zmorzyło ją wyczerpanie.

*

Angel Kipling podniosła głowę, gdy Harry wszedł do kuchni. Twarz miał wciąż odurzony snem. Zatrzymał się niezdecydowanie przy drzwiach, jakby się zastanawiał, czy stoi na bezpiecznym gruncie czy na polu bitwy.

Przygwoździła go - rozdartego między pozostaniem a ucieczką - pytaniem.

- Coś ty nabroił, Harry?

- Nic - odparł, otwierając lodówkę i wyjmując resztki kurczaka z kolacji.

Patrzyła na jego uśmiechniętą twarz i najchętniej uderzyłaby go zaciśniętą pięścią.

*

Pansy obudził cios w głowę. Uderzenie nie było mocne, ledwo się o nią otarło. W półmroku ujrzała wzniesioną pięść, zasłoniła się więc ręką. Pięść opadła u boku Emery'ego. Pansy zapaliła lampkę przy łóżku i wtedy krople nocnego potu zaperliły się na jego twarzy. Długawe włosy tworzyły rozmazaną na poduszce aureolę szarości wokół wykrzywionej twarzy i zamkniętych oczu.

- Emery, obudź się!

Brązowe oczy wychynęły spod powiek i spojrzały w jej własne.

Dostrzegłszy ohydny grymas, targnęła się do tyłu jak od złego słowa. Wytresował ją, by tak się zachowywała, podobnie jak wytresował psa. A co w ogóle z nim zrobił? I dlaczego kłamie? Co z nim zrobił?

- Masz koszmar?

Rosie ci się śniła czy matka?

- Tak, to był koszmar. Patrzyłem w dziurę, tam roiło się od larw, a ja musiałem w nią zejść. Wszystko szczezło. Kto mi to robi?

Gdyby Pansy wierzyła w duchy, może znalazłyby odpowiedź na to pytanie. Albowiem to twarz jego matki zobaczyła poprzedniego dnia w lustrze naprzeciw drzwi.

*

Choć wykidajło i barman trzymali niechlujną rudą za ręce, z trudem udało im się wyprowadzić ją na dwór. Na ulicy, poza zasięgiem słuchu Betty Hyde, odbyli z nią krótką, acz wrzaskliwą rozmowę.

Hyde rozejrzała się dokoła, zauważając odchody gryzoni na podłodze. Inspektorzy sanitarni nie pochwaliliby tego.

Twarze pijaków nad kieliszkami przypominały oblicza jej własnych krewnych, którym nie powiodło się w życiu. Szklaneczka, którą dostała, nosiła ślady szminki po poprzedniej klientce. Flejtuchowata kelnerka nie mogła wyjść ze zdumienia, gdy Hyde się jej poskarżyła, ale jednodolarowy napiwek zrobił swoje i wówczas cała zawartość została wypita jednym haustem. Wszystko można znieść, jeżeli jest dość whisky.

Hyde nachyliła się nad małym stolikiem, by powiedzieć coś młodszej od siebie kobiecie siedzącej naprzeciw.

- Jak wynajdujesz takie lokale?

Rozumiała oczywiście powody. Nieprawdopodobne, by ktoś z Coventry Arms zaszedł w takie miejsce, chyba że w towarzystwie ochroniarzy. Ta wypukłość pod paltem to na pewno broń. Pociuszające.

- Chcę wiedzieć więcej o Ericu Franzu - rzekła Mallory.

- Ale coś konkretnego? - zapytała Hyde. Co łączy Erica z sędzią i zigołakiem?

- Masz pewność, że jest niewidomy?
- Absolutną.
- Skąd?
- Gdyby udawał... żona by wiedziała. Jak mąż może ukryć coś takiego przed żoną?
- Może wiedziała?
- Nie. Annie święcie wierzyła, że Eric jest niewidomy.
- Skąd możesz być pewna?
- Mówiłam ci już, że miała osobliwe poczucie humoru... choć typowe jak na dziwkę. Lubiła flirtować z mężczyznami na oczach Erica. Oczywiście bez słów, ograniczała się do głaskania, ocierania nosami. Robiła z nimi to, co uchodziło jego uwagi, czego nie słyszał ani nie widział. To był niezły widok, ich dwoje wśród innych ludzi. Bawiła się setnie jego kosztem na różne sposoby, robiła miny, obsceniczne gesty. Najczarniejszy humor. Ale trudno było oderwać wzrok. Nikt nie potrafił kazać jej przestać. Każdy stawał się niewolnikiem takiego widowiska.
- Dlaczego tak bardzo go nienawidziła?
- Bo on tak bardzo ją kochał. Za bardzo. Gdyby choć od czasu do czasu traktował ją ostro, mogłoby to uzdrowić ich związek. Taka właśnie była.
- A on jaki dla niej był? Podnózek?
- Miły. Ale masz rację, przez całe małżeństwo nic do niego nie czuła prócz pogardy.
- Dlatego nie mieli dzieci?
- A wiesz, zdarzały się okresy, kiedy przysięgłabym, że Annie jest w ciąży. Otaczała ją owa aura nadchodzącego macierzyństwa. Z liczka bił taki szczególny blask, który bierze się z rzygania co rano. Ale potem znów ją spotykałam i była taka jak dawniej: zabójczo piękna i przerażająco przytomna.
- Myślisz, że przerwała?
- Co, ciążę? Tak, ale jak się tego dowiedzieć? Jestem dumna ze swego braku skrupułów, ale jakoś nie mogę się zmusić, by spytać ślepcę, czy jego żona poszła na skrobankę. To znaczy, mogłabym, gdyby były widoki na jakiś skandal. Są?

- Czy powiedziałaś Ericowi, że pracowałam w policji, zanim przystąpiłam do firmy konsultingowej?

- Nie. Powiedziałam mu tylko, że interesuje cię sędzia. Ale nic dziwnego, że wie, przecież wszystkie stacje o tym trąbiły. O Kathleen Mallory, zabitej policjantce.

- W poniedziałek zginął w akcji strażak. Pamiętasz dokładnie, jak to się stało?

- Tak, ratował jakiegoś staruszka. Dużo o tym mówili.

- Jak ten strażak się nazywał?

- Nie pamiętam... Ach, rozumiem. Wiadomości z wczoraj - kto by pamiętał szczegóły, nazwiska i twarze? Ale ty, moja droga, masz wyjątkową twarz.

- Ale Eric Franz nie widzi.

*

Po powrocie do domu powiesiła wierzchnie ubranie w szafie, jak nauczyła ją Helen. Kot szybko wyczuł obecność Mallory i zaczął stukać na powitanie miękkimi łapami w drzwi łazienki. Wcisnęła klawisz w automatycznej sekretarce i poszła do kuchni, by otworzyć puszkę tuńczyka dla swego koronnego świadka.

Rozległ się głos Rikera:

- Mallory, czy któryś z podejrzanych ma psa?

*

Charles przygasił światła w pokoju i usiadł na kanapie, wyciągając długie nogi. Przedwczesny prezent gwiazdkowy od Mallory spoczywał wśród zieleni aksamitnego papieru do pakowania.

Patrzył ponuro na tę jej kolejną próbę zwabienia go w koniec XX wieku. Choć miał znaczną kolekcję płyt i najlepszy gramofon, jaki można kupić za pieniądze, w oczach Mallory był przeżytkiem. U niej nie muzyka się liczyła, lecz technika. Niech wszystkie starocie szlag trafi, rządzi nowoczesność.

Wziął do ręki prezent - przenośny odtwarzacz kompaktowy. Czy ona

naprawę spodziewa się, że będzie łąził po ulicach połączony kablem z najnowocześniejszym dobrodziejstwem epoki elektronicznej?

Jakże perwersyjne były jej podarki. On dawał Mallory klejnoty w za-
bytkowej oprawie, których nigdy nie nosiła, ona jemu - kosztowne wynalazki techniki, które gromadziły kurz między wizytami pani Ortegi.

Wcisnął przycisk, by otworzyć klapę urządzenia, z naiwną nadzieją, że może kazała wygrawerować wewnątrz jakąś sentymalną dedykację. Rozsądek podpowiadał, że to równie prawdopodobne co widok dwóch księżyców na niebie. Wewnątrz, gotów do odtwarzania za jednym przyciśnięciem palca, leżał srebrny krążek. Charles był lekko wstrząśnięty, gdy ujrzał, że to „Koncert Louisy”.

Czy Mallory wie o zniszczonej płycie w piwnicy? Chyba nie. Prawdopodobnie zauważyła tylko, że w jego kolekcji brak tego utworu, o którym mówił, że jest obowiązkowo włączany do każdej kompilacji przebojów klasycznych.

Z ciemnego pudełka trzymanego w dłoni wysunęły się słuchawki. Przecież Charles nie potrzebował słuchawek. Koncert miał wyryty w pamięci w najdrobniejszych szczegółach i naraz dźwięki znów jęły rozbrzmiewać w jego głowie.

Wydarzenia tego popołudnia oszołomiły go podobnie, jak dotknięcie elektrycznej pałki ogłusza bydło u wrót do rzeźni. Rozumiał jednak, jak to się stało. W dzieciństwie właśnie owa muzyka wyzwalała jego fantazje na temat Louisy. Teraz koncert zestrojony był z ejdetyczną kopią Amandy. Amanda trwała, przechowywana w archiwach osobliwej pamięci Charlesa i prawdopodobnie miała tam pozostać na zawsze.

Nie chciał znów się do tego zabierać. Czuł prawdziwy lęk. Nie miał do czynienia z opowieścią o duchach, lecz z czymś, co stanowiło realną groźbę dla przytomności jego umysłu.

Mallory by się nie bała.

A czego właściwie on się boi? Przecież to tylko iluzja, nieprawdaż? Coś, co wykuło się z dziecięcych wspomnień kuglarskiego widowiska, nic więcej, zwyczajny mnemoniczny hologram. Magiczny obłęd Malakhaiego

dowodził wyjątkowego daru, uzdolnienia, a przecież to właśnie jego pole zainteresowań, czyż nie? Badanie uzdolnień. Ponadto znalazł praktyczne zastosowanie dla czarów starego iluzjonisty. Jeżeli jego Amanda odpowiadała rzeczywistości, jeżeli odtworzył ją wiernie, być może powie mu coś, co będzie przydatne dla śledztwa. Jeżeli Mallory potrafi stawić czoło kulom, to on stawi czoło Amandzie.

Pamięć przywiodła go z powrotem do dawnego widowiska.

Znów był dzieckiem. Dyrygent wznosił pałeczkę i na sali zaległa śmiertelna cisza. Rozpoczął się koncert. Muzyka umknęła z zakamarków umysłu małego Charlesa i wzniosła się dokoła ścianą dźwięków, która rozwarła się na niegościnne korytarze wypełnione zapachem róż. Uspokajające tony były ostrzeżeniem przed ciemną dziurą, która zionęła tuż przed Charlesem. W magicznej ciszy, którą słuchacze wypełniali widmami nut, nie mogąc znieść pustki, usłyszał kobiecy lament, płaczliwą tęsknotę za śmiercią, cichszy naraz i coraz mu bliższy, mknący ku światłu.

Miała na sobie ubranie, w którym umarła: żakiet, niebieskie dzinsy i sportowe buty. Jego pamięć odtworzyła wiernie płamę na materiale i tę drugą, ohydną, na włosach, gdzie kosmyki splątały się w supeł z czerwonych żył:

Jak Malakhai zaczynał? A, tak. Tak po prostu.

- Dobry wieczór, Amando.

Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem i usiadła na krześle naprzeciw. Charles poczuł ulgę, gdy uświadomił sobie, że jego tworowi brak cielesności, by wgnieść pluszowe siedzenie. Oparła ręce na poręczach. Zerknął w bok na ścianę: uff! - nie rzucała cienia do pary z jego własnym.

- Dobry wieczór, Charles.

Można by uznać, że głos pożyczyla od Mallory, gdyby nie to, że w jej gardle brzmiał łagodnie. Również oczy miała łagodne.

- Amando, gdy zobaczyłem cię dziś rano, jak stałaś nad tym chłopcem...

- Cierpiał - rzekła, zerkając na swe dłonie, złożone teraz na kolanach. - Nie mogłam tego znieść.

- Chciałaś go więc pocieszyć?

- Tak. Nieszczęśliwy chłopiec. Kocham dzieci.

- Wiem. Dlatego właśnie trudno mi zrozumieć, dlaczego zmieniłaś zdanie w sprawie dziecka, które w sobie nosiłaś.

Spojrzała na podłogę w poszukiwaniu słów i nie znalazłszy ich, podniosła ku niemu zapłakane oczy, pełne niepokojąco rzeczywistych łez. Uniosła rękę w geście bezradności.

- Przecież pragnęłaś tego dziecka, prawda?

- O tak. Całe życie układałam sobie z myślą o nim. Dziecko było dla mnie wszystkim, wszystkim, co ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Dlaczego więc? Dlaczego to zrobiłaś? Kazałaś lekarzowi wyciąć je z siebie. Co było tak okropnego w tym mężczyźnie, że zmusiło cię aż do usunięcia dziecka?

Podniosła się z wdziękiem i odeszła, by wrócić do cienia. Krok miała niespokojny, utrudzony. Musiał ją wyczerpać ten zabieg wycinania upragnionego dziecka z jej łona - z jej życia, z przeszłości, gdy jeszcze wszystko to miała. Wyczerpał ją do cna.

Rozdział 5

24 grudnia

Angel Kipling przebiegała rozognionymi oczami po wyświetlonym na monitorze biuletynie informacyjnym, chłonąc przesuwające się linijki tekstu, poszukując dowodów nowych kłamstw i zastanawiając się, ile tym razem mogą ją kosztować. Może zapłatą będzie małżeństwo i mnóstwo łapówek, by jej nazwisko nie dostało się do prasy.

Ilekczo całował ją w policzek, wzdrygała się, zastanawiając, gdzie był, co robił. Musiała się zastanawiać, nie potrafiła inaczej. Jego kłamstwa rozstrajały ją nerwowo, mimo to logiczny umysł nieustępliwie wychwytywał nawet najmniejsze.

Promienie wczesnoporanego słońca zalewały oślepiającą jasnością jedynie kilka linijek tekstu, które powtarzały się w nieskończoność. Wbiła w nie wzrok, ale nie chciały zniknąć.

- Tylko bez paniki - szepnęła do siebie. - Zawsze panikujesz.

To prawdopodobnie próba wyłudzenia pieniędzy. Gdyby było inaczej, trąbiłyby już o tym wszystkie media.

Zatem przez jakiś czas nic się nie wydarzy. Zaczekamy, co będzie dalej.

Spojrzała na swoje odbicie w szkłe monitora.

- Widzisz, jak sprawy potrafią być proste, jeśli się im na to pozwoli? - powiedziała.

Czasem pragnęła, by umarł. Jak długo bowiem będzie żył, tak długo będzie oszukiwał. Oby umarł, a wtedy miałyby spokój, zamiast wiecznie wysłuchiwać jego kłamstw, wykrętów i nie kończących się przeprosin. Bardzo ładnie przeprosił ją za nielegalne zastawienie apartamentu pod pożyczkę. Potem przeprosił za to, że odchrząknął. Przeprosił psa, następnie tym samym tonem jeszcze raz przeprosił i Angel.

*

Dozorca zlustrował pewnym okiem swój świat - hol Coventry Arms - i uznał, że wszystko jest w porządku. Ludzie odziani przez projektantów mody wchodzili i wychodzili: garnitury od najlepszych krawców, ręcznie wykonane buty. Zwracał większą uwagę na ubrania niż na twarze; buzi pojawiających się od czasu do czasu dzieci w ogóle nie rejestrował w świadomości.

Stopą wystukiwał takt do szybkich, różnych dźwięków koncertu Vivaldiego na mandolinę, który rozbrzmiewał w całym holu na poziomie dyskretnej głośności muzycznego tła.

Naraz ze zjeżdżającej na parter windy doleciały mniej melodyjne, pozabawione harmonii, zajadłe szczeknięcia i gardłowe warczenie. Drzwi się otworzyły i psia walka przeniosła się do holu.

Dozorca zamachał rękoma do tragarza, ale ten wolał pozostać w bezpiecznej odległości. Do jego obowiązków z pewnością nie należał samobójczy skok między spienionego bulteriera i mastifa. Właściciele psów wykazywali równie rozsądne podejście do sprawy. Naraz wbiegł portier, porzuciwszy swe stanowisko, i zaczął dodawać otuchy mastifowi. Tragarz wyjął więc z kieszeni banknot pięciodolarowy i w milczeniu postawił go na bulteriera, wchodząc w zakład z portierem.

Coś trzeba zrobić!

Dozorca, który nigdy nie chodził na walki psów i nie pojmował reguł gry, znalazł się nagle zbyt blisko wydarzeń. Ugryziony przez mastifa, wrzasnął gromko, dostrajając się natężeniem do bitewnego zgiełku.

Ruch przy wyjściu ustał, kilkanaście osób zebrało się, by popatrzeć. W zamieszaniu wywołanym rozlewem krwi i czynionymi zakładami nikt nie zauważył, że z wieszaków za biurkiem zdjęto klucz do mieszkania Mallory i na jego miejscu powieszono bardzo podobny.

*

- Podoba ci się odtwarzacz?

- Tak, bardzo dziękuję. Nagranie z koncertem Louisy też było miłą niespodzianką.

- Musisz się przetrzucić na kompakty, Charles. Większość swych płyt na pewno będziesz mógł przegrać, są w dobrym stanie.

- W dobrym jak na zabytkowe rekwizyty, to masz na myśli? Lubię płyty winylowe. I lubię też gramofon. - Nie chciał, by więcej nowoczesnej techniki wtargnęło do jego domu.

- Przy tak zacofanym technicznie sprzęcie nie będziesz mógł powiększać swoich zbiorów. Na miejsce zużytych tytułów nowych też już nie kupisz. Zauważyłam, że nie miałeś płyty Louisy.

- Bo zdarła się dawno temu. Druga jest w kolekcji Maxa w piwnicy, ale chyba ją porysowałem. Tak więc twój prezent nadszedł w samą porę.

- Co się stało z tym szurniętym przyjacielem Maxa, Malakhaim?

- Och, prowadzi teraz spokojne życie.

- Pewnie jest bardzo stary.

- Tak, przybyło mu lat.

Odkąd to Mallory prowadzi zdawkowe pogawędki?

- A Louisa? Wciąż przy nim?

- O tak. Ale ona się nie starzeje. Zawsze będzie miała dziewiętnaście lat.

Charles patrzył, jak Mallory przypina kolejne wydruki do tablicy korkowej, która zajmowała całą jedną ścianę jej gabinetu.

- Jesteś pewna, że twoja hipoteza kłamstwa to nie fałszywy trop?

Mallory postukała palcem w kartkę, na której były informacje pochodzące z bazy danych agencji nieruchomości, a Charles nie spytał, czy ma ten dokument za zgodą firmy, czy dzięki nocnym rozbojom na elektronicznych drogach przesyłania informacji.

- Cztery dni przed aborcją Amanda złożyła ofertę kupna małego domu gdzieś na północy - powiedziała. - Wedle rejestrów agencji interesowały ją tamtejsze szkoły i place zabaw. Zdaniem lekarza przez te cztery dni niewiele jadła, niewiele spała. Domyślam się, że wtedy właśnie dowiedziała się o kłamstwie. Zzerało to ją, więc potem spotkała się z nim i wszystko mu wygarnęła.

- Ale przecież ten nerwowy wybuch nad klawiaturą nastąpił tuż przed śmiercią, prawda? Czy w takim razie źle to umiejscowiliśmy w czasie? Czy możliwe, że stało się to w dniu, kiedy odkryła jego kłamstwo?

- Nie. Z powodu kłamstwa przerwała ciążę. Później zaś ją to stopniowo wykańczało. Może po prostu nie mogła już więcej wytrzymać. I załamała się.

- Logicznie to się nie zazębia.

- Nie wszystko dzieje się zgodnie z logiką, Charles. Musisz się znaleźć w skórze zabójcy. Kiedy go poznasz, będziesz wiedział: „Jak i dlaczego?” Mnie brak już tylko odpowiedzi na pytanie: „kto?” - Mallory obróciła się twarzą do Charlesa. - Jak sądzisz, na ile dobrze poznałeś Amandę?

Delikatny cień spowił jego umysł. Niemożliwe, by Mallory wiedziała, że zdąża ku szaleństwu śladem Malakhaiego. Ale ów muzyczny prezent otrzymał od niej w samą porę. Czy to nie dziwne? Czy była w piwnicy i widziała zniszczoną płytę? Nie, bzdura. To brzmi paranoicznie.

- Na podstawie powieści może znam Amandę na tyle dobrze, by odgadnąć jej reakcje na wydarzenia, nie zaś same wydarzenia z jej życia, nie kłamstwo, z powodu którego zginęła - odparł Charles. - Mogę ci tylko powiedzieć, że musiało to być coś potwornego. Miała delikatną osobowość, była wyczulona na absurd. Podobało mi się...

- Niczego takiego w jej życiu nie znalazłam. Ale kłamstwo musiała odkryć zwykłymi kanałami. Jeżeli ona je odkryła, ja również mogę.

- Niekoniecznie. Musisz też wziąć pod uwagę możliwość, że mężczyzna zabił nie pierwszy raz, że już to kiedyś robił i uszło mu płazem. To właśnie mogła odkryć Amanda. Logicznie lepiej...

- Jak odkryła, skoro nigdzie nie ma śladu?

- Mallory, tych dwoje ludzi łączyła bardzo intymna wiedza o sobie nawzajem. Fakt, w grę nie wchodziła wielka miłość, ale przecież dzielili łóżko, rozmawiali ze sobą. Jeżeli ją okłamał, mogła to odkryć zwyczajnie, nie za pomocą komputera, lecz w rozmowie, tak samo jak większość z nas łapie innych na kłamstwach. Jeżeli mówisz prawdę, to zawsze jest ta sama prawda, ale kiedy kłamiesz, musisz się mieć na baczności, bo w przeciwnym razie każdemu serwujesz inne kłamstwo.

Naraz oczy Charlesa zaszyły mgłą. Uświadomił sobie bowiem, jak różne są ich role w tym dochodzeniu. Mallory z przerażającą łatwością wkradała się w myśli zabójcy, trudną robotę pozostawiła zaś jemu: miał za zadanie utożsamić się ze słabą ludzką istotą pozbawioną umiejętności samoobrony przed tymi, z którymi ona najchętniej się identyfikowała.

Pragnął oddać widmo Amandy w ręce Mallory i skończyć z tą zabawą. Albowiem dla niej nie było to nic innego. Tak przecież mawiała: morderstwo to najlepsza zabawa.

Wyjmowała stos kaset wideo, które były plonem porannego węszenia.

- Być może naprowadziło ją coś, co zobaczyła w telewizji. W ciągu dwóch tygodni sędzia dość często występował przed kamerami.

Czy możliwe, by to było tak proste? Czy o tajemnicy ostatnich dni życia Amandy dowiedzą się z telewizji? Spędziła je torturowana przez kłamstwo: brak snu, niepokój i poczucie winy z powodu przerwanej ciąży.

Przeszedł wzdłuż wiszącej na ścianie tablicy korkowej. To zdecydowanie nie był styl Louisa Markowitza. Brakowało miłości do szczegółów.

Lotna myśl Mallory nie miała ochoty przystawać przy drobiazgach, które były obsesją Louisa. Charles wciąż musiał sobie przypominać, że ona nie ma obowiązku być kopia swego ojca. Przeczytał z kartki przesłuchanie portiera.

- O co tu chodzi?

- Wydaje się, że tego właśnie dnia całkowicie się załamala. Portier mówi, że była bardzo niespokojna. Wstała nagle z ławki i poszła do domu, pewnie myśląc obsesyjnie o tym kłamstwie, i tego samego wieczora włączyła komputer. Może pisała do późna, by zapomnieć. Ale z drugiej strony książka przecież jest o nim, prawda? Wtedy właśnie wyrwała się z tym: TY KŁAMCO.

Mallory włożyła kasetę do magnetowidu.

- Mam tu fragmenty wszystkich dzienników z ostatnich dwóch tygodni.

Na pierwszej taśmie była konferencja prasowa. Na forum publicznym sędzia Heart prezentował się imponująco i najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. Spośród dziennikarzy pragnących zadać pytania wybierał tylko kobiety i każdej patrzył w oczy, jakby była pępkiem wszechświata.

Jeszcze ciekawsze były nagrania z przesłuchań w Senacie w sprawie nominacji Hearta do Sądu Najwyższego. Mężczyzna, którego Mallory oskarżała o bicie żony, bez przerwy rozprawiał o trosce, jaką napawa go zjawisko napastowania seksualnego w miejscach pracy. Pani senator z Maine kiwała zgodnie głową, ilekroć częstował ją kłamstwem o swym współczuciu dla krzywdzonych kobiet i pragnieniu ochrony ich praw.

Charles zastanawiał się, co mogło przyciągnąć Amandę do tego mężczyzny. Władza miała swoje powaby, jak przypuszczał, i sława też. Inteligencji Hearta również nie można było podawać w wątpliwość.

- Sędzia ciągle jest w gazetach - rzekła Mallory - ale to wszystko wyłącznie suche informacje: relacje z przesłuchań, zdjęcia jego i rodziny. Czy mówiłam ci, że podejrzewam go o zabicie matki?

- Slope wspominał o tym przy pokerze - odparł Charles. - Mówi, że brak dowodów i że to tylko czcze domysły.

- Czasami nic innego nad domysły nie ma, Charles. Przecież sam prosiłeś, bym brała pod uwagę, że zamordowanie Amandy nie było debiutem tego faceta. Może to Heart - matkobójca? Myślisz, że coś takiego mogłoby zmusić kobietę do przerwania ciąży? Choćby z nieuzasadnionych obaw, że matkobójstwo jest przekazywane dziedzicznie?

- Może. Przy twojej opinii na temat sędziego Harry Kipling zdaje się niewiniątkiem.

- Typowy mięczak, panikarz. Cały testosteron w jego małżeństwie pochodzi od Angel.

Przez godzinę siedzieli w milczeniu, oglądając fragmenty dzienników telewizyjnych, Mallory przewijała i zatrzymywała taśmy. Charles zauważył, że wraz z upływem czasu Heart stawał się coraz bardziej spięty.

- Popatrz teraz, jak okłamuje dziennikarkę - powiedziała Mallory.

Do sędziego podeszła szeroko uśmiechnięta młoda kobieta, on zaś powitał ją promiennym spojrzeniem i jowialnym uśmiechem. Był ideałem tatusia dla każdej dziewczynki i chłopca.

- Mam zamiar uwinąć się z tym do dwudziestego szóstego - powiedziała Mallory. - Mówię to tobie, nie Coffeyowi ani Rikerowi.

- Pojutrze? Jak możesz ustalać sobie dzień? Przecież nie wiesz nawet, który to.

- Och, nie tylko dzień. Mogę dość precyzyjnie wyznaczyć konkretną chwilę.

- Jak?

- Od początku mam go w ręku, Charles. Wyceluję kamerę i trafię go w czuły punkt. W wypadku Kiplinga i Franza zastosuję metodę jak do większości ludzi. Natomiast sędziego spłoszę informacją, że załatwiam formalności, by ekshumować jego matkę.

- Slope nie poprze...

- Nie potrzebuję jego pozwolenia, by wydobyć z ziemi kobietę w trumnie.

W rzeczy samej, najwyraźniej nikogo nie potrzebowała.

- Masz już faworyta, co?

Puściła pytanie mimo uszu.

- Zamierzam oddać go w ręce prokuratora dzień po świętach - rzekła.

- Mnie? - rozległ się za ich plecami młody głos. W drzwiach stał Justin Riccalo. Chłopiec biegał oczami od Mallory do Charlesa. - Mnie w ręce prokuratora?

- A martwi cię to? - zapytała Mallory. Nie zaczekawszy na odpowiedź, odwróciła się plecami. - Charles - powiedziała - jeżeli dzieci mogą ot tak sobie wejść do budynku, to chyba oznacza, że mamy nieszczelną ochronę.

Charles spojrzął na chłopca.

- Jak się dostałeś do środka, Justin? Dlaczego nie użyłeś domofonu?

- Wszedłem za starszym człowiekiem o kulach. Upuścił paczkę, więc pomogłem mu nieść, a potem jakoś głupio było wychodzić z powrotem i naciskać domofon. Zimno na dworze.

- Mugridge cię wpuścił? - Mallory nie mogła uwierzyć i miała ku temu powód: leciwy Mugridge był lokatorem najbardziej wyczulonym na widok obcych.

- Tak, proszę pani. Pukałem do drzwi, ale pewnie mnie nie słyszeliście.

- Jest dzwonek - rzekła Mallory.

By uchronić chłopca przed dalszym przesłuchiowaniem, Charles wprowadził go do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

- Mallory mnie nienawidzi, prawda, proszę pana?

- Jest podejrzliwa wobec wszystkich, nawet wobec mnie. Nie bierz tego tak poważnie. Przyszedłeś z jakąś sprawą, powiedz?

- Zastanawiałem się, czy moglibyśmy pójść jeszcze raz do piwnicy.

- Nie myślałem, że będziesz chciał. Po tym...

- Tak, chcę. Chyba w końcu polubiłem magię.

- Rodzice nie będą się gniewać, że opuszczasz lekcje?

- Dziś nie ma szkoły. Przecież jest Boże Narodzenie.

Oczywiście, Boże Narodzenie. Gdzie on ma głowę?

- W takim razie zadzwonię do nich, żeby wiedzieli, gdzie jesteś.

- Wolałbym nie. Powinienem być teraz w szkole.

- No przecież mówiłeś...

- Lekcji nie ma, bo są ferie, ale szkoła mnie dziś przechowuje cały dzień. Zajęcia dla dzieci pracujących rodziców, wie pan. A moi rodzice objeżdżają koktajle. Każda korporacja w mieście wydaje dziś przyjęcie. Dlatego muszę być w szkole.

Chłopiec siedział na krawędzi krzesła z wysokim oparciem, bujając niespokojnymi nogami tuż nad podłogą. Dłonie miał zaciśnięte na siedzeniu po obu stronach swych nóg, jakby nie był pewien zamiarów krzesła i podejrzewał, że mebel zaraz wierzgnie.

- Rozumiem - rzekł Charles. Jak Robert Riccalo zareagowałby na wargary syna? Chyba nie okazałby zrozumienia. - Wiesz, dobrze się składa, bo chciałem z tobą porozmawiać na osobności. Odnoszę wrażenie, że rodzice nieco rozstrajają ci nerwy.

- Pan to ma dar do niedomówień, proszę pana. Ja przez nich popadam w nerwicę. Pana współniczka też mnie rozstraja, myśli, że ja to robię. Pan chyba nie wierzy w te pierdoły o lewitowaniu, co?

- Och, ja nie wierzę w lewitowanie niczego. Ludzkość ma dostatecznie dużo dziwnych problemów na karku bez okultyzmu. Moim zdaniem parapsychologia nie jest dyscypliną naukową. Uważam natomiast, że jedno z was trojga jest wspaniałym iluzjonistą. - A jeśli nie takim wspaniałym? Sztuczkę można wykonać dość partacko, bo kto szuka nitki, gdy mknie ku niemu ostry przedmiot?

- Ja stawiam na macochę.

- Ale przecież to ona jest celem.

- Podejrzewam, że robi to, żeby mnie poróżnić z ojcem. On już mnie wcale nie lubi. Unika moich spojrzeń. A ona próbowała urobić pana współniczkę. Jednego dnia rozmawiała z nią na ulicy. Wiem, że nastawiła ją przeciwko mnie.

- Gdzie to było?

- Przed tą kamienicą, przed Coventry Arms.

- Twoja macocha tam się z Mallory spotkała?

- Jechała za nią. Kazała mi czekać w taksówce, ale wysiadłem. Wiem, że chce mnie wrobić, lecz nikt mi nie wierzy.

- Justin, ja naprawdę jestem po twojej stronie - rzekł Charles. Chłopiec nie wydawał się przekonany. - Wiem o czymś, co cię rozweseli. - Z szuflady biurka wyjął pęk kluczy. - Chodźmy do piwnicy, ale tym razem obejmiemy się bez muzyki: dziś tylko magia.

Kiedy wyszli na klatkę, zobaczyli, że Mallory znika bez słowa w windzie. Żadnego: „Do wieczora”. Nie miała w zwyczaju niepotrzebnie otwierać ust, nigdy natomiast nie przegapiła spotkania. Słońce może rano nie wzejść, ale Mallory z pewnością wróci o ósmej na kolację.

W tejże chwili, gdzieś w odległym zakątku umysłu, Charles przypomniał sobie zdawkową pogawędkę o Malakhaim i zastanawiał się, co zmusiło Mallory do gadatliwości.

Szli w milczeniu, zajęci własnymi myślami. Charles zerknął na chłopca: Justin wyglądał na nieszczęśliwego. Nie bał się jednak. Tym razem to on prowadził po schodach krętej klatki do pomieszczeń pod ziemią, kuszony składowanymi tam pozostałościami po Objazdowym Świecie Magii Maximilliana Candle'a.

Kiedy przepierzenie zostało odciągnięte na bok, ruszył pierwszy, nie czekając na rozjaśnienie się szklanej kuli. Nikła poświata dogoniła go wśród przedmiotów i rzuciła zamazany cień na kufry pełne rekwizytów i kostiumów.

- Ale fajne! - westchnął Justin, znalazłszy się po drugiej stronie chińskiego ekranu.

Charles sądził, że chłopak zobaczył gilotynę, ale gdy obszedł ryżowy papier, ujrzał, że to rząd wiszących noży pochłonął jego uwagę. Dotknął kolejnej kuli i zapłonęło drugie źródło światła.

Justin popatrzył na noże, potem zerknął na Charlesa i na tarczę strzelniczą, którą ustawiono na zabytkowej sztaludze. Wyciągnął rękę w kierunku wieszaka, ale powstrzymał się i przestraszony rzucił Charlesowi pytające spojrzenie.

Ten skinął głową.

- Tylko uważaj, dobrze? - poprosił.

Justin zdjął pierwszy nóż i rzucił do celu. Chybił, choć tarcza była duża i stała blisko.

- Nie przejmuj się - pocieszał go Charles. - Żeby umieć, trzeba trochę poćwiczyć. Max ćwiczył latami.

- Widzę - powiedział Justin, podchodząc do tarczy pocętkowanej od ostrzy. Przesunął palcem wskazującym po zarysie ludzkiego ciała otaczającym środkowe pole, na którym nie było śladów po nożach. - Tu stała asystentka, tak?

- Tak.

- Rzucił blisko niej, prawda? O, widać nacięcia między palcami. Czy pan też to potrafi?

- Potrafię. Kiedyś, gdy byłem w twoim wieku, stanąłem na tarczy. To był taki prezent od Maxa na moje urodziny.

- Żartuje pan? I co, nie bał się pan?

- Nie. Potem Max dał mi noże, a sam zajął moje miejsce.

- To naprawdę pan potrafi? Bez zgrywów?

- Bez.

Chłopiec podszedł do tarczy i rozpląszczył się na niej.

- Proszę więc rzucać - rzekł. - Ufam panu. Niech pan zaczyna.

- Tak po prawdzie, nie musisz mi wcale ufać, nie musiałbyś mnie nawet namawiać, bym wziął noże do ręki. Bo one wychodzą z tarczy, wcale się w nią nie wbijają. Trzeba tylko udawać, że się rzuca do celu, a tak naprawdę hops! - do tej kieszeni.

Obrócił mały stolik, by Justin zobaczył czarną welwetową torbę umieszczoną tuż pod blatem. Wskazał ręką czarną dźwignię u jednej z nóżek oraz kabel biegnący od stolika do tarczy.

- Spust dla noży jest w pedale. Widzisz? Wtedy trzonek wyskakuje z tarczy, poruszany przez sprężynę. Tymczasem publiczność widzi to, co każe jej się widzieć. Nóż zostaje rzucony i nóż pojawia się w celu. Odpowiednie ustawienie sprężyn zabrałoby mi parę minut. Wszystko jest stuprocentowo bezpieczne, gdy pozna się już zasady.

Jeżeli to Justin wysyłał latające ołówki, ta informacja może stanowić praktyczne zastosowanie dla jego uzdolnień. Charles właśnie się zastanawiał, jak wyjaśni ojcu chłopca, że jego syn jest predysponowany do zawodu iluzjonisty, gdy naraz Justin odszedł od tarczy, straciwszy zupełnie zainteresowanie nią.

Zerknął na gilotynę.

- To też tylko sztuczka, prawda? - zapytał, jakby mówił o kolejnym kłamstwie albo oszustwie.

- Tak, przykro mi. Ma mechanizm zabezpieczający. Wygląda złowieszczo, ale jest niegroźna.

Charles pamiętał, że jako dziecko pasjonowała go zwodniczość, nie zaś niebezpieczeństwo, Justina - wprost przeciwnie. Najwyraźniej rozczarował się tym, że urządzenia Maxa Candle'a to niewinne zabawki. Być może jednak magia nie była polem do popisu dla jego intelektu. Dla czyjego więc? Jego ojca? Macochy?

- Justin, wiem, że powiedziano ci, ile wynosi twój współczynnik inteligencji. Czy myślałeś kiedy o przyszłości, co będziesz robił, jak rozwijał swój umysł?

- A co tu rozwijać? Umysł to umysł. No i jeżeli wierzy mi pan, gdy mówię, że nie ja puszczam ołówki, to znaczy, że żadnych uzdolnień też nie mam.

- Być może masz dar obserwacji i dedukcyjnego myślenia. To coś, co można przebadać, i to nawet w ciekawy dla ciebie sposób. Przypuśćmy, że pomogę ci zrozumieć, w jaki sposób latają przedmioty. Wtedy będziesz wiedział, czego szukać. Popracujesz ze mną trochę i w ten sposób nawzajem sobie pomożemy. Stoi? - zapytał, jakby to ujęła Mallory.

- Stoi - odparł chłopiec i wyciągnął szczupłą rękę, by ucisnąć Charlesowi dłoń.

- Dobrze - rzekł Charles. Z pudła leżącego u swoich stóp wyjął czarną kulę z otworami. - To była jedna z ostatnich iluzji Maxa. Ustawienie wszystkiego potrwa ledwie parę minut.

Gdzie flaszka z ciecżą?

Znalazł potrzebną mu buteleczkę w kartonie pokrytym kurzem. Podczas gdy przypatrywał się stojącym na półce chemikaliom, Justin zajrzał do innego pudła i najwyraźniej zwolnił spust, albowiem nagle spod wieka wyfrunęły kolorowe chusty. Leciały pod sufit, wydymając się, i opadały, zasysając podłogę warstwą jedwabiu.

Chłopiec łapał chusty w powietrzu, usiłując jak najszybciej wcisnąć je z powrotem do pudła. Zerknął przez ramię na Charlesa, z twarzą wyrażającą poczucie winy i skruchę. Oraz strach.

- Przepraszam, przepraszam.

- W porządku, niech tak zostaną. Nic się nie stało, naprawdę.

- Nie gniewa się pan?

- Oczywiście, że nie.

- Ale ta pana współpracowniczka mnie nienawidzi.

- Och, bardzo wątpię - odparł Charles. Skierował światło latarki w ciemną część pomieszczenia, szukając słupa torowiska. O, jest, druty też są. - Dlaczego Mallory ma cię nienawidzić?

- Ojciec mówi, że ludzie nienawidzą innych za to, czego nienawidzą w sobie samych.

- Hm, myślę, że czasami tak właśnie jest. Ale co by to było w wypadku Mallory? - Zapalki? O, są. Wyjął stare pudełko z szufladki w otwartym kufrze podróжным.

- Nie wiem. Nie znam jej.

- Jest samotnikiem jak ty - powiedział Charles, znikając z kulą w ciemności, na granicy małego kręgu światła. Po chwili ukazał się z pustymi rękoma. - Niezbyt otwiera się na ludzi.

Jeszcze jakieś wspólne cechy? Zastanowił się. Łączyło ich na pewno coś więcej, porozumienie, którego on nie pojmował.

- No dobrze. Gotów, Justin?

Chłopiec skinął głową.

Naraz błysnęło jaskrawe światło i jęła się ku nim toczyć rozżarzona kula cała w płomieniach. Zatrzymała się metr przed celem, którym był mężczyzna i chłopiec, po czym wzniosła nad ich głowy i zgasła w zalegających z tyłu ciemnościach.

Justin gwizdnął i klasnął w dłoń.

- To się nazywa latający przedmiot - rzekł Charles. - O niebo zabawniejsze niż ołówki, nie sądzisz? Toczy się po torowisku z drutów. To jedyna iluzja z lewitacją, jaką znam, ale tu są skrzynie pełne ksiązek o magii, więc gdybyś chciał do nich zajrzeć, to proszę.

- No, nie wiem. Może im mniej znam się na tych sprawach, tym lepiej łąduję. Dlaczego wszyscy myślą, że to ja puszczam ołówki?

- No bo kiedy słyszy się pogłoski o duchach albo o innych wypadkach mających pozory nadprzyrodzoności i zespół badawczy wyrusza na miejsce, to zwykle okazuje się, że źródłem całego zamieszania jest trójka dzieciaków, które siedzą za garażem sąsiada i tarzają się ze śmiechu.

- Ale to wcale nie jest śmieszne. Sally dostaje świra. Nie wolno mi nawet przebywać z nią w jednym pokoju, tak jej odbija. I ciągle wlepia się we mnie. Nie mam chwili wytchnienia. Zawsze, gdy coś się wydarzy, jesteśmy we troje, ale oczywiście wini się mnie. - Justin kopnął pudło. - To nie *fair*. Trzeba, by ktoś ujął się za mną. Ktoś musi mnie wysłuchać.

Charles obrócił się ku chłopcu i wtedy obaj usłyszeli jakiś hałas po lewej stronie. Spojrzał tam i zobaczył, że z tarczy strzeleckiej sterczy nóż, którego trzonek drży złowrogo.

Tym razem Justin wytrzeszczył oczy. To już nie była zabawa z ołówkiem ani z ognistą kulą na drucie.

- Teraz w życiu mi pan nie uwierzy! - krzyknął. Obrócił się i wybiegł nieskoordynowanym, rwanym krokiem z kręgu jasności w ciemność, wpadając w obłąkańczej ucieczce na kartony i kufry, rozpaczliwie szukając drogi do drzwi. Wymachiwał szczupłymi rękoma jak targany wiatrem strach na wróble.

Pamięć zawiodła Charlesa bezpiecznie i szybko przez ciemne pomieszczenie do wyjścia. Otworzył drzwi, za którymi czekał prostokąt jasnego światła. W ułamku sekundy chłopiec wybiegł z piwnicy i mknął po schodach w szaleńczym rytmie uderzających o stalowe stopnie podszew. Na półpiętrze przewrócił się. Charles podniósł go i chwycił za ramiona.

- Nic ci nie jest? - zapytał. Owszem, wyraźnie widział, że Justinowi coś

jest. Do oczu nabiegły mu łzy. Przytulił się, załamany, do Charlesa i ten trzymał go, aż udręka minęła.

*

Kapitan Judd Thomas z komendy na West Side siedział w gabinecie Jacka Coffeya na honorowym miejscu, wśród ustawionych hierarchicznie krzeseł. Miał na twarzy dyplomatyczny uśmiech - pokazywał na tyle dużo zębów, by przekazać zebrany, że pragnie doprowadzić to spotkanie do końca w atmosferze przyjaźni, bez rozlewu krwi, przynajmniej tego dnia. Było w końcu Boże Narodzenie.

- Palanski chce się włączyć w tę sprawę.

- Raczej nic z tego, Judd - odparł Coffey, który był przepracowany, brakowało mu ludzi i marzył, by mieć już tę rozmowę za sobą. Wszystko odmalowywało się na jego twarzy: cienie z niewyspania, głębokie bruzdy od nadmiaru zmartwień.

- Palanski umie wyciągać informacje z takich ludzi.

- Jak byśmy tego nie wiedzieli - odezwała się Mallory.

Niewielkie oczy kapitana jeszcze się zmniejszyły, gdy obrócił się ku niej.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

Mallory wstała i wyszła z gabinetu tak szybko, iż Coffey nie zdążył ostrzec spojrzeniem, że oskarży ją o niesubordynację. Nie odniosłoby to jednak prawdopodobnie żadnego rezultatu, bo dla niej było bez znaczenia.

Riker uśmiechnął się.

Coffey patrzył na kapitana oczami, w których czaiło się coś na kształt wściekłości, choć nie dawał temu wyrazu w słowach.

- Kto powiedział Palanskiemu, że Mallory pracuje w Coventry Arms? - zapytał.

- On ma swoje źródła informacji w tej kamienicy.

Riker pochylił się do przodu.

- I pewnie nie chodzi tu o głupiego portiera, co? - odezwał się. - Wyciąga z tych ludzi wszystko jak z ulicznych kapusiów. Czy ze mną coś

jest nie w porządku, czy jednak wszystkich nas dziwi, jak on to robi?

Coffey rzucił mu spojrzenie, które znaczyło: „Zamknij się”.

Kapitan Thomas puścił te słowa mimo uszu i spojrzał na porucznika z podniesionymi brwiami, pytając niemo, czy nie potrafi trzymać podwładnych na smyczy.

- Palanski to jeden z moich najlepszych funkcjonariuszy - rzekł. - Przyda się w każdym śledztwie.

- To sprawa Mallory, Judd. Nie będziesz sobie przywłaszczał naszych dochodzeń. Koniec, kropka.

- Komendant Beale i ja znamy się nie od dziś, Jack.

- Jeśli chodzi o Beale'a, to nastąpiła doskonała pogoda dla Kathy Mallory. Ten mały skurwiel szczyrzy się od ucha do ucha na myśl o niej, bo Mallory jest jedynym funkcjonariuszem, którego komisja cywilna pochwaliła za postrzelenie obywatela. Jest nietykalna.

- Ale co z tobą, Jack? Stoisz w kolejce do awansu. To śliska sprawa: duży szmal, duże nazwiska w tej kamienicy. Palanski ma za sobą szesnaście lat doświadczenia, Mallory zaś to dzieciak. Nabroi w twoim imieniu i awans diabli wzięli, a tego chyba nie chcesz?

- Judd, gdybym podejrzewał, że mnie straszysz, to ciebie by diabli wzięli, bo naprawdę nie podoba mi się twoja gadka.

Riker oparł się na krześle. Jeżeli Coffey nauczy się podskakiwać przelozonym, to pewnego dnia trzeba będzie przestać się z niego nabijać i okazać mu trochę szacunku. Ale co wtedy zrobić dla rozrywki?

- Powiedz Palanskiemu, żeby się nie wcinał - zakończył Coffey.

Kapitan westchnął.

- Wiesz co, Jack - rzekł - gdybyśmy oprócz tego kombinowania, darmowego żarcia, zniżek i tego całego smalczyku, który zbieramy w mieście, trzymali się przepisów, nie...

- Nie wiem, do czego pijesz, Judd - przerwał mu Coffey. - Masz coś na któregoś z moich? Jeśli masz na któregoś z moich jakieś brudy, to mów! No już, wal!

Thomas uniósł ręce w geście: „Dobra, dobra”. Dźwignął się ociężale z krzesła i wyszedł.

Riker wiedział, że za łatwo poszło. Właśnie się zastanawiał, co może być „smalczykiem” Thomasa, gdy Coffey zwrócił się do niego z pytaniem:

- Wiesz, co Mallory ma na Palanskiego?

- Nie. Ona nigdy nie zasypie gliniarza. Może go zastrzelić, jeśli jej wejdzie w drogę, ale nie sypnie.

- Przesadziłeś z pyskówną do Thomasa.

- Tu stawką jest jej życie. Wiesz dobrze tak jak ja, że Palanski to szemrany gość. On odpowiada za wszystkie przecieki. Przez taki przeciek Mallory może zginąć.

- Przesadziłeś, Riker. Thomas ma pożytek z Palanskiego tak samo, jak ja mam pożytek z Mallory. Wszystko, co ona na razie fagasowi zarzuca, to bajeranckie ciuchy i fryzurki za pięćdziesiąt dolców. A sama co? Ubiera się na wyprzedazy? Włosy obcina sobie nożyczkami nad umywalką? Na razie mamy fart, że kapitan wdał się w nowy romans z polityką i brak mu czasu. Ale lepiej nie traktujmy go jak skończonego durnia. Nie ma co kusić fortuny, jasne?

Riker nienawidził, gdy Coffey miał rację.

- Chcesz, żebym znalazł coś na Palanskiego? - zapytał.

- Nie, w jego sprawie ktoś inny dla mnie węższy, więc daj sobie spokój, dobra? Żadnych nowych pomysłów, ani w gębie, ani w myśli.

- Chyba nie pchnąłeś tego przez służbę wewnętrzną?

- Nie, chcę, żeby to zostało w rodzinie. Gdy zobaczysz Mallory, powiedz, że życzę sobie widzieć z powrotem u siebie jej tyłek. Uważam, że byłoby miło, gdyby raczyła zgodnie z przepisami składać raporty. Tak choćby z grzeczności.

- Wiesz, to może być jej wersja zawodowej kurtuazji. Może myśli, że wolałbyś nie wiedzieć, co robi i w jaki sposób? To nie takie głupie. Pomyśl o swojej emeryturze.

- I tak boli mnie głowa z powodu jej metod pracy. Sama na trzech podejrzanych. Kowbojska brawura. Jeżeli go szybko nie złapie, to szukaj wiatru w polu.

- Och, ja myślę, że ona już wie, który to. Jeżeli mówi, że ma trzech podejrzanych, możesz być spokojny, że dwoma mydli ci oczy. Wie, że nie ufasz jej na tyle, by pozwolić samodzielnie doprowadzić śledztwo do końca. I mądrze robisz. Ja jej nie ufam, odkąd skończyła dziesięć lat.

*

- To nie było nic nadprzyrodzonego, zapewniam cię - rzekł Charles.

Jechali taksówką, Justin w milczeniu, obrócony do okna. Na szybie rozciągały się w ciszy płatki śniegu.

- Wrócę do domu i sprawdzę tarczę. Na pewno okaże się, że stary mechanizm został przypadkowo zwolniony. Musiał się obruszyć, kiedy się oparłeś. Proste. W rzeczywistości nawet tam nie pójde. Nie będę niczego sprawdzał, na tyle ci ufam. Nie ma innego wyjaśnienia, Justin. Nóż wyskoczył z tarczy, nikt go nie rzucił. Już w porządku?

Chłopiec obrócił się do Charlesa. W małej twarzy odmalowała się wyraźnie tęsknota za uśmiechem.

Kiedy wysiedli z taksówki pod szkołą na Upper East Side, Charles czekał, aż Justin dołączy do uczniów, którzy stali na dziedzińcu w grupkach po trzech i czterech. Chłopiec jednak nie zbliżył się do nikogo. Z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową, stanął na osobności za milczącą zgodą wszystkich kolegów.

Charles skrzywił się, albowiem oglądał żywe wspomnienie z własnych szkolnych dni. Naraz dzwonek przywołał chłopców do budynku. Wchodzili parami, trójkami, Justin zaś sam.

Charles rozłożył parasol przed zacinającym śniegiem i zapatrzył się na park po przeciwległej stronie szerokiej ulicy. Tamtędy na przełaj, dalej kawałek ulicą i znalazłby się u Mallory. Może ją odwiedzić w mieszkaniu Rosenów? Przypomniawszy sobie, że w głębi parku zamordowano Amandę Bosch.

Mijały go taksówki bez pasażerów, gotowe do usług, ale on lubił spacerować w śniegu. Z upływem lat nabrał upodobania do samotnych zajęć. Podobnie będzie z Justinem.

Podczas swych wędrówek w lichą pogodę Charles częstokroć napotykał innych członków elitarnego klubu samotników. Znał z widzenia spacerowiczów w czas ulewy i śnieżycy. Gdy się mijali, wymieniali skinienie głowy i uśmiechali się, rozpoznając w sobie ów nieomylny znak przynależności do tajnego bractwa - niespieszny krok, świadczący o braku pilnych zajęć. Inni przechodnie spieszyli się, by jak najprędzej uciec od słoty i zimna.

Przeszedł jezdnię i znalazł się na ścieżce, która biegła od chodnika przez dolinę pokrytą dziewiczym śniegiem. Jedyne jego stopy znały drogę. Doszedł do alei, która prowadziła przez park. Ruszył nią, zastanawiając się, co knuje Mallory i czy w ogóle chciałby to wiedzieć.

Nadjechała ku niemu dorożka. Płatki śniegu oblepiły parasol i Charles uzmysłowił sobie, że jego buty nie nadają się na taką pogodę. Przyszło mu do głowy, by zatrzymać dorożkarza. Ale nie, pozwolił mu przejechać. Nowe buty można kupić, tymczasem świeży śnieg codziennie się nie trafia. Kontynuował swój samotny spacer.

Co Markowitz powiedziała by o niechęci Mallory do oglądania miejsca zbrodni? Co w ten sposób mogło jej umknąć? Pewnie nic. Ta odmowa była prawdopodobnie przesadną reakcją na wykład Rikera o procedurze śledztwa.

A gdyby sam tam poszedł, może zauważyłby coś istotnego? Jak ona by to przyjęła? W końcu są współnikami.

- Żyjesz w raju głupców - powiedział nagle starszy mężczyzna, który zmaterializował się obok Charlesa i schronił pod jego parasol. - Patrz na jasnego konia - dodał, prowadząc rozmowę z trzecią osobą, która pozostawała niewidoczna dla zwykłego oka.

Charles zadrżał mimowolnie. Zerknął na połyskującą plamę łysiny wśród splątanych kosmyków siwych włosów. Mężczyzna miał powalane palto, ale uszyte z wełny w dobrym gatunku. Szyję owinął szalem, który włókł się za nim po ziemi. Był to najdłuższy szal, jaki Charles kiedykolwiek widział, we wszystkich barwach ubrudzonej, niechlujnej, wystrzępionej tęczy.

Mężczyzna szedł u jego boku, przyjmując osłonę parasola, jakby mu była należna.

Charles wiedział, że nigdy już nie będzie patrzył na obłąd w ten sam sposób, co niegdyś. Sam bowiem spędzał ostatnio czas z kimś, kogo nie było. Zastanawiał się, ile razy Malakhai robił tę sztuczkę, zanim przemiana stała się nieodwracalna, gdy już nie mógł odesłać od siebie Louisy. Każda myśl o widmie prowadziła umysł coraz dalej drogą, z której nie było powrotu.

- „Jam Alfa i Omega, początek i koniec...”*

* „Pismo Świąte Starego i Nowego Testamentu” w przekładzie W.O. Jakuba Wujka S.J., Wyd. III poprawione, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków, 1962.

- Charles Butler. Dzień dobry. - Charles przechylił parasol odrobinę w bok, by lepiej osłonić siwowłosego towarzysza od zacinającego śniegu, który przyprószył jego zgarbione ramiona.

- „...a oto powstało wielkie trzęsienie ziemi i słońce stało się czarne jak wór włosienny...” - wyrecytował mężczyzna.

- Zatem to chyba nie jest jednak dobry dzień - powiedział Charles.

- „...Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej nogami...”

A jaki dzień miała Mallory? Co robi w tej chwili?

- „I rozegrała się wielka bitwa na niebie...”

To może nie być wcale dalekie od rzeczywistości.

Starszy mężczyzna odszedł nagle od Charlesa, prowadzony przez niewidzialnego towarzysza inną drogą objawienia, pokrytą żwirem i śniegiem.

Gdy Charles doszedł do miejsca śmierci Amandy, zobaczył, że wciąż znaczą je odcinki żółtej taśmy, przywiązane do palików i powiewające na białym wietrze.

Podszedł do miejsca, w którym wedle Hellera wydarzyła się tragedia. Stanął nad wodą i rozejrzał się dokoła. Nie zobaczył nic, czego Mallory nie wniosłaby z mapki. Miejsce leżało w zasięgu wzroku ze ścieżki biegnącej nad stawem. To odpowiadało hipotezie Mallory o spontaniczności czynu. Nie było dostatecznie osłonięte, by zabójca miał pewność, że pozostanie nie zauważony.

Amanda zginęła w deszczowy dzień. Niewielu ludzi spaceruje w szarugę

lub zawieję, ale ci, którzy to robią, przejawiają upartą przekorę wobec żywiołów. Spojrzał na górujący nad okolicą budynek. Wyższe piętra wznosiły się ponad wierzchołkami drzew. Być może w tej chwili Mallory wygląda z jednego z tych okien.

Ominął odnogę jeziora i zbliżył się do alejki, na której ustawiono ławki. Usiadł na jednej. Siedział ledwie chwilę, gdy nadeszła osoba, na którą zamierzał czekać - leciwy piechur w czasie śnieżycy.

Choć była blisko, omal jej nie przegapił, ponieważ jasny śnieg nadwerżył jego wzrok. Musiał skupić spojrzenie, by dostrzec szczegóły jej wyglądu: twarz, siwe włosy osłonięte białym kapturem peleryny. Była prawie niewidzialna - na tyle, na ile można być, gdy jest się jeszcze ciałem z krwi i kości, nie omamem.

*

Cora naciągnęła kaptur głębiej na głowę.

Za późno.

Dostrzegł ją mimo kamuflażu. Był bardzo wysoki, ale nie wyglądał groźnie. Zmrużyła oczy, by lepiej widzieć jego twarz, która stała się wyraźniejsza, w miarę gdy się zbliżał.

Ach, po tym głupawym, szerokim uśmiechu widać, że jest jednym z tych nieszkodliwych wariatów, którzy włóczą się po parku o każdej porze dnia i nocy. Nie, na pewno nic jej nie grozi.

W poszukiwaniu drobnych dłonie przedarły się przez warstwy swetrów pod białą peleryną aż do głębokich kieszeni wełnianych spodni.

- Przepraszam - odezwał się mężczyzna, stając przed nią i pochylając się, by wiatr nie uniósł w dal jego słów, choć to było bez znaczenia, ponieważ czytała z ust.

Wyjęła monety z kieszeni i chciała mu je podać.

- Proszę mi tylko obiecać, że nie wyda ich pan na wino - rzekła.

- Ależ nie, dziękuję. Mnie nie chodzi o pieniądze.

Na nowo ogarnęły ją obawy. Nie o pieniądze? W takim razie o co? Jest szalony i pewnie niebezpieczny. Obróciła się do mężczyzny plecami.

Obszedł ją od drugiej strony, ale zachował dyskretną odległość. W jego postawie kryła się skrucha, pełen nadziei patrzył głupawo oczyma o zbyt szerokich owalach wokół źrenic. Tak, ani chybi to wariat.

- Potrzebuję pani pomocy - odezwał się. - Chodzi o coś, co stało się tu rankiem dziewiętnastego grudnia. - Odwrócił się i wskazał miejsce po drugiej stronie ciemnej wody, gdzie powiewały na wietrze porwane żółte taśmy. By znów przemówić, obrócił ku niej głowę. Zdążył się bowiem zorientować, że nie słyszy, lecz czyta z ust. To świadczyło o jego spostrzegawczości. - Pewnie pani tego ranka tu nie spacerowała?

Wydawał się jednak zdrowy na umyśle. Kształt modelowanych przez wargi słów świadczył o dobrym pochodzeniu, ich formy nie psuła niechlujna wymowa, do manier też nie można było mieć zastrzeżeń.

- Owszem, młody człowieku, spacerowałam.

- Czy może widziała pani dwoje ludzi, kobietę i mężczyznę, którzy stali o tam?

On chyba mówi o zakochanych, o Niebieskich Nogach i Wysokim Parasolu. O dziwo, poczuła powinność, by chronić tę parę. Kim jest, że wścibianos w ich potajemne spotkania?

- Czemu pan pyta?

Kiedy wyjaśnił jej, że zakochanymi byli morderca i jego ofiara, poczuła się słabo. Wyczuł to i podprowadził ją kilka kroków do ławki. Zmiotł śnieg we wzruszającym przejawie rycerskości i gdy spoczęła, usiadł obok niej.

Twarz miał skupioną i zatroskaną. Czy dostrzegął nowe przerażenie, które zbierało się w głębi jej oczu? Wzięła ranę zadaną Niebieskim Nogom za kwiat. Ależ jest głupia. Róża zimą? Dlaczego nie pojęła, że młodej kobiecie grozi śmierć? Być może mogłaby...

Tak, mogłaby. Gdyby tylko nie wybrała się jak niemądra, bez okularów i aparatu słuchowego. Skłoniła głowę pod brzemieniem ponurej świadomości.

Mogła zapobiec morderstwu podobnie, jak zapobiegła pożarciu chra-
bąszcza przez pająka - jednym ruchem ręki.

Chrabąszcz przeżył, kobieta zginęła.

Tak mi przykro, Niebieskie Nogi.

Mężczyzna dotknął jej ręki, by spojrzeć na jego wargi, ponieważ chciał zadać kolejne pytanie. Czy widziała coś jeszcze, coś dziwnego?

Chyba nie. Zakochani pochłonęli całą jej uwagę.

Mignęły im przed oczami dwie niewyraźne czerwone plamy, mała i duża, poruszające się na niebieskich kreskach. Pozostawiły za sobą zapach gumy miętowej i mokrej wełny. Biegnącemu chłopcu, ubranemu w czapkę, kurtkę i dżinsy, pięty skrobał pies. Obaj zoczyli z dróżki i pomknęli na stok za ławkami, depcząc dziewiczy śnieg. Po chwili zniknęli.

- Ach, pies! Tak, widziałam wtedy psa, hasał tam na górze i smycz zaplątała mu się w krzakach. Powinnam była zwrócić uwagę, bo pies miał smycz, a nikt jej nie trzymał. Ale wie pan, jak to jest, ludzie puszczaają psy samopas po parku, choć to wbrew przepisom porządkowym.

- Chciałbym, żeby pani z kimś porozmawiała - powiedział mężczyzna. Teraz jego uśmiech był ujmujący, choć wciąż troszkę głupawy.

Kiedy zamienili słowo z portierem w Coventry Arms, okazało się, że przyjaciółki pana Butlera nie ma. Portier sprawdził nazwisko na wystrzępionej, pomiętej liście. Uśmiechnął się szeroko i zaprosił ich, by zaczekali w holu.

*

- Mallory, usiądź i nie odzywaj się.

Ku zdumieniu Coffeya - umiejętnie maskowanemu, jak miał nadzieję - usiadła.

- Żebyś mi więcej nie wychodziła w ten sposób z narady. Nie życzę sobie podobnej ostentacji. Nawet nie myśl, by mnie jeszcze kiedy zirytować. Żadnej niesubordynacji i podobnych pierdoł, ostrzegam cię. Riker mi już wystarcza. Jeśli zobaczy, że naśladujesz jego styl, przestanie cię lubić.

- Nie będę pracowała z Palanskim.

- Nie będziesz. Ale dlatego, że ja tak postanowiłem. A teraz słowo o tym drugim zadaniu, które ci powierzyłem. Wyrzebałaś coś dla mnie?

Ukradłaś dla mnie informacje?

Nie odpowiedziała i zmuszony był wnioskować z milczenia. Teraz gra toczyła się wedle jej zasad.

- Mam nadzieję, że robisz to dyskretnie - rzekł.

Nie daj się złapać.

Cisza.

- Odnoszę wrażenie, że Palanski ma dużo ubocznych zajęć.

Bierze w łapę.

Choć skinęła tylko głową, było to obiecujące.

- Wydaje się, że on ma radar wylapujący zabójstwa, które śmierdzą dużymi pieniędzmi, i to nawet, gdy nie jest na służbie. Miał wolne, kiedy znaleziono tę dziewczynę w parku. Och, przepraszam. Mówię ci, co już wiesz. To niegrzeczne z mojej strony, prawda?

Ogarnęło go uczucie bliskiej radości, gdy usta opadły jej nieco z poirytowania. Zatem nawet Mallory ma czułe punkty.

- Przyniosłaś mi jakieś materiały?

- Nie chciałbyś widzieć materiałów o nim – rzekła.

- Mallory...

- Markowitz nigdy nie sypnął gliniarza.

- Zamknij się. Nie jestem Markowitzem, to oczywiste, ale ty też nie. Twój stary był fanatykiem szczegółu. Zewsząd, od każdego, wyciskał tyle informacji, ile się tylko dało. Powinnaś się była uczyć, gdy miałaś okazję. Twoja kowbojska brawura nie jest czymś, z czego spodziewałbym się wyleczyć cię przez jeden dzień, ale chcę, byś pożyła na tyle długo, bym mógł oskarżyć cię dyscyplinarnie, gdy tylko mnie rozżościsz następnym razem. Ktoś z Coventry Arms dał cynk Palanskiemu, że tam wieszysz. To mógł być zabójca albo też pomyliłaś adres i w takim wypadku nie ma to z morderstwem nic wspólnego. Jeżeli jednak mam zatykać przecieki, potrzebuję haka na Palanskiego.

Założyła ręce na piersi. Nie, mówiła jej postawa. Nie doniesie na innego gliniarza.

- Ja się nim zajmę - powiedziała. Następnie jako ustępstwo dodała:

- Jeśli pozwolisz. - Był to drobny podarek, nagroda pocieszenia po tym, jak dała mu do zrozumienia, by poszedł do diabła. Przegrał kolejną rundę.

- Dobrze więc - powiedział. Czy stracił rozum, że puszczają na Palanckiego, daje jej *carte blanche*? - Tylko nie rób nic, czego Markowitz by nie zrobił.

- Rozkaz - rzekła.

Później, w łazience, zobaczył ducha w lustrze nad umywalką. Markowitz. Nie, skąd, to Jack Coffey pod brzemieniem dawnych zmartwień starego, obaw, co Mallory robi i co może z tego wyniknąć. Łamanie prawa, by je strzec, stało się normą.

Tak łatwo go uwodziła.

*

Zabije ją. Nie ma innego wyjścia. Ale najpierw się zabawi. Zapłaci mu za tę udrękę i to zapłaci powoli.

Myśli o niej przychodziły i odchodziły. Niosły z sobą palące doznanie, które szarpało jego ciało i umysł rozżarzonymi do czerwoności cęgami. Kiedy o niej myślał, widział jej oczy, jaskrawe reflektory zbliżającej się kraksy, mknące bez opamiętania, nieuchronnie, po pojedynczym torze, a za sterami nikogo i żadnego sposobu powstrzymania biegu wypadków.

Ilekcio mijała ta chwila bezradnego strachu i paniki, pozostawało w nim uczucie ponizenia i gniewu. Dłonie zaciskały się w pięści tak mocno, że paznokcie wbijały się w garście. Jedno z nacięć wypełniała krew.

Spojrzał na krwawiącą skórę. To ona podniosła na niego rękę i zraniła go. Pierwsza wytoczyła krew i pożałuje tego.

Tłusty gołąb dreptał wzdłuż krawędzi parapetu za otwartym oknem. Wciąż tam był, gdy on przyniósł z kuchni chleb. Rozerwał kromkę i powoli wyciągnął rękę na zewnątrz, by usypać z okruszków ścieżkę.

Gołąb drgnął i przekrzywiwszy łebek, spojrzał jednym okiem. Był rasowym mieszcuchem, nie obawiał się więc ludzi, znał ich z żałośnie nieudolnych prób eksterminacji jego gatunku za dopuszczanie się publicznej obrazy, którą było bombardowanie odchodami parapetów, głów i pomników. Bez

strachu przed dłonią przyczajoną ledwie kilka centymetrów dalej skupił się na jedzeniu okruchów chleba, które przybliżyły go do śmierci.

*

Przed recepcją w holu stanęła młoda kobieta. Gdy tylko zobaczyła parę wskazaną jej przez mężczyznę za biurkiem, schowała coś pospiesznie za plecami.

Pan Butler przedstawił Corze panią Mallory i pojechali we troje na górę do przestronnego mieszkania, które niezbyt odpowiadało osobowości owej młodej kobiety.

- Miałaś rację - rzekł do niej.

Okazywał nienaganne manieri: trzymał twarz zwróconą w stronę Cory, by nie umknęło jej żadne zdanie z rozmowy z młodą kobietą.

- Amanda spotkała się z zabójcą tego dnia w parku. To było spontaniczne zabójstwo, tak jak mówiłaś. Zabił ją o 7.45. Oto świadek. Pani Cora Daily lubi długie spacerować po parku w złą pogodę.

Dziecko, które Cora widziała przed sobą, było niesłychanie śliczne, choć kryła się w nim jakaś nieludzka cecha. Oczy miało jak kot. Właściwie to nic złego. W ciągu siedemdziesięciu sześciu lat Cora zdążyła przeżyć wiele kotów, nie bała się więc Mallory.

- Co pani widziała? - zapytała młoda kobieta, która również spostrzegła szybko jej umiejętność czytania z ust. Przynęła swą twarz. - Widziała pani morderstwo?

- Nie, chyba nie.

- Widziała pani, jak ją uderzył? Pierwszy cios?

- Nie, ale widziałam, jak się spotkali.

- Rozpoznałaby pani zabójcę?

- Nie, bo widzi pani, nie miałam ze sobą okularów. Ale wiem, że był wysoki.

Cora spostrzegła, że to nic nowego dla młodej kobiety. Poczula, że sprawa zawód czarującemu panu Butlerowi.

- Widziałam krwawą ranę na jej głowie, ale samego uderzenia nie. Widocznie parasol mi zasłaniał moment, gdy mężczyzna zadał cios. Trzymał kobietę cały czas, i przed uderzeniem, i po. Czy to się na co przyda?

- Proszę mi opisać gnoja.

- Przepraszam, kogo?

- Zabójcę, mówiła pani, że był wysoki. Jak wysoki?

- Wyższy od kobiety.

- O ile?

- Trudno powiedzieć. Przez prawie cały czas zasłaniał go parasol. I pewnie mężczyzna tak go trzymał, że zdawał się bardzo wysoki, ale...

- Uważa pani, że ja jestem wysoka?

- Och tak, naturalnie.

- A jest pani pewna, że to w ogóle był mężczyzna? Czy pani tak tylko uznała, skoro myślała, że to para zakochanych?

- Tak, ma pani rację. Brak mi całkowitej pewności. Niewielki ze mnie pożytek, prawda?

- Ależ skąd - odparł mężczyzna z galanterią, przerywając niezręczną ciszę. Spojrzał do góry i wymienił spojrzenie z młodą kobietą. „Zachowaj się ładnie”, poprosił milcząco. „Czemu nie, cholera”, mówiła jej mina. I teraz się uśmiechnęła.

- Jest pani lepszym świadkiem niż większość ludzi. Wie pani, śnią mi się po nocach koszmary, że całe dochodzenie zależy od świadka, a z naczynych świadków nigdy nie ma wielkiego pożytku. Ich zeznania to najgorsze dowody, jakie pojawiają się na rozprawie. Tymczasem pani potwierdziła i miejsce, i przebieg zbrodni. To dla nas ważne. Określiła pani czas morderstwa, to pomocne. Widziała pani krew. W sumie, dobra robota.

Naraz uśmiech ulotnił się z pięknej twarzy i nic już z niej nie można było wyczytać.

Charles pochylił się do przodu, wciąż pomny, by nie odwrócić twarzy i nie wyłączyć Cory z rozmowy.

- Mallory, czy któryś z podejrzanym ma psa? - zapytał.

- Wszyscy w kamienicy mają psy, bo co?
- Pani Cora mówi, że tego ranka po parku biegał samotnie pies. Ciągnął za sobą smycz. Może morderca wyszedł na spacer z psem i zgubił go, gdy zajął się czymś innym.

Mallory obróciła się do Cory.

- Widziała pani psa?

Cora skinęła głową.

- Jakiej był rasy?

- Obawiam się, że nie wiem. Okulary...

- Jak duży był?

- Och, no taki normalny, ani strasznie duży, ani bardzo mały. Przepraszam, ale nie potrafię...

- Jakiej maści?

- Nie pamiętam, ale chyba raczej ciemnej. Nie czarny jednak, nie bardzo ciemny tylko taki... taki raczej brązowy.

- Raczej?

Nie potrafiła powiedzieć. Nie doceniła młodej kobiety i teraz ogarnęły ją wątpliwości, czy rzeczywiście tego ranka widziała psa i zakochanych. Czy możliwe, że to były dwie kobiety? Czy pies mógł...

- No więc dobrze - rzekł Charles, po raz kolejny przerywając ciszę. - Mallory, masz psa na miejscu zbrodni i wiesz, że to nie żaden kanapowy pudel ani dog.

Młoda kobieta skinęła głową. Rzeczywiście, tym razem dowiedziała się czegoś konkretnego i najwyraźniej sprawiło to Charlesowi przyjemność. Ślepy by zauważył, że jest zakochany w tej dziewczynie. No cóż, przynajmniej on był zadowolony. No i dobrze, bo polubiła tego mężczyznę.

Kiedy się podniosła, oznajmiając, że czas już na nią, odprowadził ją na sam dół i pomógł wsiąść do taksówki. Uparł się, by zapłacić za kurs. Gdy uścisnęli sobie dłonie, Cora rzekła:

- Urodziłeś się w złym stuleciu, młody człowieku.

*

Kiedy Charles wrócił na górę, trudno mu było nie zauważyć ostrego noża leżącego na stoliku obok płóciennej torby. Jakby jeszcze zbyt mało miała broni. Po pierwsze, ten ogromny nagan, który zawsze sterczał jej spod żakietu. Nie nosiła go ostatnio, tylko trzymała w pokoiku. Po drugie, służbowy pistolet, z wydziału policji. Pewnie trzyma go w domu. I wreszcie zabytkowy kolt Markowitza, schowany do szuflady w biurze firmy Mallory & Butler. Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie Mallory z nożem.

Wziął nóż do ręki i obrócił go w dłoni. Na ostrzu widniał herb Maximiliana Candle'a.

- To chyba nie moja sprawa - odezwała się Mallory, wchodząc znów do pokoju i skinieniem głowy wskazując nóż - ale zastanawiałam się, co zaszło w piwnicy. Byłam tam. Patrząc: drzwi nie zamknięte, a przepierzenie do składu Maxa odsunięte na bok.

- Moja wina - odparł Charles - wybiegłem stamtąd w pośpiechu. - Czy przypadkiem nie wyciągnęłaś tego noża z tarczy?

Skinęła głową.

Charles patrzył na nóż, zapomniawszy spytać, z jakiego powodu zeszła do piwnicy, tak był zdumiony tym, co widział. Trzymał bowiem w rękę prawdziwy nóż, tymczasem te, które po zwolnieniu sprężyny wychodziły z tarczy, to atrapy: miały tylko kawałek ostrza i pozostawały częścią mechanizmu. Można je było z powrotem wepchnąć, ale nie dawały się wyciągnąć, a już na pewno nie z ostrym czubkiem.

Gdy wyjaśnił istotę problemu Mallory, spytała:

- Czy możliwe, żeby tam był ktoś jeszcze oprócz was dwóch?
- Możliwe, ale wątpię w to.
- Powiedziałaś jego rodzicom, co się wydarzyło?
- Naturalnie. Zadzwoiłem do nich z biura. Czterdzieści minut zajęło mi wyśledzenie, gdzie się bawią. Ten chłopak przeżył załamanie, mieli więc prawo wiedzieć, że jest w złym stanie.

- Drzwi do piwnicy zostawiłeś otwarte. Czy Justin miał dość czasu, by wrócić i podmienić nóż? On albo któreś z rodziców?

- Ale drzwi wejściowe do budynku nie były otwarte. Są...

- Przecież oboje wiemy, że pięcioletnie dziecko potrafi tam wejść. Jak trudne jest to według ciebie dla dorosłego?

- Nie mogę sobie wyobrazić, by ktoś z nich...

- Łatwiej sobie to wyobrazić, niż nóż latający samopas w powietrzu. Ktoś tu zadaje sobie sporo trudu. Ponadto nóż to spory krok do przodu w porównaniu z ołówkami. Tę sprawę trzeba rozwikłać i twoja w tym głowa, Charles. Ja mam ręce pełne roboty w związku z morderstwem.

- Naprawdę myślisz, że komuś z Riccalów grozi niebezpieczeństwo?

- Jasne. I to szybko, możesz być pewien.

- Nie ma na to żadnych przekonujących dowodów.

- No i co z tego?

Od kiedy to logika wtrącała się do toku jej myśli? Metodą Mallory było ustalić najpierw docelową hipotezę, a potem ruszyć ku niej chyżo i niech lepiej nic nie staje na drodze.

Ledwie sekundę temu przestrzeń koło nóg Mallory była pusta. Teraz zajmował ją kot. Nos najwyraźniej uczył się od swej pani złych nawyków.

- Nadal zamierzasz zakończyć dochodzenie pojutrze? - zapytał Charles. Skinęła głową.

- Jeśli nie pchnę tego do przodu, stracę faceta. Z kolei jeżeli zbyt go rozstroję, poleci do adwokata, nim zdążę go dorwać.

- Masz szczęście, że wszyscy trzej zostają na święta w mieście.

- Gdyby któryś wyjechał, skreśliłabym go z listy. -Ale logicznie...

- Logika klapuje jedynie na papierze.

- Jack Coffey uważa...

- Rozmawiałeś z nim? Chyba nie powiedziałeś mu o powieści, co?

- Nie, ale dlaczego ty mu nie powiedziałaś? Po co ta skrytość? Przecież powinnaś współpracować z ludźmi z komendy.

Czekaj, głupcze, nie tak. Ona pracuje sama.

- Jakiś gliniarz daje cynk na mieście. Nie mam zamiaru więcej ryzykować.

- Ależ właśnie przez to ogromnie ryzykujesz! Może nie doceniasz mordercy. Coffey mówi, że lekceważysz...

Mallory wyprężyła się, uniosła lekko głowę.

- Ja znam tego mężczyznę na wylot - powiedziała z naciskiem. - Wyszprzątał po sobie całe mieszkanie. Wyczyścił rzeczy, których nawet nie mógł dotykać. Musiał być absolutnie pewny, że nie przegapił niczego. Jest jedynym ogniwem, które wiąże mnie z Amandą Bosch, bo tylko on wie, że dziewczyna nie żyje i że mnie za nią wzięto. Chce uciekać, ale nie może. Domyśla się, że coś wiem, ale nie ma pojęcia jak dużo. Do obłędu doprowadza go moja obecność. Po każdej nowej wiadomości, którą wpisuję do komputera, jest coraz bliższy załamania. Nie może wyjechać. Stał się moim więźniem od dnia, gdy wprowadziłam się do mieszkania Rosenów. Czekam, żebym po niego przyszła. Ile razy słyszy pukanie do drzwi, ociera się o zawał serca. Kiedy już nie będzie mógł dłużej wytrzymać, kiedy już pęknie, przyjdzie do mnie. Ja wyznaczę tę chwilę i będę na niego czekała.

Charles gotów był przysiąc, że przez cały ten monolog ani razu nie mrugnęła powieką. W głosie Mallory była ostra nuta, determinacja, przed którą głupcy tacy jak on uciekają w popłochu, na złamanie karku.

- Powiem ci, że Jack Coffey ma rację - rzekł.

Kot wbił ślepią w Charlesa, jakby chciał spytać, czy można mówić głośno takie niedorzeczności.

- Coffey?

- Tak, Coffey. Ma rację w kilku kwestiach.

Kot odwrócił od Charlesa głowę, pozostawiając go na pożarcie.

- A ja się mylę, tak? - zapytała.

Miarowo akcentowane słowa niosły ze sobą jeszcze inne pytanie: „Po której jesteś stronie?” Ona już zawsze taka będzie; zmusza do wyboru stron konfliktu, konkretnie jej strony przeciw racjom całego świata.

- Mallory, jeśli prześledzisz po kolei wszystkie fakty, suche fakty, to zobaczysz, że wcale nie wyłania się z nich szczegółowy portret zabójcy, z pewnością zaś nie taki, który byłby podobny do tego, co przed chwilą tu wyłuszczyłaś. Nie możesz dać sobie głowy uciąć, że jest, jak mówisz.

Kot pierwszy wychwycił sygnały ostrzegawcze, jego zwierzęcy instynkt uprzedził go o bliskim niebezpieczeństwie. Najeżył się i umknął pod kanapę. Charlesowi zaś przypomniał się nagle stary mężczyzna z parku cytujący Objawienie św. Jana: zapowiedź trzęsienia ziemi i zaćmienia słońca.

„Zakończone czerwonymi paznokciami palce wsunęły się do płóciennej torby leżącej na stoliku i wyjęły z niej wydruki komputerowe szczipione po kilka spinaczami. Mallory wybrała jeden plik i podniosła go ku oczom Charlesa.

- Dobra, Charles, spójrzmy zatem na twój problem z ołówkami - powiedziała. Lekkie kartki spadły na stół z dużą siłą. Mallory miała zastygłą twarz. - Tu są fakty - rzekła - mój wkład w naszą spółkę. Zginęły dwie kobiety. Dwa towarzystwa ubezpieczeniowe wypłaciły szmal. Trzecia kobieta trzęsie się jak osika albo udaje. Zapisane chłopcu pieniądze zmniejszyły się o jedną trzecią. Ojciec sprawuje nad nimi zarząd powierniczy. Można by sądzić, że źle zainwestował, ponieważ jego własny pakiet akcji i konta również się uszczupliły, ale to już byłoby przypuszczenie, a ja chcę się trzymać faktów. Macocha jest programistką, zna się trochę na finansach. Ma dostęp do dokumentów i pieniędzy Justina zarządzanych przez ojca. Znała Roberta Riccalo przez dziesięć lat, nim za niego wyszła. Z twoich notatek wynika, że w rodzinie źle się dzieje tylko wtedy, gdy są we troje. W kierunku macochy poleciał ołówek. Łatwiej jest sprawić, by przedmioty latały w naszą stronę, bo ciągniemy za nitki, ale mój ołówek wystrzelił w twoją stronę, prawda?

Mówiła spokojnym, kulturalnym głosem, co zachęciło kota do wystawienia głowy spod kanapy.

Skąd ona to wszystko wie? Gdy tylko Charles sformułował tę myśl, wsunął ją pośród inne, nie wypowiedziane pytania, które zwiślały z krokwi jego umysłu jak nietoperze ze sklepienia ciemnej jaskini. Teraz, ilekroć przychodziła do niego z jakąś informacją, nie pytał już, skąd ją ma, nie usiłował odgadnąć źródła jej pochodzenia, tylko machał ręką na pożegnanie swym zasadom - upodabniając się coraz bardziej do Markowitza.

Kolejny wydruk uderzył w blat stolika z suchym trzaskiem. Kot znów zniknął.

- Chłopiec chodził wcześniej do szkoły w normalnych godzinach - ciągnęła. - Raz w tygodniu zostawał w świetlicy, bo rodzice pracowali popołudniami. Teraz w nowej szkole ma więcej lekcji. Czasem spędza w niej sześć dni w tygodniu, od rana do wieczora. Nowa macocha tak to urządziła. Słusznie zauważył, że każda nowa pani Riccalo to kopia poprzedniej. Wszystkie zapisywały Justina na zajęcia pozalekcyjne, żadna nie chciała mieć go w domu. Jego fundusz po matce wysycha, a ojciec znalazł się w dołku finansowym. Macocha za to jest po czubek nosa obłożona polisami ubezpieczeniowymi z pracy. Matka Justina miała udokumentowane kłopoty z sercem. Z kolei macocha, która popełniła samobójstwo, była przez krótki okres leczona psychiatrycznie. To są fakty.

- Pewnie widziała latające przedmioty?

- Nie wiadomo. Faktem jest, że lekarz zaobserwował u niej symptomy paranoi podczas jej krótkiego pobytu w szpitalu. Nie zostawiła kartki przed skokiem z okna. Lekarz sądowy próbował sporządzić pośmiertną diagnozę psychologiczną. Mówił, że w rodzinie nigdy nie rozmawiano o latających przedmiotach. Jest raport w tej sprawie i jego osobiste notatki na temat chłopca. Dwa razy powtarza w nich, że Justin robi „upiorne wrażenie”. Podaję tylko fakty.

W słowach Mallory była powściągnięta gwałtowność, hamowana siła. Choć gniew w niej narastał, twarz pozostawała kamienną maską.

- No cóż, samobójstwo wyklucza motyw zdobycia pieniędzy z polisy.

- Nie, Charles, faktycznie wcale nie wyklucza. Riccalo podał towarzystwo do sądu, by zapłaciło, bo nie chciało. Warunki nie wyłączały samobójstwa, a w czasie obowiązywania polisy nie miała zaburzeń psychicznych.

- I Robert Riccalo był beneficjentem.

- To także fakt. Odszkodowanie poszło w fundusz chłopca po matce.

- To wszystko brzmi złowieszczo.

- Trzymajmy się faktów, Charles. Odszkodowanie ledwo pokryło straty z powodu złych inwestycji w poprzednim kwartale. Gdyby wartość tego funduszu spadła zbyt nisko, bank wszcząłby kontrolę rewizyjną. Riccalo nie miał więc wyboru, musiał szybko włożyć pieniądze do funduszu. Jak więc widać, suto ubezpieczona pani zabiła się w samą porę. To interesujące według mnie.

- Nie masz nic, co wskazywałoby, że to ukartowano. O ile wiem, w domu nie było nikogo, kiedy to się stało.

- Nie wiadomo. Policja nie sprawdza alibi, dopóki sprawa nie zostaje zakwalifikowana jako zabójstwo. Jeżeli będziesz się trzymał faktów, uznasz, że logicznie rzecz biorąc, każde mogło to zrobić. Zatem nic nie wiesz. Ale skoro twoim zdaniem intuicja nie jest warta funta kłaków, jak wytłumaczysz, że ja wiem, kto jest zabójcą, a kto będzie następną ofiarą, a ty nie?

Powietrze między nimi było śmiertelnie lodowate. Nawet Malakhai, który niejedno widział w życiu, uznałby Mallory za istotę jedyną w swoim rodzaju. Miłość Charlesa do logicznego rozumowania wymówiła się brakiem czasu i uciekła pod kanapę, by dotrzymać towarzystwa kotu. Zbyt późno uwierzył w Mallory tak, jak inni wierzą w magię.

- Które z nich to robi? - zapytał.

- Szkoda, ale nie mogę ci powiedzieć. Nie wykombinowałam tego na logikę, więc to się nie liczy, prawda?

- Które? Które według ciebie?

- Nic z tego, Charles. Miałam objawienie, spłynęło na mnie światło z góry. Jestem tylko gliną, policjantką, inaczej więc prawdy bym nie poznała. To ty jesteś geniuszem i teraz, gdy już przystrzygłeś całą sprawę do wymogów logiki i nagicznych faktów, reszta powinna być dla ciebie bułką z masłem. Daj mi znać, jak już to rozgryziesz.

- Sama powiedziałaś, że każde mogło to zrobić. Logicznie...

- Logika to twoja specjalność, nie moja. Jeżeli króluje logika, to jak to jest, że ja wiem, a ty nie? Baw się dobrze, Charles. Wypoczywaj, opalaj

się, nie zapomnij przysłać pocztówki.

Zaczęła wypakowywać z torby pudełka z nowymi dyskietkami.

- Mówisz, jakbym cię miał przez jakiś czas nie widywać.

- Mam mnóstwo spraw na głowie.

Charles odwrócił się tylko na chwilę, by pomyśleć w spokoju, co odpowiedzieć, ale gdy zaraz zerknął przez ramię, Mallory już nie było. Drzwi do biblioteki właśnie się zamykały, kot dreptał wiernie jej śladem, a on sam musiał się odprowadzić do wyjścia.

- Ale nadal jesteśmy umówieni na wieczór, prawda?! - zawołał za nią przez domknięte już drzwi.

Cisza.

Nim wyszedł, przyjrzał się jeszcze innym faktom. Miała rację, że powieść jest w dużym stopniu autobiograficzna, co najmniej w kwestii ciąży i tańczącego kota. Miała też rację co do spotkania w parku i spontaniczności zabójstwa. Gdy wyszedł na klatkę i stanął przed drzwiami do windy, przyszło mu do głowy, by wrócić, wejść do niej bez pukania i zażądać odpowiedzi, które z Riccalów bawi się ołówkami.

Wiedziała.

Dopiero wtedy przypomniał sobie o nożu leżącym na stoliku. Dlaczego przyniosła go do mieszkania Rosenów? Co w ogóle robiła w piwnicy?

*

Robert Riccalo dominował w pokoju, mimo że zasłaniała go gazeta.

Zielony fotel ze skóry stał na środku pomieszczenia niby tron i był wyższy od kanapy, na której przysiadła jego żona. Justin siedział na małym krześle, wykonanym najwyraźniej z myślą o dziecku.

DIALOG w telewizyjnej reklamie odświeżacza powietrza nie potrafił zagłuszyć szelestu gazety. Każde chrząknięcie czy westchnienie dochodzące od strony tronu, odciągało czujne oczy Justina od książki. Ilekroć podnosił wzrok, nadziewał się na uporczywe spojrzenie macochy, której zupełnie nie interesował program emitowany przez włączony na próżno telewizor.

Wszyscy troje obrócili się jak na komendę, gdy z jadalni dobiegł odgłos tłukącego się szkła. Robert Riccalo spojrział na syna, a ten wcisnął się w krzesło. Jego żona siedziała nieruchomo na krawędzi kanapy, sztywna niby wycior armatni, z oczami zwróconymi w stronę, z której dobiegł hałas, z długim nosem wskazującym kierunek, niby kompas przeznaczony do znajdowania przedmiotów, które robią bęc! wieczorową porą.

Pierwszy do jadalni wpadł Robert Riccalo. Na marmurowych kafelkach leżały kawałki niebieskiego szkła. Cztery najdłuższe odłamki uformowały się w rząd, wskazując ostrymi końcami pokój, z którego nadbiegł. Obrócić się szybko na odgłos kroków Sally. Stała i z jej trzewi dobył się wrzask. Nie odrywała oczu od rozbitego szkła.

Justin wszedł do jadalni jako ostatni w chwili, gdy pierwszy z ostrych kawałków ruszył z wolna w kierunku macochy. Stała nieruchomo, sparaliżowana. Naraz złamała szyk i spojrzała na chłopca.

- To on! - krzyknęła. - To on to robi! Chce mnie zabić! To on! - Jej palec wskazywał Justina. Robert Riccalo obrócił się do syna, miotając z oczu błyskawice.

Chłopiec wybiegł z jadalni i umknął do swego pokoju. Zamknął się w nim na klucz i z wysiłkiem jął przesuwac ciężką szafę pod drzwi.

- Justin! - ryknął ojciec. - Justin! - Krzyki były coraz bliżej.

- Justin! - Tuż pod drzwiami. Klamka się poruszyła, gdy Robert Riccalo próbował wejść. Chłopiec słuchał oddalających się kroków. Potem męczyzna wrócił i włożył klucz w zamek.

Justin cofnął się pod przeciwległą ścianę, gdy tymczasem ciężka szafka zaskrzypiała pod naporem drzwi i powoli odsuwała się na bok, nieuchronnie schodząc ojcu z drogi.

*

Jej uwagę zwrócił pięcioletni chłopiec, który zawołał: „Właśnie że chcę zobaczyć!” - i teraz sama też chciała. Podeszła do grupy gapiów, którzy

obstąpili chodnik pod wejściem do sąsiedniego budynku. Chłopczyk kopnął w nogę kobietę, która trzymała go za ramię. Była innego koloru skóry i sądząc po ubraniu, należała do odmiennego świata, bardziej przyziemnego niż piętra wieżowca, w którym mieszkali małymi rodzinami.

- Nie pójde! - powiedział, zaciskając pięści.

Nagle Mallory zauważyła długie czarne palto - wyjątkową robotę krawiecką nawet jak na jej wygórowane wymogi. Ubrany był w nie mężczyzna, który dźgał leżące końcem parasola.

- Czy on nie żyje? - zapytała stojąca obok niego kobieta, postępując krok do tyłu. - Czy dlatego tak śmierdzi?

- Oni wszyscy cuchną - odparła inna.

Przedarli się przez tłum, Mallory ujrzała, jak eleganckiemu panu udaje się czubkiem parasola przewrócić mężczyznę na plecy. Leżący miał zamknięte oczy jak w głębokim śnie, a brudna twarz nie wyrażała ani bólu, ani choćby oburzenia z powodu obcesowego traktowania, ponieważ nie żył. Poniewierająca się obok butelka, kałuża wymiocin i poszarpane ubranie mówiły o nim wszystko. Wpełził w krzaki późno w nocy i zamarzył na śmierć, zbyt pijany, by szukać lepszego schronienia. Albo zadławił się śmiertelnie wymiocinami. Portier z nocnej zmiany, którego zadaniem jest przepędzać bezdomnych, prawdopodobnie spał na służbie albo czytał gazetę, kiedy ów mężczyzna skrył się za wątlą osłoną krzewów przed padającym śniegiem.

Pięcioletni chłopczyk patrzył na Mallory, dostrzegłszy u niej znamiona władzy.

- Czy portier zadzwonił po hycla, jak wtedy z psem? - zapytał.

- Z jakim psem?

Rozradowany swym wtajemniczeniem, mały chłopczyk odparł:

- Widziałem, jak mordowano psa. Działo się to tutaj. - Wskazał rączką krawężnik. - Byłem na górze...

Niania wystąpiła naprzód.

- On mieszka na dziewiątym piętrze. Plecie o tym psie, ale nie wiem, czy naprawdę mógł widzieć...

- Właśnie że widziałem, widziałem! I wcale nie byłem na dziewiątym

piętrze. Mówi tak, żeby rodzice nie dowiedzieli się, że zostałem bez opieki.
- Chłopiec położył akcent na ostatnie dwa słowa, które najwyraźniej były nowym sposobem szantażowania opiekunki. To chyba wyjaśniało, dlaczego kobieta nie stawiała oporu. Dzieciak miał na nią haka.

- Stałem w korytarzu na drugim piętrze - powiedział. - Patrzyłem w dół i widziałem, jak pan morduje psa.

- Jaki pan?

- Jakiś.

- W jaki sposób?

- Dusił go. Pies ciągnął się na smyczy i chyba mu się to nie podobało. Ten pan podniósł go na kolczatce, a pies wierzgał i wierzgał. I potem przestał wierzgać. Nie żył. Pan kopnął go na ulicę. Chciałem wybiec i zobaczyć, ale portier mnie nie puścił. Powiedział, że czeka na hycla.

- Kiedy to było?

- Nie wiem.

Mallory spojrzała na nianię.

- Kiedy to się stało? - zapytała.

- Pewnie nigdy. - Wzruszyła ramionami. — Wymyśla takie historie.

- W takim razie muszę porozmawiać z portierem i z jego rodzicami - rzekła Mallory.

- A tak, dziewiętnastego - powiedziała szybko niania, doznawszy nagłego olśnienia. - Padało wtedy.

Ani chłopiec, ani portier nie potrafili jednak opisać psa. Nadto Mallory wiedziała, że światu na nic się zda wrzawa czyniona przez naocznych świadków.

*

Drzwi były otwarte. Mallory oparła torbę z zakupami na biodrze i dobyteła broni. Z rewolwerem zasłoniętym torbą, pchnęła drzwi i weszła do środka.

W pokoju zobaczyła dozorcę. Gdy się zbliżyła i objęła wzrokiem całe pomieszczenie, ujrzała Angel Kipling otwierającą drzwi do łazienki.

- Szukasz czegoś? - zapytała.

Dozorca obrócił się błyskawicznie.

- Och, pani Mallory - rzekł. - Przepraszamy za najście, ale pani Kipling była pewna, że słyszała tu krzyk.

- To pewnie był kot - powiedziała Angel. - No tak. Zawsze trzymasz go zamkniętego?

- To duża łazienka, a nie chcę, żeby roznosił Rosenom sierść po mieszkaniu.

Kiedy dozorca przeprosił kobiety i wyszedł, Angel Kipling obróciła się ku Mallory.

- Dostałam twoją wiadomość - rzekła.

- Jaką wiadomość?

- Nie udawaj Greka. Widziałam sprzęt. - Skinęła głową w stronę biblioteki, której drzwi były otwarte. - Większość z nas ma tylko jeden komputer, ale ty? A właśnie przez sieć komputerową jesteśmy nękami. To wiele wyjaśnia. Czego więc chcesz? Ile?

- Żeby siedzieć cicho? - Nie, zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Szkoda, że kamery nie są włączone. Cokolwiek jednak Angel powie, niewielka z tego korzyść, ponieważ informacje wydobyte od jednego z małżonków nie mogą być wykorzystane przeciwko drugiemu. - Wolałabym załatwić tę sprawę z twoim mężem.

- Właśnie załatwiasz, bo to ja jestem mężem w naszym małżeństwie.

Ruszywszy na Mallory, Angel otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz albo słowa ją zawiodły, albo się rozmyśliła, bo zacisnęła wargi. Wycofała się tyłem z pokoju jak kot, gdy Mallory przekazywała oczami, że ma go dość. Sztywnym krokiem wymaszerowała do wyjścia i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Mallory poszła do kuchni i postawiła na blacie torbę z zakupami. Położyła obok niej rewolwer, następnie schowała łatwo psującą się żywność do lodówki. Zadzwoił telefon. Niech dzwoni. Wstawiła jeszcze masło i zamknęła białe drzwi akurat, gdy rozlegał się drugi sygnał. Ruszyła do dużego pokoju spokojnym krokiem, bez pośpiechu. Kot stukał łapami w ściankę akwarium, dostając obłędu na widok pływających ryb.

- Wiem, jak się czujesz - powiedziała do niego Mallory. Podniosła słuchawkę za czwartym dzwonkiem.

- Mallory - rzekła.

- Mówi Justin. Proszę pani, to nie ja puszczałam te ołówki.

- Co?

- To nie ja. Pomoże mi pani?

- Znasz warunki. Kiedy będziesz gotów powiedzieć mi prawdę, pomogę ci.

Usłyszała głębokie westchnienie, a zaraz potem trzask przerwanej połączenia.

W następnej chwili zapomniała o chłopcu. Przez otwarte drzwi biblioteki zobaczyła, jak ze stolika spada wazon. Odbił się od pluszowego dywanu, żółte róże wysypały się, wylała woda.

Cholerny kot.

Naraz miauczenie dobiegło z pokoju za ścianą. Zdezorientowana, Mallory patrzyła na leżące kwiaty, aż jej uwagę przyciągnęła dioda błyskająca ostrzegawczo na sygnalizatorze. Nadchodził kolejny faks.

Wyświetliła go na monitorze. Był adresowany do Hearta. Nosił znak czasopisma prawniczego i zawierał prośbę o pozwolenie na przedrukowanie w jednym z najbliższych numerów eseju sędziego.

Mallory wprowadziła treść faksu do programu graficznego, gdzie skopiowała znak i podpis nadawcy na pustą stronę. Następnie napisała własny tekst: „Nasza redakcja rozważa wydanie pewnego rękopisu, chcemy jednak się zabezpieczyć przed oskarżeniem o oszczerstwo. Pozostaje więc nam do wyjaśnienia kilka drobnych kwestii. Po pierwsze: czy to prawda, że regularnie bije pan swoją żonę? Po drugie: czy to prawda, że matka pana zmarła z powodu obrażeń odniesionych w wyniku bestialskiego pobicia?”

Następnie usiadła, by przez godzinę elektronicznego horroru fabrykować informacje przeznaczone dla biuletynu informacyjnego w sieci komputerowej kamienicy.



- Słodki Jezu! - mruknął Riker pod drzwiami Mallory. Czy dobrze wiedział?

A jednak to rzeczywistość. Wcisnął guzik dzwonka i walnął pięścią w drzwi.

- Mallory, jesteś tam?!

Uśmiechnął się, gdy zobaczył ją w progu. Nigdy nie będzie wiedziała, jak wielka ulga spłynęła na jego organizm, rozluźniając wszystkie mięśnie, które były już gotowe do wyważenia drzwi, gdyby ich w porę nie otwarła.

Wskazał palcem wielkie X namalowane na zewnętrznej stronie drzwi. To mogła być tylko krew. Oboje potrafili odróżnić keczup od śmierci.

- Miły akcent - rzekł i minąwszy Mallory, podszedł do telefonu stojącego na stoliku w przedpokoju. - Nieco ostentacyjny, ale jednak mi się podoba. Facet zna twoje nazwisko i wie, gdzie mieszkasz, ale to ci nie wystarczyło? Musiałaś narysować znaczek, bo bałaś się, że zgubi drogę?

- Z całą pewnością wiewiórka - powiedziała, wpatrzona w złowrogie X.

- Wiesz co, musimy jeszcze raz pogadać o twojej hipotezie. Facet cię osacza. To jakoś nie odpowiada obrazowi przerażonego mięczaka, który zabił ze strachu i uciekł. Tu pachnie zupełnie czym innym.

- Może i tak. Albo może ktoś z nim współpracuje.

- No dobra. Dwaj podejrzani są żonaci. Powiedzmy, że jedna z żon to dosyć szczegółna postać. Coś jak ty. Albo sama jest chłopem z jajami...

- Albo robi, co się jej każe.

- Zatem wciąż niewiele wiadomo, hm? Robisz za dużo popłochu. Musiałaś straszyć wszystkich trzech? Że też nie przyjdzie ci do głowy, że ktoś może cię dopaść i załatwić, na przykład procesem na wiele milionów dolarów wytoczonym policji. - Albo bronią, dodał w myśli. Znów spojrzął na drzwi. - Jak myślisz, długo to masz nabazgrane?

- Gdy wchodziłam godzinę temu, jeszcze nie miałam.

Riker mówił do telefonu:

- Spytaj Hellera, czy mógłby tu przyjechać. Może nam się poszczęści.

Jest szansa, że namalował to własną krwią. - Odłożył słuchawkę i powiedział: - Czas, żebyś miała wsparcie, mała.

- Nie nazywaj mnie „mała”. Moje śledztwo ma niewielki budżet, zapomniałeś?

- Nie możesz tu dłużej tkwić sama.

- Ja nie mam o nim tak wysokiej opinii jak ty. Spójrz na to - powiedziała. Wskazała środek krwawego X. - Widzisz? Piórka. Nasz nieustraszony zabójca ukatrupił ptaka. Zatem bez wsparcia. Nie pozwolę, żeby mi ktoś zepsuł tę robotę.

Gdy przyjechał Heller ze swoim zestawem instrumentów i zabrał się do zeszkrobywania próbek z drzwi, Mallory i Riker wciąż grali we „wsparcie, bez wsparcia”. Gdy odjeżdżał, Riker kapitulował ze słowami: „No dobra, bez wsparcia”.

- Kiedy chcesz go zapakować? - zapytał.

- Może w niedzielę.

No tak, wybrała dzień, w którym Bóg odpoczywa i nie patrzy, czy znów Go okłamują.

Kot mruczał przy nogach Mallory, gdy wkładała broń do kabury. Wzięła go na ręce. Otarł się nosem o jej twarz i polizał policzek różowym, chropawym językiem, zamykając ślepią w wyrazie kociej błogości. Mallory stanęła z nim w progu łazienki i wyciągnąwszy ręce, upuściła go na kafelki podłogi. Natychmiast stanął na dwóch łapach i zaczął tańczyć.

Riker gwizdnął cicho.

- Robił to już kiedy? - zapytał.

- Nie.

Ukląkwszy, chwyciła kota za przednie łapy i obcesowo przycisnęła je do podłogi.

Zamruczał i zmrużył powieki. Mallory podniosła się. Gdy otworzył ślepią, odmalował się w nich wyraz bólu, ujrzał bowiem zamykające się za nią drzwi. „Co przeskrobałem?” - pytał zmieszany, podrzucając głowę, stając na tylnych łapach.

Drzwi się zatrzasnęły.



Gdyby była kobietą o tuzinkowej inteligencji i woli. Gdyby jej twarz nie jawiła się jako piękna antyteza jego własnej błazeńskiej gęby. Gdyby była normalną istotą, wówczas dałby jej, czegokolwiek by zażądała. Tymczasem pokochał uosobienie anormalności i wynaturzeń, które i tak dostałoby od niego wszystko na pierwsze skinienie palcem.

Że nie przyjdzie, wiedział już, gdy minęło pięć minut po wyznaczonej porze. Mierzył upływający czas topnieniem się lodu w kubku z szampnem. Czerwony papier, w który zawinął prezent dla niej, wyglądał teraz żałośnie. Głupie pudełko i śmieszny przedmiot, wystrojone, czekające na kobietę, która nawet nie raczyłaby wziąć ich do ręki. Przez następną godzinę wpatrywał się w drzwi, do których na pewno nie zapuka. Następnie wstał, włożył palto i wyszedł. Nie pamiętał, czy zamknął drzwi na klucz z tej prostej przyczyny, że tego nie zrobił. Ruszył korytarzami i dalej po schodach w dół, prosto w mrok, by pospacerować i pomyśleć.

Nocne powietrze było chłodne i rześkie. Z północy dobiegło go bicie dzwonów klasztoru na Bleecker Street, z zachodu - dzwonów kościoła świętego Antoniego. Był na tyle głupi, że wieczór wydał mu się romantyczny, choć nie miał z kim go spędzić i tak prawdopodobnie pozostanie już zawsze.

Riker trafnie scharakteryzował Mallory: bez serca, nieprzystępna. Oczywiście, że miała go za głupca. Oczywiście, że nim jest. Zawsze mówił nie to, co trzeba. Gdybyż posiadała odrobinę czegoś konwencjonalnego, choćby jedną zwykłą cechę, którą potrafiłby pojąć.

Niesiony w głębokiej kieszeni palta odtwarzacz kompaktowy objął się Charlesowi o udo. Podziękował jej za prezent, ale jeszcze ani razu go nie używał. A może ten kawałek nowoczesnej techniki będzie pomostem do Mallory? Wyjął urządzenie z kieszeni, założył słuchawki i wcisnął przycisk odtwarzania. Do środka czaszki wlały się harmonijne dźwięki, zdawały się nadpływać ze wszystkich stron. To przecudowne. Całkiem nowa była ta muzyka, którą nosił w sobie od dziecka.

Naraz w jego amatorskim obłędzie pojawił się nowy element.

Przez chwilę z zapartym tchem wsłuchiwał się w dźwięki, które nie były ani muzyką, ani samochodowym klaksonem, ani dzwonem kościelnym. Wiedział, że to kroki idącej za nim Amandy, jeszcze zanim go wyprzedziła. Zjawa, która stąpała słyszalnie. Chód miała zbyt lekki i odrobinę niepewny jako wciąż niedoskonała kopia żywej kobiety. Obrócił się do niej plecami i wyłączył odtwarzacz.

Kroki ucichły.

Patrzył uparcie w przeciwną stronę i skupił myśli na Mallory.

Wiedziała, kto zabawia się ołówkami. Być może poznała istotę telekinety w badanej przez niego rodzinie w sposób, w który on nie potrafił. Czy to ślady po maltretowaniu ujrzała w Justinie? Czy - jak powiedział chłopak - coś, czego nie lubi u siebie samej? A może to coś zwykłego, co Mallory potrafiła dostrzec, a on nie? Brak serca?

- Czasami ludzie nie potrafią odwzajemnić miłości - powiedziała Amanda, dotrzymując mu kroku. Stworzona przez niego zjawa cechowała się ludzkim wręcz uporem. Wróciła, żeby nie był sam. Spojrzał na jej smutną twarz i strach ustąpił miejsca zaciekawieniu.

- Twojej też nie odwzajemniono, prawda?

- Nie.

- A kiedy już poznałaś tego mężczyznę, pogarda zabiła wszelkie dobre uczucia, które mógł w tobie wzbudzić. Mam rację?

- Tak. Ty jednak nigdy nie będziesz pogardzał Mallory, to nie to samo. Ja pogardzałam nim z powodu jego słabości. Ona tymczasem ma ogromną siłę, która nie mieści się w naturze rzeczy i to jest czasem przerażające, prawda? Jesteś zagubiony, Charles. Ja wylądowałam w sumie korzystniej niż ty. Lepiej wiedzieć, że nastąpił definitywny koniec miłości i nie mieć złudzeń.

- W końcu obchodziło cię już tylko dziecko.

- Tak.

- Dlaczego więc je usunęłaś?

- Bo mnie okłamał.

Teraz jej kroki stały się cichsze, gdy szła, dotrzymując towarzystwa samotnemu mężczyźnie, którego cień nie miał pary. Tym razem nie musiał się spręzać, by ją przywołać, i to właśnie powinno było go zaniepokoić, ale o dziwo radował się jej obecnością.

- Domyślasz się, dlaczego dała ci moją powieść? - zapytała Amanda.

- Żebym ją dokładnie przeczytał i może znalazł coś istotnego dla śledztwa.

- Przecież dobrze wiesz, że sama ją najpierw przeczytała od deski do deski.

- Oczywiście, że wiem.

- To mej miłości do dziecka nie mogła pojąć. Nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, bym planowała całe swe życie pod kątem nie narodzonej jeszcze istoty.

- Nie mogła? Przecież sama była kochanym dzieckiem. Oczkiem w głowie Helen i Louisa.

- Tak, kiedy już przeżyła swoje na ulicy. Ale co wiesz o jej prawdziwej matce? Jak można porzucić tak bystrą, tak piękną dziewczynkę? Była dzieckiem, o które kobiety modlą się do Boga. Dlaczego żyła po śmietnikach? Jeżeli wciąż szukasz więzi łączącej ją z Justinem, odpowiedź może leżeć we wczesnym dzieciństwie Mallory. Co naprawdę o niej wiesz?

Charles westchnął.

- Mallory to niebywale skryta osoba. Nikt otwarcie nie rozmawia o jej przeszłości.

- Gdybyś potrafił wyjść myślą poza parametry faktów i logiki, być może doszedłbyś do wniosku, że matka Mallory nie żyje?

- Och, to mocno naciągane, Amando.

- Czyżby? Ona przeczuwa zbliżającą się tragedię w rodzinie Riccalów. Ty z kolei widzisz w niej podobieństwo do chłopca. Oboje stracili matki. Czy to cię nie zastanawia? Co zmusiło Mallory do życia na ulicy? Od czego uciekła?

- Może była maltretowana?

- Przez matkę? Nie. Mallory pokochała Helen od pierwszego wejrzenia. Ktoś nauczył ją ufać kobietom takim jak troskliwa Helen Markowitz, pielęgniarka zadrapanych kolan, miłośniczka dzieci. A może Mallory widziała, jak zabijano jej matkę?

- Och, to kompletna bzdura. Nie ma żadnych faktów na poparcie tych domysłów. Zaraz mi powiesz, że Justin też widział, jak umierała jego matka, i że to właśnie ich łączy, jakby Mallory czytała w jego myślach.

- Może wyczytują to sobie z oczu. Przecież oboje patrzą, jakby nosili w sobie jakiś uraz. Justin nie zachowuje się jak dziecko, prawda? Rozmawia się z nim jak z dorosłym. To kolejne podobieństwo, bo Mallory też taka była.

- Stworzyłem cię po to, żeby się dowiedzieć nazwiska twojego mordercy.

- Tak, ale czy to był twój pomysł? Dając ci moją powieść, wiedziała, że gdy posiadasz tę intymną wiedzę o mnie, będziesz mógł wykonać *succubus*.

Czy to możliwe, że Mallory jest aż tak wyrachowana? Z pewnością. Te wszystkie pytania o Malakhaiego. Co innego miałyby na celu? Charles poczuł się wykorzystany.

Amanda skinęła głową ze zrozumieniem i ruszyła nieco szybciej.

- Zaczekaj, Amando! - zawołał za nią. - Powiedz, kto cię zabił. Jak to się stało, że zginęłaś i dlaczego?

- Okłamał mnie.

Charles był zbyt zmęczony, aby nie pozwolić jej odejść, podtrzymać iluzję. Bezradny patrzył, jak wchodzi w mrok. Była stworzona z tak rozredzonej substancji, że wchłonął ją pierwszy półcień, w który wkroczyła.

Porzucony jednego dnia przez dwie kobiety.

Spuścił oczy i szedł dalej, na przemian to w świetle, to w ciemności. Pochłonięty myślami o Mallory, zaszedł daleko na południowy-wschód, w tę część miasta, której nie znał i w której nie czuł się bezpieczny. Kiedy wreszcie spojrzał przytomnymi oczyma i uświadomił sobie, że zabłądził,

uznał, że niewiele go to obchodzi. Mgliście jedynie rozumiał, że mijający czas przeniósł go z Wigilii w poranek Bożego Narodzenia.

Zapłatał się stopami w stertę gazet leżących przy ścianie budynku i runął jak długi na chodnik. Płyta betonowa wyszła na spotkanie jego twarzy i obcesowo się przywitała. Poczul, że spod jego wyciągniętych nóg usuje się wyplatać coś żywego.

Wstawała. Miała na sobie czerwony płaszcz.

Boże drogi, potknął się o dziecko! Pewnie spało pod gazetami. Patrzył na umorusaną twarz dziewczynki o splecione włosach i największych oczach, jakie kiedykolwiek widział. Mogła mieć sześć, siedem lat. Wyciągnęła ku niemu rękę trzymającą kubek. Był pęknięty, w środku zabrzęczały drobne monety. Dopiero po chwili Charles pojął, iż dziewczynka zebrze o pieniądze, że jest wychudła i drży.

- Gdzie twoja mama? Dlaczego nie jesteś...

Mała zaczęła się cofać. Bystre, inteligentne oczy wzięły go za jednego z tych, którzy nie dają, być może nawet przedstawiciela władzy, policjanta albo co gorsza pracownika opieki społecznej. W chwili gdy uświadomił sobie, co się rozgrywa w jej głowie, oglądał już plecy małej, gdyż umykała w ciemność.

Podniósł się na nogi i pobiegł za dziewczynką, dudniąc stopami po chodniku, na przemian w pasmach cienia i jasności od lamp ulicznych, wyszedłszy bez szwanku z upadku, a jednak złamany. Zniknęła w jednej z tych plam mroku. Zatrzymał się i nasłuchiwał.

Cisza.

Naraz - brzęk.

Podniósł głowę i ujrzał, że mała wdrapuje się na pobliskie ogrodzenie z drucianej siatki. Z zapartym tchem patrzył, jak z małpią zręcznością przeskakuje na drugą stronę. Podbiegł do ogrodzenia w samą porę, by zobaczyć, jak powiewające poły czerwonego płaszcza umykają za róg budynku.

Dziewczynka zniknęła, a wraz z nią wspomnienie odległego Bożego Narodzenia z życia Mallory.

Ależ ze mnie głupiec.

Oparł czoło o zimną siatkę i zacisnął powieki. Serce mu pękało.

Głupiec.



Zieleń jej oczu nie była barwą bożonarodzeniowych choinek, lecz kolorem zimnego metalu, szklącym się teraz złowieszczo. Jej źrenice migotały w półmroku od świateł zegarów na tablicy rozdzielczej. Zdawały się płonąć” ogniem od wewnątrz, jakby przy tworzeniu Mallory matka natura postanowiła zrobić coś innego: przełamać monotonię rodzaju ludzkiego i tym samym zasiać strach w sercu Rikera.

- Ej, Mallory, gdybym wiedział, że masz jakieś ludzkie uczucia, pomyślałbym, że zamrwi cię, zem się urznął w Boże Narodzenie.

„Dobra, dobra”, rzekły jej opadłe w kąciku usta. Słowa nie były potrzebne.

Wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwiczki.

- Zaraz jestem z powrotem, wezmę tylko coś na śniadanie. - Obrócił się i ruszył ku przyćmionemu światłu w oknie baru.

Zajrzał przez szybę i pomachał ręką. Peggy odłożyła miotłę i zamachała do niego. Podreptał do drzwi.

Był odrętwiały od wypitego piwa. Uświadomił sobie mgliście, że trzydzieści metrów dalej stoi jakiś chłopak. Zerknął od niechcienia w jego kierunku. Nastolatek rozglądał się na wszystkie strony, prawdopodobnie na kogoś czekał. Riker obejrzał się za Mallory, która tkwiła niewidoczna w swym brązowym samochodzie. Barman otworzył drzwi, więc wmaszerował do środka.

- Kim jest twój przyjaciel? - zapytała Peggy, patrząc nad jego ramieniem.

Powoli odwrócił głowę i ujrzał, że tuż za nim wszedł widziany na ulicy szczeniak. Peggy była szybka i zupełnie trzeźwa, cofała się już za kontuar, gdzie na półce trzymała karabin.

Za późno.

Patrzył, jak chłopak sięga pod kurtkę i zaciska dłoń na kolbie pistoletu

za paskiem. Zastanawiał się, czy zginie pokonany przez refleks młodości, czy z powodu własnej powolnej reakcji, będącej rezultatem dużej ilości wypitego alkoholu. Tak czy owak, młody bandyta już go miał. Wszystko to przebiegło Rikerowi przez myśl w ciągu jednej sekundy, której potrzebował nastolatek, by sięgnąć po broń.

Nie zdążył jej dobyć.

Naraz do baru wdarł się powiew maniakalnej energii o jasnych włosach, który cisnął chłopakiem na najbliższy stół, aż krawędź blatu omal go nie przepołowiła. Mallory sięgnęła chłopakowi pod kurtkę i wyciągnęła rewolwer kalibru 0.22. Chwilę później, skuty kajdankami, wyleciał na ulicę. Był osłupiały i przytłoczony szybkością rozgrywających się wypadków.

Riker nie powiedział słowa do Peggy. Podniósł tylko ręce, by złapać rzuconą mu brązową torbę z sześcioma puszkami piwa na śniadanie, i ruszył na dwór za Mallory i jej nową zdobyczą.

Ej, co tu się dzieje?

Właśnie wpychała go do swego samochodu na przednie siedzenie. Każdy dzieciak, który ogląda telewizję, wie, że aresztowanego wozi się z tyłu. Co ona knuje?

Otworzyła przed Rikerem tylne drzwi i rzekła:

- Przepraszam za kłopot, szefie. Pozbędę się go jak najszybciej.

Od kiedy to zwraca się tak do niego? Fakt, mówiła mu kiedyś „szefie”, gdy był kapitanem, ale to zamierzchłe czasy, jedna żona i Bóg raczy wiedzieć, ile wypitych butelek temu. Skinął głową i wcisnął się do tyłu, akceptując reguły jej gry.

Zasiadłszy za kierownicą, nachyliła się do chłopca i szepnęła:

- Kiepsko. Widziałeś zastępcę komendanta pijanego w sztok. Chyba będąc cię musiała zabić. Rozumiesz mnie, prawda? To sprawa polityczna, tylko tyle. Osobiście nic do ciebie nie mam.

Ruszyli. Riker obserwował twarz chłopca. Mały pocił się jak ruda mysz, rozdarty między wiarą a niewiarą.

- Musiałeś wyciąć ten numer akurat wtedy, gdy w barze pił na umór najważniejszy gliniarz w mieście? - zapytała Mallory. - Tak, nie ma innego

wyjścia, będę musiała cię zabić.

To było niedorzeczne, ale Riker widział, że chłopak jest bardzo młody, pewnie jeszcze niedawno wierzył w świętego Mikołaja i krasnoludki. Zimne oczy Mallory nie pozostawiały wątpliwości, że to nie żarty.

Tak, zaczynał wierzyć.

Riker poczuł, jak ogarnia go mdły strach, który rozchodził się od wrzodu na żołądku. Nie zaczekała, aż mały wyciągnie gnata i tym samym popelni przestępstwo. Nie poinformowała go o jego prawach. Złamała wszystkie reguły postępowania w takich sytuacjach i najwyraźniej nie mogła się doczekać, by pójść jeszcze dalej.

Nie, można się chyba odprężyć. Przecież nie zabije dzieciaka, Markowitzowi by się to nie podobało. Niezdolna do odróżniania dobra od zła, w kwestiach etycznych kierowała się tym, co wkurzyłoby Markowitza, a co nie.

Znaleźli się w okolicach Wall Street, opustoszałych w Boże Narodzenie. Skręciła w ślepą uliczkę zagrodzoną barierą. Przebiegła oczami po szeregu pojemników na śmiecie pozostawionych na placu budowy.

- Nie, tu nie - rzekła. - Przepraszam szefie, że to tak długo trwa. Pozbędę się go przy następnej przecznicy, dobrze?

- Ja nic nie powiem! - wrzasnął chłopak.

Przez następne dziesięć minut Mallory nie rzekła słowa. Wozila ich tylko po ciemnych zakątkach, zatrzymując się tu i ówdzie, kręcąc z dezaprobatą głową i ruszając dalej.

- Ciekawe, skąd masz gnata - odezwała się w końcu - i jak się nim dotąd bawiłeś.

Riker uznał, że to interesujące, jak kosztowne wykształcenie Mallory ulatnia się bez śladu w gorących chwilach. Głos nabrał takiej chrapliwości, że każdy przy zdrowych zmysłach odstąpiłby od dziewczyny, uważając, by nie wykonać gwałtowniejszego ruchu. Riker mógł się tylko domyślać, co dzieje się w głowie chłopca. Sam siedział wciśnięty głęboko w tylne siedzenie.

Mallory i niedoszły bandyta wydawali mu się bardzo młodzi. Gładkie twarze, jasne włosy, mogliby być rodzeństwem. Wyczuwał jednak lekki przechył samochodu po stronie kierowcy od energii tryskającej z Mallory.

- Bardzo boli? - zapytała z matczyną troską w głosie, zmieniając ton jak biegi silnika.

- Tak, brzuch mnie naparza - odparł chłopiec.

- To dobrze. Zauważyłam, że w rewolwerze nie ma naboí. To niezbyt mądre.

Ośłupiały, chłopak biegał oczami od Mallory do broni.

- Ukradłeś więc rewolwer, ale naboí nie? Kiedy wrzucę numer rejestracyjny do komputera, dowiem się pewnie, że jakiś obywatel został okradziony przez kretyna, który myśli, że pistolet sam sobie robi kule, tak? Co jeszcze ukradłeś?

- Nic, ja...

Rikerem rzuciło do przodu, gdy Mallory wcisnęła stopą hamulec. Chłopak wyszedł na tym znacznie gorzej. Mając skute do tyłu ręce, uderzył głową w deskę rozdzielczą. Jęknął, a Riker szybko odwrócił wzrok, by nie widzieć, jak Mallory rozlewa ludzką krew w bożonarodzeniową noc.

Okolice Wall Street stają się wymarłym miastem, gdy tamtejsze instytucje finansowe zakończą dzień pracy. Można robić, co się chce, bez obawy, że ujrzy to niepożądana para oczu.

Mallory pochyliła się i chwyciła chłopca za kołnierzyk koszuli.

- Jesteś głupi. Myślisz, że gdy zajrzę do komputera, to nie dowiem się o reszcie?

- Naprawdę nic wielkiego nie ukradłem. Wziąłem jeszcze tylko sygnet i bransoletę, ale to był szajs. Zaniósłem je do jubilera. Powiedział, że lepiej na tym wyjdę, jeśli opchnę je na pchlim targu. Mówił prawdę. Znam go od dawna, nie wstawałby mi bajerów.

Riker pokręcił głową i uśmiechnął się. Bandyta w pieluszkach, który zanosí łup do najbliższego jubilera. Świat przestępczy robi się głupszy z każdym pokoleniem. No i nie załadował giwery. Czy w szkole już naprawdę niczego ich nie uczą?

Słuchał, jak Mallory dzwoni na komendę, podaje datę zdarzenia i opisuje biżuterię. Zapomniała dodać, że zatrzymała podejrzanego, słowem też nie wspomniała o odzyskanej broni. Po chwili rzekła:

- Trudno, nie zgadza się - i odłożyła słuchawkę.

- Klapuje - rzekła do chłopca. - Wiesz co, puszcę cię wolno pod warunkiem, że nikomu nie powiesz, iż widziałeś samego zastępcę komendanta głównego, jak się zalał w barze. Stoi?

Chłopak kiwał głową jak maskotki o ruchomych łebkach wożone w samochodach. Tak, zgadzał się na wszystko, byle nie zrobiła mu więcej kuku.

Riker przestał się uśmiechać. Siedział nieruchomo w mroku, starając się zachować ciepło wlane w siebie wraz z sześcioma puszkami piwa. Niestety. Wbrew własnej woli trzeźwiał w zastraszającym tempie, ponieważ odkrył wreszcie cel mistyfikacji Mallory.

Oczywiście. Już rozumiem.

Chodziło jej tylko o broń tego bandyty. Zacisnął pięści.

Markowitz, ty skurwielu. Dlaczegoś kipnął i zostawił mnie z tym bachorem? Słyszysz?! Popatrz sobie, co twoje ukochane dziecko wyprawia. Ograbia inne dziecko.

- Nie zastrzelę cię, jeżeli znikniesz, zanim policzę do dziesięciu - powiedziała Mallory do chłopca.

Nachyliła się i otworzyła drzwi od jego strony. Riker usłyszał metaliczny szcęk rozpinanych kajdanek. Oparła się znów w fotelu. Chłopak przywiązany był jednak do siedzenia niewidzialnymi sznurkami strachu, więc Mallory przecięła więzy głośnym: „Spadaj, kretynie!”

Znów kiwnął głową jak maskotka, po czym na poły wypadł, na poły wytoczył się z samochodu. Szedł chwiejnym krokiem przez kilka metrów, aż wreszcie dotarło do niego, że jest wolny, i wówczas puścił się biegiem.

Riker przesiadł się do przodu.

- Dawaj gnata - rzekł.

- Nie, jest mój - odparła.

- Wcale nie zamierzałaś go aresztować. Nie chodziło też o to, by

oszczędzić mi wstydu, gdybym pojawił się pijany na komendzie. I tak wszyscy wiedzą, że m chłajus. Chciałaś tylko mieć tę broń. Przeznaczyłaś ją dla zabójcy z Coventry Arms, chcesz mu ją podrzucić. Jeżeli źle kombinuję, to mi powiedz.

Nie miał jednak zamiaru dać sobie przerwać i mówił dalej. Nieustępliwy pochód słów nacierał na Mallory niby mknący pociąg, albowiem był to jedyny sposób, by sobie z nią poradzić. Gdyby Riker zamilkł, żeby wziąć oddech, straciłby okazję i wówczas pociąg zawróciłby i zmiażdżył go.

- Domyślasz się, że ulubioną bronią faceta są jego własne ręce. Tymczasem gdybyś zabiła nie uzbrojonego człowieka, komisja cywilna dobrałaby się do ciebie. Z kolei jeśli znowu zrobisz jakiś kowbojski numer, powiedzmy trafisz go w kolana, Coffey ci nie daruje. Zamknie cię w dziale komputerów i nigdy więcej nie wyjdiesz pracować na ulicę. Wydaje się, że jesteś w kropce. Ale gdyby tak przy facecie znaleziono broń, gdyby wyglądało, że przyszedł z własnym gnatem, wtedy byłabyś kryta, co?

Patrzyła przed siebie.

- Markowitz nigdy nie podrzucał spluw, ani razu przez wszystkie lata służby. Nadstawiał łba razem z innymi. Grał uczciwie, a do tego trzeba mieć ikrę. Może ty jej nie masz, Kathy? Czy nauczyłaś się czegoś, pracując z nim? Czegokolwiek? Kathy?

- Dla ciebie Mallory - warknęła.

- Albo mi dasz ten rewolwer, albo ci wpięprzę i sam go sobie wezmę. Kochałem Markowitza dłużej, niż ty go znałaś. Nie pozwolę, by jego córka tak zesłała na psy. Dawaj go. Wiesz, że nie blefuję. Nigdy tego nie robiłem i nigdy nie będę.

Nic.

Siedziała sztywno, ślepa i głucha.

- Mallory, dawaj rewolwer albo zrobi się naprawdę nieprzyjemnie.

Oddała.

- Życzę ci wesołych świąt, Riker - syknęła.

Biper na jego pasku wystrzelił serię irytujących dźwięków, nagłąc do niezwłocznego skontaktowania się z komendą. Riker wziął do ręki telefon

Mallory i wykręcił numer sekcji zabójstw nietypowych.

- Tak - powiedział do słuchawki - znam go... Nie ma żadnego problemu, już jadę. - Zwrócił się do Mallory: - Charles jest u nas. Potrzebuje czegoś, podaje się za mojego znajomego. Jedziesz?

- Podrzucę cię tylko.

- Coś między wami nie tak?

- Szuka ciebie, nie mnie. Nie potrzebuje mojej pomocy, wyraźnie dał mi to do zrozumienia.

Wysiadłszy dziesięć minut później z samochodu, Riker nachylił się do okienka i rzekł łagodnie:

- Czy poświęciłaś choćby jedną myśl temu zabawkowemu pistoletowi, który znaleźliśmy na śmietniku?

Oczy zabłysły jej w nagłym zrozumieniu. Oczywiście, jest szansa, że morderca przyjdzie z czymś takim. Uśmiechnęła się powoli i przebiegle. Nienawidził, gdy tak się uśmiechała.

*

Charles siedział na żółtym plastikowym krześle, które było zbyt małe, by pomieścić jego długie ciało. Krzyżował i rozkrzyżowywał nogi, wyciągał je i kulił, szukając sposobu, by nie wyglądać głupio.

O trzeciej w noc Bożego Narodzenia pod jarzeniówkami oświetlającymi wewnątrz komendy policji nie było chwili spokoju. Dwaj funkcjonariusze eskortowali wrzeszczącą, okutaną w koc kobietę. Tajniak, którego Charles znał, prowadził odurzonego, potulnego nastolatka. Wpadło dwoje krzyczących turystów. Z dosłyszanych słów Charles wnosił, że zbiednieli o bagaż, portfele i biżuterię. Następni w pochodzie byli dwaj skuci kajdankami mężczyźni pilnowani przez czterech policjantów.

„Wesołych świąt”, głosił srebrny napis na biurku urzędnika, który przyjął zgłoszenie Charlesa.

Charles spuścił wzrok i zapatrzył się na rysy i plamy na podłodze. Siedział tak, aż ujrzał parę znanych mu, znoszonych butów, których

dopełnieniem był lichesy garnitur i chmura piwnych wyziewów ulatniających się wraz z oddechem Rikera.

Sierżant skinął mu głową i ruszył dalej w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy, którzy usiłowali wcześniej przemówić Charlesowi do rozsądku i wytłumaczyć, że nie ma sposobu, by schwytać dziecko, które nie chce być schwyte. Bez problemu łapią dorosłych przestępców, powiedzieli, ale dzieci potrafią się chować w takich zakamarkach, o których policji się nawet nie śniło. Wówczas zrozpaczony Charles popełnił grzech kumoterstwa; powołał się na Rikera. Oficer dyżurny wykonał jeden telefon i zaledwie kilka minut później sierżant zjawił się na miejscu niby szlachetny rycerz.

Riker siedział za biurkiem i potakiwał głową, gdy dwaj koledzy tłumaczyli, na czym polega problem z jego stukniętym znajomym. Charles patrzył, jak bierze do ręki słuchawkę i telefonuje w cztery miejsca. Przy ostatniej rozmowie uśmiechnął się do słuchawki, rozparł wygodnie w fotelu i położył nogi na biurku. Machnął ręką na kolegów, by dać im do zrozumienia, że mogą już zająć się swoimi sprawami. Odchodząc, jeden z nich przyjacielsko uściśnął mu ramię.

Po minucie Riker odłożył słuchawkę i przywołał gestem Charlesa. Wziął do ręki kartkę papieru, którą ten rozpoznał jako swoje zgłoszenie, i zaczął głośno czytać.

- A więc twoja nowa przyjaciółka miała na sobie czerwony płaszcz, trochę za duży, tak? Buty i skarpetki nie do pary, potargana, jasne oczy? - Na kolejne zdanie Riker spojrział dwa razy. - Była brudna, niedożywiona, ale miała znakomite zdolności motoryczne, dobry refleks, około metra wzrostu i sześć lat? I uciekała, tak?

- Tak.

- Miała też wszy, Charles, zapomniałeś dodać. Znalazłem ją. Zrobiłeś dobrą robotę. Tak się wystraszyła, że pobiegła prosto do schroniska. Jest tam częstą bywalczynią. Przybiegła przerażona, opowiadała o jakimś olbrzymie, który ją gonił. Domyślam się, że to ty.

- Nie chciałem jej wystraszyć.

- Dobrze zrobiłeś. Dostanie ciepłe papu i łożko.
- Co jeszcze możesz dla niej zrobić?
- Nic. Nigdy więcej jej nie zobaczysz. Nie dowiesz się, dlaczego wylądowała na ulicy. Nie dam ci nawet adresu tego schroniska, bo umowa to umowa. Zwykle pracownicy schronisk nie chcą nawet z nami gadać. No bo wiesz, my stoimy na gruncie, że prawnie dziecko należy do rodziców, z kolei oni są zdania, że dzieciak pożyje dłużej, jeżeli nie będziemy się wtrącać i odwozić go do domu, bo tam zwykle nie czeka miłe powitanie. Ale kierowniczką tego schroniska była mi coś winna. Gdy więc umówiliśmy się, że to sprawa tylko między nami dwojgiem, powiedziałem jej, że mam tu takiego znajomego, który chce wyrzucić cały Nowy Jork do góry nogami w poszukiwaniu bezdomnej dziewczynki, a ona się pyta, czy jesteś wysoki.

- Ależ ze mnie głupiec.
- Pozostań nim.
- Zepsułem ci święta.
- Żona opuściła mnie w Boże Narodzenie, więc odtąd nie jest to dla mnie wielkie święto. Chodźmy się napić.

- Ale ja zapłacę.
- Nie, ja stawiam. Poczęstuję cię najlepszą szkocką, jaką można dostać za pieniądze. Chodź.

Przeszli przez drzwi wahadłowe, za którymi był znajomy korytarz prowadzący do biur sekcji zabójstw nietypowych. Za życia Markowitza Charles bywał tu wielokrotnie - wąskimi schodami wchodził do pomieszczenia skąpanego w bladym świetle, gdzie panowała śmiertelna cisza, przerwana teraz płaczącym dzwonieniem telefonu. Pod przeciwległą ścianą wielkiej sali siedzieli w osobnych kałużach światła dwaj funkcjonariusze. Jeden z nich podniósł głowę i pomachał Rikerowi ręką.

Riker wprowadził Charlesa do gabinetu Jacka Coffeya, niedysyjszego gabinetu Markowitza. Usiadł za biurkiem i najwyraźniej poczuł się jak u siebie. Wyciągnął z kieszeni drut, poszperał nim w zamku dolnej szuflady i otworzywszy ją, wyjął butelkę oraz pół paczki plastikowych kubków.

Charles złożył swe długie ciało na krześle, uśmiechnięty i skłonny do udziału w tym małym przestępstwie. Wziął od Rikera kubek szkockiej i wznosił toast:

- Wesołych świąt.

- Wesołych świąt, Charles. - Sierżant wypił jednym haustem i uśmiechnął się. - A teraz powiedz, co tam się napłatało między tobą a Mallory. Mogę w czymś pomóc?

- Pokłóciliśmy się trochę nie w porę. Nie rozmawia ze mną. Mówiła ci może o Justinie Riccalo?

- Chodzi o samosterujące ołówki, tak? Wspominała o tym.

- Widzi coś w tym chłopcu, czego ja nie dostrzegam. Coś jakby wspomnienie z własnego dzieciństwa, jakieś pokrewieństwo, podobieństwo. Muszę się dowiedzieć, co to jest, ale ona nie chce ze mną rozmawiać. Co powinienem zrobić? Przeprzić ją?

- O nie, to najgorsze rozwiązanie. Nie wolno ci tracić twarzy. Nigdy nie okazuj przy niej słabości.

- Co więc mam zrobić?

- Dlaczego myślisz, że coś ich łączy?

- To oczywiście tylko wrażenie, nic konkretnego, ale istotnie wydaje mi się, że ona dostrzega w chłopcu coś z siebie.

- Chcesz powiedzieć, że ten dzieciak to potwór?

- Myślałem raczej o urazach po maltretowaniu. Czy wiesz coś o jej życiu, zanim zamieszkała z Markowitzami? Cokolwiek?

- Markowitza też to ciekawiło i poświęcił dużo czasu, by się czegoś dowiedzieć. Helen nie mogła się doczekać adopcji, ale mała nie chciała opowiadać o sobie, nawet jej. Umarłaby za Helen, ale nic nie chciała powiedzieć. Po jakimś czasie Markowitz i Mallory doszli do porozumienia. To była jej sprawa, nie jego. Wycofał się więc.

- Czy kiedykolwiek mówił o tym z tobą?

- Szanował małą. Nawet jeżeli się czegoś dowiedział, nie puścił pary z gęby.

- Myślisz, że mogła być maltretowana jako dziecko?

- Gdyby ktoś spróbował ją tknąć, straciłby pewnie rękę... Poważnie,

Charles, nie myśl, że żartuję. Naprawdę taka była. Widziałem, jak dorastała.

- Ale przecież...

- Gdy Markowitz ściągnął ją z ulicy, zaraz się zorientował, gdzie jest jej miejsce w łańcuchu pokarmowym - była małym drapieźnikiem. Może być codziennie zawieszana, ale nigdy nie wywalą jej z policji, ponieważ nikt za żadne skarby nie chciałby jej mieć przeciwko sobie. Żeby szło ci z nią w miarę gładko, musisz przestrzegać kilku prostych zasad postępowania: nigdy jej nie zawieźdź, nigdy nie sypnij i nigdy nie ufaj.

Czy Riker zmieniał temat, czy tylko tak się Charlesowi wydawało?

- Muszę się dowiedzieć, co ją łączy z chłopcem. To bardzo ważne.

Riker wyjął z kieszeni portfel, który rozpadał się na szwach, i z popękanej plastikowej oprawki wysunął zdjęcie.

- Może już je widziałeś - powiedział. - Markowitz zawsze nosił je przy sobie. Tak właśnie wyglądała w wieku dziesięciu lat. Przypomina jakos tego Riccalo?

Charles patrzył na zdjęcie. Jakże wyzywająco do niego pozowała. Tak, w chłopcu było coś z małej Mallory, ów uraz kryjący się w oczach.

- Czy myślisz, że to możliwe, by jako dziecko stała się świadkiem morderstwa? - zapytał.

Riker wylał na biurko pół kubka szkockiej i to nie z braku koordynacji ruchowej. Marnowanie alkoholu było złamaniem pierwszego przykazania z jego prywatnego dekalogu.

Zastanawiające.

Sięgnął do szuflady i dobył z niej brązową torbę, z której wysypał niezliczoną liczbę papierowych chusteczek. Wycierając blat, trzymał oczy spuszczone, próbując zyskać na czasie, by się opanować. Wzruszył w końcu ramionami i spojrzął na Charlesa.

- Przez lata żyła na ulicy, więc chyba widziała niejedno - rzekł. - Mnie nigdy o tym nie opowiadała.

- Może powinienem spytać doktora Slope'a. Znają tak samo długo jak ty.

Charles wyraźnie widział, że Riker nie życzyłby sobie tego.

Co on ukrywa?

Spojrzał na plik kartek leżący na drodze powiększającej się kałuży. Wziął go szybko do ręki. Był to wydruk komputerowy złożony z połączonych w nieskończoność stron, na których widniała linijka po linijce jedno tylko zdanie: **OBIECUJĘ, ŻE BĘDĘ STRZELAĆ TAK, BY ZABIĆ**. Podsunął plik Rikerowi.

- Co to za wariactwo? - zapytał.

- To Mallory. Obawiam się, że ona ma jednak poczucie humoru. Gdy Coffey ją opieprzył, że nie zabiła bandyty, następnego dnia cisnęła mu to na biurko.

- Dlaczego był na nią zły? Napastnik celował z broni do starszego człowieka, a ona...

- Coffey uznał, że się z nim zabawiała i tak było. Wziąłem jej stronę, ale po prawdzie miał świętą rację. Spieprzyła robotę. Jeżeli dobywa się broni, by strzelić do uzbrojonego napastnika, należy trafić w najszersze miejsce ciała, tak nas uczono, wtedy najłatwiej załatwić gościa na cacy.

- To brzmi brutalnie.

- Jest brutalne. Ale to może być jedyna szansa, żeby uratować życie. Sobie i innym, bo zagrożeni są wszyscy, którzy znajdują się w pobliżu, gdy policjant sięga po broń. Gdy tylko Mallory zjawiała się na miejscu zdarzenia, wzięła na siebie odpowiedzialność za tego starego człowieka. Gdyby spudłowała, zginąłby zaraz po niej.

- Ale członkowie komisji cywilnej...

- Tak, tak, komisja dyletantów, co za wspaniałe eksperymenty władz naszego miasta! W tym tygodniu ogłosili ją bohaterem, ale jeżeli po zabiegach facetowi nie będzie się podobał kaleki paluszek, w który go trafiła, zaskarży miasto na miliony dolarów. To się zdarza. I wtedy ci szlachetni członkowie komisji przypomną sobie, że są również podatnikami, i obrócą się przeciw niej. Wszyscy razem i każdy z osobna przeklną Mallory, że go nie zabiła, bo tak to już jest, że nieżywi nie podają nikogo do sądu. Uwielbiam to miasto.

- Jak mam sobie z nią poradzić? - zapytał Charles. - Wie coś istotnego o Justinie, ale nie chce mi powiedzieć.

- Naucz się myśleć jak ona.

- Jak? Nic nie wiem o jej dzieciństwie, a moje własne nie było aż tak ciężkie, żebym teraz czerpał z niego życiową mądrość.

- Charles, jesteś przecież lebskim gościem. Dlatego właśnie, jak myślę, Lou wybrał ciebie, byś się nią opiekował. Pomyśl. Jest za duża, żeby potrzebowała niani, tak? Stary wydumał, iż jesteś jedynym człowiekiem, który może ją przechytryć. Tobie ją zostawił, a nie żadnemu ze starych kumpi, choćby Slope'owi.

- No właśnie, ja bym jego wybrał. Edward Slope to bardzo inteligentny człowiek.

- Racja, cwany z niego skurwiel. Dlaczego nie on, zastanawiasz się. Przecież słyszysz, jak bez przerwy na nią psioczy. Potrafi z mety wyniuchać, co Mallory knuje, prawda?

- Prawda.

- To tylko pozory. W rzeczywistości już dawno owinęła go sobie wokół palca, złamałby dla niej przysięgę Hipokratesa. Rabbi też stanąłby w jej obronie przeciw Bogu.

Riker wypił do dna i dołał sobie. Spojrzał pytająco na Charlesa przekrwionymi oczyma. Chciał wiedzieć tylko jedno: „Co ty byś dla niej zrobił, Charles?”

Rozdział 6

R25 grudnia

Wszystkie kobiety to dziwki.

Jedynie w obliczu śmierci wyglądały pięknie. Ach ten wyraz osłupienia na twarzy, gdy uświadamiały sobie, że nadchodzi, gdy już ją widziały, słyszały jej kroki! Wówczas nabierał do nich szacunku z racji tego wyjątkowego doświadczenia, tej wiedzy, która jemu się wymykała. Nie żyć, być niczym, nigdy więcej nie podlegać wyzwaniom.

Obserwowanie, jak życie uchodzi z ciała, było w istocie jego obsesją. Ale to również mu się wymykało, albowiem w chwili śmierci wyglądały, jakby zmorzył je sen. Samolubne dziwki, nie chciały się niczym dzielić. Być może pewnego dnia któraś opíše mu to doznanie. Może już ta najbliższa.

Knuł przeciwko niej, gdy otwierał szufladę, by znaleźć skarpetki, gdy wciągał spodnie, zapinał koszulę. Spiskował, gdy jadł poranny posiłek, który kwaśniał mu w żołądku. Kopnął drobne zwierzę i usłyszał krzyk wroga. Patrzył tęsknie na ostre noże, chwycił jeden i wbił w owoc... wbił wielokrotnie. Pozbawiał ją życia sto razy dziennie; cierpiały przez to zwierzęta, owoce i owady.

*

Wyrafinowane rzeźbienia zdobiły elementy architektoniczne z piaskowca, biegnące na boki - niby rozwarte ramiona - po obu stronach szerokich

stopni schodzących na olbrzymi dziedziniec, nad którym pieczę trzymał anioł z brązu ustawiony na szczycie fontanny Betesdy. Skrzydła miał rozpięte, szaty pofałdowane, a swą postawą wzbudzał spory, czy zamarł w tańcu, czy nie.

Ukryta na piętrze za kamiennym murkiem Mallory obserwowała mężczyznę kręcącego się po dziedzińcu. Był jedynym, który spacerował po kamiennych płytach, rzucając niewyraźny cień w promieniach porannego słońca sunącego nisko po swej zimowej orbicie. Spojrzał na zegarek i usiadł na szerokiej krawędzi fontanny. Anioł z Betesdy wznosił się za nim, patrząc z wysokości sześciu metrów. Podobno wody starożytnej Betesdy miały właściwości lecznicze. Mallory uznała, że szkoda ich na tak podłego skurwiela, jakim był Palanski. Sprawki, o które go podejrzewała, zasługiwały na miano przestępstwa wedle każdego systemu etycznego pod słońcem.

Podniosła do oczu zabytkowe okulary operowe. Znudzona do nieprzytomności przez ten gatunek sztuki scenicznej, zrobiła wreszcie użytek z niepraktycznego podarku od Charlesa. Nie dbała o drobne perły i kamienie szlachetne w delikatnych oprawach; interesowała ją tylko rozdzielczość soczewek. Widziała przez szkła nawet pieprzyk na twarzy Palanskiego. Zlustrowała resztę dziedzińca. Niebo było zachmurzone, stępując i tak nieostre promienie słońca, nadając lejącemu się z nieba światłu złowrogą barwę. Cienie tworzyły się tylko na krótką chwilę, chmury bowiem zaraz gęstniały i wysysały je z powierzchni.

Naraz obok stanowiska Mallory przeszła kobieta. Mallory odwróciła się i ujrzała jej plecy, gdy ta kierowała się na schody prowadzące na dziedziniec. Włosy koloru marchwi nieznajoma miała spięte na czubku głowy. Była niska - mierzyła około metra pięćdziesięciu centymetrów - i chuda. Krótka skórzana spódniczka - charakterystyczny element stroju prostytutek - sięgała jej do pół uda pokrytego gęsią skórą. W zgięciach kolan widniały ślady po igłach: kolejny znak firmowy kobiet sprzedających swe ciało.

Skręciła za ozdobną barierę z kamienia, która przesłaniała połowę schodów, i znikła z oczu Mallory. Gdy już wyszła zza filarów, Mallory znów spojrzała przez okulary.

To nie kobieta.

Za narysowanymi ołówkiem brwiami, konturówką wokół oczu i czerwoną plamą poszminkowanych ust kryła się twarz dziecka. Ile ona mogła mieć lat? Dwanaście, trzynaście? Pływne oczy przypominały ślepią zdeorientowanego zwierzęcia. Zlewał ją pot nałogowca na głodzie, mimo że było zimno, a dopasowana kurtka nie dawała ciału zbyt wiele ciepła.

Mallory wsunęła okulary do kieszeni, zastanawiając się, ile czasu minie, nim nastoletnia dziwka ostatni raz sięgnie po igłę i umrze.

Palanski podniósł się na nogi, gdy dziewczyna zesła na dół i ruszyła ku niemu. Uniosła rękę w niejasnym geście powitania i zaraz opuściła ją z powrotem.

Mallory przypadła ku schodom, znajdującym się za plecami Palanskiego. Pozbawiona osłony, bezszelestnie zbiegała po stopniach. Obszedłszy fontannę, skradała się coraz szybciej.

Mała prostytutka nic nie zauważyła: przebierała nogami, ale umysł miała bezwładny, oczy patrzyły bez wyrazu przed siebie. Tymczasem Palanski włożył rękę do kieszeni i wyjął przynętę.

Nagle niebo rozjaśniło się i anioł z brązu rzucił długi cień na powierzchnię wody. Na kamiennych płytach pod stopami biegnącej Mallory wyrosły znieuacka końce jego skrzydeł. Dziewczyna znajdowała się ledwie dwa metry od Palanskiego, gdy Mallory skoczyła między nich i chwyciła ją za ramię - suchą kość pod materiałem rękawa. Kiedy prostytutka podniosła oczy, ujrzała przed nosem odznakę policyjną. Zmaltretowana na ciele i duszy, poddała się uściskowi Mallory z tą samą rezygnacją, jaką w podobnych chwilach okazują jej starsze koleżanki po fachu, jej siostry, dorosłe prostytutki. Aresztowanie jest bowiem nieuchronnie wpisane w tę profesję.

Palanski patrzył z rozdziawionymi ustami, jak Mallory chowa odznakę do kieszeni. Z jego oczu wyzierał paniczny strach i najwyższe niedowierzanie. Ręka Mallory instynktownie skoczyła do kabury pod żakietem.

Zamarł. Obserwowała jego rozbiegane oczy i domyślała się, że gorączkowo usiłuje spreparować jakąś bajeczkę. Gdy otworzył usta, powiedziała szybko:

- Nawet nie próbuj kłamać. Wiem o tobie wszystko.

Obrócił się, gotów uciekać, na sekundę znieruchomiał, po czym puścił się biegiem, umykając przez dziedziniec.

W fontannie, na powierzchni wody, pływały trzy wyrzucone paczuszki białego proszku.

- Spieprzaj, skurwysynu! - krzyknęła Mallory. Jej słowa odbiły się echem od kamiennych powierzchni wyziębionego i opustoszałego dziedzińca, na którym pozostała z aniołem z brązu i dzieckiem o nieobecny spojrzeniu.

*

Betty Hyde czekała przy wejściu do Coventry Arms, tymczasem portier Arthur otworzył drzwi starszej lokatorce z psem, następnie kobiecie z zakupami i mężczyźnie z neseserem - ostatnim maruderom tego ranka. Spojrzała na przeciwną stronę ulicy, w miejsce, które miesiąc temu spłynęło krwią, gdy Annie Franz została przejechana przez pijanego kierowcę.

Ruch w drzwiach ustał. Arthur miał już dyżurny uśmiech na twarzy, gdy Hyde podeszła do niego.

- Dzień dobry, proszę pani.

- Dzień dobry, Arthurze. Ładny dzień, prawda?

Pięćdziesięciodolarowy banknot przewędrował z jej torebki do kieszeni portiera za pomocą kuglarskiej sztuczki nowojorczyków, którą postronni brali za niewinny uścisk ręki.

- W rzeczy samej, proszę pani. Przepiękny.

- Może się mylę, ale wydaje mi się, że to właśnie ty zmieniłaś Bertruma tej nocy, gdy zginęła pani Franz. Pamiętam, że miałaś wtedy dyżur.

- Tak jest, ma pani świetną pamięć.

- Musiałaś więc widzieć całe zdarzenie.

- Tak jest, widziałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Dzięki

temu potrafiłem podać policji dokładny opis pijanego kierowcy i numery rejestracyjne. Złapali go po godzinie, wie pani. Wypadek był dokładnie tam. - Wskazał ręką parkową stronę ulicy i przemówił dalej monotonnym głosem przewodnika wycieczek: - Była druga piętnaście w nocy i pani Franz lekko się zataczała. Proszę zauważyć, że nie mówię, iż była pijana.

Nie, Arthur nigdy w życiu by tego nie powiedział. Hyde skinęła głową, aby zachęcić go do opowiadania.

- No więc szli i karczemnie się kłócili - rzekł.

Gdy tamtej nocy Hyde ukryła Erica Franza u siebie przed dziennikarzami i policją, słowem nie wspomniał o kłótni z żoną. Zadzwoiła po swojego lekarza, bo przeżył wstrząs nerwowy. Wedle jego własnych słów dyskutował z Annie o zarysie nowej książki.

„Uważała, że to będzie lepsze od wszystkiego, co dotąd napisałem”.

To samo zdanie padło w późniejszych wywiadach podczas różnych *talk-showów* - talk-szopek, gdy pytano go o śmierć żony.

- Potknęła się jakby do tyłu. No i znalazła na jezdni.

„Annie powiedziała, że upuściła portmonetkę na jezdnię. Cofnęła się, by ją podnieść”. Tak stwierdził Eric, zapłakany. Za nim roztaczał się z okna widok za półtora miliona dolarów: zarysy miasta i widowiskowa walka niebieskiej nocy ze złotym świtem, gdy tymczasem on opisywał przyprawiający o mdłości odgłos samochodu uderzającego w jego żonę.

Arthur przedzierzgnął się teraz w sprawozdawcę sportowego relacjonującego zawody:

- On stoi więc na chodniku. Patrzy na nią i wprost na nadjeżdżający samochód. Pamiętam dokładnie wyraz jego twarzy, bo reflektory go oświetlały. Stoi jak słup soli, a samochód mknie, by zabić mu żonę. To byłoby takie niesamowite, gdyby człowiek nie wiedział, że pan Franz jest niewidomy. Stał może z metr od niej, dostatecznie blisko, by ją ściągnąć z jezdni albo przynajmniej ostrzec. Ale skąd mógł wiedzieć, że nadjeżdża samochód, skoro jest niewidomy?

- Czy policja cię o to wypytywała?

- Tak, zadali mi kilka pytań. Rozmawiałem z mundurowymi, a potem z

jakimś funkcjonariuszem w cywilu, takim wysokim facetem. Ale głównie byli zainteresowani tym kierowcą, który uciekł.

Niestety, policja nie zapłaciła mu za tę szczegółową relację ze śmierci kobiety, której pewnie nienawidził w równym stopniu, co lubił jej męża. Wszyscy bowiem czuli do Erica sympatię.

- Później ten funkcjonariusz przyjechał, żebym potwierdził zeznania pozostałych kierowców. No bo wie pani, w ogóle były trzy samochody, ale w gazetach oczywiście wszystko pokręcili.

Stała odwrócona plecami, gdy ten pijak na nią wjechał. Poleciała z pięć metrów w tamtą stronę.

Arthur wskazał na północ. Hyde była ciekawa, czy jest świadom, że uśmiecha się, gdy opisuje lot uderzonego ciała.

- Pani Franz spadła na furgonetkę, która zasuwała w tamtym kierunku. Kierowca wjechał na chodnik i roztrzaskał podpórkę markizy przy sąsiednim budynku. Wtedy spadła z maski prosto pod koła staromodnego srebrnego jaguara. Sukienka zaplątała się w tylnych kołach, pociągnął biedaczkę może z pięć metrów za sobą, a potem się zatrzymał.

Ściszym głosem dodał poufnie:

- Ona wciąż żyła, proszę pani. O tym też nie napisali w gazetach. Zmarła tuż przed przybyciem karetki.

Betty skinęła głową. Oczywiście, żeby zabić kogoś takiego jak Annie Franz trzeba było aż trzech samochodów. I czyż nie jest to właściwe, że ostatni przypominał srebrną kulę?

- Czy coś powiedziała przed śmiercią?

- Chyba nie. Musi pani zapytać na policji, może tego funkcjonariusza. On pierwszy się pojawił. „Ma się fart”, tak chyba powiedział. Zdaje się, że zwyczajnie tędy przechodził. Udzielił jej pierwszej pomocy, czekając na karetkę.

- A co w tym czasie robił Eric?

- Stał. Był w szoku, to jasne. Jeden z policjantów próbował go przesłuchać, ale do niego chyba niewiele jeszcze docierało. I wtedy pani się zjawiła i go zabrała.

- Tak, rzeczywiście był w szoku. Biedny Eric - powiedziała Hyde. - To musiało być dla niego takie straszne. Gdyby widział...

- Mógłby ją uratować.

*

Mallory nachyliła się do szyby.

- Policja - rzekła. - Requiruję samochód.

- Nie mówić angielski - odparł taksówkarz.

- Policja! - Przystawiwszy mu odznakę i legitymację do nosa, dodała: - Teraz rozumiesz.

Gdy przypinała dziewczynę kajdankami do klamki drzwiczek, taksówkarz zaczął głośno protestować w swym ojczystym języku. Słowom towarzyszyło wiele gestów, z których co najmniej jeden miał wulgarną wymowę jak świat długi i szeroki.

Mallory przeszła na drugą stronę ulicy do budki telefonicznej. Po pięciu minutach była już z powrotem przy taksówce i odpiniała dziewczynę od klamki, dając taksówkarzowi wskazówki, dokąd ma jechać.

- Nie mówić angielski - powtórzył.

Otworzywszy drzwi, chwyciła go za połę kurtki i brutalnie pociągnęła, aż wypadł na chodnik.

- Chcesz jechać z tyłu czy w bagażniku? - zapytała. - Jeżeli nie odpowiesz w tej chwili, zdecyduję za ciebie. O, na tym zdjęciu na licencji widzę zupełnie inną twarz. To chyba kradziona taksówka.

- To jednak pojazd z tyłu - rzekł taksówkarz, podnosząc się na nogi i chwytając za klamkę tylnych drzwi. Mallory i dziewczyna siedziały już z przodu i pojazd odjeżdżał powoli od krawężnika.

- Dlaczego nie wezwałaś radiowozu? - zapytała dziewczyna, która jak dotąd uparcie milczała.

- Biurokracja - odparła Mallory. - Gdybym zawiadomiła komendę, musiałabym cię im przekazać, a przecież już jesteś na głodzie. Byłabyś w areszcie, kiedy nadeszłoby najgorsze.

Dziewczyna obróciła twarz do okna.

- A na tym mi nie zależy - ciągnęła Mallory. - Zależy mi natomiast, by wiedzieć, co za interes masz z Palanskim. Nie spotykał się przecież z tobą w miejscu publicznym dla seksu.

Dziewczyna znów zamilkła, zaciskając gniewnie wargi - wstęp do wybuchu dziecięcej złości, który demaskował nieautentyczną dorosłość.

- Jeżeli myślisz, że Palanski cię wyciągnie, to się mylisz. Przycichnie na kilka dni. A jeżeli boisz się, że będzie cię chciał zabić za gadanie, to tu intuicja dobrze ci podpowiada. Ale ja na to nie pozwolę.

- Pewnie chcesz też poznać mój życiorys? Co taki dzieciak jak ja robi...

- Nie, twój życiorys mam w małym palcu. Wszystkie życiorysy są takie same. Nie możesz wrócić do domu, tak?

Nie padło żadne słowo, póki Mallory nie wyjechała z Manhattanu pod bladymi światłami tunelu Lincolna.

- Nie ma sensu go sypać - powiedziała dziewczyna. - Nikt nie uwierzy słowu prostytutki przeciwko słowu gliniarza.

- Masz rację. Palanski powie, że jesteś po prostu jego informatorem, i dostanie tylko ochrzan za to, że nie przekazał cię wydziałowi do spraw nieletnich. Chyba że znajdzie się ktoś jeszcze, kto potwierdzi twoje zeznania.

- Klienci nic nie powiedzą. To wariactwo. Bogate skurwiele, nie...

Zamknęła usta, uświadomiwszy sobie, że powiedziała za dużo. Mallory uśmiechnęła się.

- No dobra - rzekła. - Zobaczmy, czy dobrze kombinuję. Palanski załatwia ci klientów. Robi wywiad na ich temat, węszy, poznaje nawyki. Potem ci mówi, gdzie masz się ustawić, żeby się na ciebie napatoczyli. Teksty też ci podsuwa, czy sama wiesz, jak ich namówić, żeby zabrali cię do domu?

Dziewczyna zamknęła oczy; głowa opadła jej na bok.

- Zawsze rzucałam im ten sam tekst: „Zimno mi, proszę pana. Poradziłby pan, żebym się gdzieś ogrzała i coś zjadła?” Niektórzy tylko dają mi pieniądze. Jeden próbował zatrzymać radiowóz policyjny, no i musiałam

uciekać. Palanski czasem źle wybiera, ale byłabyś zdziwiona, ilu mężczyzn chciało mnie ogrzać.

- A nazajutrz puka do drzwi klienta i pokazuje im twoją fotkę z datą urodzenia, zgadza się? Ile masz lat?

- Trzynaście.

- No i płacą, i to dobrze.

Palanski zapewne nie musiał nawet molestować o łapówkę. To Nowy Jork, wszyscy znają ten dryl. Deprawowanie nieletniej to jak zamach na prezydenta. Portfele same wyskakiwały im z kieszeni, pieniądze sypały się strumieniem w otwartą dłoń Palanskiego, on zaś pstrykał w podzięcie w rondo kapelusza i mówił: „Żegnam”.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała dziewczyna. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła przez okno na krajobraz, który nie przypominał Manhattanu.

- W bezpieczne miejsce. Mój przyjaciel załatwił ci kilka dni spokoju za miastem. Tyle właśnie mi potrzeba, kilku dni.

- Nie wytrzymam tyle bez...

- Wiem. - Mallory sięgnęła do kieszeni i wyjęła trzy torebki białego proszku, które wyłowiła z wód Betesdy. Pokazała je dziewczynie i znów schowała.

Nim taksówka wjechała na kolisty podjazd, Mallory wiedziała już, że nastoletnia prostytutka ma na imię Fay i że nie może wrócić do domu. Gdyby to zrobiła, jej matka pijaczka zatłukłaby ją na śmierć. Albo jej nowy przyjaciel posmakowałby najpierw młodego ciała. Mallory zatrzymała się pod dużym urokliwym budynkiem o białym frontonie w stylu króla Jerzego. Obok wolno stojącego drewnianego szyldu czekał samochód Edwarda Slope'a.

- „Ośrodek Badań Mayfair”? Co to za miejsce? - zapytała Fay.

Mallory milczała. Weszły do budynku, którego hol mógłby uchodzić za parter modnego hotelu. Kiedy dziewczyna zobaczyła pracownika ubranego w biały kitel, targnęła się, ale Mallory trzymała ją mocno. Pracownik ujął Fay za ramiona i poprowadził stanowczo korytarzem, tymczasem ona krzyczała:

- Powiedziałaś, że mnie nie wydasz! Umówiliśmy się. Obiecałaś, obiecałaś! - Wyrwała się i podbiegła do Mallory. - Miałymy umowę. Obiecałaś.

Pląkała, a wyzywający makijaż spływał jej po twarzy niby roztopiona maska. Znów została odarta z fałszywej dorosłości. Objęła Mallory w pasie, gdy tymczasem pracownik w kitlu próbował ją odciągnąć.

Nadbiegł doktor Slope. Popatrzył na Mallory z wyrzutem.

- Mówiłem ci, żebyś ją na to przygotowała. Nigdy mnie nie słuchasz, ani mnie, ani nikogo innego.

Ukucnął i delikatnie obrócił głowę dziewczyny ku sobie.

- Myślisz, że to będzie bolało, ale nie będzie. Chcę, żebyś poszła z tym panem. Już w tej chwili źle się czujesz, prawda? Widzę to. On da ci coś, co zagłuszy ból. I już nigdy nie będzie cię bolało. Daję ci na to moje słowo.

Dziewczyna rozluźniła ręce zaciśnięte wokół Mallory, ale poczucie zdrady nie znikło z jej twarzy. Umowa została złamana i nic tego nie zmieni, obie to wiedziały.

Kiedy pracownik ośrodka odprowadził Fay korytarzem, Slope obrócił się do Mallory.

- Ja mam tu bardzo ograniczone wpływy, ale załatwiłem, co było możliwe. Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz. Wprowadzanie nieletniej córki Koryntu do tego ośrodka jest nielegalne jak cholera, więc podałem ją za krewną. Została włączona do programu, ale tylko na trzy dni odwyku. Co potem?

- Tak daleko myślę nie wybiegałam. Ona musi po prostu być kilka dni poza miastem. Aha, i potrzebne mi będzie jej zdjęcie. Możesz to dla mnie zrobić?

- Naturalnie. Ale co się stanie z tym dzieckiem, gdy trzy dni miną?

- Nie wiem. Mam dość innych problemów na głowie.

- Wiesz, Kathy, czasami wydaje mi się, że jednak będę z ciebie ludzie, ale potem nagle zaskakujesz mnie nieprzyjemnie, tak jak teraz. Przywiozłaś ją tu, to dobrze. Ale co potem, po odwyku? Nie możesz po prostu cisnąć dziecka w kąć jak worka ziemniaków.

- U ciebie w domu Doris gotuje, prawda?
- Co?

Mallory wzięła się pod biodra. W jej słowach zabrzmiały ostrzegawcze tony:

- Gdybyś kiedykolwiek zrobił obiad, wiedziałbyś, że to prawdziwa sztuka dopilnować, by wszystkie dania były gotowe w tym samym czasie. - Mówiła podniesionym głosem, w gniewie. - A ja gotuję! Szykuję naraz sześć różnych potraw, a wszystkie muszą być gotowe w tym samym czasie, inaczej świat zwali mi się na łeb. - Slope miał wycelowany w pierś długi czerwony paznokieć. - Więc idźże lepiej do swojej roboty i nie zawracaj mi głowy!

To rzekłszy, kucharka z bronią za pasem ruszyła do wyjścia.

*

Tego dnia miała tylko jedną wiadomość dla wszystkich trzech. Zablokowała biuletyn, który mieli ujrzeć na swoich ekranach, następnie wprowadziła kod, by wywołać kopię elektronicznej tablicy ogłoszeń. Ukazało się tylko jedno zdanie, powtarzane raz po raz: MAM ŚWIADKA.

Była to prawda, jeśli liczyć koty.

*

Choć przedpokój był więcej niż szeroki, Pansy Heart przywarła do ściany, gdy mąż przechodził obok. Czerwony na twarzy, patrzył wilkiem, stąpając ciężko. Zadany zaciśniętą pięścią na ślepo cios minął Pansy ledwie o kilka centymetrów. W pokoju, z którego Emery właśnie wymaszerował, komputer patrzył pustym okiem. Jaka była wiadomość tym razem?

Na końcu korytarza trzasnęły drzwi. Pansy skoczyła do góry, jakby nastąpiła na drut pod napięciem. Chwyciła się stolika w przedpokoju, czując w sobie pustkę i lekkość, wierząc, że mogłaby wzlecieć pod sufit, gdyby nie solidna kotwica w postaci dębowego mebla. Serce tłukło się jej po piersi.

To naturalne, że myślała o teściowej w ostatni dzień jej życia, gdy w ciele zasypiały po kolei wszystkie organy. W leciwych oczach kryła się świadomość nadchodzącej śmierci. Ledwie kilka minut wcześniej pooranej

twarzy przydało życia przerażenie. Następnie bruzdy wygładziły się i źrenice wypełnił nie tyle spokój, ile uczucie tryumfu. I wtedy właśnie teściowa umarła - czy raczej umknęła.

*

Angel Kipling maszerowała w tę i z powrotem za plecami męża.

- Tylko mi nie mów, że nie wiesz, o co chodzi - rzekła. Zamachała wydrukiem z komputera. Na kartce powtarzało się sto razy jedno zdanie. - Świadka czego, Harry? Coś ty zrobił? - Jazgotliwe słowa groziły przeistoczeniem się w krzyk.

Harry Kipling zapinał koszulę przed lustrem. Wyszukał oczami odbicie żony w głębi obrazu.

- Przecież to nie do mnie.

Obrócił się, by stawić czoło cielesnemu oryginałowi. Wyszczерzyła zęby i wzięła się pod szerokie boki, a wtedy szlafrok rozsunał się, obnażając obwisłe piersi nad grubym brzuchem. Harry pobiegł spojrzeniem ku odsłoniętemu miejscu i szybko odwrócił głowę. Angel skrzywiła się, jakby uderzono ją w twarz.

Gdy odsunął się, by wybrać krawat, została sama przed olbrzymim lustrem. Patrzyła na swoje odbicie: nie nałożyła jeszcze pancernego makijażu, włosy miała splątane.

Przyciągnęła szybko poły szlafroka i cichszym głosem zwróciła się do męża:

- To coś innego niż kolejny numer z kartami kredytowymi, prawda? Nie starcza ci pieniędzy, które dostajesz ode mnie?

Fortunę kosztowało ją wynagrodzenie szkód po ostatnim najeździe Harry'ego na fundusze banku. Do wyboru miała skandal, który w przeciwnym razie wywołałiby udziałowcy. Nawet przez chwilę nie wierzyła, że Harry przepuścił ukradzione tysiące. Czy zbiera forszę na boku, by od niej uciec? Nie, z pewnością nigdy jej nie opuści. Zawsze będzie się trzymał blisko niewyczerpanego źródła pieniędzy.

Nie zwracał na nią uwagi i dalej wiązał krawat - osobliwe, bezużyteczne zajęcie w wypadku człowieka, który nie miał żadnych poważnych zajęć, żadnych interesów do prowadzenia. Angel nacierała dalej, zapomniawszy, że właśnie rankiem jest najszpetniejsza, bezbronna bez makijażu.

- Odpowiedz, ty palancie. Chyba nie chcesz, żebym cię odłączyła od pieniędzy, co?

- Nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje. To pewnie jakieś zgrywy, któreś z dzieciaków z kamienicy w ten sposób się zabawia.

- Znowu szwindel bankowy? Chyba powiedziałam ci wyraźnie, co się stanie, jeżeli jeszcze raz spróbujesz czegoś takiego?! Nie spodobałoby ci się, gdybyś znowu był ubogi, Harry.

- Nic nie zrobiłem.

Z kieszeni szlafroka wyciągnęła pomięty zwitek kartek i rzuciła mu go w twarz.

- To przyszło wczoraj! Zamówione przez ciebie podanie o kartę kredytową! Zaadresowane do ciebie!

- Nie występowałem o żadne karty kredytowe.

- Nie? Przeczytaj to!

Wziął do ręki plik kartek i ostentacyjnie począł je wygładzać na stoliku przy łóżku.

Pod stosowną formułą napisano: „Najpierw należy wyznaczyć, dlaczego pan to zrobił. Wyjaśnienia proszę zamieścić w rubryce poniżej”.

Przysunął kartkę do oczu, wpatrując się uważnie w widniejący u góry strony znak towarzystwa kredytowego.

Dalej biegło zdanie: „Czy pańska żona wie, że pan to zrobił? Jeżeli tak, w kolejnej rubryce proszę umieścić dodatkowe uwagi”.

Patrzył na krótką listę pytań:

„1. Dlaczego pan skłamał? 2. Czy skłamałby pan po raz kolejny, gdyby miał możliwość?”

Opuścił ręce i spojrzał na Angel, która chodziła w tę i z powrotem, ledwo hamując wściekłość.

- A teraz ta informacja w „Personaliach”! - ryknęła. Spojrzała na

najnowszy wydruk, zmięty w dłoni. - „Mam świadka”. Świadka czego? Gadaj, Harry, albo obetnę ci wydatki, a potem jaja!

*

Eric Franz szedł powoli. Betty Hyde słyszała jego chód w przedpokoju, szuranie twardych podeszew po marmurowych płytkach. Kiedy w końcu otworzył drzwi, patrzył trochę w bok, mijając spojrzeniem cel. W garści ścisnął kartkę. Miał kamienną twarz. Pokój w głębi był wyciemniony, z wyjątkiem otwartego, jarzącego się oka komputera.

*

- Gdyby wiedziała, że szperasz w jej przeszłości, mógłby to być koniec waszej przyjaźni - rzekł rabbi Kaplan.

- Chcę tylko znaleźć związek między nią a tym chłopcem - odparł Charles.

Mały pokój rabbiego był miejscem, gdzie żyły książki. Nie stały na półkach, lecz ułożone w stosy na każdej wolnej przestrzeni konwersowały między sobą w małych grupkach na wspólny temat. Na biurku leżał otwarty tom, oprawiony w skórę, czekając cierpliwie na powrót rabbiego do przerwanej lektury.

- Być może związek między nimi zasada się na jakimś zwykłym podobieństwie.

- Mają tak różne pochodzenie, że nie zostaje wiele miejsca na zwykłe podobieństwa - odparł Charles.

- Wszystkie dzieci łączy niewinność.

- Ani jego, ani jej nie określiłbym jako niewinnych. Chłopiec rozmawia jak czterdziestoletni mężczyzna. A Mallory... to Mallory.

- Być może łączy ich niewinność dobra i zła.

- Po raz pierwszy słyszę słowo „niewinność” w kontekście zła.

- Spójrz więc na Kathy oczyma Helen. Ona nie widziała w niej nic złego. Mówiła, że nie można potępiać dziecka, któremu nigdy nie wyjaśniono różnicy między dobrem a złem, i była bliska prawdy. Te pojęcia dobra i

zła, prawdy i kłamstwa, nieba i piekła, co one znaczą dla dziecka z ulicy, którego życie zależy od złodziejskiego sprytu? W pierwszych dniach współżycia z Helen i Louisem Kathy zachowywała się jak dzikuska z dżungli.

- A jej matka? Czy możliwe, że była dla niej okrutna? To by wyjaśniało w znacznym stopniu te urazy u Mallory.

- Nic nie wiem o jej matce, Charles. Kathy nigdy o niej nie mówiła.

- A gdybym cię poprosił, żebyś trochę pospekulował na temat wczesnego dzieciństwa Mallory na podstawie tego, co wiesz o niej? Co byś powiedział?

- Według naszej oceny mała żyła na ulicy trzy, cztery lata, nim zaopiekował się nią Markowitz. Była dziesięcioletnią złodziejką. Próbowwała dodać sobie dwa lata, ale Markowitz nie dał się nabrać na tyle, utargowała więc jedenaście. Ten jeden rok ukradła. Wiemy, że nie chodziła wcześniej do szkoły, bo Helen zabrała ją na testy do kuratorium, a jednak ktoś nauczył dziecko pisać i czytać bardzo wcześnie. Była również uzdolniona matematycznie. Dlatego właśnie Helen i Louis wydawali na jej naukę więcej, niż mogli sobie pozwolić i wysyłali ją do prywatnych szkół. Nie chcieli, by zmarnowała się w państwowych placówkach, gdzie jeden nauczyciel przypada na pięćdziesięciu uczniów.

Rabbi podszedł do półki i zdjął z niej pudełko, z którego dobył jakieś kartki.

- To próbka jej charakteru pisma w wieku dziesięciu lat. Zobacz, to nie jest ręka dziecka. Ktoś pieczołowicie się nią zajmował i to od wczesnych lat jej życia. Potem Helen próbowała zorientować się co do religii. Zabraliśmy Kathy pewnego dnia do ojca Barryego w sąsiedniej parafii. Była to pora roku, kiedy my, Żydzi, współpracowaliśmy z chrześcijanami, by żywić i odziewać biednych. Kiedy ujrzała nad ołtarzem krzyż, machinalnie się przeżegnała. Helen wzięła to za znak i dała chrześcijanom tyle samo czasu, co nam w duchowym kształceniu Kathy. Bo ktoś wyraźnie nauczył ją znaku krzyża. Z tego wnoszę, że poświęcano jej dużo czasu. Nie była niechcianym, pomiatanym dzieckiem. Matka nie uważała jej za dopust Boży,

lecz za skarb. Dzięki tej kobiecie Kathy od pierwszego wejrzenia pokochała Helen. Wierzę z całą mocą, że ta wyjątkowa osoba, matka Kathy, była podobna do Helen. Czy możesz sobie wyobrazić, by ją biła? Albo, żeby pozwoliła na to komukolwiek? Bo ja nie. Zawsze wspominam w mych modlitwach tę kobietę, o której nic nie wiem.

- Czy mam przez to rozumieć, że uważasz, iż ona nie żyje?
- Co innego rozdzieliłoby kobietę i jej ukochane dziecko?

*

- Zamierzam utracić sędziego.

Uznała, że te słowa wprawia w niespokojny ruch jego oczy.

Patrzyła na funkcjonariusza z zakładu medycyny sądowej. Siedział naprzeciwko niej przy stoliku w tej samej kawiarni, w której zarzuciła na niego haczyk dwa dni wcześniej. Pozostawiła mu dostatecznie dużo czasu, by jego własne myśli wykonały za nią lwią część pracy, następnie zaczęła zwijać żyłkę. To był styl jej starszka, skuteczny jak zawsze.

Dzięki, Markowitz.

- Heller żyje swoją robotą, nie ma nikogo lepszego. Gdyby dowiedział się, że zwijas dowody z miejsc przestępstwa, rozszarpałby cię na kawałki. Wiem, że to robisz. Dajesz je gliniarzowi i myślisz, że wtedy nikt cię nie powiąże z szantażem.

- Nie masz nic konkretnego, Mallory. Jeśli...

- Mam raporty na temat trzech samobójstw, po których nie zostały listy. To mnie tknęło. Właśnie ciebie wysłano z zakładu do wszystkich trzech. Kogo wskazywały listy tych kobiet? Jakież to krępujące szczegóły zawierały? Samobójcy uwielbiają wygarnąć światu, zanim z sobą skończą. Wyobrażam sobie, że wynosiłeś też inne pamiątki. Zdjęcia żonatych mężczyzn? Listy miłosne? Co jeszcze? W wypadku śmierci matki sędziego Hearta nie dopuściłeś do śledztwa. Zataiłeś dowody zabójstwa. Palanski się pojawił, boś do niego zadzwonił. Musiałeś, nie mogłeś oddać policji ciała starszki. Tak więc mam was obu, siedzących po uszy w pięknym procedurze.

- Nieprawda, może było pobicie, ale nie zabójstwo. I wcale nie tego dnia. Miała rozciętą wargę, ale już się goiło, może oberwała dzień wcześniej. Zauważyłem też siniak z boku twarzy, ale był co najmniej sprzed dwóch dni. Zgonu na pewno nie spowodowało żadne uderzenie. Na miejscu pojawił się też jej prywatny lekarz. Zmarła naturalną śmiercią.

- Ale ślady pobicia byłyby dla sędziego krępujące, co? Zatem na scenę wkroczył Palanski, przejął sprawę i zmiękczył Hearta. Zgadza się?

Funkcjonariusz nie chciał spojrzeć Mallory w oczy. Patrzył na trzymaną w rękach papierową serwetkę, którą przemieniał nieświadomie w konfetti. Otworzył usta, by coś powiedzieć. Mallory wiedziała, że będzie się domagał adwokata, huknęła więc otwartą dłońią w stolik, aż podskoczył na krześle. Był strzępkim nerwów.

- Twój największy problem polega na tym, że masz głupiego współnika. Kupuje akcje, obligacje na okaziciela i myśli, że nikt go nie namierzy, bo transakcje są gotówkowe. A tymczasem każda gotówkowa transakcja zostaje zapisana tak samo jak bezgotówkowa. Wszystkie jego operacje finansowe są w komputerze. Czy wiesz, że cię kiwa na podziale zysków? - Nie, wyraźnie widziała, że nie miał pojęcia. - Ty sam poczynależ sobie tylko odrobinę sprytniej. - Przewertowała plik kartek leżący na stole i znalazła tę, o którą jej chodziło. - Oto wykaz twoich depozytów gotówkowych na koncie matki. Masz jednak upoważnienie na to konto, więc twoje przelewy również są zarejestrowane w bazie danych. Wszystkie legalne dochody twojej matki to zasiłek, a jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób zebrała na koncie ładną sumkę. Fiskus by się nie pokapował, ale ja? Ach, ten palant Palanski.

- Nie będziesz nic na niego miała, jeżeli ja nie puszcę pary z ust.

- Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Umowa to umowa. Zamierzam cię tylko zmusić, żebyś sypnął siebie i jego. Pamiętaj, że ten, który pierwszy zacznie gadać, dostanie immunitet nietykalności od prokuratora.



Kot otrzymał na wieczór zwolnienie warunkowe z łazienki. Mruczał przy nogach Mallory, gdy wkładała naboje do ładowarki, sposobiąc rewolwer.

Stała w przedpokoju twarzą do lustra i przemyśliwała sprawę bodźców wizualnych, o których mówiła Henrietta. Spojrzawszy na kota, zmrużyła oczy do rozmiarów długich wąskich szparek, pełnych podejrzliwości. Zaczęła tańczyć.

Zobaczył więc znak. Co nim może być?

Stłumiony huk przyciągnął jej wzrok do sufitu. Hałas niewątpliwie dochodził z góry. Nagle rozległ się krzyk, którego nie stłumił ani pluszowy dywan, ani gruba izolacja. Przewrócił się jakiś mebel. Nad głową Mallory zadudniły stopy w drodze do pokoju blisko drzwi. Szła za odgłosami, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Zatrzymała się przy telefonie w dużym pokoju.

Pobiegła do biblioteki. Stuknęła kilkakrotnie w klawiaturę, aż na monitorze pojawiła się lista lokatorów i wtedy wybrała numer telefonu Betty Hyde. Na górze znów przesunięto mebel. Długi sygnał w słuchawce. Kolejny krzyk.

- Dom pani Hyde - odezwał się nieznajomy głos.

- Chcę z nią mówić. Proszę powiedzieć, że dzwoni Mallory w pilnej sprawie.

Ze słuchawką przyciśniętą ramieniem do ucha, otworzyła szafę i wyjęła grubą kurtkę na kozuchu, by ukryć pod nią rewolwer. Kurtka była na tyle obszerna, że wzbudzało się w niej respekt, i to Mallory wystarczyło, nie zamierzała bowiem jeszcze odkrywać kart ani dobywać broni, ponieważ dla przeciętnego obywatela widok pistoletu to pierwszy sygnał, że należy wezwać adwokata. Wkładała ręce w rękawy, gdy Betty Hyde podeszła do telefonu.

- Mallory, myślałam, że już nigdy nie zadzwonisz.

- Spotkamy się zaraz pod drzwiami Heartów. Będę tam przed tobą. Trzymaj się z tyłu, dobra? Za cholerę nie wchodź mi w drogę.

Przeskakiwała po trzy stopnie. Dobiegając do drzwi, zauważyła trzy zamki. Ludzie zwykle zamykają się na jeden, dopóki nie idą spać. Było

jeszcze wcześniej. Główny zamek wyglądał na najslabszy, ale grube drzwi prezentowały się zbyt krzepko, by je wyważyć. Zastukała pięścią i wcisnęła guzik dzwonka.

- Otwierać! - krzyknęła.

Wewnątrz była śmiertelna cisza. A może i zabita kobieta? Znow uderzyła w drzwi.

- Otwierać albo zadzwonię po policję!

Takie słowa rodzą cudotwórcze przemiany w osobach publicznych, które mają nieczyste sumienie.

Wtem usłyszała ciężkie kroki w przedpokoju, zaraz potem szczęk otwieranego zamka i zakładanego łańcucha. Rozwarła się szpara i Mallory ujrzała zimne oczy sędziego Hearta tuż nad ciągiem złotych ogniów spinających drzwi z framugą.

Uśmiechnęła się mile, cofnęła o krok i uderzyła silnie stopą w sam środek drzwi, wyrwijąc łańcuch i zbijając sędziego z nóg. Wcisnęła się do środka i ruszyła w głąb mieszkania.

Pansy Heart siedziała skulona w kącie dużego pokoju, usiłując wetrzeć się we wzorzysty dywan i zniknąć. Krwawiła z nosa, miała rozciętą wargę, kość policzkowa puchła jej w oczach.

- Nie masz prawa! - wrzasnął z tyłu sędzia. Mallory obróciła się ku niemu.

- Zabieram ją stąd - rzekła. - I nie radzę przeszkadzać.

Spurpurowiały na twarzy, natarł. Błyskawicznym ruchem wbiła mu celnie stopę między uda i patrzyła, jak kolor ucieka z jego policzków, a oczy wyłazą na wierzch z bólu i zdumienia. Osunął się na jedno kolano.

Pansy Heart płakała cicho. Mallory postawiła drobną kobietę na nogi i poprowadziła ją do wyjścia, podpierając z boku.

W drzwiach stała Betty Hyde. Nie odrywała oczu od pobitej twarzy Pansy, ledwo powstrzymując się od uśmiechu.

- Zajmę się nią - powiedziała, otaczając płaczącą kobietę ramieniem, gdy tymczasem Mallory cofnęła się znow do środka.

- Chodź ze mną, Pansy, potrzebujesz lekarza.

Sędzia podnosił się na nogi. Poruszał się niepewnie, powoli, trzymając

dłonie przyciśnięte do krocza. Mallory wsunęła stopę pod jego wyprostowane się kolana i podcięła go, aż uderzył twarzą w róg ciężkiego dębowego stolika i tym razem rozkwaśił sobie nos.

Pansy Heart zerknęła przez ramię na męża, jakby oczekiwała dalszych rozkazów. Poddała się jednak łagodnej perswazji Betty Hyde i wyszła na klatkę.

Zawodowa plotkara powiodła do siebie nieszczęsną kobietę, by wypytać ją o wszystko, i nic prócz wspólnej ustawy Kongresu i Pana Boga nie mogłoby jej powstrzymać. Mallory zastanawiała się, czy nie wyświadczyła aby sędziemu przysługi, nie pozwalając mu zagrozić jej drogi.



Postawiwszy na stole tacę z imbrykiem i filiżankami, Mallory nasyciła oczy widokiem pokoju przechodniego w mieszkaniu Betty Hyde. Jedynie rozkładem przypominał taki sam pokój u Rosenów. Dekorator, który go urządził, był zawodowcem. Wiedziała, że Charles wysoko oceniłby amerykańskie i brytyjskie antyki wkomponowane po mistrzowsku w nowoczesny wystrój. Pomieszczenie było rozległe i przewiewne, bez choćby jednego bibelotu. Jakże miło jest żyć bez pamiątek i przedmiotów otaczanych sentymentalnym uczuciem. I nie mieć do nich serca. Mallory umiała to docenić.

Żona sędziego siedziała na zabytkowym fotelu bujanym, trzymając przy opuchniętej twarzy zimny kompres. Betty Hyde przysiadła na pufie i ścisnąc ręką poręcz bujaka delikatnie kołysała płaczącą Pansy, próbując ją uspokoić. Pochwyciwszy oczyma jej spojrzenie, nuciła z uśmiechem czułe słowa, udając troskliwą pielęgniarkę.

Mallory podała Pansy herbatę. Kobieta uśmiechnęła się z wdzięcznością, tymczasem spodek i filiżanka zastukały nerwowo w jej drżących dłoniach. Zdawała się bardziej krucha niż chińska porcelana, z której je zrobiono.

Mallory nachyliła się i zajrzała Pansy Heart w twarz. Kobieta przestała płakać i patrzyła teraz na nią z absolutną ufnością.

- Proszę pani, czy była pani w domu tego wieczora, gdy sędzia pobił swoją matkę?

Pansy rozwarła oczy ze zdumienia i zdawało się, że jakaś niewidzialna siła przyciska jej ramiona do oparcia. Następnie opuściła głowę na piersi i całe jej ciało zwiotczało. Zdruzgotana po raz drugi tego samego dnia.

Mallory odsunęła się nieco, wzięła swoją filiżankę ze stołu i zamieszała herbatę.

- Czy ona krzyczała tak samo głośno jak pani?

Znów zaczęło się łkanie, targające bezwładnym ciałem. Betty Hyde wyrzuciła oczyma. Wstała i zaciągnęła Mallory do kuchni.

- Ty nie masz litości - powiedziała. - Musimy kiedyś poważnie porozmawiać o twoim stylu, chyba mogłabym się czegoś od ciebie nauczyć. Strzelasz na chybił-trafił, moja droga, czy naprawdę masz coś większego na tego skurwiela?

- Mam kopie raportów ze szpitali z lat, kiedy przebywała w nich matka Hearta. Inne ciekawe dokumenty są w karcie zdrowia jego żony. Prawdopodobnie leciwa pani Heart umarła ze starości, nie z obrażeń po pobiciu, ale kto wie? Jeżeli naprawdę chcesz się do niego dobrać, sugeruję, żebyś przycisnęła mocno lekarza jego matki, być może potrzebna będzie ekshumacja. Prokurator to rasowe zwierzę polityczne. Szepniesz mu do ucha miłe słowo, które brzmi „afery”, i wyjaśnisz, że głośna sprawa może przydać blasku jego karierze. Ale wyłącz z tego moje nazwisko.

- Zrozumiałam. A co w zamian mogę zrobić dla ciebie?

- Wyciśnij z niej wszystko, co się da. Na spotkaniu lokatorów powiedziała, że nie mają już psa. Zdechł?

Betty odwróciła się w drzwiach. Pansy Heart przestała płakać i siedziała cicho, wpatrzona w trzymaną filiżankę.

- Pansy, macie wciąż psa? Nazywa się Rosie, prawda? - zapytała podniesionym głosem.

Heart obróciła się ku niej z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy.

- Tak, jest w klinice weterynaryjnej - odparła. - Nie wiem, kiedy wróci. Jest bardzo chora.

W jej głosie Mallory usłyszała znajomą nutę. Zdanie zostało wypowiedziane mechanicznie, jak wyuczona linijka tekstu. Pansy Heart kłamała.

Cóż, wszyscy kłamią.

Mallory wmaszerowała z powrotem do pokoju i chwyciwszy dłońmi oparcia bujaka, pochyliła się nad Pansy Heart. Ta podniosła wzrok. Jej ręka instynktownie skoczyła do góry, by osłonić głowę przed ciosem.

- Pani pies nie żyje, prawda?

Kobieta omal nie rozpadła się na kawałki. Rozwarła dłoń; upuszczona filiżanka i spodek roztrzaskały się na podłodze. Źrenice zmatowiały z bólu.

- Kiedy zdechł? - dopytywała się Mallory.

Odpowiedź nadeszła w histerycznym słowotoku:

- Nie wiem! Nie widziałam jej od kilku dni. Mąż wziął Rosie na spacer i wrócił bez niej. Powiedział, że zostawił ją u weterynarza.

- Ale pani tam zadzwoniła i okazało się, że psa nie ma?

Pansy kiwała głową. Była spokojna. Szok wszedł w swoją kojącą fazę.

Mallory odwróciła się i wyszła, zostawiając Betty Hyde decyzję, co zrobić z rozbitą kobietą i porcelaną, porzuconymi na środku pokoju.

*

Edward Slope zasiadł przy stole.

- Przestań przeproszać, Charles - rzekł.

- Ja tylko chciałem zostawić wiadomość dla ciebie w pracy. Nigdy w życiu nie śmiałbym odciągać cię od rodziny w Boże Narodzenie.

- Ależ i tak nie byłbym z rodziną. Nadrabiałem zaległości w sekcjach zwłok. Święta to dla mnie czas wytężonej pracy. No więc po co ta tajemniczość? Czy bachor poprosił cię, żebyś coś przeskrobał?

Charlesowi jak dotąd ani razu nie udało się wygrać w pokera. Nie miał twarzy do blefowania, o czym co tydzień przypominał mu Slope. Jak więc rozpocząć ten wypad w świat kłamstwa, do niepodzielnego królestwa

Mallory, niezbadanej krainy, w której nigdy nie stanęła jego stopa?

- Zamieniłem wczoraj słowo z Rikerem - powiedział. - Wiem, że Kathy była jako dziecko świadkiem morderstwa. - Mówił prawdę, czyż nie? Jego domysły potwierdziła reakcja sierżanta, z całą pewnością potwierdziła. A jego mina, gdy usłyszał, że Charles ma zamiar rozmawiać ze Slope'em, wskazywała, że doktor może powiedzieć o wiele więcej.

Wytrawny taktyk Slope wyprostował się i jął pieczołowicie wycierać okulary.

- Riker ci tak powiedział? - zapytał.

Charles skinął głową i tym gestem skłamał owego wieczora po raz pierwszy. Odbywał inicjujące praktyki religijne w Kościele Powszechnego Kłamstwa przewielebnej Mallory.

Przebacz mi, Edwardzie, przyjacielu mój, żem zgrzeszył przeciw tobie.

Slope włożył z powrotem okulary na nos.

- Gdy kiedyś spytałem Rikera prosto w oczy, czy widział któryś z tych filmów, zaprzeczył. Chyba nie mówiłeś o tym nikomu, co?

- Nie - odparł Charles, uświadomiwszy sobie, że w jakiś sposób zdradził Rikera.

Przebacz mi, Riker, bo zaraz zgrzeszę jeszcze bardziej.

Położył sobie serwetę na kolanach, uciekając wzrokiem przed oczyma człowieka, którego nie potrafił pokonać przy stoliku pokerowym.

- Nie chciał mówić o żadnych szczegółach - rzekł.

To przecież prawda! Nie, w żadnym razie. To podwójne kłamstwo.

- Nie dziwię się. Nie ma prawa wiedzieć, że ten film istniał.

Ale najwyraźniej wie, bo skąd by wiedział o Kathy i morderstwie? Domyślam się, że to ważne, w przeciwnym razie nie wypaplałby chyba aż tyle.

- Bardzo ważne - powiedział Charles. Miał więc jednak rację; coś łączy Justina i Mallory. Musi się dowiedzieć, co to jest. Stawką było przecież życie chłopca.

- Markowitz zarzekał się, że Riker nie widział tego filmu. Zniszczyliśmy go tamtej nocy. Zrobiłby bez sensu, gdyby opowiedział o nim Rikerowi, kiedy było już po wszystkim, to nie w jego stylu. Czy zdajesz sobie sprawę, że dowiesz się o wypadku krzywoprzysięstwa i formalnie rzecz biorąc będziesz współodpowiedzialny za zatajanie tego faktu?

Charles skinął głową.

Kolejne kłamstwo. Wcale nie zdaję sobie sprawy. Minęła ledwie sekunda i zdradziłem jeszcze Markowitza.

- Markowitz nigdy w życiu nikomu by go nie pokazał. To była przeszłość Kathy i on zamierzał ją chronić. Nie chciał ryzykować, nie życzył sobie, by federalni obejrzeni małą na taśmie, a potem ją wypytywali. Tylko mnie pokazał film i to wyłącznie dlatego, że chciał raz na zawsze zamknąć dochodzenie. Potrzebował zidentyfikować sprawcę na podstawie szramy. Ranę, która ją spowodowała, było widać na filmie. Czy Riker wprowadził cię w sprawę?

- Nie bardzo.

- FBI przyłaziło do sekcji zabójstw nietypowych, bo pewnego dnia na Manhattanie znaleziono szczątki ludzkie. Po robocie znać było, że to para seryjnych zabójców działających wzdłuż Eastern Seaboard. Markowitz wpadł na ślad jednego z nich, ale federalni schrzanili robotę. Wysłali pięciu swoich, by aresztować podejrzanego, ale skończyło się na strzelaninie i facet zginął.

- Markowitz pewnie wpadł we wściekłość.

- Tak. Wyrzucił federalnych z sekcji, jakby byli zarażeni. Zabezpieczył miejsce strzelaniny i znalazł ukrytą kolekcję filmów. Obejrzenie wszystkich zabrało mu sporo czasu. Zrobił to sam. Sceny były tak brutalne, że nie chciał przybijać swoich ludzi. Może istniał i drugi powód, bo tak naprawdę stary przypominał Kathy, zawsze zatrzymywał coś dla siebie. Innym pokazał tylko jeden kadr, na którym widniała twarz drugiego zabójcy. Wiem, Charles, że słyszałeś już, jak to Markowitz aresztował Kathy. Zatrzymał ją za włamanie do samochodu. Helen za żadne skarby by jej nie oddała - to wszystko prawda. Ale rzeczywistym powodem, dla którego nie przekazał

małej do Izby Dziecka, było to, że ją rozpoznał. Ten film zrobiono kilka lat wcześniej, więc miała mniej lat, ale kto by zapomniał taką twarzyczkę?

- Zatem widziała morderstwo i Markowitz chciał ją mieć na świadka?

- Nie, wtedy już zlokalizowano ten plan filmowy. Minęło kilka lat i niczego tam nie znaleziono. A dopiero cztery lata później Riker pochwycił drugiego mordercę i zabił go.

- Ale chyba zgodnie z przepisami?

- Tak mówił. Na jego korzyść przemawiał fakt, że gdy parę lat wcześniej FBI próbowało aresztować pierwszego, też doszło do zabójstwa. Markowitz uważał, że Riker zrobił tylko to, do czego federalnym potrzebnym było aż pięciu agentów. I zeznał pod przysięgą, że jako jedyny obejrzał filmy, że nikomu ich nie pokazał. Tak więc prokurator nie mógł uznać, że Riker z premedytacją pomścił ofiary. Poza tym on załatwił faceta gołymi rękoma, a nie zastrzelił, więc wydział wewnętrzny i prokuratura doszły do wniosku, że zabójstwo było wynikiem oporu stawianego przez podejrzanego.

- To brzmi logicznie.

- W owym czasie też mi się tak wydawało. Podpisałem się nawet pod tym. Wedle mojego rozeznania Markowitz był jedynym, który wiedział o małej Kathy. A teraz słyszę od ciebie, że Riker też wie. Zatem stary mnie okłamał. Cóż, to typowe dla niego. Nie powiedział mi prawdy, bo stałbym się odpowiedzialny za krzywoprzysięstwo, nawet po fakcie. I prawdopodobnie czuł się współwinny za to, co zrobił Riker. Wiesz, Charles, w policyjnej robocie najważniejsze jest nie mieszać spraw osobistych ze służbą.

A Riker kochał Kathy.

- Kathy nie wie o filmie. Markowitz tak chciał. Nie wolno ci jej powtarzać naszej rozmowy. Zrozumiałeś?

- Oczywiście.

- Ostrzegł mnie, powiedział, że nie muszę oglądać do końca, że potem będę żałował. Ale byłem na tyle pewny swej zawodowej odporności, że potraktowałem to jak wyzwanie. Musiałem obejrzeć ten film, bo Riker tak zmasakrował facetowi twarz, że Markowitz nie mógł go zidentyfikować ze

zdjęcia w prawie jazdy, a odcisków w naszych archiwach nie było. Poprosił mnie, żebym go zidentyfikował po szramie. Ta szrama to znak po ranie, która jest udokumentowana na tym filmie.

- Opowiedz mi o filmie.

- Gdy już ci opowiem, będziesz żałował, że to zrobiłem. Gwarantuję ci. Mam więc mówić?

Nadeszła ostatnia szansa, by pozostać uczciwym człowiekiem - takim, za jakiego brał go Edward Slope.

- Tak, mów.

- Wiesz, co to jest KP?

- Nie.

- Krwawy poranek, film o torturowaniu i zabijaniu człowieka. Odrobi-na dreszczyku przeznaczona dla najosobliwszego rodzaju kinomanów. Zazwyczaj ofiarami są dzieci. Każde dziecko, które chodzi po ulicach Nowego Jorku, można obrócić w jakiś rodzaj towaru.

Slope zamachał ręką na przechodzącego obok kelnera i zamówił podwójną szkocką. Obrócił się do Charlesa.

- Nie potrafię opowiedzieć tego na trzeźwo - rzekł. - Jesteś najzupełniej pewien, że chcesz poznać wszystkie szczegóły?

- Najzupełniej.

Wcale nie jestem pewien. Mam już dostatecznie dużo koszmarów. Nie, mów, zasłużyłem na to.

- Film zaczynał się sceną, w której chłopiec i dziewczynka spali na podłodze w jakiejś klatce. Nie była to wyszukana produkcja, kręcono w jakimś magazynie, tylko na jednym planie. Sądzę, że dzieci odurzono narkotykami. Chłopiec właśnie się budził i może dlatego poszedł na pierwszy ogień. Dziewczynka leżała nieruchomo. To była Kathy, domyśliłeś się już.

Charles skinął głową.

Kolejne kłamstwo i kolejny zły sen w ramach pokuty.

- Nie mogła mieć więcej niż osiem lat, gdy to kręcono. Najwyraźniej już od jakiegoś czasu żyła na ulicy. Miała na sobie brudną koszulkę

i dzinsy, o niebo za duże. Pamiętam, że kiedyś powiedziała mi, iż krałła spodnie z półki najbliższej drzwi, więc nie zawsze był to odpowiedni rozmiar.

Przed nimi wyrósł kelner i postawił na stole zamówiony kieliszek. Slope wypił szybko.

- Miała tylko jeden but, druga stopa była goła. No cóż, wyciągnęli chłopca z klatki i zabrali się do niego. Kazałem Markowitzowi wyłączyć głośność, ale i tak do dziś słyszę wrzaski tego dziecka. Nie będę ci opowiadał, co mu zrobili, nie musisz tego wiedzieć, w każdym razie mały żył jeszcze dość długo. W rogu kadrów bez przerwy widać było klatkę. Kathy nie poruszyła się ani odrobinę, nie otworzyła oczu choćby na milimetr. Patrzyłem na nią przez cały czas, gdy torturowali chłopca.

O Boże! Nie, zaczekaj. Ja tylko zbłądziłem do kościoła Mallory i przekonałem się, że Boga tam nie ma.

- Potem przyszła kolej na nią.

Nie chcę wiedzieć nic więcej..

- Jeden z nich otworzył klatkę i wyjął Kathy. Zwisła mu bezwładnie na rękach. - Slope przesunął dłonią po włosach, po czym łyknął łapczywie z kieliszka, jakby go dopadło dokuczliwe pragnienie.

- Wiesz, co pamiętam najwyraźniej? Jeden mały but i jedną gołą stopę. Czy to nie idiotyczne? Kathy wciąż spała, gdy położył ją na materacu, który był zlany krwią chłopca. Zrzucili jego ciało na bok. Było tyle krwi.

Charles patrzył na szeroko rozwarłe oczy Slope'a i uzmysłowił sobie, że on na nowo ogląda film. Doktor zakrył dłońmi twarz i dlatego jego następne słowa były stłumione:

- O Chryste! Czyż ten świat nie jest cudownym miejscem dla dzieci, no powiedz, Charles?

Charles uniósł się z krzesła i nachylił do niego. Slope podniósł dłoń.

- Nie, nie, w porządku - rzekł. - Siadaj, nic mi nie jest. Przepraszam.

Po chwili szpule w jego oczach ponownie zaczęły się obracać.

- Jeden pochylił się nad nią. Ale nagle Kathy się obudziła.

Nie tyle ocknęła z odurzenia, co była zupełnie przytomna. Udawała, że śpi, oczywiście, przeczekiwała morderstwo chłopca, wyglądała odpowiedniej chwili. Skoczyła na tego faceta, gryzła i drapała jak zwierzę. Małe kciuki wbiła mu w oczy. Odskoczył z rękoma przy twarzy i spomiędzy zaciśniętych palców zaczęła spływać krew. Możesz sobie wyobrazić, co mu zrobiła. Wtedy rzucił się na nią ten, który trzymał kamerę. Wbiła mu zęby w nagie ramię i dosłownie odgryzła kawałek mięśnia. Kawałek ciała, Charles. I wypluła go na podłogę.

Charles spojrzął w zasnutę żałością oczy Slope'a. Doktor przeżywał swą opowieść. Wszystko to działo się jeszcze raz.

- No i tak: obaj wrzeszczą, lampy przewrócone, kamera leży na podłodze. Ostatni kadr to zmykająca ciemnym korytarzem Kathy, uciekająca od światła, biegnąca ile sił w nogach, w jednym tylko bucie.

*

Uwielbiał ten wyraz tępego zdziwienia na ich twarzach w chwili, gdy uświadamiały sobie, że umrą. Największą przyjemność sprawiał mu jednak widok, gdy już nie żyły, gdy te wszystkie wrogi mu rysy zastygły nieodwołalnie. Dobra dziwka to martwa dziwka. Z Mallory nie będzie inaczej.

Zgniół pod kciukami dwa winogrona, ale powoli, w zachwycającym akcie niespiesznego niszczenia ich wypukłości, pęknięcia skórki, rozplaszczania jędrnego miąższu, wchłaniania zimna unicestwianej tkanki. Były dla niego zielonymi oczyma. Naraz cofnął się od blatu i popatrzył na owoce, pokonane, zmiażdżone. Wydawała mu się ślepa.

*

- Nie wniesie oskarżenia - powiedziała Betty Hyde, stawiając kubek z kawą na kuchennym blacie w mieszkaniu Rosenów. - Spodziewam się, że nie masz innych dowodów na to, że bił matkę? Mój poranny artykuł będzie bardzo enigmatyczny, bo naczelny zabronił mi posługiwać się nazwiskami, do czasu ekshumacji, a to potrwa. Kazałam mojej młodej współpracownicy zacząć się pod kamienicą na sędziego jutro rano. Wiesz, o co chodzi: „Czy

jest choćby źdźbło prawdy w pogłoskach, że jakoby pobił pan śmiertelnie swoją matkę?”

- Czy Pansy powiedziała coś ciekawego?

- Nie. Biedaczka. Nigdy nie otarłam się tak blisko o podobną sprawę.

Wróciła do niego.

- Co, jest tam teraz? Zwariowała?

- Mówi, że ilekroć ją zbije, to potem jest skruszony. W tej chwili się go nie boi. Ma nadzieję, że jakoś to rozwiąże.

- Wiesz przecież, że następnym razem ją zabije.

- Czy ona osobiście musi złożyć skargę? To chyba dla niej za wiele. Ty nie mogłabyś tego zrobić? Oprócz jej samopoczucia mam też na względzie groźbę oskarżenia o oszczerstwo. Żaden wydawca nie tknie tej historii, dopóki nie zobaczy raportu policyjnego, a takiego nie ma.

- Ja nie byłam świadkiem pobicia. Jeżeli ona powie, że upadła, to dla czego ktoś ma jej nie uwierzyć?

Mallory założyła ręce na piersi i z kamienną twarzą spojrzała z góry na Betty Hyde. Dziennikarka rozpaczliwie broniła się przed niepokojącym wrażeniem, że dziewczyna rośnie z upływem sekund. Mallory pochyliła się nieco i wtedy Hyde cofnęła się o krok, aż przywarła plecami do blatu kuchennego.

- Zatajasz coś przede mną, Betty. Gadaj, co masz na Franza.

*

Właściwie było zbyt późno na wizytę u sąsiada, ale przecież udzieliła mu schronienia u siebie tej nocy, kiedy Annie zginęła. Wtedy też było późno. Wet za wet.

Franz otworzył drzwi, naciągnął poły szlafroka i spojrzał w pustkę ponad jej ramieniem.

- To ja, Ericu, Betty. Możemy porozmawiać?

Cofnął się i gestem zaprosił ją do środka. Wszędzie było ciemno. Zreflektował się i powiedział: „Och, przepraszam” - i zapalił światło. Nie powinno ją zaskoczyć, że nic się tu nie zmieniło, Annie nie żyła zaledwie od miesiąca. Zauważyła jednak, że zniknęła ich ślubna fotografia w ramach,

na której Ericowi dorysowano rogi dla żartu w kiepskim stylu.

Po dwóch godzinach rozmowy i dwóch butelkach wina zdjętych ze sto-
jaka Franz stracił panowanie nad sobą.

- Zwariowałaś?! W życiu nie zostałaby ze mną przez te trzy lata, gdy-
bym nie był niewidomy. Właściwie to zrezygnowała z rozwodu, bo dosta-
łem odszkodowanie. Potem przyszedł mój sukces literacki i nagrody. Gdy-
bym widział, natychmiast by się ze mną rozwiodła i wzięła ogromną od-
prawę. Ale ślepa nie mogła porzucić, prawda, taka pani ze śmietanki to-
warzyskiej jak ona? Co by sąsiedzi pomyśleli?



Klamka ustąpiła i drzwi rozwarły się od lekkiego pchnięcia. Chodził po
ciemnych pokojach, aż ją znalazł. Długie, szczupłe ciało leżało wyciągnięte
na łóżku. Włosy połyskiwały, jakby za dnia chwytala w nie światło sło-
neczne, które potem przynosiła do domu, by jarzyło się całą noc.

Legł obok niej cicho ze zwierzęcą zrećnością i przewróciwszy się na
grzbiet, zapadł w sen, wiosłując w powietrzu czterema łapami, ścigając
myszy w snach.

Obudził go chłód metalu na nosie i poraził blask jaskrawej lampy. Spoj-
rzał na czubek lufy, robiąc w tym celu zeza. Znużony, stanął na tylne łapy i
począł tańczyć niepewnie w miękkiej pościeli. Ale jej już nie było: wyśli-
zgnęła się z łóżka i zniknęła w mroku sąsiedniego pokoju, prowadzona
przez utrzymaną w ręku broń.

Skoczył z głuchym odgłosem na podłogę i podreptał za nią. Sprawdzała
wszystkie pomieszczenia po kolei. Zatrzymała się na chwilę przy drzwiach
do łazienki. Potarł łbem o jej nagą stopę, ta jednak nie odwzajemniła czułe-
go gestu, lecz obcesowo odsunęła go na bok. Ręka sprawdziła klamkę, raz,
drugi, trzeci.

Spojrzała na niego i szepnęła:

- Taki sprytny jesteś? - Co on, chyba niezbyt trafnie, zinterpretował ja-
ko pochwałę w rodzaju: „Dobry kotek”. Zaczął mruzczyć.

Ręce podniosły go do góry i już zaczął rozkoszować się ciepłem jej skóry, gdy naraz poczuł, że spada ku kafelkom na podłodze. Światło zgasło, drzwi zatrzasnęły się i pozostał sam w ciemności, zastanawiając się, co tym razem przeszkrobał.

*

Mallory, królowa kłamstw, zakazała sobie gry w pokera, by odpokutować za zło wyrządzone kłamstwem. Jakże perwersyjny i niezrozumiały był jej kodeks honorowy.

Charles nauczył się kłamać i zdradzać w jeden wieczór. Czyż nie byłaby dumna z tego, jak daleko zaszedł, jak nisko upadł?

Nie, nie byłaby. Ludziom z jej otoczenia nie wolno wyrządzać takich krzywd. Lecz Mallory nigdy się nie dowie, co zrobił. Nawet gdyby przyszła mu ochota do zwierzeń, Slope zobowiązał go do milczenia. Do kłamania przez przemilczenie.

Riker miał rację; dzieciństwo Mallory należy wyłącznie do niej. Nienawidziłaby wtargnięcia w nie, tej konspiracji wtajemniczonych. Slope nigdy nie powie o ich rozmowie Rikerowi. Kłamstwa i zdrada pozostaną nie zauważone. Zatem będzie jeszcze więcej kłamstw przez przemilczenie.

Charles nie zdobędzie się na zakazanie sobie gry w pokera. Padłyby pytania, Mallory wycisnęłaby odpowiedzi i na wyczyniałoby się jeszcze więcej złego. A tak raz w tygodniu będzie mu przypominał o jego grzechach widok Slope'a siedzącego po drugiej stronie stolika.

Rikerowi też nie mógł się przyznać, bo sieć wtajemniczonych jeszcze by się powiększyła. Żałował, że nie jest praktykującym katolikiem, ponieważ wtedy mógłby się wyspowiadać.

Wzór jego sieci stał się zbyt zawiły. W splotach nici zagubił się sen. Ale wreszcie nadszedł, tyle że pod postacią wizji małej dziewczynki niknącej w mroku, ściganej przez coś jeszcze mroczniejszego, może pająki. Kiedy osunęła się w morze krwi, ocknął się.

Jego umysł załała powódź muzycznych dźwięków, by zabić obrazy i

myśli narodzone w wieczór kłamstw, i teraz zadana mu pokuta czekała tuż obok, w tym samym pokoju. Zamknął oczy i usiłował zagłuszyć muzykę. Usłyszał jednak lekkie kroki Amandy chodzącej wokół jego łóżka.

- Interesujące, prawda? - odezwała się. - Potrafiła udawać, że śpi, gdy tymczasem mordowano drugie dziecko.

Nie, proszę, nie chcę o tym myśleć.

- Ależ, Charles, nigdy nie przestaniesz o tym myśleć. To nie jest zachowanie, którego człowiek spodziewałby się po małym dziecku, przyznasz?

Od kiedy to można przewidzieć postępowanie Mallory?

Oczy trzymał zamknięte w nadziei, że ograniczy do minimum spustoszenia w swoim umyśle. Nie wiedział, jak się pozbyć Amandy. Może iluzja zbladnie, jeśli nie włączy w nią zmysłu wzroku.

Ale nie. Amanda nadal chodziła wkoło, stąpając coraz ciężej, czekając z uporem na odpowiedź, jak każda cielesna kobieta.

Zwracając się do sufitu, rzekł:

- To nie jej matkę zabijano na filmie. Myliłaś się w tym względzie.

- Czyżby? - Kroki ucichły na chwilę. - Pomyśl: nie poruszyła się przez cały czas, gdy torturowano inne dziecko. Udawała nieżywą.

- Mogła być tylko sparaliżowana strachem. Nie ma żadnych faktów na poparcie...

- Logika i fakty zawiodły cię, Charles. Przecież ten film obejrzał wykwalifikowany lekarz. I co mówił? Ona udawała nieżywą. Gdzie się tego nauczyła? Może umiała to robić, bo widziała kiedyś inne krwawe morderstwo? Może wtedy zginęła jej matka, tak samo jak matka Justina.

Przekręcił się na bok, by stawić czoło tej kobiecie, której nie było, ale oczy wciąż trzymał zamknięte.

- Amando, to niedorzeczne. Matka Justina umarła na atak serca. To fakt. Maltretowanie dzieci brzmi sensowniej. Być może właśnie to Mallory dostrzega w chłopcu. Potrafi z pewnością rozpoznać maltretowane dziecko. Ale o śmierci nie zdoła wyczytać z cudzych oczu nawet ona.

Napięte linie melodyczne koncertu przewijały się przez głowę Charlesa. Szeptem recytował grecki alfabet. Muzyka uleciała, ale Amanda wciąż chodziła dokoła jego łóżka. Stawiała coraz cięższe kroki. Otworzył oczy i ujrzał słabą poświatę księżyca i silniejszy od niej blask lamp ulicznych wlewający się do sypialni przez okno. Obrócił się na drugi bok, do ściany, a tam czekał na niego najgorszy ze wszystkich koszmarów, złowieszczy spektakl rozgrywający się na tapecie.

Amanda nauczyła się rzucać cień.

Rozdział 7

26 grudnia

Bez powodzenia nękała służącą. Być może Betty Hyde rzeczywiście wyszła tego ranka. Eric Franz również nie odbierał telefonu. W domu był za to sędzia Heart i Harry Kipling.

Wzięła do ręki plastikową torebkę na dowody rzeczowe i uniosła ją ku obiektywowi kamery, by zarejestrować na taśmie wypisany na pieczęci numer, następnie samą czynność złamania pieczęci. Wyjęła z torebki kapiszonowy pistolet i położyła go w pokoju leżącym najbliżej drzwi wejściowych.

Wróciwszy do biblioteki, sprawdziła sprawność kamery, która właśnie zarejestrowała wykorzystanie dowodu rzeczowego. W przedpokoju cztery lustra w złotych ramach uchwyciły na ułamek sekundy jej bawełnianą koszulkę, kaburę i dzinsy. Mallory włożyła nowy brązowy żakiet, bliźniaczo podobny do tego, w którym zginęła Amanda Bosch. Krawiec uszył dokładnie taki sam, choć niewielu ludzi miało docenić jego fałszerski kunszt.

Kusiło ją, by odtworzyć również wypaloną papierosem dziurę na rękawie, ale duch Markowitza nie pozwolił jej na to. Helen od razu wskazałaby wypukłość od rewolweru, która psuła zgrabną linię żakietu. Mallory przystanąła przed lustrem i krytycznym okiem spojrzała na wiele mówiące wyrzucenie.

Przywołała kota i ten nadbiegł. Na pstryknięcie palcami wskoczył jej na rękę i dotknął nosem szyi Mallory. Spojrzała w lustro. Nie, nic z tego.

Zwierzę kręciło się i wcale nie zaślaniało wypukłości; musiałyby je zabić i przypiąć jako futrzaną broszkę.

Upuściła kota na podłogę, zrzuciła z siebie żakiet i zdjęła kaburę z rewolwerem. Wsunęła broń do szuflady małego stolika pod lustrem. Następnie z powrotem włożyła żakiet i pstryknęła palcami na kota.

Nie mając za grosz godności ani honoru, Nos znów wskoczył jej na ręce.

Wyszła na klatkę i ruszyła schodami na górę, zdziwiona, że sąsiedzi nie uchylają drzwi zaniepokojeni dziwnym pomrukiem. Zatrzymała się przed mieszkaniem sędziego Hearta i zapukała. Nastąpiła powtórka z poprzedniego wieczora: drzwi uchyliły się na szerokość szpary; łańcuch został zamontowany na nowo. Wyjrzał sędzia.

- Chcę się zobaczyć z pańską żoną - powiedziała Mallory.

- Żegnam.

- Mogę zachować dyskrecję lub wręcz przeciwnie. Wybór należy do pana. Chcę zobaczyć, czy nic jej nie jest. Natychmiast!

Drzwi zamknęły się i szcęknał spuszczały łańcuch. Zaraz otworzyły się szerzej i sędzia zawołał:

- Pansy! Pansy!

Ukazała się Pansy Heart. Jej twarz była świadectwem wyłącznie wydarzeń ostatniego wieczora, żadnych nowych śladów nie było.

- Tylko sprawdzam - rzekła Mallory i odwróciła się, by odejść. Zatrzymała się jednak i zerknęła przez ramię na sędziego. - Wiem, co pan zrobił i nie daruję tego.

Drzwi zatrzasnęły się, skrywając za sobą twarz Hearta, rozpaloną wszystkimi odcieniami wścieklej czerwieni.

Zapukała do drugiego mieszkania, piętro wyżej. Otworzył chłopiec Kiplingów. Tym razem nie uśmiechał się lubieżnie. Zrobił krok do tyłu, by ją wpuścić, i Mallory weszła do środka. Harry Kipling siedział przy stole. Zobaczywszy kota, zerwał się szybko na nogi, lecz niedostatecznie szybko.

Po dywanie mknął już susami springer spaniel, szarżując na Nosa, z szeroko otwartym pyskiem i radością w ślepiach.

*

W mieszkaniu panował bezruch. Nie było ani pędów powietrza, ani odgłosów wskazujących na obecność żywych istot, choćby kota. Naraz spokój pustych pomieszczeń zmałyły dwie stopy sunące przedpokojem i ciągnące za sobą cień.

Wizyta była krótka, albowiem rewolwer leżał w pierwszej szufladzie, która została otwarta. Metal broni zabłysnął w krótkiej chwili wolności między szufladą a głębią torby. Stąpając cicho, złodziej wyszedł z mieszkania.

*

- Rany, co ona zrobiła naszemu psu! - krzyknął chłopiec Kiplingów, gdy Mallory zatrzaskiwała za sobą drzwi.

Wracała schodami. Drzwi do mieszkania Rosenów były otwarte. Czy jest aż tak głupia?

Tym razem kot nie zakwilił, gdy upuściła go z nienacką na podłogę. Był na to przygotowany, przyzwyczał się już do tej gry. Poszedł sobie, ziewając.

Otworzyła szufladę stolika obok drzwi.

Była pusta: jej rewolwer marki Smith & Wesson znikł.

Niczego więcej nie tknięto. Pistolet kapiszonowy leżał na stole tak, jak go zostawiła.

Co teraz? Nie mogła zadzwonić po wsparcie, przyznać się do straty rewolweru. Coffey i Riker nie puściliby jej tego płazem. Głupi rekrut nie dałby sobie odebrać broni.

Od strony sypialni dobiegł ją huk.

Przechodząc przez kuchnię, chwyciła w dłoń butelkę wina. Weszła do sypialni. Kot stał nad szczątkami lampy, z łapą zaplątaną we frędzle abażuru. A więc tym razem to nie dzieło sił tajemnych.

Ale nadal pozostawał problem broni.

Podeszła do telefonu i wykręciła numer Charlesa.

- Musisz się spieszyć, Charles - powiedziała. - W środkowej szufladzie mojego biurka znajdziesz kolta. Nie zapomnij wziąć pudełka amunicji. Musisz wy... - Opuściła rękę na odgłos, który mógł pochodzić od kota lub nie. Odłożyła słuchawkę na widelki, dusząc powtarzane przez Charlesa głośnie: „Halo?!”

Wyszła szybko z sypialni i cicho przemknęła krótkim przedpokojem do biblioteki. Wcisnęła rzędy przycisków, by włączyć kamery i mikrofony.

Gdy weszła do pokoju leżącego najbliżej drzwi wejściowych, zobaczyła, że kot umyka pod kanapę, a na środku pomieszczenia stoi Harry Kipling. Pistolet kapiszonowy leżał na stoliku.

Ile czasu będzie potrzebował Charles, by dotrzeć tu z bronią?

- Zostawiłaś drzwi otwarte - odezwał się. - To duża nieostrożność.

Istotnie, chciała mu jak najbardziej ułatwić przyjęcie, nie wiedziała jednakże będzie rozbrojona, gdy się zjawi. Nie była to chyba odpowiednia chwila, by myśleć o ironicznym uśmiechu Rikera. Za późno na wsparcie, a Charles znajdował się kilometry stąd.

Szpule w kamerach zaczęły się kręcić.

Miała czas, by zastanowić się, czy Coffey przyłapie ją na pokpieniu sprawy, czy też uda jej się wywinąć.

Na półce biblioteczki, za plecami Kiplinga, leżał nóż Maxa Candle'a. Czy go zauważył? Zgodnie ze swoim pierwotnym planem Mallory chciała naprowadzić zabójcę na niego, żeby nie był bezbronny, gdy ona naciśnie spust. Ale ten plan mógł być zrealizowany pod jednym warunkiem: że trzymałaby w dłoni rewolwer. Gdzie on go ukrył?

Kipling wciąż patrzył na pistolet kapiszonowy.

- Poznajesz go, Harry? - zapytała. - To ta sama zabawka, za pomocą której nauczyłeś kota tańczyć. Teraz Nos, gdy tylko zobaczy pistolet, od razu płąsa. Czy chodziło o głośny trzask kapiszonów? Czy strzelałeś mu blisko głowy, by tańczył?

Kot zaczął chrapać.



Charles zamknął za sobą drzwi mieszkania. A więc o to chodzi? „Śpiesz się, przynies mi broń!” Czy ona musi się zbroić po zęby? Ma już przecież ogromny rewolwer i ostry nóż. Ale kim on jest, że kwestionuje potrzeby Mallory? On, który rozmawia z nieżywą kobietą?

Dopał drzwi do biura spółki Mallory & Butler Ltd., zastanawiając się, która z jego nedorzecznosci najbardziej wytrąciła ją z równowagi. Oskarżył Mallory o brak logiki, o niedocenywanie...

Głupcze.

Wypytała go o niewidomych, tak? Nie spieszyła się, by skreślić Erica Franza z listy podejrzanych, tak? A teraz się zbroiła. Trudno ją posądzić o brak ostrożności. Gdzie więc podziała się jego logika?

Prawdopodobnie wszystko pokręcił, taki z niego geniusz. Co go opętało, że stanął po stronie Coffeya? Jeszcze godzinę temu wydawało się to sensowne, ale teraz? Może Coffey obawiał się tylko, że ona zbyt uparcie trzyma się intuicyjnego obrazu zabójcy? Trzy zasady współżycia z Mallory, o których mówił Riker, okazały się słuszne. Nie wolno mu jej teraz zawieść.

Otworzył kluczem drzwi do gabinetu Mallory i podszedł szybko do biurka. Środkowa szuflada była zamknięta na zamek.

Zagwozdka. Nie miał kluczy do szuflad. Mallory zakładała, że wszyscy są równie utalentowani w sztuce włamywania się, co ona. Chwytał podarowany jej niegdyś nóż do otwierania listów. Był to jedyny przedmiot w tym pomieszczeniu, który nie pochodził z obecnego stulecia. Charles zawałał się na ułamek sekundy, ściskając w dłoni drogocenny bibelot, następnie wsunął ostrze między szufladę a blat i podważył.

Pierwszym ostrzeżeniem był rozrywający bębenki w uszach pisk. Zaraz potem runęła na niego kaskada głębokich tonów. Rozdzwoniły się dzwony, narastała piekielna kakofonia puszczonej w ruch gigantycznych kurantów. Mallory zapewne wyobrażała sobie, że to dobry sposób na uszanowanie jego awersji do nowoczesnej techniki. Zainstalowała w gabinecie

system alarmowy, ale zamiast irytujących brzęczyków czy syren, wmontowała nagranie dzwonów kościelnych. Charles znalazł się w środku dzwonnicy.

Zakrył dłońmi uszy. Wiedział, że grozi mu głuchota, jeśli zostanie chwilę dłużej. Mógł próbować wyłączyć instalację, ale bał się, że nie zdąży pójść śladem kabla i znaleźć kontaktu, nim straci słuch. Ponadto głośniki mogły być wszędzie w tym zbiorowisku nagromadzonego sprzętu elektronicznego. Trudno się zorientować co do kierunku dźwięków, kiedy głowa człowieka służy za serce monstualnego dzwonu.

Otworzył drewnianą szkatułę zagrzebaną w szufladzie i zobaczył stary kolt kalibru 0.38, należący niegdyś do Markowitza, lśniący od częstego polerowania przez nową właścicielkę, która zaglądała nawet w głąb lufy zabytkowej broni. Chwycił rewolwer oraz pudełko naboji i rzucił się do drzwi. Tony dzwonów kościelnych z piekła rodem ścigały go po schodach, gdy zbiegał na ulicę, gdzie w każdym oknie tkwiła głowa.

Wyciągnął rękę, by zatrzymać taksówkę, błagając w duchu sąsiadów o wybaczenie.

*

Harry Kipling podszedł do drzwi wejściowych i zamknął je na klucz.

- Nie chcemy chyba, by nam teraz przeszkadzano, prawda?

Co zrobi Charles, gdy natknie się na zamknięte drzwi? Jest dostatecznie silny, by je wyważyć, ale nie będzie wiedział jak.

- W jaki sposób się połapałaś? - zapytał, siadając na krześle z wysokim oparciem i wskazując jej ręką drugie.

Nie poruszyła się.

Patrząc z roztargnieniem przed siebie, odchylił się do tyłu, aż krzesło zabujało się na tylnych nogach. Twarz miał ściągniętą, w zagłębieniach poniżej kości policzkowych kładły się popołudniowe cienie. Wydawał się zmęczony, na granicy kapitulacji albo rezygnacji.

- Jaki błąd popełniłem?

- Popełniłeś mnóstwo błędów - odrzekła Mallory. Czaili się już od

dziesięciu minut. Gdzie jest rewolwer? Być może schował go za paskiem z tyłu. Nie spojrział jeszcze ani razu na nóż z herbem Maxa Candle'a.

- Ile chcesz? - zapytał Kipling z uśmiechem. - Domyślam się, że wyłudzasz pieniądze.

- Ale ile jest to dla ciebie warte, Harry?

- Co, małżeństwo? Musiałabyś zadzwonić do księgowego mojej żony, to by ci powiedział. No mów, bo nie mam na te bzdury całego dnia. Ile chcesz za milczenie?

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Z desperacji. Jeżeli czekasz na pikantne szczegóły, to ich nie poznasz. Powiedz mi tylko, ile chcesz pieniędzy.

- Skontaktuję się z tobą w tej sprawie.

Nie patrzyła na nóż, by nie wskazać go wzrokiem. Wiedziała jednak, że nie zdąży go dopaść, albowiem na drodze tkwił bujający się na krześle Kipling.

Mallory zaczęła go obchodzić powolnym krokiem, gdy tymczasem mężczyzna siedział z pistoletem kapiszonowym w dłoni, przyglądając się mu jak cacku. Teraz widziała jego profil. Nie, nie schował broni za plecami. Ubrany był w koszulkę polo i obcisłe spodnie. Nie miał możliwości, żeby ukryć przy sobie duży rewolwer.

Cholera, gdzie jest ten gnat?

- Przyznaję, miałem romans z Amandą Bosch, i co z tego? No mów, ile chcesz? Ile chcesz za to, by nie dowiedziała się moja żona?

- W tej sprawie chodzi o coś więcej niż romans, Harry.

- Przyłapałaś mnie tylko na jednej kobiecie, wiem o tym. Gdybyś miała pewność, że były inne, dałabyś mi to już dawno do zrozumienia. Ale ostrzegam, nie zamierzam płacić kroci. No ile chcesz?

- Czy mówiłam ci, że znałam Amandę osobiście? Wiem, że ją okłamałeś i że przyłapała cię na tym.

- Och, było tyle kłamstw, że nie wiem, o które ci chodzi. - Sposób, w jaki się uśmiechnął, dowodził, że rozpiera go z tego powodu duma.

- O to, przez które przerwała ciążę. Czy to zawęży możliwości?
- To konkretne kłamstwo nie jest według mnie warte ani grosza. I wątplię, byś ją znała. Myślę, że jesteś po prostu przekupną gliną. W dzienniku mówili, że byłaś policjantką, do tego córką policjanta. Czy twój stary też kombinował? To u was rodzinne?

- Powiedzmy, że nauczyłam się sporo od niego. Gdybym nie znała Amandy, skąd wiedziałabym, jak zorientowała się, że ją okłamałeś i dlaczego się załamała?

Nie była światowej klasy pokerzystką wyłącznie dla zabawy. Helen zawsze chciała, by Mallory odebrała wszechstronne wykształcenie i teraz cotygodniowe partie pokera przynosiły efekty.

- Amanda siedziała tu pod kamienicą, na ławce, w przededniu swej śmierci, tego dnia, gdy odkryła, że ją okłamałeś. Nie weszła do środka, tylko patrzyła. To był pracowity dzień dla portiera. Ludzie wchodzili i wychodzili, lokatorzy, dzieci, psy. I wtedy zobaczyła...

- Może nie róbmy z tego greckiej tragedii, dobrze? Zobaczyła Petera i zrozumiała, że on wcale nie jest zaadoptowanym dzieckiem. Wiesz, powiem ci, że do tego dnia uważałem, iż to łaska boska, że jest podobny do mnie, nie do Angel.

Kipling wstał z pistoletem kapiszonowym w rękę i podszedł do biblioteczki. Oparł się o półkę, na której ledwie kilka centymetrów dalej leżał nóż Maxa Candle'a.

- Zatem jesteś szantażystką - rzekł. - Skoro ją znasz, wiesz, że wykorzystywała mnie jedynie jako reproduktora. Nie zapytała, czy chcę mieć drugiego bachora.

- Bo nie wiedziała, że sama może. Wedle jej lekarza ta ciąża była cudem. A ty ją okłamałeś.

- Tak, powiedziałem jej, że mam sfuszerowany kod genetyczny. No i co z tego? Powiedziałem, że urodzi się potwór, że każde spłodzone przeze mnie dziecko będzie potworem, że to, co powinno być w środku, wyrośnie na zewnątrz, że nie będzie oczek, rączek i tak dalej. Co z tego? Czy to

przestępstwo? Żaden gliniarz się tym nie zainteresuje. Ty zaś jesteś szantażystką. Mów więc, ile chcesz, i zakończmy tę ohydną sprawę.

- To było durne kłamstwo, wiesz? Powinieneś się domyślić, że gdy Amanda zobaczy twojego syna, zrozumie, iż ją okłamałeś.

- Było mało prawdopodobne, że się spotkają. Peter większą część roku spędza w szkolnym internacie. W lecie jeździ na obozy. Moja żona nie ma instynktu macierzyńskiego. Jest tak do mnie podobny, że Angel serdecznie go nienawidzi i dlatego chłopak rzadko bywa w domu.

- Ale Amanda go zobaczyła i wymogła na tobie spotkanie w parku.

- Nie wiem, o czym mówisz. Spotykaliśmy się wyłącznie u niej w domu.

- Nie kręć, wiem, że spotkaliście się w parku. Nie musisz nic mówić, masz prawo milczeć, ponieważ wszystko co powiesz, może zostać wykorzystane w sądzie przeciwko tobie.

- Co, mówisz mi o moich prawach? Nadal bawimy się w policjantów i złodziei? Zaraz mi tu zasuniesz, że jeżeli nie stać mnie na adwokata, to dostanę obrońcę z urzędu. Z ciebie taki funkcjonariusz policji jak ze mnie. Wykopali cię ze służby, co? Jesteś tylko zwykłą hieną. Nie ma paragrafu, który zabraniałby oszukiwania żony. Może tobie i Amandzie marzy się proces o wiele milionów dolarów, ale jeżeli tak, lepiej wybijcie to sobie z głowy.

Mallory wruszyła ramionami. Poinformowała go o jego konstytucyjnych prawach i zostało to zarejestrowane przez kamerę. Kipling oparł ramię na półce, ledwie centymetr od noża. Wszystko znakomicie się układało. Jedyne kłopot, że Mallory nie miała broni. Co z nią zrobił?

- Spotkałeś się z Amandą w parku - rzekła. - Zdemaskowała twoje kłamstwo. Dopiero co pozbyła się dziecka, myśląc, że urodzi potwora, ale to okazało się nieprawdą. Zupełnie niepotrzebnie przerwała ciążę. Była zrozpaczona. Spanikowałaś, gdy zagroziła, że powie twojej żonie, jaka z ciebie kanalia. Nie żartowała, prawda? Chciała to zrobić i to natychmiast. Dlatego ją zabiłeś.

- Ach, więc to Amanda była tą kobietą, którą znaleziono w parku! Nic dziwnego, że myślałaś, iż się u mnie obłowisz. Oszust i morderca miał płacić za milczenie. Czy nie przyszło ci do głowy, że ona spotykała się z kilkoma mężczyznami z tej kamienicy i że ktoś inny ją zabił?

- Nie, od początku wiedziałam, że to ty.



- Na twoim miejscu pojechałabym metrem - powiedziała Amanda, zaciągając się mocno papierosem.

Charles patrzył na nią. W taksówce nie grała muzyka, więc tym razem to napięcie wywołane stresem zrodziło pewnie iluzję.

Naraz uświadomił sobie, że w stworzonym przez niego widmie są błędy, że jego osobliwa pamięć pracuje wadliwie, albowiem co i raz błękitne oczy Amandy zachodziły zielenią źrenic Mallory.

- Amando, w taksówce nie wolno palić. Widzisz tę tabliczkę? Może...

- Ja nie palę, panie kolego - odparł taksówkarz - a na imię mam Fred.

Amanda uśmiechnęła się, trzymając w ręku zapalonego papierosa.

- Jeden z plusów, gdy się nie żyje - rzekła. - Nie ma strachu przed rakiem płuc. Ale jeżeli dym ci przeszkadza, zaraz zgaszę.

Nie czuł zapachu palącego się tytoniu, kłęby niebieskiego dymu nie szczypały go w oczy. To dobry znak: nie zwariował do końca. Broń wbijała mu się w udo, więc wyjął ją z kieszeni spodni i przełożył do palta.

- Po co ci to? - zapytała Amanda.

- Potrzebne Mallory.

- Co pan mówisz, kolego? - zapytał taksówkarz.

- Nic.

- Pojeźdź lepiej metrem - upierała się Amanda - bo może Mallory musi mieć ten rewolwer natychmiast. Zobacz, jaki ścisk. - Wyjrzała przez tylną szybę na martwą naturę w postaci rzędów samochodów unieruchomionych w korku ulicznym.

- Pewnie zaraz ruszymy - odparł Charles, rozwiewając dłonią widmo dymu wypełniające taksówkę. - Wiesz, zgaś jednak papierosa, bo mi to przeszkadza. Zobacz, pełno tu...

- Powtarzam ci, koleś, że nie palę żadnego papierosa - rzucił taksówkarz przez ramię.

Wnętrze pojazdu wypełnił ciemny dym, który choć nie był rzeczywisty, przesłaniał wszystko. Charles tonął w szarości, czując paniczny strach.

Spokojnie, to złudzenie.

Obrócił się ku Amandzie, omglonej coraz bardziej przez gęstniejący dym z jego wyobraźni, i uświadomił sobie, że gubi się z wolna w ciasnej przestrzeni własnego umysłu.

- Dość, proszę, dość!

- Faktycznie dość - prychnął taksówkarz. - Wysiadka, facet, i to już!

*

- Zdradzanie żony to kiepski motyw morderstwa - rzekł Kipling.

- Nie, bardzo dobry. Mnie się podoba. Motywy materialne są najlepsze, a o taki tu w istocie chodzi. Zgodnie z testamentem twego teścia nie odziedzicysz złamanego grosza, jeżeli żona ci umrze. Łebski starzec, ten twój teść. Nie dostaniesz też alimentów, jeżeli Angel się z tobą rozwiedzie i będzie miała ku temu podstawy. I to właśnie ten haczyk, na którym wiesz. Nie mogłeś sobie pozwolić, by przyłapano cię na zdradzie małżeńskiej.

- Nie możesz opierać oskarżenia o morderstwo na pewności, że Angel nie przymknęłaby oka na mały flirt. Zostałabyś wyśmiana w sądzie. Wszyscy zdradzają.

Wszyscy kłamią.

- W ten sam sposób, w jaki przymknęła oko na defraudację? Znalazłam wszystkie twoje transakcje w bazie danych przedsiębiorstwa. Pokryła straty za sprzedaż akcji, które nie należały do ciebie, wykupiła też zastawiony pod pożyczkę apartament. Jasne, że za takie sprawki nie zamierza cię ciągać po sądach, bo akcjonariusze nie byliby zachwyceni, że w rodzinie

właściciele firmy jest defraudant. Ale zakładam się, że cudzołóstwa ci nie daruje.

- Groźba rozwodu to wciąż mało jak na motyw zbrodni.

- Czyżby? Jeżeli Angel się z tobą rozwiedzie, nie dostaniesz nic. Musiałeś się nawet zgodzić, że w wypadku śmierci żony prawa rodzicielskie do twego syna przejdą na jej najbliższego krewnego. Oto, na ile ufał ci teść.

Zachowanie Kiplinga dowodziło, że jest w odwrocie i przegrupowuje siły do kolejnego ataku.

- Moja żona jest dość oziębła. Nie pozwala mi się dotykać. Musiałem mieć inną kobietę na boku i do tego się przyznaję. Ale w żadnym razie do zabicia Amandy.

Mallory wiedziała od samego początku, że to będzie proste i nie przyniesie satysfakcji. Teraz pozostało już tylko słuchać nudnego mielenia językiem i wyłapywać wszystkie jego kłamstwa. Kamery pracownicy nagrywały. Wykazywał typowe cechy kłamcy: wyjaśniał zbyt wiele, był przesadnie szczery. Mówił bez przerwy o tragicznej śmierci Amandy i swej własnej, jeszcze większej tragedii.

Całe życie czekał na okazję, która wreszcie nadeszła w postaci szpetnej spadkobierczynie wielkiej fortuny. I teraz, gdy już się urządził, wszystko waliło mu się na głowę, rozsypywało w drobny mak, i nie mógł, nie potrafił temu przeciwdziałać. Kłamstwa nic już nie dawały, ale kłamał dalej.

- To Amanda zdecydowała o aborcji - powiedział. „Rzezi”, przetłumaczyła w myśli Mallory.

- Nie ma sensu winić mnie za to.

Zamierzała powiedzieć twojej żonie.

- W końcu przyjęła mój pogląd na tę sprawę.

Uderzona kamieniem, zakrwawiona.

- Kochałem ją. Kocham wszystkie kobiety.

Na zabój.

I naraz Mallory przerwała mu.

- Twoja grupa krwi to B+ - powiedziała.

Kipling stężał na twarzy.

- Zabiłeś ją koło stawu i uciekleś. Później wróciłeś i zmiażdżyłeś jej dłoń. Zabrało ci to trochę czasu.

- I ty pewnie też tam byłaś, gdy działo się to kryminał tango?

Uśmiechnęła się.



W szalonym pędzie Charles dopadł zejścia do metra. O mało nie zleciał ze schodów, gdy tymczasem stłoczeni na wąskiej przestrzeni ludzie wchodzili falą do góry. Znalazłszy się przy kabinie, usiłował gorączkowo kupić żeton. Mężczyzna siedzący w okienku za kuloodporną szybą zajęty był jednak sprawdzaniem ważnych dokumentów, następnie jął powoli przeliczać plik jednodolarowych banknotów. Ani razu nie podniósł głowy, w ogóle nie zareagował na oszalałe pukanie w szybę, przypominające dudnienie nadjeżdżającego pociągu, na który Charles mógł się spóźnić, gdyby nie wydano mu w porę żetonu. Wagony stanęły na peronie w chwili, gdy pracownik metra pchnął żeton pod szybę.

Charles obrócił się w stronę wysiadających w ścisku ludzi, wsunął żeton do otworu i przemknął przez bramkę. Rzucił się biegiem do pociągu. Drzwi już się zamykały, ale włożył rękę między skrzydła i rozwarł je z pomocą elektronicznego oka we framudze, które zgasło w chwili, gdy poczuł ból w dłoni. Wcisnął się w ciżbę pasażerów, którzy patrzyli na niego, jakby uważali, że powinien czuć się winny z powodu swej postury.

Pociąg wreszcie ruszył i w głośnikach natychmiast zadudnił bas pracownika metra. W stuku wagonów Charles nie mógł zrozumieć ani słowa z bełkotu tego mężczyzny, który jednocześnie jadł drugie śniadanie i mówił do mikrofonu w obcym mu i najwyraźniej dopiero co wyuczonym języku.

- Co on powiedział? - zapytał Charles kobietę, która miała na twarzy znudzoną minę stałego pasażera tej trasy. Wzruszyła tylko ramionami.

Odpowiedziała mu Amanda, stojąca obok, ziszczając jego najgorsze obawy:

- To co zawsze. Bez względu na to, dokąd się jedzie, stąd nie można się tam dostać.

Kiedy wagony stanęły, Charles pojął, że pociąg minął jedną stację. Po wściekłych minach pasażerów zorientował się, że nie tylko dla niego była to przykra niespodzianka. Kiedy zobaczył w górze światło dnia i nazwę ulicy, zrozumiał, że pokaźnie zboczył z drogi. Rzucił się do biegu.

*

- Staliście przy sadzawce, gdy wygarnęła ci, że przejrzała twoje kłamstwo. Chciała wyjawić Angel wszystko, co trzeba, by mogła się z tobą rozwieść. Przestraszyłeś się i chwyciłeś Amandę za ramię. Najpierw ją ogłuszyłeś, potem zabiłeś. No i uciekłeś... tak samo jak pies.

- Mój pies...

- Byłeś tego ranka z psem na spacerze. To pretekst, by wyjść i spotkać się z Amandą. Pies biegał luzem i podczas gdy ty ją zabijałeś, zaplątał się smyczą w jakichś krzakach. Pewnie się zastanawiasz, skąd o tym wiem? Odnalazłeś psa i poszedłeś z nim do domu. Mniej więcej pół godziny później wróciłeś i zaciągnąłeś ciało Amandy w krzaki...

- Niemożliwe...

- Poharatałeś jej dłonie, starłeś linie papilarne. Popełniłeś mnóstwo głupich błędów, Harry.

Ruszył ku niej, odchodząc od noża leżącego na półce. Dobrze. Mallory obeszła Kiplinga szerokim łukiem. Droga do drzwi stała otworem. Uniósł ręce, te same ręce, którymi skręcił Amandzie kark. Znów ogarnęła go chwila paniki. Rzucił się ku Mallory. Chwyciła wyciągniętą rękę, zagroziła drogę nogą i pociągnęła mocno, kierując cały ciężar jego ciała ku podłodze.

Może i był wysoki, ale okropnie pokraczny.

Próbował stanąć na nogi, gdy kopnęła go w krocze, aż złożył się jak scyzoryk. Następnie przewróciła go na brzuch i wykręciła rękę na plecy. Wrzasnął z bólu.

- Złamiesz mi łokieć!

- To się nie ruszaj!

Wolną ręką sięgnęła po ciężki sznur wiszący przy oknie i szarpnęła, zrywając zasłony i szynę.

*

Jego bieg spowalniały tłumy przechodniów. To nie *fair*, na ulicach powinno być pusto. Czy ci wszyscy ludzie nie mogli zaczekać choć jednego bożego dnia, nim popędzili do sklepów, by wymienić gwiazdkowe prezenty na inne lub przynajmniej na odpowiednie rozmiary?

Charles upuścił broń i jakaś kobieta kopnęła ją na bok. Zastanawiał się, czy nie zauważyła kolta pod niesionymi przed sobą paczkami, czy też był to pospolity widok na ulicach tej części miasta. Pochylił się i podniósł go. Teraz łatwiej mu się biegło, ludzie nie wchodzili mu już w drogę. Byli na tyle usłużni, że szybko uskakiwali na prawo i lewo.

No, lepiej.

Naraz przyszło mu do głowy, że ów nagły przejaw grzeczności u setek przechodniów może mieć coś wspólnego z faktem, że trzyma w dłoni naga broń. Nie, chyba są po prostu uprzejmi.

Głupiec.

*

Harry Kipling leżał spętany jak baleron. Ręce miał przywiązane za plecami do jednej nogi, i jego ciało wygięło się w dziwaczny łuk. Wyglądał głupio i żałośnie: był żaloszny, ten skurwiel, który zabił z dziecinnego strachu i złości, a potem próbował po sobie posprzątać, wyżywając się na ciele istoty ludzkiej imieniem Amanda.

Był beznadziejnym przeciwnikiem, niegodnym Mallory. Pokonanie go poszło tak gładko, że nawet kot się nie obudził.

Mikrofon kamery nagrywał kocie chrapanie przeplecione kwileniem Kiplinga. Mallory spojrzała krytycznym okiem na związanego mordercę i na swoje dochodzenie. Napad na funkcjonariusza policji był lichym dowodem popełnienia morderstwa. Wiele szczegółów pozostało nie wyjaśnionych, brakło niezbitego materiału dowodowego, czegoś o większym

ciężarze gatunkowym dla prokuratora, który wycofywał się rakiem z każdej sprawy, jeżeli nie dysponował kompletem odcisków palców i dymiącym pistoletem.

Nie ujdzie mu to na sucho, żeby nie wiem co, pomyślała Mallory.

- Przestań beczeć - odezwała się - przecież nawet cię nie sprąłem. Co zrobiłeś z moim rewolwerem?

Ale Kipling nie przestawał płakać, jej zaś nie sprawiało to wielkiej satysfakcji.

Na dźwięk zgrzytającego metalu podniosła głowę i spojrzała w stronę drzwi wejściowych. Ktoś je otwierał kluczem. Charles? Niemożliwe.

Rzeczywiście nie.

W przedpokoju stał ktoś inny - sam, jeśli nie liczyć długiego cienia, który wciskał się za nim do środka.

No, to już lepiej. Przyszła śmierć.

Mallory patrzyła w odbicie własnych oczu ponad lufą ukradzionego jej rewolweru kalibru 0.375.

- Morderstwo to najlepsza zabawa, prawda? - odezwała się.

- Otóż to - odparł Justin Riccalo, mierząc jej w głowę. Skierował lufę odrobinę do góry. - Oj, chyba źle, prawda? Powinno się celować w najszerszą część ciała. - Lufa osunęła się na wysokość klatki piersiowej Mallory, jej serca.

Mallory uśmiechnęła się na przekór. Nie spodobało mu się to. Wiedziała, że mu się nie spodoba.

- Zabij dziwkę! - wrzasnął Kipling z obłędem w oczach, przestając płakać.

- Tak, wszystkie kobiety to dziwki - rzekł chłopiec monotonicznie, jakby odmawiał litanię.

- Wszystkie co do jednej - wyrzucił z siebie Kipling z zapalem telewizyjnego kaznodziei rozgrzewającego tłum. - Zabij ją!

- Wyluzuj się, idioto - powiedziała Mallory do niego. - Przecież ciebie zabije zaraz po mnie. Myślałam, że to rozumiesz.

Rozdziawił usta i zamilkł.

Wszystkie usłyszane słowa powędrowały do tego zakątka jej umysłu, w którym mieszkał Markowitz razem z Helen. „Skłoń go do gadania, mała”, powiedziało wspomnienie z brooklyńskim akcentem.

- Powiedz mi, Justin, jakiego ptaka zabiłeś, żeby wypisać mi X na drzwiach?

- Gołębia - odparł chłopiec z pytającą intonacją na ostatniej sylabie.

- Bardzo mi się podobały te wszystkie popisy - ciągnęła. - Jak sprawiłeś, że w kuchni spadła szklanka z wodą?

Pompuj go, niech się rozkręci, a nie będzie mógł przestać.

Uśmiechnął się.

- Przesunąłem szklankę nad krawędź stołu, a pod jego nogi u przeciwległego końca podłożyłem po monecie, szklankę zaś wypoziomowałem soplem lodu. Kiedy lód się stopił, szklanka spadła i nie było śladu.

Spojrzał na Mallory, oczekując pochwał i podziwu.

- Świetna robota, Justin. Z wazonem było tak samo?

- Tak, za każdym razem wybierałem naczynie z wodą, żeby krople po roztopionym lodzie nie wzbudzały podejrzeń.

- Moim zdaniem najlepszy numer zrobiłeś z nożem w tarczy. Wystrychnąłeś na dudka Charlesa, a to niełatwe. Założę się, że naruszyłeś sprężynę?

- Tak. Zdziwiłem się, gdy zobaczyłem w piwnicy ten sprzęt. Może się domyślasz, że interesuje mnie trochę magia. Ze sprężyną nie miałem kłopotu, była stara, nawet w tym kiepskim świetle widziałem rdzę. Gdy już naciągnąłem ją na trybik, pozostało mi tylko zagadać pana Butlera i czekać, aż ona puści i zwolni lipny nóż.

- A potem wróciłeś, wepchnąłeś go w tarczę i na jego miejsce wbiłeś jeden z prawdziwych, tak?

Justin skinął głową.

- Skąd miałeś pewność, że zdążysz wrócić do piwnicy i to zrobić?

- Łatwizna. Pan Butler wszędzie jeździ taksówkami. Domyślam się, że nie lubi metra i ma dużo pieniędzy, więc z niego nie korzysta. Kiedy mnie

odwiozł, wrócił do Soho przez park, ja tymczasem pojechałem z powrotem metrem. Miałem kupę czasu, by to zrobić.

Broń ciążyła chłopcu w rękach. Podciągnął lufę, która nieco opadła.

- A ty, Justin, nie chcesz mnie o nic zapytać?

- Nie zdziwił cię mój widok, co?

- Nie.

- Od kiedy mnie podejrzewasz?

- Od początku. Czuałem, że w powietrzu wisi jakaś tragedia. Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, by wszystko ukartować, a ponieważ ty jesteś najbardziej rozgarniętym członkiem rodziny, postawiłam na ciebie. Wiedziałam, że będziesz górą.

Justin przesunął lufę w stronę Kiplinga.

- Jeżeli chcesz, to jako twoje ostatnie życzenie jego pierwszego zabiję.

- Irytujący facet, prawda?

- Nie, czekaj, mogę ci pomóc! - krzyknął Kipling do Justina.

- Dałeś się związać jak świnia - odparł chłopiec. - Mnie chcesz pomóc, przecież sam sobie nie możesz! Czy masz pojęcie, jak głupio wyglądasz? Policja znajdzie twoje ciało w tej pozycji. Czy to cię nie martwi?

- Posłuchaj mnie, chłopcze. Mam pomysł. Genialny. Potwierdzę twoje zeznania, gdyby gliny zamierzały się do ciebie dobrać. Ona chce mnie aresztować za zabicie kobiety, ta dziwka. Potrzebujesz mnie, w dodatku będziesz miał na mnie haka, więc cię nie wydam, jasne?

Justin zerknął na Mallory.

- On naprawdę kogoś zabił? - zapytał.

- Nie, chyba nie miałby ikry do tego. Miałbyś, Harry?

- To dlaczego mnie związałaś? Wyjaśnij mu.

Chłopiec znów spojrział pytająco na Mallory.

- Związałam go, bo mnie wkurzył, a komisja cywilna nie pozwala mi go zastrzelić.

Zakonotowała sobie w pamięci, by wyciąć ostatnie zdanie z taśmy.

- Słyszałeś o nie zidentyfikowanej kobiecie, którą znaleźli w parku? - spytał Kipling Justina. Uniósł tułów i krzyknął: - To ja ją zabiłem!

Mallory pokręciła głową.

- To się nazwa wymuszone zeznanie - rzekła. - Nic niewarte. - Popatrzyła na Kiplinga. - Wątpię, by Justin dał się nabrać. Z ciebie wierutny kłamca i skończony matole, Harry, a ten chłopak ma głowę na karku. Pewnie rozegra to tak, że będzie wyglądało, iż próbował bronić mnie przed tobą. - Obróciła się ponownie do Justina. - Mam rację?

Skinął głową. Mallory znów spojrzała na wijącego się u jej stóp Kipling.

- Harry, coś mi się wydaje, że sytuacja cię przerasta. Jesteś dorosły, większy od niego, ale mówiąc bez ogródek, już nie żyjesz. Racja, Justin?

- Obawiam się, że tak.

- No właśnie. Niezbyt jest rozgarnięty, co?

- Zabiłem ją! Zabiłem! - krzyczał Kipling. - Zabiłem Amandę, bo była dziwką - dodał, próbując podać się za współwyznawcę wiary, którą stanowiła nienawiść do kobiet. Chłopiec, który uważał, że wszystkie kobiety to dziwki, ważył jego słowa.

- No cóż, w takim razie poznajmy parę szczegółów, o których nie pisały gazety - rzekła Mallory. - W moim wypadku to wyłącznie zawodowa ciekawość. Justin zabił już dwa razy, więc trudno go nazwać amatorem, ale ty, Harry? Szczegóły zatem. Czy Amanda krzyczała? Czy może zachowała się bardziej po męsku niż ty teraz?

- Sama sobie była winna, dziwka jedna! Gdyby mi nie groziła, nie doszłoby do tego. Sama chciała.

- Wszystkie kobiety to dziwki - wtrącił Justin z opadającą intonacją finałnego słowa „amen”.

- Szczegóły, Harry.

- Uderzyłem ją kamieniem, a potem skręciłem jej kark. Tego nie było w gazetach.

- Czy chwyciłeś ją za gardło i dusiłeś?

- Nie, wykręciłem jej tylko głowę, aż kark trzasnął.
- Jak długo uczyłeś kota tańczyć?
- Cztery dni! Już dobra, mały? Rozwiąż mnie!

- Nie, raczej tego nie zrobię - odrzekł Justin. Wycelował z rewolweru w Kiplinga i ten zmartwił. Zaraz jednak lufa z powrotem skierowała się na Mallory. - Rozsądniej będzie zabić najpierw ciebie - powiedział. - Ty jesteś bardziej niebezpieczna. Z pana to żalosna kreatura. Nawet jej pan nie potrafił nienawidzić, niech pan się przyzna.

- Masz rację, nie było w tym nienawiści - przytaknęła Mallory. - Zabił z panicznego strachu i uciekł. Zupełnie nie w twoim stylu, Justin.

Czuła się tak, jakby Markowitz był z nią w pokoju. „Oni lubią gadać, Kathy - powtarzał nieraz. - Nawet gdy już przeczytasz im ich prawa, nie potrafią się zamknąć”.

Chłopiec zachichotał, napawając się władzą nad dwojgiem dorosłych.

- Założę się o duże pieniądze, że ty znacznie lepiej obmyślałeś swoje morderstwa - zwróciła się Mallory do Justina. - A może cię przeceniam? Twoja matka i pierwsza macocha były przecież same w domu, gdy umarli. Może ty też mydlisz mi tu oczy?

- Nie udawaj naiwnej. Byłaś już blisko prawdy, co? Na pewno się domyślałaś. Chciałaś ekshumować moją matkę? Słyszałem, jak mówiłaś o tym panu Butlerowi.

- No więc gdybym ją odkopła, co bym odkryła?

- Mogłabyś odkryć, że zamieniłem jej tabletki na serce na pigułki witaminowe o dokładnie takiej samej wielkości i w takim samym kolorze. Brak przepisanej leki na pewno nie był bez znaczenia.

- Dlaczego ją zabiłeś?

- No cóż, powiedzmy, że staram się nigdy nie przegapić okazji do dobrej zabawy.

- Zatem umarła z braku lekarstw. Mało popisowe.

*

Arthur otwierał właśnie drzwi lokatorowi, gdy nagle ujrzał nadbiegającego mężczyznę słusznej postury, który przyciskał jakiś przedmiot do piersi i zaraz schował go do kieszeni. Był już na tyle blisko, że portier rozpoznał przyjaciela pani Mallory. Jeszcze kilka kroków i zobaczył, że ściska on w ręku dwudziestodolarowy banknot. Rzucony, banknot zawisł w powietrzu, tymczasem mężczyzna przemknął w drzwiach, Arthur zaś zręcznie capnął pieniądze, nim spadły na ziemię.

- Nie ma co mnie zapowiadać, już jestem spóźniony! - ryknął gość. - Zabije mnie, jak zaraz u niej nie będę! - Słowa ciągnęły się za nim, gdy minął zatłoczoną windę i pchnął drzwi prowadzące na klatkę schodową.

Arthur ze zrozumieniem skinął głową zamykającym się drzwiom i schował banknot do kieszeni. Sam też nie chciałby się narazić pani Mallory.

*

- Nie umarła z braku lekarstw, tylko ją zabiłem - powiedział Justin.

- Umarła na atak serca - rzekła Mallory. - Widziałam świadectwo zgonu.

- E, tam. Można by powiedzieć, że wystraszyłem ją śmiertelnie. Gdy już osłabła z braku leków, reszta okazała się fraszką. Wycinałem jej takie numery, o których nie mogła nikomu powiedzieć, bo uznano by ją za wariatkę. Mało było prawdopodobne, że będzie opowiadać ojcu, jak to widzi latające przedmioty. Poznałaś go. Zatwardziały niedowiarek, nie uważasz?

- Bardzo szczególne z ciebie dziecko, Justin, przynajmniej, ale to nie wystarczy, by uznać cię za mordercę.

- Ależ wystarczy. Czołgała się po pokojach w pogoni za tą buteleczką nic niewartych pigułek. Szedłem obok i gdy tylko wyciągała rękę, kopałem buteleczkę dalej. Krzyczała, płakała. Była przerażona. Świetna zabawa, mówię ci. Szkoda, że nie widziałas jej twarzy, gdy umierała. Nie mogła uwierzyć, że to rzeczywistość.

- A jej następczynię, pierwszą macochę, też zabiłeś?
- Tak. Dla niej również latały przedmioty i też nikomu nie mówiła. Myślała, że dostaje obłądu. Moim zdaniem rzeczywiście była lekko stuknięta, gdy wziąłem się za nią.
- Ale serce miała zdrowe.
- Tak, lecz w przeszłości była pacjentką szpitala psychiatrycznego, samobójstwo wyglądało więc całkiem wiarygodnie.
- Według raportów lekarza sądowego obie były same w domu, gdy umarły.
- Tak, miałem wtedy lekcje, tyle że w nowej budzie niezbyt dobrze pilnuje się uczniów. Nauczyciele są bardzo postępowi - obecność to sprawa honoru ucznia, a nie obowiązek. Ale w ogóle wątpię, by ktokolwiek to sprawdzał. Po prostu przyjęli za pewnik, że nie było mnie w domu. I uznali, że ani jeden, ani drugi zgon nie wzbudza podejrzeń.

*

Amanda stała się bardziej iluzoryczna, gdy płynęła w powietrzu u boku Charlesa.

- Jeszcze trzy półpiętra. Trzeba było jechać windą - powiedziała.
 - Teraz mi to mówisz?
- Kłuło go w boku od nadmiernego wysiłku, w płucach drapało, jakby połknął drucianą szczotkę.

*

- Masz jakieś trofea, Justin? Pytam z zawodowej ciekawości. Wszyscy słynni zabójcy trzymali pamiątki po swoich wyczynach.
- Mam buteleczkę podrobionych pigułek i rekwizyty, które wypróbowałem na pierwszej macosze.
- Jak ją zmusiłeś do wyskoczenia oknem?
- Nie wyskoczyła, wypchnąłem ją. Okno trzymałem otwarte. To było duże okno. Powinna w nim być krata. Potem wziąłem nóż uwiązany na żyłce, którą przerzuciłem przez szynę przesuwanych po suficie lamp. No i

pociągnąłem. Chodziło o to, by wprowadzić macochę w światło okna i zmusić do cofnięcia się. Każdy człowiek, który widzi pędzący na niego nóż, mimowolnie się cofa, i to gwałtownie, tak to jest. Cofała się szybko, omal nie gubiąc nóg, i gdy znalazła się przy parapecie, musiałem tylko podbiec i pchnąć ją tam, dokąd sama zmierzała. To było najniebezpieczniejsze, bo w pewnej chwili zrozumiała, co się dzieje, i wyciągnęła ręce, by zabrać mnie ze sobą. Ryzykowałem trochę.

- W przeciwieństwie do matki i pierwszej macochy druga powiedziała twojemu ojcu o latających przedmiotach.

- Tak i pluję sobie za to w brodę. Powinienem lepiej poznać Sally, nim się do niej zabrałem. Nie miałem pojęcia, że jest jednym z tych żałosnych szajbusów od Ery Wodnika, że ma fioła na punkcie zjawisk paranormalnych. Ale w końcu wyszło na moje, bo teraz każdy uważa ją za histeryczkę.

- I nadal zamierzasz ją zabić?

- Oczywiście. Możesz pomachać tej dziwce na pożegnanie. A ona tobie, bo najpierw ciebie zabiję. Było byczo, Mallory, naprawdę świetnie się bawiłem.

Uniósł broń.

- Ej, mały, to nie wystrzeli. Nie odbezpieczyłeś - powiedziała.

- Rewolwer nie ma bezpiecznika. Sprytnie, ale wymyśl coś lepszego.

- No to może ten oklepany tekst: „Uważaj z tyłu!”? Znasz?

- Raz gdzieś słyszałem. Puszczali w telewizji jakieś starocie z lat siedemdziesiątych.

W głębi przedpokoju, o wiele kilometrów za daleko, stał Charles Butler. W rękę trzymał broń Markowitza. Twarz miał zwróconą w bok i trochę do dołu, jakby coś lub ktoś odciągnął jego uwagę. Co się z nim dzieje?

Charles, nie zawieź mnie teraz.

- Zatem jeżeli powiem facetowi, który stoi za tobą, żeby cię zastrzelił, nie będziesz miał pretensji?

Charles patrzył teraz na Mallory szeroko rozwartymi oczyma, kręcąc powoli głową.

Nie zawieź mnie, Charles.

Chłopiec uśmiechnął się.

- To już twoje ostatnie słowa, Mallory. Mów, co chcesz - rzekł.

Lufa się uniosła, zaglądając jej w twarz.

- Strzelaj, Charles! - krzyknęła Mallory.

Charles wycelowwał w chłopca i pociągnął za spust, raz, drugi, trzeci. Nadchodził, miarowo naciskając palcem, szurając zdrętwiałymi od psychicznego wstrząsu nogami.

Na trzask pustej komory Justin szarpnął się w bok i teraz patrzył na oszalałego wielkoluda o szeroko rozwartych, zasmuconych oczach, który nacierał na niego z pstrykającym w nieskończoność koltem w dłoni.

Mallory poruszyła się i Justin natychmiast odwrócił ku niej głowę. Patrzyła, jak oczy chłopaka dokonują wyboru. Zdecydował się na większy cel. Lufa obróciła się w stronę Charlesa, tymczasem spod kanapy wybiegł kot i wyprężywszy się na tylnych łapach, ruszył w płasy, drobiąc tanecznym krokiem. Chłopiec zdębiał i wtedy Mallory rzuciła się na rewolwer. Padł strzał. Pocisk cisnął kota w szaleńczy piruet i na dywan trysnęła krew.

Związany na podłodze Kipling zwiotczał. Wywrócił komicznie oczami i zamknął powieki. Leżał nieruchomo z otwartymi ustami i głową zwieszoną na piersi.

Jeszcze nim Mallory i chłopiec padli spleceni w walce na podłogę, ona już miała broń w ręku.

- Ładnie zagrane... - wysapała, przygniatając zręcznie Justina nogą i szukając wzrokiem Charlesa.

Stał jak słup soli z opuszczoną ręką, ale kolbę ścisnął mocno, a palec wskazujący wciąż spazmatycznie pociągał za spust, strzelając na pusto. Naraz z jego drugiej dłoni wypadło na podłogę pudełko naboji. Zapieczętowane.

- Nie załadowałeś, Charles?

- Nie załadowałem.

Zatem stanął bez wahania przeciw chłopcu, nie mając naboji w rewolwerze, nie mając żadnej osłony. Pusta broń tłumaczyła jego zdecydowanie.

Nie nacisnąłby spustu w ułamku sekundy, gdyby miał naprawdę strzelić do dziecka. Cywile są skonstruowani inaczej. Charles był miękkim, cywilizowanym człowiekiem i w jego świecie nie dopuszczano się takich czynów. Odważny i sprytny na swój sposób, zaryzykował więc życie, by ściągnąć na siebie ogień i by Mallory tym samym zyskała potrzebny jej czas.

Naraz do mieszkania wpadli z zdobytą bronią Martín i Riker - Martin pierwszy, sierżant za nim - dysząc od biegu. Patrzyli na związanego Kiplinga i przygniecionego przez Mallory Justina.

Riker ukucnął przy niej, zziębnięty od szaleńczej pogoni w górę schodów, i szperał po kieszeniach, szukając kajdanek. Chwilę później Justin leżał z rękoma skutymi na plecach.

- Skąd się tu wziąłeś? - W pytaniu Mallory brzmiał wyrzut.

- Cóż, Charles zwrócił moją uwagę, gdy śmignął obok samochodu - odparł Riker. Z ucha wyjął małe urządzenie. - No i podsłuchiwałem. Ostatnio, gdy tu byłem, założyłem całkowicie nielegalną pluskwę. Trochę się od ciebie nauczyłem, mała. - Pomacał zerwane zasłony. - Straszny tu nieporządek. To do ciebie niepodobne.

Martin schował broń do kabury.

- Ciągłe były przerwy w odbiorze - rzekł. - Prawie cały czas słyszeliśmy tylko dziwny hałas, jakby mały silnik pracował. Riker mi mówił, że to kot chrapie. Myśli, że uwierzę mu we wszystko.

Sierżant wskazał głową Charlesa.

- Mogłabyś powiedzieć mu, by przestał pstrykać tą spluwą? Denerwuje mnie to.

Mallory wstała i podeszła szybkim krokiem do Charlesa. Musiała użyć siły, by rozewrzeć mu palce, następnie zacisnęła dłoń na jego dłoni, by powstrzymać go od strzelania z broni, której już nie trzymał.

Nie odrywał wzroku od chłopca. Ten leżał spokojnie, nieruchomo, uciekając oczami od przenikliwego spojrzenia. Nikt nie zwrócił uwagi, że wydał wargi jak prawdziwe dziecko w chwili złości.

Martin stanął nad Kiplingiem.

- Nie żyje? - zapytał.

- Żyje - odparła Mallory - tylko zemdłał, gdy broń wypaliła.

Riker i Mallory porozumieli się bez słów. „Czy znam moich zabójców?” - zapytała lekko unosząc głowę. „Na wylot” - odparł uniesiony do góry kciuk sierżanta.

Martin wyjmował kajdanki.

- Schowaj - powiedział Riker, powstrzymując go gestem ręki. - Mallory tak go zapakowała, że bransoletki nie są potrzebne. Wynieśmy go z kamienicy takiego.

Martin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobra, podoba mi się to. - Wskazał palcem bryzgi krwi na dywanie. - Kto więc oberwał?

Ten, o kogo pytano, czołgał się powoli po dywanie, podciągając się na przednich łapami, kwiląc i uparcie przedzierając ku Mallory. Wreszcie legł u jej stóp, brudząc krwią białe sportowe buty.

- Co mu się stało?

- To nie moja robota - rzekła Mallory.

*

- Spodoba ci się to, Mallory - rzekła Betty Hyde.

Włożyła kasetę do kieszeni magnetowidu. Na ekranie pojawił się sędzia Heart u wejścia do Coventry Arms. Po bokach miał dwóch umundurowanych policjantów. Naraz pod nos podsunęła mu mikrofon młoda reporterka z pytaniem, czy to prawda, że prokuratura zamierza dokonać ekshumacji ciała jego matki.

Sędzia natarł na kobietę. Jedną pięścią wytrącił jej mikrofon z ręki, drugą uderzył kamerzystę. Leżąca na ziemi kamera filmowała nogi policjantów i oporne nogi sędziego, odciągane od nóg reporterki. Dźwiękową okrasą wymownego obrazu był kobiecy krzyk: „Auuu! Boli, ty skurw...”

- Mam pytanie co do eskortujących go policjantów - rzekła Betty Hyde.
- Mogłabyś wyjaśnić ich obecność?

- Nie mam pojęcia, skąd się wzięli - skłamała Mallory. - Słyszałam coś, że pewien funkcjonariusz z zakładu medycyny sądowej doniósł na policjanta zamieszanego w szantażu. Chcieli pewnie zapytać Hearta, czy coś wie o tej sprawie. Ale nie ja ci to powiedziałam.

- Oczywiście. Dziękuję za podanego na tacy sędziego. Nie chcę się wydawać nienasycona, ale czy nie wyniuchalaś jeszcze czegoś?

- Nie - skłamała po raz drugi Mallory i dalej pakowała swoje ubrania.

- A ja tak. Miałaś rację, mówiąc, że coś przed tobą ukrywam. Wiedz zatem, że Eric Franz rzeczywiście udaje niewidomego.

Mallory wygładziła bawełnianą koszulkę i włożyła ją do płóciennej torby.

- Sam ci to powiedział?

- Ależ skąd, wszystkiemu zaprzeczał przez kilka godzin. Właściwie to głównie pił i wspominał Annie. To właśnie jest dziwne; on naprawdę ją kochał. Ale ten wypadek to z całą pewnością zabójstwo, bo jeżeli ma zdrowe oczy...

- Skoro on się nie przyznał, skąd wiesz?

- Mówiłam ci, że wszędzie mam swoich szpiegów.

Mallory schowała parę złożonych dżinsów do torby i powoli zasunęła suwak.

- Masz na myśli Arthura? To on dyżurował w noc wypadku. On ci powiedział, że Franz zabił swoją żonę?

- Nie, on nie ma pojęcia, że Eric widzi. Powiedział tylko, że gdyby widział, to mógłby ją uratować. Ale wersja Erica nie zgadza się z jego wersją. Eric kłamie.

- Ile zapłaciłaś Arthurowi?

- Pięćdziesiąt dolarów.

- Pewnie dlatego otrzymałaś pełną usługę. Ja dałam mu tylko dwadzieścia - powiedziała Mallory. Otworzyła boczną kieszeń w torbie i poszperawszy, znalazła dokumenty, których szukała. - Powiedział ci, że podał

policji numery rejestracyjne i że złapali faceta w ciągu godziny, zgadza się?

- Zgadza, ale...

Mallory zamachała kartką papieru.

- To raport z wypadku. Rzeczywiście podał im numery rejestracyjne, tyle że błędne. A kierowcę złapali dopiero o siódmej rano. Siedział w samochodzie pod miejscowym warsztatem, odsypiał popijawę, czekając, aż otworzą, żeby mu wyklepali błotnik. Na samochodzie wciąż była krew. Przydybał go strażnik postojowy.

- Ale Arthur opisał доклад...

- Czy powiedział ci też o srebrnym jaguarze? W rzeczywistości to był zwykły szary ford. Wcale niepodobny do jaguara, tyle że taki wózek jest mało efektowny.

- Widział, że Franzowie się kłócili.

- Stojąc po drugiej strony ulicy? Bardzo wątpię. - Mallory wybrała spomiędzy okładek kolejną kartkę papieru. - To wyniki badania jego wzroku. Arthur widzi świetnie na odległość do pięciu metrów, nawet bez okularów. Ale im dalej, tym gorzej. Zatem tak naprawdę twoje odkrycie to słowo ślepego przeciw słowu ślepego. Ale nawet gdyby Arthur miał orli wzrok, sprawa wyglądałaby podobnie. Każdy gliniarz ci powie, że zeznania naocznych świadków to najgorszy materiał dowodowy, jaki można mieć. Jeżeli sprawa opiera się wyłącznie na zeznaniach świadka, w sądzie jesteś skazana na porażenie. A najgorsze z najgorszych to zeznanie, za które się płaci. Nie byłabyś dobrym detektywem, radzę ci więc, nie rzucaj dotychczasowej pracy.

- Wystawiłaś mnie do wiatru, co? Nakierowałaś na Franza, żebyśmy się trzymała z daleka od Kiplinga?

- Masz głowę Hearta i wyłączność na doniesienia o morderstwie Amandy. Nie masz natomiast nic na Franza. Dwa z trzech to nie taki zły wynik.

- Winnam ci butelkę czegoś dobrego, Mallory.

- Winnaś mi znacznie więcej. Bo jeśli opublikowałabyś cokolwiek z tych bredni na temat Franza, miałabyś proces sądowy na głowie i szukałabyś nowej pracy.



Eric Franz zatrzymał się na chodniku, by zamienić słowo z Mallory. Zsunął okulary z nosa i spojrział na nią, jak spoglądają widzący. Jego twarz była złakniona snu i wytchnienia od bólu.

- O ile dobrze rozumiem, chce pani przeprowadzić ze mną jakąś transakcję. Domyślam się, że to pani wysyłała wiadomości przez sieć komputerową. Czy wkrótce znów pani się ze mną skontaktuje?

- Nie - odparła Mallory. - Nie mamy nic do siebie, pan i ja. Wątpię, byśmy się kiedykolwiek jeszcze spotkali. - Wyjęła odznakę. - Jestem zwykłą gliną, a pan nie złamał prawa. - Przynajmniej nie w sposób, który mogłaby udowodnić. Franz był po prostu trochę szalony. Charles ująłby to lepiej: miał dar poczuwania się do winy.

Mallory słowem nie wspomniała Betty Hyde, że tej nocy portier nosił okulary. I że popełnił jedynie błędy przeciętnego świadka o zdrowych oczach.

Na twarzy Erica Franza ujrział blask reflektorów nadjeżdżającego samochodu. W tym rześystym świetle widział dokładnie mężczyznę, który patrzył, jak jego żona wpada pod koła pojazdu. Podobnie jak Cora, Arthur był świadkiem zabójstwa, nie będąc tego świadomym.

Tyle że jedynie morderstwo popełnione z zimną krwią stanowi prawdziwe wyzwanie dla stróża prawa. To natomiast była zbrodnia namiętności, podobnie jak zastrzelenie przez męża żony przyłapanej z obcym mężczyzną w łóżku. Są takie chwile w życiu każdego człowieka, kiedy nie powinien dźrzyżyć w rękę broni. Mallory pojmowała w pełni istotę owej sekundy, w której dokonało się zabójstwo. Los podsunął Ericowi Franzowi tonę rozpezdzonego żelaza. Annie Franz zginęła z braku ostrzeżenia.

Mallory patrzyła, jak rzekomy ślepiec odchodzi z psem. Zawsze będzie się zastanawiała, jak to jest; żyć w okrytej gęstym mrokiem mistyfikacji, nie móc sobie pozwolić na choćby jedną chwilę nieuwagi. Przyszło jej do

głowy, by zaszczyć go i doprowadzić do załamania, ale jaki byłby sens? Dodałaby mu tylko nowych cierpień. I po co? Ten mężczyzna odsiadywał właśnie wymierzony samemu sobie srogi wyrok.

Markowitz też puściłby Franza wolno. Nie wiedziała, dlaczego jest tego pewna, ale była.

Epilog

31 grudnia

Jack Coffey oglądał już kilkakrotnie atak sędziego Hearta na dziennikarkę. Kto nie oglądał? Od pięciu dni pokazywano to bez przerwy we wszystkich programach informacyjnych.

W tej chwili rzeczywiście sędzia, całkiem już inny od tego z taśmy, współpracował ochoczo z wydziałem wewnętrznym. Śpiewał wydziałowi i prokuraturze, syjąc szantażystę Palanskiego, potwierdzając tym samym oskarżenia funkcjonariusza z zakładu medycyny sądowej.

Decyzja o ekshumacji ciała starej kobiety stała się towarem wymiennym za zeznania sędziego. Zdaniem Mallory ekshumacja jego matki nie doprowadziłaby do oskarżenia o morderstwo i w przeciwieństwie do Rikera Coffey jej wierzył - co jakiś czas.

Zaraz po okazaniu Palanskiemu pewnego zdjęcia potwierdził on, że Heart bije kobiety. Nie zawahał się również odpłacić pięknym za nadobne byłemu wspólnikowi, funkcjonariuszowi z zakładu medycyny sądowej, który siedział w sąsiednim pokoju, wierząc święcie, acz płonnie, że nietykalność koronnego świadka, którym był, ochroni go przed oskarżeniem o niepłacenie podatków. Nie ochroni. Kiedy już proces dobiegnie końca, inspektorzy fiskusa będą czekać w pobliżu z wywieszonymi ozorami, ze śliną cieknącą im z pysków. Gdy Palanski odsiedzi swój długi wyrok, jego też dopadną.

W tym chórze śpiewających szcurów nie było śladu dyrygenta, który koncert przygotował. Pewnego dnia Coffey zdobędzie zaufanie Mallory i

wtedy zapyta ją, jak to wszystko rozegrała - a ona pewnie i tak każe mu iść do diabła.

Coffey spojrział na trzymane w dłoni zdjęcie, które tak bardzo wystraszyło Palanskiego. Wyglądało całkiem niewinnie: jakaś nastolatka o kaskadach falistych rudych włosów stojąca przed bożonarodzeniową choinką w domu lekarza sądowego, doktora Slope'a, objęta troskliwym ramieniem jego żony Doris. Zdjęcie to nadeszło z krótką, kryptonimową informacją od doktora, w której nie było wzmianki o Mallory.

Zapalił zapałkę i przytknął ją do rogu zdjęcia - zgodnie z życzeniem Slope'a. Teraz sekcja zabójstw nietypowych znalazła się całkowicie poza spiralą wydarzeń i Mallory nie miała z nimi nic wspólnego.

Później tego samego dnia Riker usłyszał nowiny o Palanskim. Jedyńie Coffey wiedział, że Mallory zataiła niejedno przed sierżantem.

Cóż, wszyscy coś zatajają, wszyscy kłamią.

Nigdy nie będzie rozmawiał z Rikerem o utraceniu przez Mallory innego policjanta. Zacierała za sobą ślady, zawsze odgradzając się od łańcucha dowodów przynajmniej jedną osobą.

W rękę Coffey trzymał raport gotów do podpisania, który kończył sprawę trzech morderstw. Co za wyjątkowy, słodki dzień.

*

Podobnie jak w wypadku tworu Malakhaiego, jego własna iluzja również wymagała, by pozostawać wiernym jej logice. Amanda nigdy już nie powróci, wiedział o tym. Była kobietą, która kochała dzieci.

Na ile był szalony? Wcisnął guzik odtwarzacza kompaktowego i rzeczywistość; zmysłowa muzyka - podarowana mu przez Mallory - wypłynęła wezbraną falą ze środka jego świadomości. Wbił wzrok w blat biurka, opuścił z wolna głowę. Gdy koncert dobiegł końca, siedział w mroku wieczorną porą, kiedy to cienie w biurze są najgłębsze.

Naraz kątem oka ujrzał kobietę, która nabierała kształtu w ciemności, rodząc się, idąc ku niemu, do światła.

Mallory.

Usiadła na brzegu biurka i zaczęła, aż podniesie głowę.

- Justin jedzie do wariatkowa dla bogatych. Mówię ci o tym, bo pewnie chciałbyś wiedzieć.

- Myślisz, że to coś pomoże?

- Nie. Uważam, że taki się już urodził.

- Ale to dziecko.

- Zabójca.

Dziecko.

- Jak prokurator zareagował na twoje nagrania?

- Nie posiadał się z radości. Dwóch zabójców i trzy morderstwa na jednej kasecie. Co za oszczędność dla podatników.

Nie potrafił dostrzec jej twarzy w półmroku, ale zdawało mu się, że się uśmiecha.

- Komisja cywilna może uznać, że postrzeliłam kota - powiedziała - ale na razie mnie nie oskarżyli.

Charles również się uśmiechnął, choć wbrew swej woli i na przekór samopoczuciu.

- Przecież masz taśmę - rzekł.

- Ostatnie kilka minut się nie załapało - odparła. Co w języku Mallory oznaczało, że skasowała tę część nagrania, w której Charles strzelał do dziecka. Zatem to nigdy się nie wydarzyło. Uświadomił sobie, że co jakiś czas Mallory zaskakuje go taktem i przenikliwością.

- Do tego trzeba było mieć jaja, Charles. Ruszyć na niego z pustą bronią.

Zsunęła się z biurka i wyszła, za nią zaś podreptał kot, który robił teraz więcej hałasu, albowiem z powodu bandaża nie poruszał się już z właściwym sobie wdziękiem. Pozostał powiew szlachetnych perfum. Minęło jeszcze parę minut, nim cała Mallory opuściła gabinet.

W romantycznej literaturze z innego stulecia kobieta spytałaby może: „Uśmiercisz dla mnie smoka, mój luby?” Świat jednak dawno się zmienił,

zmieniał się każdego dnia i dziś potwory przywdziewały szokująco zwodnicze maski. W osobliwym romansie u początków nowego wieku Mallory mogłaby spytać: „Czy uśmierciłbyś dla mnie dziecko, luby?”

Wyznawała swój własny kodeks honorowy i dlatego nigdy go nie zapyta, ale to nie wypowiedziane zdanie wejdzie na zawsze między nich. Jeżeli kiedykolwiek zdobyłby się na odpowiedź, to odparłby: „Tak”, ponieważ myślał, że ma nabitą broń, gdy strzelał do chłopca, i strzelał, by zabić - dla Mallory.

KONIEC